Poezya polska

o świcie XX-go stulecia.

I.

Chcieć tegoczesną naszą twórczość poetycką ująć w karby jakiegokolwiek porządku, wysnuć z jej objawów jakąś normę ogólniejszą, jakieś wskazówki oryentujące—wychodzi niemal na zadanie pochwycenia rojących się na wiosnę gromad leśnego ptactwa, —jak to już Dr. Piotr Chmielowski zaznaczył, mniej tylko grzecznie, w książce p. t. „Współcześni poeci polscy" (Petersburg, 1895, str. 491). Rozbiega się ta twórczość w tylu różnorodnych kierunkach, nadlatuje z tylu stron świata, chowa się po tylu ciemnych gąszczach, a jest zarazem tak drobna, tak niesforna, tak na wszystkie tony rozświegotana!... Gdybyż przynajmniej świegot był równie, jak u prawdziwego ptactwa, naturalnym, ale te poetyckie trele, szmery, gruchania, szemrania są niestety bardzo często wystrugiwane, ociosywane, wyrównywane, dopasowywane do rytmu, rymu, — niekiedy nawet według obcego rytuału. W miniaturowym zbiorku Kasprowicza *) wygląda to na gatunek lilipuciej norymberskiej arki

*) Jan Kasprowicz: „Album współczesnych poetów polskich (1863—1898)". Petersburg i Lwów, 1899, tomików dwa, razem str. 1074 małej szesnastki.

Noego, cudownie ocalonej od mitologicznego i romantycznego potopu przeszłości i przepełnionej rzeźbionem, malowanem potomstwem Apollinów i Pigmalionów,—potomstwem, przed chwilą dopiero wypierzonem... na gwiazdkę przyszłości realnej. A obłoczki, dokoła wymuskane, a chmurki, zewsząd wycackane, a wiaterki, wiecznie fruwające, a gałązki, aż się uginające od świeżości pokostowej!... „Pośród boru głębokiego, — pośród lasu dębowego, — za górami, za morzami, — na wyraju, na poraju, — niżej tuczy, wyżej drzewa — jakiś oman się rozwiewa... — Wyszła, wyszła niespodzianie, mgłą powionie, tęczą stanie, ni to ciało, ni to pianka, ni to wodna świtezianka, na powietrze uleciała,—zaśpiewała,—uleciała, zaśpiewała tak nęcąco, taką nutą kołyszącą, radującą i płaczącą, całującą i pieszczącą, ni to ptaszę jakie boże, ni to dziewczę jakie hoże, ni to dzwonek jaki srebrny, ni to anioł ów podniebny... — Do mnie, do mnie pójdź, młodzieńcze, ja ci słońca dam i tęczę, dam ci gwiazdy, dam ci zorze, dam ci kwiaty wszystkie boże, ja cię śpiewać tak nauczę, że posiędziesz wszystkie klucze, co ci ludzką pierś otworzą; ja ci będę złotą zorzą, ja na gwiazdach cię posadzę, ja do niebios cię wprowadzę; będziesz władał nad chmurami, będziesz władał nad duszami; pojmiesz mowę ptasząt, kwiatów i niebieskich dzwony światów, będziesz duszę miał podwójną, niewidzialnych istot czujną, poznasz wszystkie szczęścia gaje, uczuć maje — prawdy raje..."

Pierwsze wrażenie jest przykre, prawie bolesne. Coś najzupełniej nieswojskiego wieje z tej śpiewności, wydmuchanej na wylot, w tem wycackaniu, wyśrubowanem nawskroś. Dusisz się od przepychu i nadmiaru pięknostek błahych i błahostek pięknych, — od zieleni haftowanej i błękitów emaliowanych. Drażnią i niecierpliwią cię szczególniej przypomnienia niedokładne, przenośnie chybkie, reminiscencye zmącone dźwięków i obrazów — to czytanych u mistrzów zagranicznych gdzieś, kiedyś, a schowanych pod przebraniem, do niepoznania kunsztownem, to znów sadzących się na oryginalność nadzwyczajną, nadobłoczną, nadzmysłową, nadlogiczną, której niczem nie umiesz zmierzyć i z niczem porównać. „Duch się kołysze po czasu fali, a pióro pisze, a myśl się żali, a serca jęki, a gorycz kwasu, wiąże się w dźwięki po fali czasu... Po fali chmurnej, fali złowrogiej, mknie duch mój górny, szukając drogi, aby kotwicę zarzucić w dali, tam gdzie ciemnice — po czasu fali. Po fali owej tak płodnej w męty wznosi się duch mój, z Boga poczęty; rafy ominie wśród burz hałasu, płynie a płynie po fali czasu. Po fali gniewnej duch niestworzony, w szacie powiewnej, w pieśni natchnionej, mknie, gdzie go mędrce oczekiwali, aż się ostoi po czasu fali..." Naj-

więcej wszakże spotykamy wszędzie wysilonych i przesilonych zachęt do wyskoczenia z siebie, po za siebie, przed siebie, nad siebie,— najwięcej pobudek „do jazd powyżej gwiazd", — jazd, co prawda, niekiedy niezmiernie ponętnych: — „Wstań, pieśni, wstań z drgających strun — i dzwoń i dźwięcz; przez blask wieczorny złotych łun, przez tryumfalne łuki tęcz płyń w lazurową nieba toń — i dźwięcz i dzwoń... O, płyń przez gwiazd promienny pył w otchłanie sfer, w zawrotny wir ognistych brył, w szkarłatny odmęt krwawych skier, w blask opalowy leć i toń — i dźwięcz i dzwoń!..."

Długo trzeba się namyślać, długo w sobie ważyć i rozważać te mgławice kosmiczne, odwoływać się do książek, zestawiać czasy minione i bieżące, radzić się żyjących, zaglądać w przeszłość, znów wracać w teraźniejszość, uwzględniać warunki położenia, okoliczności, cele, — ażeby w końcu módz zdobyć się na sąd wyrozumialszy, łagodniejszy, oswoić się nieco i pogodzić z tem, co jest, co być musiało, — przyjąć, wytłómaczyć i nawet pokochać trochę te klejnociki, szychy i perły ze wspaniałej niegdyś szaty, te okruszyny z suto niegdyś zastawionych stołów... Na ten rezultat pożądańszy i milszy składają się wszakże nie tyle względy etyczne, teorye rzekomo nowe, świeże, — strzępki przepisów, zapożyczonych od Celliniego i Galvaniego, a zdobnych w aforyzmy głośnego wiersza Teofila Gautier: „błękitnych syren twórz legiony i stu sposoby kręć im w sierp ogony..." Przychylność czytelnika i pobłażliwość krytyki zupełnie z innych źródeł wypływają tym razem. Rzewniejsza, szczersza, tu i owdzie zwrotka legendy ludowej, starannie obrobionej; parę krajobrazów górskich i nizinowych, otulonych subtelną mgłą tęsknot serdecznych; mocny, gorący koloryt czci i uwielbienia dla genialnej spuścizny poprzedników wielkich; hardo w sobie skupione, skromnie, choć stanowczo uwydatnione poczucie godności indywidualnej i zbiorowej wśród zmiennej kolei zdarzeń powszednich; bezwzględny kult piękna, gdzie ono jest szatą nieśmiertelnych dążności ducha ludzkiego, — oto co nas na prawdę jedna i niewoli w młodych naszych wyznawcach i głosicielach zasady: „przemija wszystko w wieków ciągu, jedyna sztuka wiecznie trwa: w posągu zamarłych stolic — życie drga..." Wiele, bardzo wiele — co do reszty — pozwolić sobie może najzagorzalszy wyznawca nowego zakonu, ilekroć w powyższych punktach nie zrywa z tradycyami zakonu starego... „Las jakiś ciemny, smutny widnieje daleko, z mglistych, ciężkich niebiosów księżyca promienie przez powietrzną pustynię ospale się wloką ku ziemi, ledwo świecąc. Dokoła milczenie... Idę, patrząc przed siebie — oczy moje giną w szarości chmurnej, chłodnej, rozsnutej dokoła, — śnieg w-koło topól leży

masą biało-siną... Idę bez celu... *nikt mnie* i nic mię *nie woła...*" „Idę przez drogę życia złą i ciemną, — dokąd? czyż wiem?... A zawsze i wszędzie *twój cień* idzie za mną, nocą i dniem. Zawsze i wszędzie słucha serca mego najskrytszych drgnień, ani opuszcza mię, choć lata biegą, twój blady cień..." Mniejsza o to, że jedno, dwa słowa, — cień i jego wołanie, śnieg i jego siność biała, naprowadzają cię tu na pewne powinowactwo z którymś półwierszem „Sonetów krymskich", z którymś półrysem „Anhellego"; — tem większy owszem powab— powiadasz sobie — im powinowactwo bliższe. Nie gniewamy się również — w okolicznościach zastrzeżonych — na dłuższe parafrazy ustępów z „Psalmów", z „Improwizacyi", z „Pieśni Wajdeloty..." „W skarbnicy twojej, o pieśni najświętsza, spoczywa siła olbrzymia narodów, na twoich skrzydłach wzlata myśl gorętsza, ty w ogień zmieniasz martwe bryły lodów... Gdy naród, w uciech pogrążony *kale...* (czytaj: „skorupie plugawej"), maskę na łzawe przywdziewa oblicze, gdy, kłamiąc boleściom, w upojenia szale na wzrok swój rzuca bielmo tajemnicze, gdy dumną stopą depcze wspomnień groby, o zgasłych wiekach w marzeniach już nie śni, — ty jedna tylko, jak widmo żałoby... („z archanielskiemi skrzydłami") znowu do życia go budzisz, o pieśni!..." Albo też: „Anim zbyt pyszny, anim zbyt pokorny, więc i mnie wolno patrzeć w te otchłanie i przez teleskop ciemności wieczornej dostrzegać w dali *różane świtanie...* I mnie, jednemu z atomów, co słucha tej głuchej wrzawy ze swego Patmosu, rzec wolno, jakie w głębi swego ducha apokalipsy widzi wśród chaosu... Bo wszelkie słowo, wielkie czyli małe, ma swoją siłę, jak ziarno, — ażeby, zasiane, błysło w zbóż złocistą chwałę i w pożywne się przemieniło chleby. W każdem jest słowie jakby jakieś echo walk, uczuć, marzeń, — ludów, krain, czasów: tego, co boli lub darzy uciechą i co się z jutra wydziera zawiasów..." Nie przeczymy, — zawiele czasu i atłasu traciliśmy zawsze, — dawniej i dzisiaj — na te widzenia w ciemnościach, na te lilie wodne, wyrastające z posuch powszechnych, na te prognostyki łabędzie pod adresem nieczułych brył świata: „ileż myśli — natchnień — zórz — zgasił u nas życia kurz! — iskrą błędną one błysły, i w nicestwo się rozprysły, i nie wrócą nigdy już..." Ale ponieważ dowodnie w końcu się przekonywamy, że to są odblaski iskier *własnych*, nie cudzych, że to są odwzory kurzów, unoszących się na *ojczystych* gościńcach pięknotwórstwa, że to są odgłosy natchnień najszczytniejszych z tych wszystkich, jakie kiedykolwiek cuciły i ożywiały omdlewające wśród niepowodzeń zmysły społeczności naszej, — zrzucamy i spędzamy z siebie najchętniej resztki nieporozumień i chwilowego względem

przybyszów uprzedzenia... Spostrzegamy teraz dobrze — że to są swoi, że to są nasi, że to poeci polscy.

Niewątpliwie — to oni. I nie dziwimy się już obecnie bynajmniej, — owszem, sercem całem radzi jesteśmy, że w spisie Kasprowicza jest ich, tych naszych poetów współczesnych, okrągła liczba czterdziestu i czterech, oczywiście po wyłączeniu z grona i z okresu lat 1863 — 98 imion Aspisa, Faleńskiego, Sowińskiego. Życiem, pismami trzej ci pisarze wkraczają istotnie w literackie ramy obrazu ostatnich lat trzydziestu; słusznie też i zasłużenie przeznaczono im stanowiska honorowe, naczelne. Ale zasada, zastosowana do nich, do ich obecności w gromadzie pod żadnym względem nie różni się od zasady, przysługującej nieobecnym: Antoniemu Pietkiewiczowi, Wincentemu Korotyńskiemu, Adamowi Pajgertowi, Wacławowi Szymanowskiemu, Jadwidze Łuszczewskiej, Narcyzie Żmichowskiej, Maryi Ilnickiej... Jeden to i ten sam — tu i tam — duchowy zastęp, o jednym i tym samym znaku chorągwianym. Sowiński czy Ilnicka, Pług czy Deotyma — do *współczesnych* należą; i czy do współczesnych zaliczeni być mają, czy nie mają, jako poeci, — musimy ich zaliczyć lub nie zaliczyć *razem*, bez wyjątków. Druga alternatywa jest bezpieczniejsza — a to na mocy rozstrzygającego kwestyę pewnika, którym Aleksander Kraushar *obecność* swą w zbiorku Kasprowicza wyodrębnił — i wyodrębniwszy — wyrugował: „Przebrzmiał bez echa wiek romantyczny, świat w przyszłość patrzy z obawą... dziś tylko zimny, trzeźwy, praktyczny do życia może mieć prawo... Więc nieraz srogie dręczą mię mary na jawie — często i we śnie, żem przyszedł na świat — *romantyk stary* — zapóźno lub też zawcześnie..." Zastrzeżenie ma swoją wagę. Dziś dotycze ono tylko Aspisa... Deotymy... Kraushara; jutro takież same skrupuły powstać mogą u innych lub względem innych, — względem np. Kazimierza Glińskiego, Stanisława Grudzińskiego, Antoniego Pileckiego, Włodzimierza Zagórskiego... Zaufajmy jednak przyszłości. Luki powstałe lub powstać mogące zapełnią młodsi: *obecnego* Józefa Kościelskiego zastąpi *nieobecny* Włodzimierz Koszutski, Stanisława Rossowskiego — Edmund Bogdanowicz, Maryana Gawalewicza — Józef Jankowski, Michała Bałuckiego—Kazimierz Sterling...—i tak, czy inaczej, skrzydlaty huf czterdziestu i czterech, szczęśliwie zamknięty w kadrach lat 1863 — 1899, ostoi się, okrzepnie i zwycięsko w pełnym szyku rozwinie się przed potomnością na progu nie więdnącej chwały, nie skrępowanej wiekami nieśmiertelności... Okrzepnie i ostoi się przynajmniej w posadach, w założeniach, w zarysach głównych: od Adama Asnyka, który w roku 1864 pierwszy swój

utwór „Podróżni” zamieścił w „Dzienniku literackim” lwowskim, aż do Antoniego Langego, Andrzeja Niemojewskiego, Franciszka Nowickiego, Józefy z Cybulskich Szczęsnej-Bąkowskiej i Kazimierza Przerwy-Tetmajera, którzy w tymże czasie lub w sąsiedztwie najbliższem po raz pierwszy światło dzienne ujrzeli. Dobry po temu omen spływa i stąd jeszcze, że reszta drużyny chorągwianej dość rytmicznie rozmieściła się wzdłuż tego Rubikonu asnykowskiego, po jednej i drugiej stronie przed i po r. 1864. Stanisław Wyrzykowski— że od najdalszych krańców zaczniemy — przyszedł na świat w roku 1873, Marya Konopnicka—w r. 1846; Ludwik Szczepański—w 1872, Włodzimierz Stebelski — w 1848; Lucyan Rydel — 1870, Wiktor Gomulicki — 1851; Wilhelm Feldman — 1868, Czesław Jankowski — 1857; Zenon Przesmycki — 1861, Marya Bartusówna — 1856; Artur Oppman — 1862, Jan Kasprowicz — 1860... Jak widzimy, dane biograficzne, najbardziej elementarne, nachylają się ku sobie dość prawidłowo i zgodnie, w tempie przyśpieszonego niemal zmiejszania się i zanikania różnic. Daty bibliograficzne prawdopodobnie również przypuszczałyby jakiś miarowo-jednoczący wykładnik tegoż rodzaju. Spoistość zatem zewnętrzna, formalna, statystyce dostępna,—niewiele pozostawia do życzenia. A spójnia *wewnętrzna*?— ta spójnia duchowa, co, kładąc na utworach danej epoki pieczęć usiłowań własnych, samoistnych i wiążąc rezultat swej pracy, jako ogniwo pośrednie, z nabytkami i doświadczeniem epoki dawnej, poprzedniej, staje się przez to samo, w dziejowej wymianie przyczyn, źródłem i dźwignią żywotności dalszej? — w tym tu zakresie, jakże się sprawa przedstawia w tegoczesnej naszej poezyi? —

Pytanie ma już swoją niewielką, ale znaczącą przeszłość, i zajrzeć do niej musi nieodzownie recenzent, który i od siebie także ma coś na ostatku, za innymi, do nadmienienia.

II.

Na początku XIX-go stulecia, — powiada prof. Wł. Nehring w „Studyach literackich” (Poznań, 1884, str. 233 i nast.)—po kilkuletnim letargu, powoli, prawie leniwo budziło się w Warszawie życie na polu literatury, a cały ten ruch, bardzo słaby w pierwszych dwu dziesiątkach lat stulecia, był bez wybitniejszych celów; zadania jego nie *przechodziły potrzeb chwili*: było to życie z dnia na dzień. Inna zupełnie, nieznana dotąd roślinność ujawnia się dopiero w r. 1820, a to skutkiem przepełnienia atmosfery ideami wolnomyślnemi i rozkwitu

literatury zachodnio-europejskiej przy końcu wieku XVIII i z początku XIX. Uregulowane stosunki w Królestwie Polskiem, założenie uniwersytetu w Warszawie (1818 r.), pomyślny rozwój uniwersytetu w Wilnie, głównie zaś ożywiona działalność w różnych towarzystwach, — wszystko to otwierało szersze, niż dotąd, widnokręgi..." Zastępy młodzieży w Warszawie i Wilnie, uszlachetnionej nauką i poetyczną podniosłością ducha, sięgały myślą w sferę najwyższych ideałów, z upodobaniem powtarzały myśli takie, że wartość człowieka stanowi czyste serce, że sercem w serce patrzeć należy, że świat samolubny rozgrzać trzeba współczuciem i popchnąć do udziału w pracy i w służbie wzajemnej, że każda, myśl, *poczęta z miłości*, jest, jak pyłek, który, skoro padnie na wdzięczną niwę, wyda owoc odpowiedni... Z tych to idealnych zapałów do wszystkiego, co wzniosłe i szlachetne, trysnęły źródłowo czyste i świeże, zasadniczo odnówcze, pierworodnie swojskie ruczaje poezyi, zlewające się z sobą i przerzynające stężałą, zmartwiałą powierzchnię umysłowości polskiej w kierunkach i głębokościach najrozmaitszych, od pism Brodzińskiego wierszem i prozą do poematu Goszczyńskiego „Zamek Kaniowski", od ballady Zana „Neryna" do „Maryi" Malczewskiego, od świtających w głowie Zaleskiego na bruku warszawskim dumek i szumek ukraińskich do „Pieśni Filaretów", „Grażyny" i „Dziadów", ogłoszonych w Wilnie w latach 1822 — 23, i aż do krymskich i erotycznych sonetów Mickiewicza, drukowanych w Moskwie pod koniec r. 1826. Wody zaszemrały od ciepłego, łagodnego tchnienia wiosny *zachodniej*, ale krynice, z których wypłynęły, grunta, po których biegły, powietrze, które budziły i orzeźwiały, były rodzime, ojczyste — w znaczeniu tych słów najdonioślejszem i całkowicie nowem, nieznanem od końca złotego, zygmuntowskiego wieku literatury polskiej, który nam w spadku zostawił zaledwie parę urwanych, szczątkowych ech i wspomnień, zaklętych w klasycznie zabalsamowanem wytwórstwie Rejów, Kochanowskich, Szymonowiców, Zimorowiczów, Klonowiców, a przykrytych i przyduszonych grubemi przybłędnemi warstwami scholastyczno-łacińskiej „oświaty" Jezuitów i wykwintnej, francuskiej „ogłady" czasów stanisławowskich... Niewielki, niepokaźny na oko był to świat — ów świat, odgrzebany z pod ruin, — nierozległe jego widoki, nie wysokie założenia, — a wszakże, w lat kilkanaście po ostatecznem rozbiciu naczelnych osłon i głównych wiązadeł starego naszego ustroju państwowego, wśród rozsypki i rozpadania się dawnych norm i form bytu narodowego, niepodobna nawet byłoby zamarzyć o bezpieczniejszej przystani dla resztek życia, jakie gdziekolwiek jeszcze

ocalały, ani o opatrzeniu tych pozostałości mocniejszym pancerzem przeznaczeń, — być może, wielkich, zbawiennych. Nazwano to *romantyzmem* przez analogię i powinowactwo, więcej pozorne, niż istotne, z literackiemi, ściśle teoretycznemi zamierzeniami i odmianami owej doby u innych ludów. U nas i dla nas — było w tem coś nieskończenie poważniejszego. W złudnej, lekkiej, powiewnej a uroczej szacie cudowności i wieszczby występowała tu przyszłość idealna, — „unia duchów", jak się wyraża Nehring, — przeobrażenie rzeczywistości na modłę pragnień i widzeń natchnionych. Problemat niezwykle dziwny: gdyż widzenia były prawie bezcielesne, pragnienia — prawie bezosobowe i bezwyznaniowe. W pierwiosnkach romantyzmu polskiego — pisze Nehring — „nie było widać żadnego z zadań społecznych ani politycznych, nie było nawet aluzyi w tym rodzaju..." Ale, przedewszystkiem, był zwrot do ludu, do natury, do źródła wszystkich zacniejszych uczuć człowieka w jego życiu wewnętrznem, do przyjaźni, cnoty, miłości — w połączeniu z wielce wygórowanym szacunkiem kobiety. Po za tymi głównymi pierwiastkami porannej doby naszego odrodzenia spotykamy tylko jeszcze nader mgliście zarysowaną postać przeszłości historycznej, przeważnie dawno minionej, archeologicznej lub też, jeżeli nieco późniejszej, świeższej, to już nieodzownie odwzorowanej ze strony jedynie obyczajowej, bez śladu tematów historycznych i filozoficznych, bez cienia orlich lotów i walk tytanicznych.

Taki był początek poezyi polskiej XIX stulecia. Ogromny, wszechzbawczy — ale początek tylko. Przepaść oddziela romantykę tę genezyjnie rzewną, w obyczaju skupioną i zamkniętą, w przyrodzie rozkochaną, w serce zapatrzoną, sielską i cudotwórną, — od romantyki przewrotnych Wallenrodów, potępieńczo-butnych Konradów (z III cz. „Dziadów"), namiętnych Kordyanów, uczonych Wacławów S. Garczyńskiego), dalekowidzących Irydyonów i krwiożerczych Pankracych, wyzywających ziemię i niebo do boju, siejących dokoła burze i pioruny, gestykulujących na sposób jakobinów paryskich, a z rozumem i zdradą niemiecką szermujących dyalektyką i sztuką krzyżacką... — rzadko krzyżową. Nie wylewało się to już na niziny i nie z nizin czerpało zasobność swą użyźniającą; przeciwnie, wspinało się na wyżyny życia i tam z połamanych, pokruszonych świątyń i twierdz dawnych usiłowało dźwignąć, a przynajmniej zarysować gmach nowego przymierza... Pierwotna, majowa „unia duchów" nie rozsprzęgła się wprawdzie; świeciło nad nią zawsze to samo słońce, do którego, według prześlicznej gry słów Malczewskiego, serce, jak ptak w wiośnie, śpiewało i „skakało radośnie".

W pogoni jednakże za najbliższem, o ile podobna natychmiastowem urzeczywistnieniem ideałów rozbiegły się te duchy po takich krańcach wszechwiedzy i wszechistnienia, że pobudek, jeśli nie przyczyn, szukać dziś trzeba w dziejach powszechnych, w ogólno-europejskim toku zdarzeń, w stosunkach międzynarodowych, wzorów zaś i dogmatów — w przygodnych falach *obcego* otoczenia. Tworzywo, — materyalny budulec natchnień pozostał, o ile się zdaje, swój własny, domowy; nie pochodził już wszakże z tej samej formacyi psychologicznej, co przed niewielu laty. Wyłoniła go, rzekłbyś, jakaś rodzajność gwałtowna, podziemna, wulkaniczna, wstrząsająca posadami zagadnień nadobłocznych, metafizycznych,— wtedy, gdy glina, muł, piaskowiec, z których przedtem lepiono i ciosano popiersia Wiesławów, Gustawów, Nebabów, księżniczek, walczących pod zakrytą przyłbicą mężowską, mieczników wien, świecących u kolan sędziwego ojca „tak mdłem, bladem światłem, jak gdy księżyc w pełni niezwykłem życiem rysy posągu napełni", — należały niezaprzeczenie do kreacyi osadowej, pospolitej, oddawna uległej i urównoważonej, na wspólnym poziomie utrzymującej przy sobie i dwór nasz stary i starszą jeszcze naszą chatę. Obecnie, w skutek nadmiernego, wytężonego *umysłowego* wysforowania się zadań poezyi ku górze, ku szczytom katedr gotyckich, ku biegunom przeszłości i przyszłości, ku zaraniom i zmierzchom narodów i stuleci, związek między dwoma światami, „sercem i przyrodą" — po wiejsku zbratnionymi, rozluźnił się i rozsunął znowu na odległość niemal przedkataklizmową, staro-testamentową, przypominającą w zarysie ogólnym i „oświatę" jezuicką i „ogładę" francuską... Sama nawet istota poezyi doznała jakby pewnego rozdarcia przez wchłonięcie w siebie pojęć oderwanych, w których wyobraźnia — zdolność obrazowania wyobrażeń — z konieczności posługiwać się musiała pewnego gatunku dowodzeniem, przekonywaniem, rozumowaniem i, zamiast używać dostępnego dla wszystkich języka bóstw swoich, nie przypuszczającego niewiary i wątpienia, przemawiała teraz obojętnym dla twórczości i dla tłumu — bo nie ożywionym, nie uduchowionym językiem wiedzy, umiejętności, mitologii, paraboli...

Przebieg romantyzmu polskiego przez strefę ognistego deszczu meteorytów kordyanowskich i metafor konradowskich nie trwał długo. Urywana, zygzakowa granica między morfologicznie różnemi uwarstwieniami niwy poetyckiej pozostała wprawdzie po dziś dzień widoczną, niewyrównaną, niezatartą i nie przestała być wyraźną nawet wówczas, gdy pierwotne, rodzime, wskazane przez Nehringa żywioły romantyki naszej, ponownie, w dalszym ciągu

rozwoju, zaczęły brać górę i niejako podmywać, ku sobie zagarniać i w nurtach swych rozpuszczać ostygającą lawę wieszczby światoburczej. Proces, wywiązujący się ze wzajemnego na siebie oddziaływania przeciwieństw, dał początek kombinacyom o wiele bardziej złożonym, krystalizacyjnie zawilszym, świetniejszym, misterniejszym, przezroczystszym i zarazem hartowniejszym, potężniejszym. Wtedy to poezya polska zdobyła się na dwa wielkie, największe w wieku XIX i może w czasach nowożytnych arcydzieła, nierównej ziemskiej objętości i wagi, równie przecież jasno i wspaniale przyświecające widnokręgom cudowności twórczej. Historyczność legendowa, przetkana wszystkimi czarami stubarwnej fantazyi gminnej, roztoczyła cały swój przepych w „Królu-Duchu"; zwyczaj i obyczaj narodowy, mieniący się wszystkimi blaskami uczuć przyrodzonych i przyrody uczuciowej, sielskiej spoczął w majestacie niespożytych piękności „Pana Tadeusza". To wschód i zachód pierwszego *skończonego*, dokonanego poematu naszego życia. Słońce, wstające nad wiekami, kiedy nas jeszcze, jako narodu, nie było na widowni świata, uwikłane w zamęt i bój ciemnych, skłębionych sił zarania przedhistorycznego, płonie u Słowackiego czerwienią ponurą i złowrogą; wesołe, czyste, spokojne u Mickiewicza, idzie ono na spoczynek wieczorny wśród cichych i ciepłych oddechów szczęścia i pogody, wśród oczekiwań tęsknych i radosnych, zarumienionych na niebie wróżbami lepszego jutra, które... nadejść nie miało, któregośmy nie oglądali... Tam, kędyś daleko, w potopie i rozpasaniu dzikich namiętności hord wędrownych — wre dopiero zaledwie przedświt krwawy i burzliwy społecznego naszego wypłynięcia na przestworza bytu; tu znów, na krańcu przeciwległym, inna zupełnie powódź ludów — „pamiętna wiosna wojny, wiosna urodzaju, kwitnąca zbożami a ludźmi błyszcząca, obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna", pierzcha przed nami, „jako piękna mara senna", jako przywidzenie, zjawiające się po to tylko, by tem posępniejszym uczynić mrok zamkniętego na długie lata obrachunku żywota... Tu i tam — jedynie boska ćma przeczuć i westchnień sennych na przedraniu... A gdzież trzeźwy i rzeźwy dzień trudu i poświęcenia, dzień dorobku i nagrody?... — Jest on u kontynuatorów Krasińskiego, Mickiewicza i Słowackiego. Romantyzm polski nie wyrzekł po dziś dzień swojego ostatniego słowa. Szereg lat od wielkich wieszczów, od 1848 i 1855 do 1863 — to doba owocnego rozkwitu romantycznej siejby, to znojne poetyckie przedpołudnie naszego piśmiennictwa. Rzewnie i uroczo rozbrzmiewa ono po łąkach i gajach „Pieśniami Janusza" i „Pieśnią o ziemi naszej"; pracowitą

uprawą użyźnia jałowiejący łan twórczości raz gorącą, to znów na chłodno i uczenie rozmierzoną rytmicznością Bielowskich, Magnuszewskich, Norwidów, Siemieńskich, Wasilewskich, Zielińskich, Zmorskich, Żeligowskich; posilnie karmi się manną obietnic prometejskich i poi się rosą łez jeremiaszowych u Berwińskich i Ujejskich; zachęcającym skowronkowym wtórem „ostrzy lemiesz, dzwoni w kosy" u Lenartowicza; bez skutku, bez powodzenia, przecież nie bez sławy i szerokiemi skrzydłami rekognoskuje gwiaździste pustkowia u Deotymy; z wielkim natomiast, niebywałym u nas przedtem pożytkiem zwiedza wysokie krużganki i nizkie progi, najgościnniej wszędzie „sypiąc sól Wieliczki na chleb Ukrainy" w białych dworkach i starych wrotach Syrokomli... Cokolwiek za monotonna może, za szara, poezya t. zw. „epigonów" romantyki nie jest wszakże bynajmniej ubogą i nie jest też rozrzutną. Nie sadzi się na naśladownictwo, nie upędza się za zbytkowną kunsztownością obrobienia, pociąga natomiast prostotą i szczerością swojego wyrazu. Wierna zacnemu programowi swego protoplasty Brodzińskiego, że „romantycznością naszą są nasze zamożne niegdyś miasta, których obwody już czarna rola przykryła, — smutne grody, w których nasi królowie przemieszkiwali, a do których murów teraz wieśniacy strzechy swoje przytykają, — mogiły przodków, które po niwach naszych wszędzie napotykamy", — dba przedewszystkiem o rzetelne odtworzenie fizyognomii i kolorytu kochających ją ludzi, wtórujących jej krajobrazów. Dary otrzymała skromniejsze, lecz duszę ma równie, jak i jej starsza siostra, tkliwą, nastrojoną do niezrównanej piękności słów poety: „rzewniej się jakoś kocha matkę mniej szczęśliwą..."

Oglądany z odległości lat kilkudziesięciu, w ogólnem streszczeniu swych przesłanek i przemian, romantyzm polski wydaje się być powleczonym zamroczystością, znacznie grubszą i ciemniejszą od tej, jaka mu z wieku i temperamentu przynależy. Głęboki i urwisty wąwóz wyżłobiły wypadki pomiędzy nim a nami, przecinając lub plącząc te nici i węzły uwzajemnienia, jakie niegdyś istniały między społecznością a poezyą. Wcześnie zaznaczyła to nasza krytyka. W r. 1880 Spasowicz, puszczając w świat ponowne wydanie swej „Historyi literatury", napomknął, że z dwu faz romantyzmu naszego okres wielki, mickiewiczowski, już wtedy uważany był za „kopalny", skamieniały, niemal przedpotopowy, o tematach i wątkach martwych, bez naśladowców i bez zastosowania. Podziwiamy dzieła arcymistrzów tej epoki, wznosimy im pomniki, zachwycamy się wspaniałem tęczowaniem się ich wyobraźni, ale już *ich powietrzem*

nie oddychamy, ciepła od ich promienności nie czujemy... na sobie. To samo poniekąd stało się i z poetami okresu późniejszego, z satelitami o pożyczanem świetle lub z kometami, nieprawidłowo rzuconemi w słoneczny system Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego,— od Bohdana Zaleskiego lub Stefana Witwickiego do Stanisława Koźmiana i Karola Brzozowskiego. Jedni z tych pieśniarzy i rymotwórców wyglądają — *w oczach naszych* — zbyt sentymentalnie i idylicznie, drudzy nadto sztywnie i po szlachecku, inni rażą naiwnością motywów lub dziecinną — *jak na nasze czasy* — niezdarnością budowy... Kto dziś z rozrzewnieniem odczytać zdoła „Margiera" lub „Dęboroga?" która panna żywszym rumieńcem obleje się na widok „Mohorta" lub „Imci pana Winnickiego?" czyje serce mocniej uderzy na odgłos granitowego wiersza „Zamku Kaniowskiego" lub piszczałkowych i bandurczych brzdąkań kozackiego rapsodu o „Damianie księciu Wiśniowieckim?" — Przebrzmiałe to echa, przeżyte tęsknoty, rozwiane widma.

Bezwątpienia — wszystko zależy od powietrza, w którem przedmioty się kąpią, od czasów, które nas wychowały, od oczu, jakiemi na świat i na nasze w niem stanowisko patrzymy. Powszechnie znane to zjawisko, że synowie drżą tam od chłodu, gdzie ojcowie od nadmiaru gorąca do koszuli się rozbierali. Termometr równie szybko dziś spada, jak nagle szedł wczora w górę. Na dobrą czy na złą stronę, na dolę czy na niedolę, zniechęcenie i ospałość prozaiczna czynią za dni naszych podboje, nie mniej szalone i nieprzewidziane, jak przed laty czyniły uniesienia i żądze działalności niezwykłej, cudownej, poetyckiej... Zresztą, wtedy czy dzisiaj — jakiejkolwiek natury były lub są nasze podniety moralne, jakiekolwiek huczą lub huczały w duszy orkany i jakiekolwiek znicze zapalały lub zapalają wyobraźnie do odlotu w krainę przyszłości, bądź rozcieńczonej eterycznie westchnieniami pobożnemi, bądź opancerzonej pewnikami hartowanego w indukcyi przewidywania naukowego, — rzeczywistość bieżąca, dziś czy wczora stawała i staje wobec nich częściej w roli swawolnicy płochej, niźli w charakterze towarzyszki i pomocnicy zacnej: raz, poprzestając na lada sznureczku pereł fałszywych, drugi raz, gardząc najdroższymi skarbami ziemi... Tam wszystkiego było za mało, tu niczego się nie chce...

III.

W roku 1864 ukazały się pierwsze pieśni twórcy naszej poezyi tegoczesnej — Asnyka; stwierdzając w ćwierć wieku później

nieobecność w społeczeństwie polskiem usposobień i upodobań romantycznych, Spasowicz przewidywał wszakże jednocześnie możliwość i prawdopodobieństwo ich odżycia, zmartwychwstania. „Pod powierzchnią obecnych kierunków — pisał — sprzyjających rozwojowi pozytywizmu w nauce, znajdują się tak obfite pokłady romantyzmu, że przez długie wieki wystarczyć będą mogły tym przyrodzonym wymaganiom, jakie poezya zaspakaja... W literaturze polskiej korzenie romantyzmu są jeszcze bardzo mocne, oddziaływanie zaś prądów nowych odbywa się wcale nie szybko, wśród największych usiłowań... Chwilowo — dodaje historyk — kwiaty poezyi zanikły. Mistrzów wielkiej poprzedniej epoki przypomina dotąd jedynie liryk Adam Asnyk (urodzony w r. 1838), zbliżający się do nich raczej formą, niż duchem..." I tyle. Tymczasem, współrzędnie z ukazaniem się drugiej edycyi książki Spasowicza, w parę lat po niej, dwie inne gwiazdy zaczynały już błyszczeć okok Asnyka na widnokręgu ujętej w rymy i umysłowej wytwórczości polskiej: Wiktor Gomulicki i Marya Konopnicka. Pokazują to katalogi. Piewszy jednotomowy zbiorek utworów Asnyka (El...y: „Poezye") wyszedł w r. 1869 we Lwowie; drugi, dwutomowy — w r. 1872 w Krakowie. Gomulicki późno się zdobył na książkowe skupienie poetyckich swych plonów, bo dopiero, jak utrzymuje Chmielowski w pracy wspomnianej, — w r. 1887 *). „Poezye" Konopnickiej wydane zostały w r. 1881 w Warszawie; druga ich serya zjawiła się w r. 1883. Tryumwiratowi nowemu Adam Bełcikowski, krytyk oględny, spokojny, poświęcił w początkach r. 1889 w literackim dodatku petersburskiego „Kraju" (№ № 4 — 17) rozleglejsze i głębsze nieco (od zwyczajnych dziennikarskich sprawozdań) studyum, p. t. „Dzisiejsza nasza poezya". Początki, pod względem ideowym, w pomysłach i dążnościach ogólnych, zapowiadały się chwiejnie, niepewnie; zewnętrznie, w budowie i obrobieniu, zwykle starannem i ozdobnem, — za drobiazgowo; ale uprzejmy krytyk wysoko podniósł tę „plastykę miniaturową" poezyi *dzisiejszej*. Technika poetyczna — powiadał — doprowadzoną w niej została do wysokiego stopnia; poeci stali się prawdziwymi jej samowładcami. „Bogactwo i *niezwyczajność* rymów stały się dzisiaj obowiązującem prawem; i żaden z piszących nie odważyłby się ta-

---

*) Egzemplarz „Poezyi Wiktora Gomulickiego", jaki recenzent ma pod ręką, wydany „nakładem księgarni A. Gruszeckiego w Warszawie" jest bez daty, a z widocznie mylnem „imprimatur" cenzury „20 maja 1866 r."

kimi prostymi rymami wiązać z sobą wiersze, jak Mickiewicz albo Krasiński..."

W lat siedem po Bełcikowskim, Chmielowski w książce, zcalającej rozbiory krytyczne, ogłaszane przeważnie w „Ateneum", nie zdołał również wykryć, na czemby polegała „unia duchów" w tegoczesnej poezyi polskiej, pomimo zwiększonego znacznie zastępu wierszopisów. Prócz Aspisa, Faleńskiego, Sowińskiego, zagarniętych z okresu dogorywającej romantyki, tudzież Asnyka, Gomulickiego i Konopnickiej — o dorobku literackim, powiększonym do r. 1895 w dwójnasób, przybyli jeszcze: Czesław Jankowski, który w pięciu zbiorkach rymów, pierwszy z r. 1879, drugi z 1881, trzeci z 1884, czwarty p. t. „Capriccio" z 1889, piąty p. n. „Rymów nieco" z 1893, zasłynął, jako poeta „na wskroś uczuciowy", trubadur średniowieczny, według własnego jego wyrażenia — zabłąkany w wieku XIX, marzący wciąż i śpiewający o kwiatach i miłości; Stanisław Grudziński, zawcześnie zmarły idealista i entuzyasta, którego „Marzenia i piosnki" z r. 1872 i krakowski zbiorek poezyi z r. 1873, tudzież kilka obrazków lub poemacików późniejszych zawierały sporo „rozsądnych uwag i zdrowych uczuć, pomieszanych z mało uzasadnionemi wyrzekaniami na zhańbienie ideałów sztuki, na poniżenie zapału i bólu — przez rozbiór naukowy", a wszystko razem odznaczało się niewątpliwą szczerością natchnienia,—bez względu, czy młody poeta „wygłaszał hasła postępowe", czy też kiedy „na łonie wiary i tradycyi niepewnościom swoim miał koniec położyć." Szli następnie: Włodzimierz Zagórski (Chochlik) i Mikołaj Biernacki (Rodoć), dwaj celniejsi przedstawiciele humorystyki i satyry poetyckiej, przechodzący stopniowo, od dowcipnych żartów i miłych zabawek wierszem do coraz poważniejszych fragmentów i zarysów epickich i epigramatycznych, osnowy bądź filozoficzno-moralnej, jak Zagórskiego poemat „Król Salomon", bądź moralno społecznych, jak Biernackiego typowy wizerunek filistra w „Panu Karolu." Aleksander Kraushar (autor „Strof" bezimiennych) i Adam M-ski (pseudonim, — podobno niewieści), obaj tłómacze wytworni, obaj wymowni głosiciele zasad postępowych, obaj surowi karciciele wietrznej, stratnej, bezmyślnej, a wykształconej niby to gawiedzi, upędzającej się za uciechą i rozrywką na „ruinach ideału", — obaj wreszcie jednakowo smutni, rozgoryczeni, znękani... niemożliwością rozwinięcia skrzydeł orlich lub sokolich. Kazimierz Gliński i Włodzimierz Wysocki, autorowie dobrze zazwyczaj pomyślanych, wdzięcznie wykonanych opisów i powieści poetyckich, z tendencyą zacną, humanitarną, demokratyczną, podszytą niekiedy sarkazmem i ironią, u Wysockiego prostszą, ruba-

szniejszą, u Glińskiego głębszą, wykwintniejszą, rzetelnie przytem stroskaną i zasmuconą, że „cicho szeptanej modlitwy ojców już nie wymówisz raz drugi...”

Oprócz pomienionych Chmielowski poświęcił w swem dziele osobne rożdziały „próbom epicznym”, poetom „przedwcześnie zmarłym lub zmarnowanym”, „rymotwórcom mniej szczęśliwym” i „najmłodszym.” Do epików trzydziestolecia od 1863 — 93 zaliczeni: zmarły w r. 1878 Władysław Tarnowski (Ernest Buława), ultra-romantyk, autor „Poezyi studenta”(1863—65 w trzech tomach) i „Kochanków ojczyzny”, drukowanych w r. 1873; Teodor Michał Sęczkowski, twórca fantazyjnie rozwichrzonych poematów „Zwierzęta” (1868), „Bitwa” (1871) i epopei w czterystu pieśniach p. t. „Janina” (urywki wyszły w r. 1887); Stanisław Kuczewski, zaciągnięty na listę z powodu „lichego” poematu na tle krymskiem „Helena” (Lwów, 1881), Stefania Jurkowska — z powodu „mdłego” obrazka z życia artysty p. n. „W kraju słońca” (Toruń 1883), romantyk Tadeusz Otawa—z powodu powieści wierszem „Halina” (1885), Jadwiga Z.— z powodu średniowiecznego poematu „Gunilla” (1886). Dopiero Józef Stanisław Wierzbicki zrobił jeden krok naprzód o tyle, że w swej powieści podolskiej „Hanka” (1888) domieszał do wpływów romantycznych dobrą dozę zapędów realistycznych, nie pomijając „trywialnych objawów pijatyki i bójek karczemnych, uriadników, sockich, starszyn, kozy gminnej i t. p. Wreszcie, dwutomowa Wojciecha Dzieduszyckiego „Baśń nad baśniami” (Lwów 1889), wysnuta z mitów i podań naszych na wzór „Witoloraudy” Kraszewskiego, dalej Bronisława Komorowskiego powieść poetycka na tle XVI stulecia p. n. „Kniaziowie Rożyńscy” (1889), — „dzieło, ukochane i wypieszczone przez twórcę”, oraz poemat starosłowiański Julii Terpiłowskiej „Borys” (Kraków 1893) zamykają — z zaszczytnemi już tym razem wzmiankami — przegląd „prób epicznych”, — z góry wszakże niestety, opatrzonych dantejskiem naszych czasów *lasciate*: „nie znalazły silniejszego odgłosu wśród społeczeństwa...” Żaden też z pomienionych epików nie wszedł do „Albumu” Kasprowicza, oprócz Wierzbickiego, — ale dopiero na podstawie kilku drobnych utworów lirycznych.

Z wieszczów, u Chmielowskiego nie wyodrębnionych, nie wyosobnionych, traktowanych gromadnie, — przedwcześnie zgasłych lub „zmarnowanych”, „mniej szczęśliwych” i nieraz bardzo nawet nieszczęśliwych, uwzględnieni zostali w „Albumie” Kasprowicza: Miron (Aleksander Michaud), zaliczony w swoim czasie z racyi mussetowskich i heinowskich narzekań na świat lub drwin z niego „do rzędu

kwilących ptasząt, na które w dziale pracy społecznej rachować niepodobna"; Władysław Ordon (Szanser), młodzieniec niegdyś pełen zapału i werwy, „jeden z pierwszych, a może najpierwszy, co u nas cierpienia maluczkich opiewał w poezyi"; Marya Bartusówna (1856—1885), talent pierwszorzędny, malujący życie „w prawdzie swoich uczuć." Miron i Bartusówna zmarli młodo; Ordona dotknęła niemoc ciężka. Nie uwzględniony w „Albumie" Michał Koroway-Metelicki należy również od r. 1891 do nieżyjących; zbiorek jego utworów, „przypominający tę duszę rzewnie poetyczną, spragnioną ideału, czczącą z uwielbieniem wszystko, co piękne i szlachetne, — duszę smutną, ale nie zgorzkniałą", ukazał się w r. 1893 w Krakowie i Petersburgu staraniem owdowiałej żony poety. Z żyjących, a „mniej szczęśliwych", Kasprowicz podał jednego tylko Józefa Kościelskiego, autora kilku dramatów na tle dziejowem i wierszy lirycznych, nader ostro, za ostro może przez Chmielowskiego osądzonych. Pominął „Album" z owych mniej szczęśliwych, a żyjących (w r. 1894): Józefa Korwina Kuczyńskiego, grzeszącego, jak się Chmielowski wyraża, „brakiem względności dla gramatyki, logiki i estetyki", autora dwukrotnie zbroszurowanych wierszyków przygodnych; Korczaka, zbyt skrupulatnie naśladującego w swej „Baśni" (1886) Krasińskiego, Słowackiego i „Dziady"; Bolesława Londyńskiego, piszącego dawniej pod pseudonimem Brunona Lasa, który zbiorowe wydanie swych rymów (1887) poświęcił „na pożytek ojczyzny", przeczuwając zapewne nieszczególne ich losy na innej drodze...

Najbardziej interesującem — jak na dziś — jest kółko, noszące u Chmielowskiego miano „najmłodszych..." W „Albumie" Kasprowicza otrzymali już oni miejsce, jakie w wielkich armiach zajmują korpusy główne, do działania przeznaczone: Zenon Przesmycki (Miriam), Kazimierz Tetmajer, Jan Kasprowicz, Stanisław Rossowski, Artur Oppman (Or-ot), Andrzej Niemojewski, Józefa Bąkowska (Szczęsna), Franciszek Nowicki, Lucyan Rydel, Antoni Lange... Oczywistą jest rzeczą, że do ostatniej tej grupy zaledwie tylko częściowo, problematycznie stosować się mogła ogólna ocena Chmielowskiego „tegoczesnej poezyi polskiej" z r. 1894, ujęta w następujące stanowcze i kategoryczne słowa, po dziś dzień obiegające prasę i budzące najsprzeczniejsze oddźwięki: „Mamy w poezyi dzisiejszej wielką rozmaitość nastrojów wewnętrznych i wielkie bogactwo form lirycznych, najkunsztowniej rzeźbionych; brak jej atoli rozległych pomysłów, brak wielkich kompozycyi, brak wielkich lotów... Imiona śpiewaków są liczne, talenta ich różnorodne, tylko w metodzie ich śpiewu nie tyle znać słowików lub choćby skowronków, ile pię-

knymi głosami obdarzonych *kanarków*, ślicznie odtwarzających wyuczoną nutę..."

Spór zasadniczy byłby zawczesny. Zaznaczmy tylko, że w przedmowie do „Albumu" Kasprowicz — o ile się zdaje — ten właśnie lapidarny wyrok Chmielowskiego miał na widoku, gdy z taką opryskliwością wyraził się o pozytywizmie, krytykach, dziennikarstwie i t. p. W społeczeństwie naszem — zaznacza najpierw twórca „Akordów jesiennych" — panuje niewątpliwie ogromne zobojętnienie dla poezyi. Dotychczas jeszcze jesteśmy pod wpływem t. zw. pozytywizmu, który z pośród doniosłych, a niezbędnych czynników życia społecznego poezyę lekkomyślnie wykreślił (?), usiłując doktrynerstwo swoje uzasadnić frazesem, iż „poezya dzisiejsza jest marna, że nie ma w sobie żadnych soków, którymi społeczeństwo z pożytkiem dla siebie karmićby się mogło..." Wspomniawszy dalej z goryczą czasy, kiedy tak zawanych „organiczników" (zwolenników pracy organicznej) „wierszowane hasła fabryczno-przemysłowe o kielni i młocie popularniejszemi były, aniżeli niejedna ze strof natchnionych", Kasprowicz utrzymuje, że już samo zjawienie się w owych pozytywistycznych latach pieśniarzy tej mocy, co Asnyk, Konopnicka lub „niedoceniony u nas" Leonard Sowiński (o Gomulickim przemilczano), świadczyć ma o żywotności poezyi, która, ma się rozumieć, brzydzi się jarzmem celów praktycznych, mieszczańskich, filisterskich, — tem bardziej zaś, jak mniema Kasprowicz, powiedzieć to trzeba o ostatniem dziesięcioleciu, od r. 1886, kiedy mniej więcej wystąpili na widownię „najmłodsi" Chmielowskiego, dziś już mistrze dojrzali, Miriam, Lange, Tetmajer, Oppman, Nowicki, Rossowski, Niemojewski i inni, — „ludzie, którzy we współczesnej poetyckiej literaturze europejskiej zapewnili naszej liryce jedno z miejsc *najprzedniejszych*." Jeśli zaś utwory niejednego z poetów, przed sześciu laty „najmłodszych", nie zdobyły sobie w kraju należytego rozpowszechnienia, przyczyny szukać należy, zdaniem Kasprowicza, w braku rzetelnej, umiejętnej, nieuprzedzonej krytyki. *Uznani* sędziowie twórczości dzisiejszej, ciągle jeszcze pogrążeni w *scholastykę* dążności utylitarnych, „a bardzo często nie umiejąc, po prostu, odczuwać poezyi", *potępiają ją w czambuł*; tymczasem społeczeństwo, idąc za jedynie rozumną, wedle siebie, za jedynie zbawczą zasadą, że „nam chleb potrzebny, a nie wiersze", wierzy recenzentom *dziennikarskim* na słowo i do książki, zawierającej rymy nie zagląda...

Niepotrzebny to sarkazm, za wiele przesady. O potępieniu poezyi w czambuł w imię pozytywizmu i utylitaryzmu nie słyszano

u nas od lat z górą dwudziestu. Zwięzłą formułę Chmielowskiego zrozumiano opacznie; przeoczono w niej mianowicie wyrazy końcowe („życie pełne niepokojów i wahań, a potem... ta okoliczność, że nam wszystkim nie dostaje możności szerszego oddechu"), — wyrazy, jasno wskazujące główny powód naszej „uczoności poetycko-kanarkowej." Powtóre, zwrócić należy uwagę, że za dni naszych częściej w sprawach poezyi głos zabierali sami poeci, niźli krytycy z rzemiosła, dziennikarscy czy tygodniowi. Nad nowymi prądami szeroko się przed niewielu laty rozwodzili dwaj na czele „Albumu" umieszczeni poeci-szermierze, Aspis i Sowiński, — pierwszy wyłącznie niemal w „Przeglądzie tygodniowym." Nieco później lub jednocześnie Biernaccy, Stebelscy, Czerwińscy i t. d. nader żywo ostrzyli satyryczno-postępową swą werwę na „przestarzałych" pegazach bratnich. Kraushar w koleżeńskich wspomnieniach o „Kuryerze Warszawskim" i jego koryfeuszu, Mironie, również przedmiot ten poruszał. W r. 1876 Grudziński wydał odczyt p. t. „Poezya i społeczeństwo." W 1892 Czesław Jankowski wystąpił z „Sylwetkami poetów." Wkrótce potem Antoni Pilecki (z grona 44-ch) dał się słyszeć z szeregiem odczytów programowych. W początkach roku 1899 Lange zamieścił w „Tygodniku illustrowanym" obszerniejszą pracę o „dzisiejszej" naszej twórczości poetyckiej. Nie zbywało więc poetom na sposobności zawstydzenia krytyków, jeśli istotnie pisali o tem, „czego odczuć nie umieli"; nie zbywało im na audytoryach, przed któremi, zwalczając nieuzasadnione uprzedzenie publiczności, szczegółowo wyświetlić byli w stanie rzetelną wartość poezyi nowej, współczesnej.

Jakaż naprawdę, według nich, jest ta wartość? — Odpowiedź zależy od tego, kogo mianowicie do *współczesnych* zaliczymy, od kogo *współczesność* wyprowadzać zechcemy. Zachodzą pod tym względem niejakie odcienie i wątpliwości, — wydymane wszakże często do jakiejś bezdennej głębi przedziałowej...

IV.

Za protoplastę kierunku czy też ruchu „współczesnego" w poezyi polskiej uważany jest pospolicie (zgodnie z tem, cośmy poprzednio zaznaczyli 1) Adam Asnyk. „Dla poetów *dzisiejszych* — powiada Lange — Asnyk jest pierwszorzędnej wagi pisarzem i, jako myśliciel, i, jako artysta; od niego, rzec można, idzie c a ł e nowe pokolenie... W Asnyku uderzała nową generacyę niezmierna siła ze-

środkowania, niezmierna pełnia wszystkich pierwiastków twórczych on, zdawałoby się, wynalazł *nową* zupełnie melodyjność języka i wiersza, *nową* technikę, *nowe* kombinacye wyrazów i pojęć, jest w nim coś kryształowego, skończonego, zamkniętego, — coś, co stanowi *okres*... Jeżeli Niemcy zowią go „Adam der Zweite", to w przezwisku tem nie wyrazili za wiele: Asnyk rozpoczyna *nową*, poromantyczną poezyę. Konopnicka i Gomulicki właściwie tylko *nowe myśli* w starą formę przybierają; u Asnyka jest *nowy* duch i *nowa* forma."

W ciągu niespełna lat czterdziestu, licząc od zgonu Mieczysława Romanowskiego i ukazania się pierwszych utworów Asnyka, życie i wypadki zarzuciły tu i owdzie dość grube pasma odcieni na umysłowość naszą. Przejęła je poezya. W następstwie katastrofy 1863 r. zmieniły się stosunki ekonomiczne i w części społeczne narodu; w nagle ochłodzonej atmosferze skropliły się resztki dawnego zapału, — spadły śnieżne płatki pozytywizmu. Kasprowicz, jak widzieliśmy, gotów jest niemal uważać zjawienie się w owej dobie kilku poetyckich kwiatów Konopnickiej lub Sowińskiego za dowód *przeciw* pozytywizmowi. Odwrotnie mniema Lange. Ani Konopnicka, ani Gomulicki, ani nawet sam „kryształowo czysty i skończony" Asnyk nie zdołali oprzeć się podmuchowi wiatrów, nawiewających to słotę, to przymrozki. Współczucie Konopnickiej dla doli nędzarzy, wieśniaków, najmitów fabrycznych nadało wprawdzie jej poezyi „pewien ton sentymentalno-społeczny, nieraz w nutę ludowej pieśni przybrany", więc niemal romantyczny; z przekonań wszakże, z dążności wyrozumowanych, jeśli nie z popędów serca, wchodzi ona niezaprzeczenie do obozu pozytywizmu... filozoficznego. Gomulicki znów „przeniósł *sielsko-szlachecką dotąd* poezyę polską w *nowożytne* ognisko życia i flamandzkim swym pendzlem nadał jej charakter miejsko-mieszczański..." Tak czy inaczej, każdy z członków rozwiązanego w r. 1897 przez zgon Asnyka „tryumwiratu" zaciągał do poezyi żywioły pozytywne: „Asnyk czynił to najgłębiej, Konopnicka najtkliwiej, Gomulicki najmisterniej."

Nie pozytywizm jednakże wziął ostatecznie górę. Wpływ w części starej romantyki, w części odgłosy reformatorsko-estetycznych sporów na zachodzie Europy zrodziły obawę o t. zw. kult bezwzględnego, czystego piękna, o „sztukę dla sztuki." Od r. 1886 ukazywać się zaczęły rymy Miriama (Zenona Przesmyckiego, urodz. 22 grudnia 1861 r.), których zbiór p. t. „Z czary młodości" wydany został w r. 1894. „Był on *pierwszy*, który odczuł nadchodzący *nowy* moment, *wiosenny* poezyi" — pisze Lange z widocznym zamiarem zaznaczenia, że aż do r. 1886 przeważały zawieje pozytywizmu.

„Pierwsze jego utwory — to okrzyk, że pieśń *zamilkła*; później — ubóstwienie poezyi i wezwanie do pieśni; wreszcie, jakby pobudka do pieśniarzy, którzy jeszcze nie nadeszli, ale gdzieś już pewnie lutnie stroją w ukryciu... Wyrażając w ten sposób *utajone dążenie swoich współczesników* (?) — Miriam stał się *dzwonnikiem* nowej świątyni..." W gruncie rzeczy był to zawsze jeszcze ten sam Asnyk, tylko więcej przeważony na „stronę nowej formy", niźli na stronę „nowego ducha." Drugoszeregowym młodym nie tyle chodziło tym razem o motyw asnykowski: „*myśl* ożywcza nagle znów wystrzeli, jak nieznany pojawi się bóg i odnajdzie namiętnych czcicieli, szukających *nowych życia dróg*..." — ile raczej — o wykwintną glossę rzeczonego motywu, — o nutę: „Po nad ziemskim lecąc globem, w brylantowych skrzę się rosach, wonne róże na mych włosach, z moich ramion spływa bluszcz; nad otwartym stanę grobem, pocałunki śląc namiętne, i uwiodę cienie smętne w lazurowych kraje puszcz... Do mnie, do mnie, tu, do łona, znów zakwitać, znowu płonąć i w uściskach ciągłych tonąć, spłyńcie, roje smętnych mar! Ja otwieram swe ramiona, pocałunkiem zmyję pleśnie, — tam sen w grobie, tu raj we śnie i miłości wieczny czar..." Dzwonienie Miriama nie pozostało bez odzewu. Ściąga ono do świątyni licznych wielbicieli „ubóstwionej" odtąd poezyi, — zwłaszcza, że ubóstwiać ją każdy może po swojemu. Sam Przesmycki — jak zapewnia Lange — zwraca swe modły głośno w stronę „teraźniejszości", przyczem zapatrzony jest „w siebie..." Obok niego Kazimierz Tetmajer również patrzy w siebie i w teraźniejszość, lecz nieco inaczej: Przesmycki — to liryk myślowy, logiczny, Tetmajer — zmysłowy i, jako taki, poszukuje wrażeń tam, gdzie Przesmycki poszukuje idei; jest przytem Tetmajer „beznadziejnym" pesymistą, a beznadziejność ta rośnie w nim z każdą zimą, z każdym wydanym tomikiem poezyi; ona sprawiła w końcu, że oderwała poetę od nieba i ziemi, — tak, iż „błądzi dziś sam, niezwiązany niczem" i albo „rozsnuwa własne swe żądze", albo „lubieżnie i mistycznie rozlewa się w żywiołach, jakby popychany pragnieniem nicestwa." Artur Oppman (Or-ot) również nie pogardzał z początku teraźniejszością, ale, ponieważ oglądał ją przeważnie przez pryzmat erotyki, znużył się rychło, uciekł od swego otoczenia i pogrążył się w przeszłość, szczególnie w zamierzchłe dzieje Warszawy i jej Starego miasta, w których się przegląda z niemniejszą lubością, jak niegdyś Włodzimierz Wolski, później Gomulicki. Ku przyszłości spozierają Andrzej Niemojewski i Jan Kasprowicz, — ale spostrzegają tam nie jedno — bo nie jednym wzrokiem: Niemojewskiemu wśród rzewnych tęsknot za światem ideałów dawnych wichrzą się

niekiedy w oczach nadciągające burze społeczne; Kasprowicz, przeciwnie, oburącz niemal trzyma się chaty wiejskiej i do niej wraca ciągle, nawet z po za obłoków, dokąd częstsze jeszcze, niż w Tatry, czyni wycieczki. Metafizyk i idealista po za widzialnymi widnokręgami bytu czerpie on natchnienie, — ilekroć pozostaje w domu, — z przedmiotów najbliższych; jest demokratą, i nieraz wiersz jego brzmi, jak głos trybuna ludu, „a nawet, jak artykuł z gazety.” Pisma Kasprowicza są różnolite; „w najgłówniejszych występuje on, jako piewca chat wieśniaczych, które maluje nie pastelowym sposobem Lenartowicza, tylko surowo, szorstko, jaskrawo, realnie”, jak je samo życie przedstawia: „chaty rzędem na piaszczystych wzgórkach, za chatami krępy sad wiśniowy, wierzby siwe poschylały głowy przy stodołach, przy nizkich obórkach; płot się wali, piołun na podwórkach, tu rżą konie, ryczą chude krowy, tam się zwija dziewek wieniec zdrowy w kraśnych chustach, w koralowych sznurkach...” Za poetami, zatopionymi w ten sposób w teraźniejszość, przeszłość lub *przyszłość*, ciągną ławami lub w rozsypce inne duchy, zapatrzone — w co kto może: Ignacy Baliński (Aksel) w Tennysona, Swinburna, w „płótno szare, bielejące na słońcu”, „w życia pęta i obróże”, Stanisław Wierzbicki — w marzenia o przyszłej epopei chłopskiej, Franciszek Nowicki — w niziny, zalegające u stóp Gerlacha, Bożydar—w prześliczny, rzewny, jedyny w całej naszej literaturze poetyckiej sztucznie odtworzony rubin poezyi ludowej, — w nieporównany swój mazurek: „Śnili mi się malowani, mateńko, chłopcy ułani, — wróż mi z tego snu, mateńko, wróż mi z tego snu... Malowani, jako kwiaty, w amaranty i bławaty, to ułani są, mateńko,— ułani, a co?... Jezu! co to? — ktoś na przedzie konia z bronią tylko wiedzie, i prościutko tu, mateńko, — i prościutko tu...” Za amarantami, za ułanami, za Bożydarem, za Rydlem, Żuławskim, Selimem Bukowińskim, Józefem Jankowskim, Władysławem Nawrockim, Ludwikiem Szczepańskim, Konstantym Górskim, — jadą, idą, suną coraz to świeższe zastępy — Elka, Aldona, Lieder, Iwański, Butrymowicz, Klemensiewicz, Korda, Leśmian, Mirandolla, Pieńkowski, Daniłowski... — aż do ciemniejących za górami, za lasami szeregów rycerstwa bezimiennego, które Lange zalicza już do poezyi XX-go stulecia.

Alluzya z praktyki wojskowej nastręcza się tu sama.

Jest rzeczą oczywistą, że całą tę „współczesną” armię Apollina rozsunąć można najdowolniej i w prawo i w lewo, — w stronę nowonarodzonego wczoraj impresyonisty, — tego samego np., co nam niedawno w wierszyku, poświęconym pannie Maryi Sznage, wyśpie-

wał burzę w najwiarogodniejszym chaosie łkań, westchnień, błyskawic, turkotów ogłuszających — i w stronę zmarłego za naszej jeszcze pamięci współuczestnika wielkiej rewolucyi umysłowej z początków XIX-go stulecia, co pośród nas i dla nas w „Nowej romantyczności” pożegnania pacierz wyszeptał: „lepszy nasz rozum prostaczy, — on nam cel życia pokazał: znosić, co Pan Bóg przeznaczy, czyniąc, co Pan Bóg przykazał...” Pierwszej z dwu metod szlusowania — w lewo — chętnie nadużywają „dzisiejsi”, obecnej chwili „najmłodsi”, usiłujący środek ciężkości poezyi tegoczesnej podgarnąć pod stopy mistrza Przybyszewskiego; drugiej — w prawo — bez wskazania osobistych lub osobliwszych jakichś pobudek użył niedawno Czesław Jankowski w antologii, wydanej jednocześnie niemal z antologią Kasprowicza *). W przedmowie mamy tu udatny obrazek owego zachodzenia w stronę wymierającej prawicy — lewem ramieniem naprzód, czy naodwrót. „Zaledwie zgasło nad Bosforem to słońce, w którego promieniach odrodziła się i potężnie zmężniała pieśń nasza, jęły tworzyć się dziwne legendy o tem, jakoby pod płytą grobową *paryskiego* Montmorency zamilkła *na zawsze* lira polska... Legendy te, skwapliwie rozpowszechniane, znalazły rychło wiarę wśród ciżb, dla których biadania nad „grobem poezyi” służyły za wygodne usprawiedliwienie reakcyjnej obojętności... Ale poezya pomickiewiczowska, pomimo chłodu, owiewającego ją dokoła, naprzekór ironicznym docinkom, rozsnuwała się, rozwijała powoli, biorąc na struny *co raz wdzięczniejszych lir* pierwiastki, *nieznane* pieśniom poprzedników. Na razie szły tylko dalsze rozwoje niedawno brzmiących chorałów i hymnów... — aż umilkły wreszcie. Atoli wśród ciszy mogił nie skonała pieśń... Buchnęły namiętne liryki Sowińskiego, popłynęła szeroka pieśń epiczna Deotymy, zamigotała dyamentowa piosenka Asnyka, w takt kielni i młotów zabrzmiał śpiew „młodych”, ozwał się kunsztowny głos Konopnickiej, jęły sypać się błyskotliwe, misterne, jak przedziwnych instrumentów tony, niebywałe zwrotki *czcicieli formy...* Rozległ się *nowy akord* polskiej pieśni, pełnią i świeżością nie ustępujący pod niejednym względem nieśmiertelnym rapsodom i śpiewom, złożonym już w skarbnicy swojskiego piśmiennictwa... Dziś, jak wprzódy, w barwach i strojnem odbiciu poezyi odnaleźć łatwo prądy, ożywiające i poruszające społeczeństwo współczesne... Ściśle z rozwojem pojęć, wyobrażeń,

---

*) „Młoda Polska w pieśni“, wybór celniejszych poezyi ostatniej doby, ułożył... Warszawa, 1898, in 8⁰, str. 496.

smaków i poglądów współczesnych związana jest twórczość poetycka dzisiejsza... Już sam niebywały wykwint formy poetyckiej, sięgający dziś niemal w dziedzinę *kunsztu muzycznego*, kładzie oryginalne znamię na poezyę naszą tegoczesną. Zaś za wybujałością i wyszukanem wyrobieniem formy poszły dobór tematów i odmiana tak zwanych rodzajów. Staroświecka oda i sielanka, opowiadania, późniejsze poematy fantastyczne i hymny ustąpiły miejsca *nastrojom*, — w wyrażaniu których walczy dziś o lepsze poezya *z muzyką...*"

Sięgając dalej jeszcze, niż Kasprowicz, w przeszłość przy wyborze wyjątków z utworów, mających składać obraz i charakterystykę przedmiotu, powołując do szeregu współczesnych nie tylko Sowińskiego i Faleńskiego (z pominięciem jednakże Aspisa), ale też *Odyńca*, Lenartowicza, Ujejskiego, dając nadto po kilka wierszy z „*onegdajszych* młodych", zapomnianych w „Albumie" Kasprowicza, — z Juliana Łętowskiego (ur. 1897), Wincentego Korotyńskiego (um. 1891), Wacława Szymanowskiego (um. 1886), Artura Bartelsa (um. 1885), Jadwigi Łuszczewskiej, Jana Zacharyasiewicza, Antoniego Pietkiewicza, Ignacego Balińskiego, Juliana Ochorowicza, Józefa Kuczyńskiego, — Czesław w odpowiedniej mierze uszczuplił krańcową lewicę poezyi nowej względnie do zbiorku Kasprowicza. Poczet ostatnich romantyków dawnych, tak szeroką bramą wprowadzony na widownię, z pożytkiem zastąpił „modernistów" czyli romantyków najświeższego autoramentu, obficiej nieco przytoczonych w „Albumie." Przykrycie młodzieży, dziś dopiero dobijającej się o powagę, powagami, mniej lub więcej nieuznawanemi przez pokolenia młode, pozwoliło Czesławowi z większą swobodą i pewnością mówić o poezyi *dzisiejszej* — zawsze dzisiejszej, ciągle dzisiejszej — jako o czemś równoległem pod względem doniosłości z „rapsodami i śpiewami" wiekopomnych inicyatorów romantyzmu. Wyrównały się dwa światy: *stara* i *młoda* Polska w pieśni. Granica między nimi zatarła się, zapadła w ziemię. Data 1863 r., dość złowrogo czerniąca się na czele „Albumu" Kasprowicza, ustąpiła przed pewnikiem ładnego frazesu, że „wśród ciszy mogił — nie skonała pieśń..." Asnyk się pochylił, zejść musiał do roli „brylantowego" piosenkarza, na szczebel, nie o wiele zapewne wyższy od Mirona (Michaud) lub Pawła Kośmińskiego. Rzesza śpiewacka, przez ubytek jednostek, dwójek lub trójek radykalnych, niesfornych, wyrównała się. Zjednoczenie nastąpiło... Jest nareszcie, odnowiła się unia starych romantyków, zaznaczona przez Nehringa, — tylko nie unia duchów, lecz rytmów, dźwięków, tonów, końcówek, — „*na*-

strojów." Nabytek to nie marny, przez Bełcikowskiego już stwierdzony z powodu Asnyka, Konopnickiej i Gomulickiego, — ale czy wystarczają w poezyi? — Harmonia, melodya — są niezaprzeczenie posłankami bogów. Wszelka sztuka hołdy im składa. Filozofia nawet jest podobno, czy raczej była niegdyś, chóralnym akordem sfer niebieskich. W naszych czasach muzykalność, muzyczność i muzykalizm wszechwładnie niemal rządzi sercami. Hipolit Taine czyni tę boginkę lekarką chorób naszego wieku, jego „nerwozy", która weszła w przysłowie. Łagodna, wyrozumiała z niej pani; cokolwiek jednakże za swawolna i nawet, być może, za *bezinteresowna*, jak na inne ciężkie niemoce stulecia. Pieści, drażni, żali się, śmieje, podnieca, hamuje — zbyt dyskretnie i sekretnie: do ucha. Niczego nie wymaga, z niczem się nie narzuca, nikogo do rachunku nie pociągnie. Utrzymuje Lange, że na poezyę tegoczesną spada lekki cień posądzenia o kordyanizm... Nic podobnego nie pokaże się po muzyce dzisiejszej. Ona do żadnych gróźb nie skora, żadnych ran nie zadaje; na wszelką owszem gangrenę balsamy swe sączy. Nie wgląda, czy gdzie nędza i dlaczego, czy gdzie zbytek i za jaką cenę, czy gdzie zgnilizna i od kiedy. Rżnie w świątyni i w przedpokoju, dla modlitwy i dla trzosa. Wzbija się nieraz na najwyższe cyple i kratery uczuć ludzkich, lecz ich lawami nie zalewa wyłącznie sodomskich zdrożności świata... Dociera do posad tronu przedwieczności, ale bez natarczywych konradowskich pytań: za co i po co na nizinach tak sute plony zbiera niedola i klątw nie rzuca za to, iż ostatniej strofki — strofki szczęśliwej — zabrakło w hymnie życiowym. Beethovenowskie jej radości tryskają szmerami wiosen, które ludom zwiastować mogą zarówno mór, jak odrodzenie; chopinowskie jej marsze żałobne nie rzewniej jęczą i płaczą nad świeżą mogiłą złamanego geniusza, jak i nad złotolitą trumną tryumfującego od wczoraj złodzieja. Poezya miewała Tyrteuszów, prowadzących na rzeź, rzesze zachwycone lub tłuszcze ogłupione, ale nie miała Offenbachów, oklaskiwanych przez narody i cywilizacyę. Obiedwie — poezya i muzyka, umieją razić gromami, ale tylko twórczość, uzbrojona w uświadomione, cel i kierunek wskazujące słowo, jest imiennie odpowiedzialną za zadane ciosy białym czy czarnym bóstwom; a ta druga, ta najwymowniejsza i najwdzięczniejsza z muz, stale i z zasady szeptem niedomyślności wygładza spustoszenie przez siebie sprawione — wśród szatanów czy wśród aniołów. We krwi czy w błocie nurza się poezya, niebieskimi czy piekielnymi ogniami pała, od bólu czy od rozkoszy szaleje wyłącznie po męsku lub wyłącznie po niewieściemu; bezecną jest dla niej uroda nijaka, ohydną

najmisterniejsza ballada lub oda dwojaka — dla Chrystusa i Heroda.

Czemkolwiek była poezya polska w złej i lepszej doli, stara czy młoda, i jakkolwiek wyglądała w powierzchownie zestawionym lub nawet logicznie wyrozumowanym toku zdań i twierdzeń swych wielbicieli lub wrogów, sama ona, we własnem ognisku pracy twórczej, nigdy się nie przyznała do zamiaru współzawodniczącego ścigania się na torach jakiegokolwiek *wirtuozowstwa*, odgrodzonego od wielkich tematowych zadań i widoków wszechludzkiego, narodowego i jednostkowego dobra. Teoretycznie, fachowo, nie zapierali się poeci pożyczek od ozdobniczego malarskiego kunsztu *obrazowania*; więc nie potrzebują też i stroić, nie potrzebują zarzekać się zasobów, jakie pod tym względem nastręcza ozdobniczość modulacyi muzycznej. Zapewne, w jednej i drugiej dziedzinie zachodzić u nas mógł pewien nadmiar wytworności; ale się to tłómaczy najprościej. Pielęgnując, czcząc, serdeczną troską odżywiając swe narzędzie, swój organ: słowo ojczyste, — poezya nasza składała tylko świadectwo swemu poczuciu, swej pamięci na to, iż słowo to otrzymała w pierwszym – i jedynym, kolebczano-gwiazdkowym darze z najsłodszych, z najrzetelniejszych ust matczynych — i że nic nad to droższego nie miała, nic tkliwszego nie zaznała w swem życiu. Ale żeby formularz estetyczny, wysnuty z tej niemowlęco-świętej pieszczoty, zawrzeć w sobie miał całe dojrzałe, kapłańsko-dziejowe powołanie poezyi, na to, dopóki stać świateł w ciasnem naszem zaciszu domowem, nie będzie u nas — jak nie było zgody. Bo faktem jest, że nasza literatura poetycka „swe rozumienie o sobie" zawsze znacznie wyżej stawiała nad zwykłą klejnotniczą robotę rzeźbienia i złocenia artystycznego. W „rozumieniu" tem nie brak z pewnością złudzeń niebezpiecznych i pożądań marnych, — ale nie wszystko znowu przędzą tylko pajęczą i urojeniem w tem, co kto o sobie trzyma. Nie bez powodu w ostatniem wydaniu pism Asnyka powiernik jego dum młodocianych i zwierzeń przedśmiertnych, Stanisław Krzemiński, na naczelne miejsce wysunął te utwory, w których poeta wypowiada swe poglądy na sztukę i streszcza swą „religię piękna." Często bardzo tylko nie wielka zatoka trudu i wytrwania oddziela myśl, uczucie nasze — od spoczywających w ręku naszem wioseł woli i czynu. Niekoniecznie i nie każdego na drugim brzegu czekają odklęte królewny i odczarowane zamki. Wędrowne koleje dusz wybranych podobne są nieraz do losu owych gołębi przeczystych, srebrnopiórych ze „Snu grobów", co, wpatrzone w życia „pożary rumiane", i sądząc, „jasnością oblane, że się rumienić poczyna świt

blizki", naraz zrywają się lotem, pędzą w płomiennych wężów duszące uściski, lśnią chwilę purpurą i złotem w blasku ubarwionej szaty — i giną wszystkie „pod dymu namiotem." Dla stworzenia arcydzieła nie starczy samego, choćby najgłębszego przeświadczenia, że się jest arcymistrzem: ale nawzajem, nie stworzy nic zgoła, kogo zarazi nieuleczalne przekonanie o swej niemocy i nicości... Więc — płynąć trzeba... „*Ave, ave, vita!* —woła Miriam—płyńmy — i niechaj myśl nam nie zasępia czoła, czy łódź wróci z tryumfem, czy zginie rozbita..." Wierz, doświadczaj i zwyciężaj! — to nieubłagane prawo uświadomionego istnienia, to nieśmiertelne godło wszelkich zdobyczy i postępów ducha ludzkiego...

I nie sprzeniewierzyła się poezya nasza tym hasłom, — nie zgrzeszyła niewiarą w siebie.

Podnieść ten pierwiastek jest bezwzględnym obowiązkiem krytyki — już choćby przez wzgląd i współczucie bratnie dla tych, w których imieniu tak gorzko żali się dziś Lange, powiadając: „Dzisiejsza poezya nie ma w społeczeństwie *echa*,—jest odepchnięta (?) — omdlewa i upada; i tysiące słów w sobie zabija, tysiące uczuć w sobie zagłusza, bo wie(?), że ogół ich nie przyjmie, a przeto sama jest jakby niedociągnięta. I znajdujemy się tu w błędnem kole wzajemnego zobojętnienia i wzajemnego wyjałowienia. Jak ogół jest dla poezyi współczesnej niemal głuchy, tak i poezya stała się obojętną na *przeciętne* pragnienia ogółu: niema między nimi tej nici sympatycznej, jaka była w dawnych czasach..."

(dok nast.) *Kazimierz Włostowski.*



PONAD SIŁY.*)

POWIEŚĆ.

ROŻDZIAŁ XIX.

Borysław!.. Dwóch młodych ludzi wyskoczyło z wagonu, trzeci podawał im pakunki. Były pokaźne i liczne, przywiezione z Argentyny. Rożdzielili je między siebie, posługacz zabrał resztę.

W poczekalni obstąpili ich faktorzy i furmani, kłócąc się z sobą o ofiary.

— Do Wyżnicy, żebym tak zdrów buł, wiele razy tam byłem. Trzy guldeny od trzech, po guldenie od sztuki, pojadę, jak wiatr.

— A ja za dwa...

— Ale kiedy dojedziesz, kapcanie, konie ci zdechną na drodze.

Służba wniosła wielki, okuty kufer. Furmani odstąpili przestraszeni. Nie było rady; ruszyli dwoma wozami, w jednym jechali sami, w drugim rzeczy.

---

*) Ob. „Ateneum", styczeń — kwiecień, 1900 r.

Miasto, wyciągnięte w jedną długą ulicę, robiące wrażenie, jak gdyby wczoraj zbudowane, pełne ścisku, Żydów, robotników i Rusinów; pełne wrzawy, błota i gorączki życia, którego motorem zamiana, wyzysk, handel. Chodniki ulic wyłożone deskami, nikogo na nich, ludzie grzęźli w błocie, walcząc wrzaskiem przy kupnie i sprzedaży. Czuć było zmieszane ze sobą: Amerykę i wschód. Wschodni ton nadawali Żydzi, Amerykę przypominali robotnicy i jedna długa ulica całego miasta. Za tą ulicą w lewo i prawo ciągnęły się kopalnie wosku ziemnego, opanowane przeważnie przez dzieci Izraela, i oni też stanowili żywioł, panujący i rządzący w borysławskim zbiorniku.

Nareszcie ulica, pełna wybojów i błota, skończyła się; wozy wjechały w szeroką dolinę, wyżłobioną górską rzeką wesołą i hałaśliwą.

Odetchnęli — świeży żywiczny powiew przeciągnął z gór; koniki, przyzwyczajone do szybkiej jazdy, leciały szparko.

— Dopiero tu czuję, że jestem w kraju, rzekł wesoło Władysław, droga, jak ją Pan Bóg stworzył, zapach żywicy ze szpilkowych lasów, chłodek górskiej rzeki i wszędzie sine pasy na skłonie widnokręgu, a na nich ciemniejsze smugi lasów...

— Którędy mam wjechać do Wyżnicy? Czy wprost przez las na książęce kopalnie, czy przez wieś?.. Znam wszystkie drogi i wszystkich w Wyżnicy!

— Jedź tak, abyśmy mogli dostać dobrą kwaterę.

— To panowie na długo?!... Zaraz poznałem, że jacyś kopacze, wiertacze, górniki, i pomyślałem sobie: szukają, czego nie zgubili, albo może służby.

— Służby, rzekł Józef.

— Jeżeli służby, to niema poco do Wyżnicy jechać; całej parady sześć szybów, kopanych rękami, ludzi dosyć, księżna skąpa.

— Niema nic więcej?

— Teraz nic, — dawniej za Szwarcenberga było życie. Lecz Niemcy wybrali, co było, sprzedali i wrócili do Wiednia...

W tej chwili mijali trzy fury, wiozące ropę, po cztery beczki każda.

— Tylko tyle?—spytał się Władysław nadjeżdżającego Rusina.

— Z całego dnia i na cały dzień, odpowiedział, mijając się. Za Szwarcenberga nie trudno było spotkać i sto fur...

Młodzi ludzie spojrzeli po sobie.

— Czy tylko w jednem miejscu Szwarcenberg kopał? zapytał Józef woźnicy.

— A w wiełuż? Wyżnica wielka, państwo wiecie pewno o tem. Tartak parowy pracuje już pięć lat, i nie widać, aby wielką szkodę zrobił w lesie.

— Chłopi bogaci?...

— Bliżej kopalni i dworu zarabiają nieźle. Na polanach leśnych i po brzegach wsi, — bieda, że siekierą nie utnie; do tego piją, jak zwykle Ruśniaki. Co zarobią, to w połowie przepijają, resztę zabierają podatki, a trzeba żyć, grunta w górach biedniutkie!

Wjechali w las; droga ciągnęła się pod górę, konie, sapiąc, szły stępa. Rzekę i dolinę zostawili poza sobą. Wiatr szumiał, wierzchołki drzew uginały się, nucąc tęskną, tajemniczą pieśń.

— Mnie się zdaje, że u nas inaczej lasy szumią. Czuję w nich muzykę o swojskiej nucie. Szopen, gdyby się nie wsłuchiwał w szum naszych lasów, nie napisałby nokturnów... Nicby nie napisał.

— Niezawodnie, pierwotnych Słowian szumy lasów, przez nich zamieszkanych, uczyły śpiewać.

Witold rozmarzone niebieskie oczy utkwił w niebo, pochylił się na znak, ręce założył pod głowę i śpiewał starą ruską pieśń, naginając nutę do rytmu szumiących u wierzchołków drzew. Koledzy mu akompaniowali, woźnica się zasłuchał i zcicha nucił za nimi, konie szły w takt śpiewu.

— Śliczny to kawał ziemi ta nasza Galicya, szepnął Władek.

— Ale biedny.

— I właśnie przez biedę ma swoje uroki. Bieda pozwala gospodarzyć samej naturze.

Las rzedniał, w jasnych smugach światła ukazywały się ubogie, nizkie, oczernione dymem, pokryte słomą chaty.

— Jeśli w jednej z nich przyjdzie nam mieszkać, to gorzej, niż w argentyńskim szałasie, odezwał się Józef.

— Poznamy zblizka życie Rusinów, odparł wesoło niczem nie dający się zbić z tropu Władysław.

— Staniecie panowie w karczmie, jest na drugiej stronie porządna izba dla kupców albo urzędników.

— Jazda do karczmy, zakomenderował Józef.

Wjechali w wieś długą i rozwleczoną. Każda chata stała, jak na wydmuchu, na własnym gruncie. Jakiś smutek wiał od tej pustki.

Z poza węgła jednej chaty, opartej o stary dąb, wyskoczyły

dwie dziewczyny zupełnie nagie *) i wyrostek. Dziewczyny miały po dwanaście lat, wyrostek nieco starszy.

— Co to znaczy? zawołał przestraszony Witold.

— To znaczy, odparł woźnica, że to lato i ciepło, a do nagości są od dzieciństwa włożeni. Połowa dzieci całej wsi lato i jesień bez okrycia lata. W zimie kładzie na gołe ciało kożuszynę, gdy wyłazi na świat, a cały dzień i noc przepędza na piecu. Piec dla Rusina to raj, bez pieca Rusin się ogląda, jak wilk po polu, ogon pod siebie i zmyka.

— Dwie mile od kolei żelaznej!

— A jedźcie panowie pięć, a lepiej jeszcze dziesięć — do Huculów — tam istny raj, i osiemnastoletnie latają, jak je Pan Bóg stworzył.

Machnął batem, konie pośpieszyły...

Obok cerkiewki i probostwa chaty się skupiały, były wyższe, obielone, z paru z nich dźwigały się w górę czerwone kominy — oznaka wielkiej zamożności. Wybiegające z chat młode dziewczęta miały na sobie koszule, starsze — dwie kolorowe zapaski, związane w pasie i chustki na głowach. Weselej było i raźniej, dzikość i smutek ustępowały.

Na dole nad rzeką tartak, dworek zawiadowcy, stosy drzewa, gromadka ludzi, konie, wśród nich wozy, wiozące drzewo... Dalej na wzgórzu dwór w stylu szwajcarskim, dawniej myśliwska rezydencya Schwarcenberga, i zabudowania gospodarcze.

— Gdzież karczma i kopalnie księżny?

— Jedna była przy cerkwi, ale to dla chłopstwa, które nie lubi czystości, a tu jest druga, wskazał biczyskiem, dla robotników, tych, co wożą materyał, i panów. Wio, wio—od sie malutkie — — — Jesteśmy.

Na przywitanie wyskoczył Żyd, młody, blady na twarzy, z podkręconymi pejsami, w czapie futrzanej i czarnej jupicy, przepasanej pasem. Na drugiej furze zobaczył olbrzymi kufer i kilka ręcznych kuferków, zdjął czapkę, pokłonił się jarmułką.

— Panowie pewno zdaleka i pewno na długo. Ja, głupi Żydek, mam dobre oko! Panowie chcą kwatery? Mam kwaterę! U mnie już i hrabiowie nocowali... Pewno za wielkim jakim geszeftem? niech Bóg da szczęście! Im więcej geszeftów, tem dla karczmy lepiej — ja to znam.

---

*) Autentyczne.

Wielomówność propinatora dręczyła młodych ludzi.

— Kwatera, trzy łóżka, słoma, zakomenderował Władysław.

— Łóżek nie mam, ale są deski.

— Niech będą i deski, dawaj deski.

— Jeść! zawołał Witold.

— Pogadamy spokojnie, rzekł Józef, zbliżając się do Żydka, tylko pomóżcie ludziom znieść rzeczy i zaprowadźcie nas do kwatery.

W wielkim kufrze znalazło się wszystko. Dłuta, świderki, piłka, gwoździe, naczynia kuchenne, spirytus, nafta, lampa, talerze blaszane, szklanki, wino, kuchnia benzynowa. Żyd roztworzył szeroko oczy.

— Mięsa można dostać?

— Dziś właśnie bili.

— Przynoś sześć funtów najpiękniejszego, ludziom piwa, dziesięć jaj, mąki pszennej i sześć desek, a jeśli jest cieśla lub stolarz, niech przychodzi nam pomódz w robocie.

Arendarz oniemiał ze ździwienia, popatrzył i wybiegł.

— Argentyna się przydała, odezwał się wesoło Władysław.

— Postawmy na naszem miejscu przeciętnych lwowiaków, rzekł Józef. Nie mieliby co jeść, na czem spać, siedzieć i nazajutrz uciekliby!.. Obejmuję władzę! Witold niech biegnie za Żydem po mięso. Może znajdziesz gdzie garnek masła, koszyk ziemniaków, mleka, sera... Władek, sprowadź deski. W pół godziny staną trzy łóżka, w godzinę obiad, spacer do kopalni i spać. Zrobiliśmy bez wytchnienia sto mil z okładem.

Po powrocie Witolda i Władysława zaczęła się praca.

Łóżka jedno po drugiem stawały gotowe. W przywiezione z Argentyny sienniki pakowano zakupioną słomę. Józef piekł mięso na benzynowej kuchni, smażył ziemniaki i gotował kaszę.

Żyd oniemiał z podziwu i zachwytu.

W godzinę stały zasłane łóżka, okryte ciepłymi kocami, i gumowe poduszki, napełnione powietrzem. Z pozostałych kawałów desek zbito dwa stoły, jeden na kuchnię, drugi na książki, papiery narzędzia, instrumenty. Mieli ze sobą teodolid, busolę i trójnóg.

Żyd drżał z ciekawości.

Na trzecim, miejscowym stole nakryto, Żyd dostarczył piwa, obiad wypadł świetnie, furmani również zostali ugoszczeni...

— Panowie nie zginą, mówił poważnie Żyd. Wszystko umieją, i nic im nie brakuje, takich u nas mało. Pusta izba przemieniła się w fajnisty pokój, jak gdyby w nim ludzie rok mieszkali.

— A teraz pokaż nam drogę do kopalni.

— Sama ścieżka zaprowadzi, na lewo za karczmą pod górę. Będzie dobre pół godziny drogi.

Zdjął jarmułkę i, spuszczając oczy, jak szesnastoletnia dziewczyna, zrobił dwa drobne kroki naprzód.

— Odrazu domyśliłem się geszeftu, a teraz widzę, że to wielki geszeft — aj waj!...

Przełknął i, drapiąc się palcem za ucho, mówił serdecznie.

— Umiem być wierny i gębę mam na kłódkę zamkniętą, jak potrzeba — i usłyszę, co będzie do usłyszenia — i ujrzę tu na swoich śmieciach, czego panowie nie dojrzycie. Jestem biedny, karczmę wziąłem za pożyczone pieniądze, płacę wielkie procenty. Chcę zarobić uczciwie.

— Dobrze, rzekł Józef, zarobisz, jeśli zrobimy interes i jeśli będziesz uczciwie pomagał.

— Co to pomagać nieuczciwie? Pomagać to znaczy uczciwie!..

— Bardzo dobrze, przyświadczył Władysław.

— A daleko do dawnej kopalni Schwarcenberga?

— Podróż nie na dziś. Blizko mila po górach i wąwozach.

— Musimy dojść dziś.

— Kiedy dziś, to dam za parę szóstek przewodnika.

— Dobrze!.. Kiedy poczta odchodzi do Borysławia?

— Dwa razy na tydzień. Jutro leci.

— Idąc, niech wstąpi do nas.

— Panowie w wojsku służyli?

— Więc cóż?

— No to zaraz widać. Raz, dwa, słuchaj, marsz! Lubię bardzo panów oficerów, honorni ludzie.

— Po przewodnika marsz! — zakomenderował Józef.

Żyd wypadł, jak iskra, z izby.

— Jesteśmy u siebie, zmęczeni, lecz syci, zdrowi, nogi wypoczęte, i od dziś bierzemy się do pracy. Każdy z nas busolę choćby tymczasem kieszonkową i młotek górniczy w rękę. Każda naturalna odkrywka jest wielką wskazówką.

— Bluzy! zawołał Władysław. W bluzie czuję, że jestem górnikiem....

Wszedł nieśmiało i cicho młody, rosły dwudziestoletni chłopak.

— Mazur czy Rusin?... zapytał go Józef.

— Pół psa pół kozy, odpowiedział przytomnie.

— Co to znaczy?

— Że matka z Ruśniaków, ojciec Mazur.

— Po rusku mówisz?

— Jak potrzeba, ale zwykła mowa moja polska.

— Znasz dobrze całą Wyżnicę?...

— Jak własną, trafię wszędzie.

— Wiesz, gdzie największe wąwozy, w których ściany z kamienia?

— Co nie mam wiedzieć?

— Idziemy! Czapkę na uszy, kostur w rękę.

Zaśmiał się chłopak. Poczęstowany wypił szklankę piwa, ruszyli razem. Na wzgórzu zatrzymali się. Chłopiec wskazał, w której stronie kopalnia księżny, sprawdzili na busolach kąt i rozeszli się. Swistawkami mieli się zwoływać i dawać znać o sobie. Józef poszedł prosto z chłopakiem, Władek i Wit rzucili się na boki.

Po godzinie zeszli się w kopalni księżny i zgodzili się na jedno, że kopalnia ta leży w terenie naftowym.

W kopalni obok robotników zastali rządcę Wyżnicy. Mąż rosły i otyły, włos szpakowaty, szeroka, płaska twarz i małe świdrujące oczki, głęboko pod czołem osadzone. Udawał, że się znalazł przypadkiem, lecz ostrzeżony przez Żyda przybiegł. Spryt szedł od niego. W ruchach, ukłonie, wymowie czuć było wytrawnego sługę pańskiego. Przedstawił się sam, dużo mówił, a nic nie powiedział — za to cuda rozprawiał o ropie, która głęboko króluje pod ziemią, jak morze!...

— Lecz cóż, księżna pani ma węża w kieszeni, i co tam raz wpadnie — amen. Gdyby przyszli tu ludzie z trochą grosza i znający swoją rzecz, wypompują miliony, jak swoje. Tak mi Panie Boże dopomóż! Miliony gotowe leżą pod ziemią, tylko je wykopać. Albo ten Szwarcenberg nie miałby ich, gdyby jego Kremer miał rozum. I dobrze się stało, że Niemcy odeszli, nie dostawszy się do naszych skarbów.

— Jakież łaskawy pan masz dowody lub choćby dane, że w głębokościach jest nafta?

— Dowodów nie mam, bo skąd je wziąć, jeśli nikt głęboko nie kopał. Ale mam dane.

— Prosimy, zawołali razem młodzi ludzie.

— Taka masa w studniach gazów, idących z pod spodu, że robotnik dłużej nad dwie godziny nie może na dnie pracować, mimo, że młynek idzie całą siłą.

Rozśmieli się wesoło.

— Gdzież pod ziemią niema gazów?

— Są, ale nie takie — znam się na tem!...

Wit pochylił się nad studnią, z której ciągniono ropę, i zawołał do robotnika.

— A wrzuć, przyjacielu, do kubła z ropą jaki dobry, kańczasty kamień.

— Dobrze — odpowiedział.

Po odlaniu ropy wydobyto kamień siny, twardy łupek.

— A co, zawołał rządca, czy to nie jest najlepsza kadź do chowania ropy? Byle tylko głęboko wiercić. Słyszałeś pan, w Kanadzie biją na siedemset metrów.

— Słyszałem, odparł Władysław. A Szwarcenberg jak głęboko bił?

— Tak samo, jak my. Sto, sto dwadzieścia, a sto trzydzieści to już najwyżej...

Józef rozbił kamień młotkiem górniczym i patrzał.

— A co, nie mówiłem? zawołał rządca. Jeśli panowie umiecie głęboko wiercić, macie miliony!... Ha, ha, ja czuję, jak trawa rośnie A teraz proszę panów na herbatkę do siebie.

— Czybyśmy pierwej nie mogli obejrzeć starej kopalni Szwarcenberga?

— Ależ to kawał drogi, trzeba jechać. Matwej, leć, żeby Jasiek duchem zajeżdżał. Niech założy siwe! Wracaj z nim! Na jednej nodze!

Młodzi ludzie po przyjeździe do kopalni rozsypali się po miejscowości. Z boku ciągnął się parów nagi prawie i prostopadły. Wsunęli się w niego, oglądając pokłady warstw kamieni i ich kąty pochylenia.

Za nimi na wózku przyjechał rządca i, patrząc, mówił do siebie

— Frajery, jak to udają mądrali i myślą, że mnie zdurzą. Choćbyście tu rok wąchali i smakowali, to nie wywąchacie. Nie tacy tu byli!... Czego oni tu naprawdę chcą?!.. Że nafciarze, to jak bułka za grosz, ale czego chcą?... Możeby można jaką pieczonkę przy tym ogniu upiec! Tylko uszy do góry i czuj duch!...

— Kamienie do kieszeni i wracać, musielibyśmy zarwać nocy, a droga zła, brzmiała komenda Józefa.

Wrócili.

— I cóż?... pytał rządca.

— Zdaje nam się, że to nie ropne tereny...

— A pół miliona, co stąd wypompowali?

— Traf!...

— Daj mi Panie Boże jednego takiego trafu!

— I nam, odpowiedzieli młodzi ludzie.

— Więc czegóż chcecie?

— Niczego, tylko, że kopalnia nie znajduje się na terenach ropnych.

— Czort swoje, baba swoje.

Zaśmiali się razem.

— Siadajcie, jedziemy, jeść mi się chce, od południa gębusia jeszcze się nie ruszała, a brzuszyna pomrukuje.

Zajechali przed czysto i schludnie utrzymany dworek. Weszli z sieni na lewo do bawialnego pokoju, z sakramentalną komodą i porcelaną na niej, z kanapą i stołem, przykrytym szydełkowej roboty serwetą.

— Po staroświecku, byle czysto i wygodnie. Jest i fortepian, niedawno strojony przez organistę z Urycza, a mamy sławnego na dwadzieścia mil wokoło.

— Grywasz pan?...

— A mnie po co, ale moja Magdzia, rozmiłowana w muzyce, gra, gdy tylko czas schwyci. Może który z panów?... proszę!

Stęskniony za muzyką Witold, otworzył fortepian, usiadł, pasaże wstrząsnęły powietrzem niewielkiego pokoju, i mazurek Szopena zaczął pieścić słuch, kołysać duszę słuchaczy.

Boczne drzwi cicho się otworzyły, i z serwetką w ręku, niby kurze ścierać, weszło dwudziestoletnie dziewczę, wzruszone, zarumienione. Na bławaty oczu kładła ciemne rzęsy. Smukła, wiotka, powiewna, nie śmiała oddychać, nie śmiała spojrzeć, dusza jej utonęła w słuchu, wstydzie, strachu. Chciała uciec, nie mogła — słuchała.

Po mazurku przyszły etudy, po etudach kołysanka; Wit nie był wygimnastykowanym graczem, lecz za to artystą. Czuł i rozumiał muzykę, a kochał Szopena...

Skończył, dziewczę chciało uciec,-—nie mogło.

Oparta o fortepian stała wniebowzięta.

— To się nazywa grać, rzekł pan Marcin. Chociaż się tego nie rozumie, samo za siebie gada do serca i głaszcze je. A to moja Magda, trochę dzika, zwyczajnie chowana w górach. Nigdyby tu nie przyszła, ale muzyka chwyciła ją za warkocz i przyciągnęła.

Młodzież się przedstawiła. Na przywitanie dziewczyna podawała rękę w milczeniu, Witoldowi powiedziała: — „dziękuję."

— Pani grywa? spytał.

Podniosła ciemne rzęsy, bławaty oczu patrzały spokojnie, jak gdyby się chciały pytać:

— Czyż można nie grać? Cóż życie warte bez muzyki?

— Pan czujesz Szopena, rzekła cichutko.

— Kocham go, i to wszystko. Ośmielam się panią prosić, abyś mi czasem pozwoliła przyjść tu i grać.

— A nam słuchać, dodał Józef.

— I śpiewać przy akompaniamencie, dorzucił Władek.

— Śpiewać, szepnęła; róż opaloną, delikatną jej skórę rozjaśnił.

— Lubimy namiętnie śpiew, choć nie jesteśmy śpiewakami z urzędu. Mamy słuch, i to wszystko.

— W dziewiczych lasach argentyńskich był on jedynem ukojeniem naszej tęsknoty, dokończył Wit.

— Byliście w Ameryce? rozwarła szeroko oczy.

— Wprost stamtąd wracamy.

— A to gadajcie odrazu, zawołał rządca.

Otworzyły się drzwi, na progu stanęła czterdziestoletnia kobieta o pociągającym wyrazie twarzy, z polskim wdziękiem skromności i łagodnym uśmiechem.

— Proszę panów, rzekła cicho i poszła naprzód.

Pan Marcin szeroko i z hałasem roztworzył drzwi, wyprostował się i wskazał ręką... Młodzież stanęła szeregiem, patrząc na Magdusię. Dziewczę zawahało się, zarumieniło i przebiegło, tuląc się do matki w drugim pokoju.

Stół był zastawiony wędliną, herbata rozlana.

— Dobrzeście panowie trafili, rzekł pan Marcin, wskazując miejsca, bo nie później, jak wczoraj, mieliśmy święto familijne, jak mówią Niemcy — no i świeżyzna na stole.

Pierwsze miejsce zostawiono pani domu, drugie przy niej — córce.

— Kiedy ona dziś tak honorowana, to stary ojciec zajmie ostatnie, rzekł wesoło rządca.

Józef zasiadł przy Magdusi.

Ośmielona rozmową odezwała się:

— Nie tylko, że panowie gracie i śpiewacie, ale pewno macie dużo do opowiadania i może lubicie opowiadać?

— A pani lubisz słuchać?

— Któż nie lubi? Zdaje mi się, że w górach nie znajdziecie człowieka, któryby nie lubił?

— Masz pani głos, jak dzwonek, niezawodnie i sopran w śpiewie.

— Ale jaki! Zaczajcie się tylko w ogrodzie, gdy okno będzie otwarte.

Dziewczę pochyliło się ku matce, nie śmiąc patrzeć, nie śmiąc odpowiadać.

Matka, głaszcząc jej twarzyczkę, mówiła:

— Dla mnie ma ona głosik, jak skowronek. Śpiewa nieuczenie, lecz nauka głosu nie daje...

— A więc wybornie, mamy kwartet, rzekł Władysław. Pani sopran, Józef tenor, Witold baryton, a ja poświęcam się i daję bas, chociaż również mam głos barytonowy.

— No i w kościele w Uryczu zaśpiewacie mszę. Organista będzie dumny, ksiądz szczęśliwy, a ludzie zgłupieją.

— Mam mszę na cztery głosy Palestriny. Głęboki, łatwy, spokojny śpiew, zdaje się, prosto leci do nieba. Nuty jutro pani przyślę, mówił Józef, zwrócony do dziewczęcia. Pojedziemy do Urycza wypróbować organy i kościół, nauczyć akompaniamentu organistę.

— I bal! przerwał pan Marcin. Daję konie, dwie pary koni i matkę dla decorum.

— Dobrze, pojadę, zdecydowała. Jest młodość, i zaraz tworzy się życie, talenta nie więdną. Jakże się stało, żeście panowie przyjechali do Wyżnicy!?...

— Ale jak się stało, że wprost tu z Argentyny — jakim cudem? przerwał pan Marcin.

— Zatrzymaliśmy się w Wiedniu i dowiedzieli o kopalni Szwarcenberga.

— Jestem w domu, bo i księżna pojechała do Wiednia.

— Nie znamy księżnej.

— Możecie ją poznać. Pani łaskawa i przystępna. Kopalnia księżny leży w ropnym pasie?...

— Jeszcze nie wiemy.

— To się przekonajcie. Interes z księżną łatwy! Raz, dwa, trzy. Cięta, obrotna, ale dobra.

Pan Marcin po dowiedzeniu się o pobycie młodych ludzi w Argentynie zaczął wierzyć w ich rozum.

— Chcąc się o tem dokładnie przekonać, musimy mieć mapy Wyżnicy, rzekł Wit.

— Mapy są dwie, jedna z 52 roku, druga z 73-go. Księżna odebrała Wyżnicę podług tej drugiej.

— Prosimy na parę dni o dwie.

— Pożyczę i na parę miesięcy. Magdusiu, zwrócił się do córki, w kancelaryi, w szafie są mapy, podklejone płótnem, przynieś je.

Dziewczę wybiegło, Józef powiódł za nią wzrokiem.

Pani Marcinowa zwróciła się do Józefa.

— Dla mojej Magdusi przyjazd panów jakby z nieba zesłany. Raz tylko była w mieście, i to jeden dzień. Wiecznie samej grać i śpiewać, a choćby dla ojca i matki nie wystarcza!...

— Sztuka tęskni za wzrokiem ludzkim, za słuchem, za uczuciem.

— Za ludźmi, dokończyła matka. Brat w urzędzie, starsza siostra za mężem. To najmłodsze z nami. Duszyczka tęskliwa, jakby była sierotą, chociaż pieścimy i tulimy. Ale kiedy smutek schowany głęboko w sercu, to go matka ani utuli, ani upieści.

Józef wpatrywał się w mówiącą, odkrywając wielkie podobieństwo córki do matki. Te same oczy, delikatny, chudy, prosty nos i usta, mocno zarysowane i wyrzeźbione na podłużnym owalu twarzy.

— Jesteśmy podobne, nieprawdaż? mówiła z łagodnym uśmiechem. Nie dawniej, jak pięć lat, obcy brali nas za siostry. Dopiero zmieniłam się w matkę, gdy mi głowę czas osypał srebrem.

Magdusia wróciła z mapami.

— Ależ się wysiedziałaś! rzekł ojciec.

— Nie było ich, tatusiu, w szafie, dopiero w drugiej szufladzie biurka.

— Prawda, zapomniałem.

Pan Marcin rozwinął mapę i przeniósł się z nią na stolik pod okno, młodzież za nim.

— Patrzcie, rzekł, — tędyście przyjechali — oto droga — tu karczma, tartak, dwór i rządcówka, w której jesteście. To kopalnie księżny i tędy ścieżka na prawo, potem w lewo i porzucona kopalnia Szwarcenberga. Kopalnie naznaczcie ołówkiem, gdzie szpilką nakłute...

Trzech argentyńczyków za rządcówką i kępą świerczyny raptem stanęło, jakby na komendę.

— Józef ma głos, rzekł Władek, kręcąc papierosa.

— Mów, Józiu, ty urzędowy spostrzegaczu, odezwał się Witold — masz żniwo.

— Dzisiejszy dzień, jako pierwszy w Wyżnicy, należy do nadzwyczajnych!...

— Zdobyczy, dodał Władek.

— Stary gaduła, a szpakami karmiony. Węszy, jak umie, i strzela oczyma, byle coś pochwycić...

— Z kopalni księżny może coś być, lecz tereny Szwarcenberga chybione, przerwał Wit.

— Najzupełniej.

— A z Magdusi może coś być? spytał Władek.

Józef się zarumienił...

— Pierwszy raz po puszczach argentyńskich spotykamy polskie dziewczę, powiedział cicho, lecz serdecznie....

— I bierze nas urokami nieśmiałości, strachu i wdzięku. Co za wdzięk mają Polki, to świat się kończy! U innych byłoby to dzikością, tu jest wdziękiem, deklamował Władek.

— Zobaczycie, jak ona będzie śpiewać Palestrinę. Muzyka i wyszukane do niej dziewczę nieśmiałością, z siedemnastego wieku.

— Skąd się u szczwanego rządcy księżny znalazła zaklęta dusza, dla Szopena zdobywająca odwagę? W głosie jej i w głębiach oczu czuć artystkę z Bożej łaski... Taką ją Bóg stworzył. Jasna, serdeczna, powiewna — i to córka pana Marcina? mówił Wit, która była raz w życiu w mieście jeden dzień?

— Daj spokój, przerwał Józef, to córka swej matki. Przypatrywałem się matce i wierzę, że zaklętą duszę swą oddała córce.

— I córka duszę tę odklęła.

— W muzyce i jej poezyi. Dziewczę podobne do matki, jak dwie krople wody, przyszło na świat z odklętą jej duszą. U nas już zwyczaj i taki los, że na rządcówkach często pojawiają się dziewczęta o książęcych duszach, a na książęcych dworach łatwo spotykasz ekonomówny.

— Ślicznie mówi Józef, lecz się boję, czy on znowu nie zechce odklętej duszy zaklinać, dodał wesoło Wit.

— Jesteśmy studenci, przerwał szybko Józef, rozmawiamy o dziewczynie piętnaście minut, trzymając w rękach skarb — mapy Wyżnicy.

— Mapy Wyżnicy to pierwszy skarb, drugi—zaklęte dziewczę w lasach Wyżnicy.

— Czegóż stoimy? Do domu, do pracy!... Jeszcze dziś musimy powykreślać miejscowości, które badać będziemy.

— Napróżno, rzekł Wit. Oczy nam zamknie ciepłą, artystyczną ręką Magdusia i we śnie śpiewać nam będzie.

— Śpijmy, niech śpiewa. Lepiej wstać jutro o świcie. Zaledwo dziś zdołam wyszukać nuty na sopran i posłać je Magdusi. Niech gra i śpiewa.

— Ciekaw jestem, co ona nam jutro powie?

— Jutro wieczorkiem śpiew, zdecydował Władysław, a teraz spać...

— Powiedzcie mi, jakie macie przeczucia zostania w Wyżnicy?

— I czy po straceniu uciułanych groszy nie wrócimy do Argentyny?...

— Nie strasz, Józefku, bo dreszcze już nie po skórze, ale po kościach przechodzą.

— Niczego się nie odrzekajmy, rzekł Józef spokojnie, lecz róbmy tak, aby nas losy już nie wygnały po chleb z ojczyzny.

— O ile w naszej mocy, zawołał Władek.

— Trudno, dodał Witold, w niewyrobionem społeczeństwie bohaterowie pasają trzodę lub przed tą ewentualnością uciekać muszą...

— No, no, tylko pesymizmem nie zamalujmy sobie na czarno świetlanego dnia dzisiejszego. Wiemy dwie rzeczy, że kopalnia księżny jest prawdopodobnie na pasie naftowym, a Szwarcenberga nie, że dziewczę rzuca uroki, a mapa dobra.

— Ciekaw jestem, jak ona gra Szopena?

— Znowu wracacie — ach! ta przeklęta młodość, rzekł Józef.

— Ty nie mówisz, ale za to myślisz. O czemże chcesz, abyśmy mówili? Gdy staniemy przed mapą, będziemy mówić o terenach... Gdy dziewczę stoi przed nami, mówimy do niej, gdy jej nie ma — o niej.

Władek zaczął śpiewać wyjątek z mszy Palestriny, Witold mu pomagał, Józef rwał naprzód niespokojny i zamyślony.

Władek z Witoldem zamienili z sobą spojrzenia, pokazując wzrokiem Józefa.

W kwaterze zastali podłogę zamiecioną, wytartą i możliwe porządki zrobione.

Józef przywołał gadatliwego Icka.

— Proszę nam dostawić na jutro rano człowieka, któryby znał Wyżnicę, jak kieszeń własną.

— O jej, właśnie mam takiego, jak na obstalunek...

— Kto?

— Mazur, leśny, wypędzony przez pana rządcego ze służby. Dwadzieścia lat siedzi w Wyżnicy, pamięta Szwarcenberga, Kremera, kopalnię! — On wszystko wie. —

— Guldena dziennie.

— Będzie ręce całował i płakał z radości.

— Jutro o piątej.

— Na świt. Cóż u pana rządcego? Widzieli panowie panienkę? rarytas...

— Nuty dla panienki jutro rano odeślesz.

— Będzie kontentna okrutnie. Matka ją uczyła muzyki. Matka to wybrana dobroć z korca maku... Czem mam dalej służyć?...

— Jeśli chcesz zarobić, czekaj, milcz i patrz.

— Ja to wszystko potrafię, byle nie długo, bo się przykrzy...

Przy zapalonej lampie z busolą w ręku badali mapy Wyżnicy, robiąc potrzebne na jutrzejszy dzień notatki.

— Wiele liczycie dni do wykreślenia linii naftowej w Wyżnicy? spytał Józef kolegów.

— Najmniej trzy.

— Choćby pięć, dodał.

— A więc jutro napiszesz do Zubera, aby natychmiast przyjechał.

— Wybornie, on jeden w Galicyi!

— Nic mu nie powiemy, co znajdziemy. Niech sam szuka, potem porównamy z naszą wytyczną!

— Przekonamy się, co my jesteśmy warci!

— A co on.

— On ma uznanie, naukę...

— A my praktykę!

— I z praktyką naszą chodźmy śpać. Łóżko rozkoszne, gdy się w niem nie jest dwie doby.

O świcie stanął rosły, barczysty Mazur z sumiastymi wąsami, sprytem w oczach i pewną zuchwałością w twarzy. Pokorny z musu, bo w ściągniętych brwiach siedziała utajona nienawiść do świata. Zabrał narzędzia, torbę z wiktuałami przewiesił przez plecy i rzekł:

— Do usług.

Józef chciał go zaprowadzić do mapy.

— Nie znam się na mapie, wszystko załatwiam gębą. — Gęba lepsza, niźli sto map.

— Jest tu nafta? spytał go Władek.

— I jaka jeszcze!

— Mówią, że wszystko wypompował Kremer dla Szwarcenberga.

— Głupcy! Kremer nie dotknął się rzetelnej nafty. Zaledwo musnął coś z boku.

— Ta-a-k?!...

— A tak, znalazł uciupinę trafunkiem i już...

— Czemużeście mu nie wskazali dobrego miejsca?

— A za co? potrzebne to, żeby Niemiec nasze skarby wywoził. Dosyć miał!... Wystrzelał zwierzynę, a przecież tu były najsławniejsze jelenie rykowiska!... Z mysiem niemal codzień można się

było spotkać. Dziś nic... Znalazł troszkę ropy, wypompował, sprzedał, zwinął manatki i powędrował. Niech idzie na złamanie karku.

— Skądże wy wiecie, że ropa jest w jednem miejscu, a w drugiem niema?

— To są moje sekreta. Pokażę, ale co będzie dla mnie, jeśli trafię?...

— A jeśli nie traficie?

— Ej, Bóg widzi, że trafię!...

— A nie traficie, to wyciągniecie nam z kieszeni pięćdziesiąt tysięcy talarów i powiecie: bądźcie zdrowi.

Leśny się zamyślił.

— Ha, wolna wola, bo jakże przekonam?!..

— A teraz ja wam powiem swoje, rzekł Józef. My będziemy szukać podług nauki — i, jeśli trafimy, to nam przyświadczycie, a jeśli nie trafimy podług was, to nam pokażecie swoje miejsca. Jeśli się zgodzimy na wasze, to zrobimy umowę, że, jeżeli będzie ropa, wy dostaniecie procent.

— Niech i tak będzie, rzekł leśny, zgoda, chodźmy, bo to kawałek.

Władek rozlewał gorącą herbatę, Wiktor krajał i smarował masłem chleb. Poczęstowany leśny rozpogodził oblicze i nabrał wesołości w opowiadaniu.

Wyruszyli we czterech. Icek na pożegnanie szepnął:

— Ja milczę i patrzę, lecz jak jeszcze długo?...

— Dopiero zacząłeś, odpowiedział mu Józef.

Stanęli na drodze.

— A teraz gdzie? w którą stronę panowie chcecie, abym was prowadził?

— My mamy ochotę, rzekł Józef, szukać terenów ropnych na gruntach chłopskich i gminnych. Księżna dla nas za wielka pani i za droga...

— Jest racya, jest wielka racya, chodźcie.

— Na gruntach chłopskich podług waszego zdania jest ropa?..

— A umowa? ja prowadzę, panowie szukajcie, gdy traficie, ja wtedy powiem, że dobrze, a nie, to rzeknę: źle.

— Zgoda! idziemy na chłopskie od południowej strony.

Leśny, śmigły chłop, przywykły do gór, pomknął naprzód z teodolidem. Za nim maszerowało trzech wesołych, pełnych odwagi, wiary w siebie i swą gwiazdę młodych ludzi.

— Wiecie, dlaczego my mamy humor i energię? bo mamy ideę!.. Bez idei bylibyśmy kopaczami, tchórzami bez zapału i ryzyka. Idea świeci przed nami, jak słońce, i grzeje nas.

— Zapala, dodał Wit. Nie jesteśmy prostymi spekulantami, którym ze strachu skóra drży.

— I dlatego wierzymy, że zawsze wypłynąć musimy, nie tu, to tam.

— Lub znowu do Argentyny i napowrót!

— Dwa razy już byłem w Argentynie, i co mi się stało? przerwał pesymizm Józefa Władek.

— I jesteś najsilniejszy z nas optymista.

— Kto więcej przechodzi, ten więcej kocha, zawołał Władek z rozmachem.

— Już czas, żeby nas choć trochę pokochała idea i choć raz dała przyzwoite źródło, na jakie tysiąc wagonów.

— Co tysiąc? nędzne trzykroć sto tysięcy?... Co z taką odrobiną robić? Dziesięć tysięcy wagonów mało!...

Weszli na odkrytą bez drzew o pokładzie kamiennym górę.

— Patrzcie, panowie, mówił leśny, wyciągając rękę — ten zielony młody las to gminny, a tu od dołu ku zachodowi ciągną się grunta chłopskie. Ziemia licha, kamienista, ale was lichota jej nie obchodzi.

— Naprzód na grunta chłopskie.

— Przecina je głęboki parów. Strumień przez niego leci.

— Obejrzymy parów. „Naprzód, wiara, iść przytomnie" za mną, komenderował Władek.

Pomknęli żywo, leśny wąsiskami strzygł, rad z siebie.

— Chłopakom nieźle z oczu patrzy, myślał, może co będzie z tego?...

W parowie siedzieli godzinę, odbijali młotkami kamienie, patrzeli. Leśny stał na urwistym brzegu.

— I nie powąchacie? zawołał zirytowany.

Mimowoli ponieśli kamienie do nosa.

— Jeśli je czuć ropą, to chyba ropa niedaleko, mówił leśny — co?...

— Mniejsza z tem, to żaden znak!

— Może dla książki lub geometrów, ale dla nas znak niezawodny. Kamień twardy, jak krzemień, czarny, łupie się łatwo i czuć go ropą. Czegóż chcecie więcej?

— Nic więcej, to dosyć, zawołał Władek.

— A widzicie! Jak przez taki twardy przeszły gazy ropy, to znaczy, że jej na spodzie dosyć.

Ustawili stolik z teodolidem, wykreślili linię w kierunku pochyłości łupania się kamieni. Miejsce oznaczyli na mapie.

— Trzeba ze sto morgów zakreślić.

— Pod świerkami na prawo w górze widzicie, panowie, jest znowu jar i odkryty kamień. Możecie go zobaczyć, potem zmierzyć przestrzeń, a ja tymczasem ognisko rozpalę. Bez ognia niema wesołości, a i posiłek nie smakuje.

W jarze znaleźli ten sam twardy łupek o załamaniu na busoli podług 9-tej godziny, wszystkie inne wskazówki mówiły o terenie ropnym. Cała przestrzeń wynosiła zmierzone na mapie sto trzydzieści morgów.

Wzruszeni i uszczęśliwieni wracali do ogniska.

— Tu, zdaje się, zaczniemy kopać. Cóż wy na to? zwrócili się do leśnego.

— Nie mogę już wytrzymać — krzyknął — wąchajcież!.. Podług mnie, to pewnie najlepsze ropne miejsce w Wyżnicy — głowę kładę na ewangelii, że ropa jest. Jak głęboko – nie wiem, ile—nie wiem. Mówię tylko, że, im głębiej, tem lepiej, i basta.

— No, do ciebie, stary, rzekł Władysław, wychylając kieliszek wina. Zapracowaliśmy na śniadanie.

— Jeśli będziecie tu kopać, śniadanie to warte milion.

— Może i więcej, zawołał Władek.

Witold i Józef roześmieli się.

— Pan bo, widzę, lubi wszystko na czerwono malować, rzekł leśny.

— Lubię, bo i tak z czasem wszystkie farby czernieją!... Jakbym zaczął od czarnego, zrobiłaby się odrazu noc.

— Być może, ale zaczynajmy i kończmy na milionie! Za zdrowie panów, niech Bóg da jak najwięcej!

— Po śniadaniu obejdziemy granicę i podyktujecie nam właścicieli gruntów, na których pragniemy kopać.

— Dobrze, ziemia licha, chłopi jej mają po dwadzieścia i więcej morgów.

Otoczyli ognisko, Władysław grzał wodę na herbatę, na rozżarzonych węglach piekli mięso, kładąc je na ruszty, ustawione na żelaznych widełkach -- jak w Argentynie.

— Możebyście nam pomogli ugłaskać chłopów?

— Dlaczego nie? Wygryziony przez rządcę ze służby mam u nich większy posłuch, chociaż zawsze mnie mają za pańskiego

sługę i za takiego, co z panami trzyma. Mogę zacząć, ale tylko Icek skończy... Rusin Żyda nie lubi, ale do niego, jak w dym. Żyd pominięty gotów się mścić, a zjednany zrobi wszystko. Ma on kluczyk, którym łeb i serce Rusina otwiera. Ma mocną i słodką, ma piwo, krupnik na okowicie z miodem, kobzę i skrzypki. Jakiego sposobu Żyd na Rusina niema?

— Wy rozpoczniecie, bo trzeba Rusinowi dokumentnie wszystko wytłómaczyć, a my na to nie mamy czasu.

— Dobrze, usłużę panom, mam czas.

— Za cóż straciliście służbę?

— Za to, że się nie umiem kłaniać i czapką ziemi wycierać.

— Czujecie osobistą godność.

— Łasić się nie potrafię, prezentów nie mam za co dawać, szpiegować także nie chcę, bom się do tego nie godził. Rządca szpakami karmiony, przed księżną czapkę w ręku trzyma, wobec niższych dmie.

— A kobiety? pochwycił Władek.

— Kobiety do rany przyłóż, a zgoi się. Tak matka, jako i córka, jedyne. One to prawdziwe panie. Dobre, miłosierne. Gdy jego niema, nic nie przyjmą od biedaka, jeszcze same dadzą, gdy mają. Ludziska je okrutnie lubią.

— Możebyście z nami zostali? zagadnął starego Władysław.

— Mogę, dopóki się nie dokopiecie ropy.

— A potem?

— Przyrzekliście coś dać za przyprowadzenie panów tu. Przyjdzie ten milion, to i ja poproszę o tysiąc. Jest dzierżawka, jakby dla mnie, jeśli będę miał jeszcze tysiąc, to ją wezmę.

— Damy ci trzy.

— To sobie sadybę kupię. Mam troje dzieci. Syn w Stanisławowie, da sobie radę — dziewczętom zostawię warsztat do pracy.

Zdjął czapkę, wąsa pokręcił, wstał, chciał dziękować, lecz nie umiał i znowu usiadł.

— Będziecie panowie przynajmniej mieli wiernego psa, dodał cicho.

— Wierzymy ci, i, jak się z nami poznasz, mamy nadzieję, że na kupionej sadybie osadzisz kobiety, a sam z nami zostaniesz.

— Pewno, dokąd tylko będę mógł.

— A teraz do lasku gminnego!...

Zwinęli manatki i narzędzia, kije w ręce i dalej — stary okrutnie rad i rozochocony szedł naprzód, jak dzik, prosto przed

siebie... Badanie lasku gminnego wykazało te same cechy ropodajnych terenów.

O czwartej zmęczeni i wyczerpani wrócili na kwaterę.

— Kontenci panowie ze starego? pytał Żyd.

— Dosyć!

— Ja znam ludzi i wiem, kogo dać.

— Przynoś z piwnicy mięso i poproś starego. Jak mu na imię?

— Filip Gawron.

Żyd znikł, za chwilę wszedł Filip z podkręconym w górę wąsem i z fantazyą szczęśliwego człowieka.

— No, kochany Filipie, przemówił Władysław, gdy Józef z Witoldem wykreślali na mapie linię naftową, przyjmujemy was do służby. Nim się zaczną roboty górnicze, dostaniecie trzydzieści guldenów na miesiąc, płatne z góry. Oto są. A tu macie dwadzieścia na poczęstunek właścicieli gruntów. Zgadzacie się?

— Zgadzam i dziękuję.

— Od dnia robót w polu miesięczna pensya wasza wynosić będzie pięćdziesiąt papierków, bo wtedy trzeba będzie stać przy robocie od świtu do nocy.

— Rozumiem! Jakie ostateczne warunki stawiać właścicielom gruntów?

— Za pierwszeństwo prawa używalności czyli wiercenia szybów dwadzieścia papierków od morgi. Od chwili rozpoczęcia robót na zajętym gruncie dwieście guldenów od morgi, a w razie znalezienia ropy dwa procenta od wykopanej.

— A to chłopi powinni poszaleć z radości. Dziś morgę sprzedają niewiele co drożej nad sto pięćdziesiąt.

— Po pięćdziesięciu latach, a może nawet dwudziestu pięciu, ziemia wraca do właścicieli.

— Poszaleją, jak Boga kocham.

— Filipie, mało jeszcze znacie chłopa. Kończcie, a gratyfikacya dla was, i to dobra.

— Bez Żyda trudno.

— To trzeba wziąć Żyda i z drugiej karczmy, bo gotów przeszkadzać.

— Krewni z Ickiem, ale i jemu trzeba gębę zatkać.

— Wołaj Icka.

Wszedł Żyd. Z chciwości i oczekiwania zbladł, ręce mu drżały, nos się wydłużył, wargi zaciskał.

— Panie Icek, zaczynamy.

— Czekam rozkazów.

— Od każdego właściciela gruntu, który z nami kontrakt zawrze, dostaniesz czterdzieści papierków.

— Mało, krzyknął Żyd. Nie wiem, czy wezmę stówkę.

— Stówki nie weźmiesz, a możesz nic nie wziąć, bo w razie odmowy z twej strony przeniesiemy ciężar naszych działań do tamtej karczmy. Chłopi mają większe zaufanie do tamtego.

— Kto to powiedział?

— Cała wieś wie o tem.

Spojrzał na Filipa, zmarszczył brwi, palce zacisnął.

— Ty na mnie nie patrz, zawołał leśny, palców nie zaciskaj, bo ja się ciebie nie zlęknę. Mówiłem, żeby i tamtemu pysk zatkać, bo może przeszkadzać.

— Tamtemu przeznaczamy, dodał Władysław, dziesięć papierków od kontraktu. To nasze ostatnie słowo. Namyśl się, rozmów z żoną, poradź się Filipa i przyjdź do zgody, jeśli będziesz chciał.

— Dziesięć kontraktów, a ty weźmiesz czterysta papierków za nic.

— Dobrze ja sobie muszę gęby napsuć!...

— I tak darmo ją psujesz cały dzień!...

— To na własną uciechę.

— Teraz będziesz psuł na uciechę czterystu papierków. A pomyśl tylko, wiele pieniędzy chłopskich zostanie u ciebie przy podpisaniu kontraktów, jeśli tu będzie się spisywać, a nie w tamtej karczmie.

— Mało, rzekł ciszej i łagodniej.

— A wiele będziesz zarabiał, jak tu, nie w tamtej karczmie będą wypłaty za robotę i materyał.

— Mało, szepnął.

— Namyśl się, panie Icek, teraz jemy obiad.

— Kiedy mam się stawić po rozkazy? spytał Filip, prostując się przy drzwiach.

— Póki nie przyprowadzisz do kontraktu choćby jednego. Do widzenia.

— Kłaniam się wielmożnym panom — wyszedł — Żyd za nim.

Długo rozprawiali przed karczmą. Przyszła Ickowa, rozmowa się ożywiła.

Żydówka wróciła do karczmy, za nią Icek i Filip, wdziała czysty fartuch, chustkę na ramiona i weszła nieśmiało do kwatery obiadujących.

— Przychodzę z dobrą nowiną, rzekła, Icek się zgadza, byle tamten nie wiedział, ile bierze od sztuki. Zniżyła głos. Panowie będą pamiętać o biednej Żydówce, mąż skąpy, ja jeszcze młoda, nie mam nic.

Ucierała głośno nos w chustkę — co oznaczało u niej płacz.

— Jeśli znajdziemy naftę, dostaniesz suty prezent, że będziesz naprawdę płakać, ale z radości...

Wstali — Józef nalał w kieliszki wina i rzekł:

— Wielki to dzień w naszem życiu. Dzięki Tadeuszowi znaleźliśmy, zdaje się, bogate pokłady ropy.

— Grunt może nam przyjść prawie darmo.

— Jest z czego podnosić cenę.

Władek podniósł kieliszek w górę.

— Na cześć idei! Śmieją się z nas, że my przemysł mieszamy z ideą — idyoci! Gdyby nie było idei, nie byłoby Argentyny, nie byłoby grosza w kieszeni, nie byłoby Wyżnicy.

— Prawda, bylibyśmy drobnymi geszefciarzami lub kolejarzami, stojącymi na stacyach w czerwonych czapkach przed nadjeżdżającymi pociągami.

— Żydzi mają swoją ideę i nią idą przez świat i wieki niezwyciężeni.

— Póki ona w nas żyje, i my żyjemy. Gaśnie—my groszoroby i durnie.

— Gdy w nas zamrze, cóż nam po życiu? dodał Witold. Cóż warto życie kramarza lub kołtuna?

— Tembardziej, że jedno życie, zawołał Władek.

— Na cześć tego jednego!..

— Wracajmy na ziemię — rzekł Józef.

— Już stoimy, mów, zawołał Witold.

— Słuchamy!

Zrobiła się cisza.

— A może my się mylimy w wybraniu miejsca na ropę...

— To niepodobna, szepnęli towarzysze.

— Malutko grosza, a wracać do Argentyny—skóra cierpnie.

— A więc kończ.

— Wyszlijmy telegram do Rudolfa, niechaj przyjeżdża, zbada i wytknie linię naftową. Jeżeli znajdzie naszą, będzie dowód, żeśmy się nie omylili.

Władek odchylił drzwi i zawołał.

— Panie Icek, posłańca natychmiast do Borysławia z telegramem.

— W trzy mrygnięcia z okiem, odpowiedział.

Przyjaciele dalej prowadzili naradę...

— Cóż jutro?

— Czekamy na Zubera i dalej sami badamy las gminny, grunta księżnej, całą Wyżnicę. Może się lepsze znajdą miejsca?

— Lepszych niepodobna wyszukać, wedle wskazówek nauki i położenia gruntu.

— Zróbmy swoje. Tymczasem przenieśmy z mapy na osobny papier znalezioną przestrzeń, podzielmy na parcele, powypisujmy właścicieli.

— I do Magdusi z nutami mszy Palestriny.

— Prowadzę akompaniament, dziewczę śpiewa z wami.

— Za trzy godziny zachód słońca, do roboty, wołał Józef wzruszony.

— Wielki dziś dzień, rzekł Witold, dla narodowego przemysłu.

— Oby dniem zbawienia był! zaśpiewał Władek.

— Funt herbaty posłać na rządcówkę, nie możemy objadać tych ludzi.

— Wysyłaj.

Wieczorem wyświeżeni z paczką nut ruszyli. Serca im biły młodością i nadziejami.

— Im większa praca, tem silniej serce gra, mówił Władek. Napoleon z Włoch wśród najcięższych bitew najromantyczniejsze listy pisywał do Józefiny...

— Młodość jest ogniem serca, dokończył poetyczny Witold.

— Uciekacie od nas, z chłopami chcecie się bratać i interesa robić, wołał z ganku pan Marcin.

— Za ubodzy jesteśmy na interesa z księżną. Dla nas, biedaków, dosyć kilka morgów chłopskich, które można na początek zdobyć stówką.

— Księżna pani może czekać i zaczeka.

— Przyjdą inni z większymi środkami po tereny księżny, odrzekł Władysław tajemniczo.

— Naprawdę? gadajcież, bójcie się Boga.

— Układy toczą się w Wiedniu, i księżna zatelegrafuje lub sama zjedzie.

— To jakaś musi być gruba ryba — z jaśnie panów, bo księżna przecie do zwykłego nafciarza nie przyjechałaby.

— My zwykli!

— Ale możecie być milionerami!...

— Jak Pan Bóg da.

— Dobreście tereny wybrali. Kiedy kamień na stopę pod ziemią czuć ropą, to już dobrze.

— Skąd pan wiesz?

— Przecieżem tu minister księżny, muszę mieć i policyę. Szpieg mój pilnował was od samego rana.

Przesunęli się przez ganek, uciekając od gadulstwa starego.

— Magdusia śpiewała całe rano z waszych nut i grała. Idźcie, idźcie — ze starym nudno.

Weszli do bawialnego pokoju. Fortepian był otwarty, akompaniament do mszy rozłożony na pulpicie.

— Przyciągnę dziewczę Szumanem, szepnął Witold.

Siadł i zaczął grać. Józef wlepił wzrok w drzwi. Władek rad, w wybornym humorze chodził po pokoju, rozkoszując się muzyką. Zachodzące słońce kładło przez okna róż i jasny seledyn. Drzwi się odchyliły, i w świetle tem stanęła złotowłosa, oróżowiona czerwienią słońca, wydelikacona seledynem nieba, w białej sukience, różowej wstążce na szyi. Nikt jej nie witał z uszanowania dla Szumana. Stała w promieniach słońca. Oparła rękę o fortepian, oczy zmrużyła, słuchała.

Witold skończył i zerwał się.

— Szuman, szepnęła, drugi po Szopenie mój ukochany — i zarumieniła się, jak gdyby zdradziła tajemnicę swego serca.

— Masz pani bardzo wytwornych ulubieńców, rzekł Witold, podając rękę dziewczęciu.

— Kochać wolno, szepnęła.

— A nawet rozkosz, jeśli się na to zdobyć możemy lub mamy kogo kochać, jak — pani Szopena i Szumana.

— Cóż to łatwiejszego, a nawet czyż można ich nie kochać?

— Ci, którzy tej sztuki nie posiadają — nie kochają, bo nie mogą...

— Przecież ludzie mają serca. Czyż panowie macie inne pojęcia?...

— Ależ bez serc, zawołał Władek, bylibyśmy kretynami lub łajdakami. Serce rodzi miłość, a miłość — ideę. Żyć bez idei to i wół potrafi!

Dziewczę uderzone nowym blaskiem myśli, rozwarło szeroko oczy. Chciało mówić, nie śmiało, chciało się pytać, nie wiedziało, o co. Zostało raptownie zbudzone, światło ją jeszcze raziło.

Nie słyszała, żeby idea była koniecznością życia, — miłością, zrodzoną przez serce....

Zrobiła się cisza, w której pracowało gwałtownie serce dziewczęcia. Władek tryumfował ze zrobionego wrażenia.

— Pani już prześpiewała swą partyę? pośpieszył z zapytaniem Józef, chcąc wybawić dziewczę z przejmującej ciszy.

— Sześć razy i boję się, czym nie dostała chrypki i nie zepsuję dzisiejszego kwartetu.

— Głos pani w rozmowie dźwięczy, jak dzwonek, cóż dopiero, gdy wyleci na świat w kompozycyi Palestriny?

Zasłoniła rzęsami oczy i powiedziała szeptem.

— Boję się.

Czarowna była w tym strachu dziewiczym i w pragnieniu urzeczywistnienia swych natchnień muzyki.

— A więc, pochwycił Witold, najlepiej odrazu do czynu.

Zasiadł, rozłożył akompaniament.

— Józiu, bierz batutę i prowadź, nuty do rąk, zaczynamy. Sopran do mnie, tenor na środku, na lewej stronie bas.

I muzyka popłynęła spokojnie, szeroko, głęboka i prosta, jak modlitwa wierzących. Na dziewczę przyszła partya. Zarumieniona, z przymkniętemi powiekami śpiewała. Nie miała szkoły, lecz za to jej głos świeży czysty dźwięczał w powietrzu rozkosznie, a słuch artystyczny nie dopuszczał fałszu.

Matka otworzyła drzwi, stanęła na progu, słuchała pochłonięta. Dziewczę skończyło; spojrzała na matkę i pobiegła do niej.

Rozległy się oklaski.

— Czarujesz pani głosem! szepnął wzruszony Józef.

— Dalej! dał znak Witold.

I znowu śpiew całego kwartetu płynął w przestrzenie. Wiele miejsc musiano powtarzać, głosy się nie zawsze zgadzały. Władek gorączka — wyprzedzał...

— Jeszcze trzy dni, trzy próby, a w niedzielę do kościoła. My przy pannie Magdalenie padniemy, lecz to nas cieszy, żeśmy znaleźli w tej puszczy zjawisko takiego głosu i słuchu.

— Cóż to za wielka muzyka w tym utworze! odezwało się dziewczę, chcąc przerwać pochwały.

— My, nerwowcy, nie umiemy dziś być tacy wielcy w spokoju.

Uproszona przez Władka, aby zagrała, powiedziała cichutko:

— Proszę panów, wyjdźcie z pokoju, będzie mi śmielej i swobodniej.

Usłuchali, zostawiając drzwi otwarte.

I wyleciała w przestrzeń jakaś radosna skarga tęsknoty słowiańskiej, odradzająca świat. I dźwięczała, że aż duszę ludzką kołysała rozkoszą i szczęściem nieznanem...

Skończyła, nie wracali do pokoju, żadnego szmeru, ośmielona zagrała drugą i trzecią...

Po trzeciej grad oklasków wypełnił pokój. Wpadł Władek i ucałował ręce dziewczęcia. Józef poważny i zamyślony patrzał dziwnie, a Wit rzekł głośno:

— Teraz to już ja po pani nie powinienem się odważyć grać.

— Dokucza mi pan, rzekła, i wstała.

— Powiedziałem prawdę, lecz jeśli panią to gniewa, nie powtórzę tego nigdy i będę zawsze grał, gdy rozkażesz...

— Proszę, — szepnęła.

Zasiadł, z pod palców jego wysunął się walc *as dur*, rozkoszny, śpiewny, marzący, kołyszący duszę, rzewny, tęskny, rozkochany. Walc, przez Polaka stworzony. Niemczyzna w nim się zatarła, pobiła ją tęsknica słowiańska i rzewność polska. Dziewczęciu i młodzieży oczy świeciły, serca biły żywiej, uśmiechy rozkoszy błądziły na ustach.

W tym czasie w kancelaryi pan Marcin pisał raport do księżny o znalezionych terenach ropnych na chłopskich gruntach przez młodych argentyńczyków i rozpoczęciu przez nich wiercenia maszynami. Przy tej sposobności, jako dworak, dodał, że u księżny pani tereny są lepsze, łupek twardszy i silniej czuć w nim ropę. Że on pilnuje, ma na wszystko oko, że o majątek księżny pani więcej dba, jak o własne dziecko, i że w głębokościach Wyżnicy siedzą miliony, które, gdy tylko księżna pani zechce, paluszkiem swym wydobędzie.

— Trzeba umieć żyć, rozważał pan Marcin, składając list, to znaczy ze wszystkiego korzystać. Gdyby nie moja głowa, co byłoby z nami? Ja i księżnie poradzę, a przecież to Meternich.

XXX.

Trzeciego dnia przyjechał Rudolf Zuber. Żywy, nerwowy, wesoły, serdeczny Zuber, cieszący się zaufaniem i wiarą kolegów...

Nazajutrz rozpoczęły się badania, a raczej na gruntach Wyżnicy polowanie na tereny ropne. Filip Gawron odgrywał rolę wyżła—tropił znakomicie. Był to urodzony, dotąd nieświadomy swych

natchnień górnik, którego dar odgadywania i przeczuć codzień się rozwijał...

Zuber odkrył tę samą linię, chociaż Filip przysięgał, że go dopiero na osobiste żądanie tam zaprowadził.

Tryumf był wielki i radość wielka, a u pana rządcy muzyka i śpiew.

Ostateczna narada po zbadaniu całego terenu trwała do późna w nocy.

— Rozpoczynamy na gruntach chłopskich, rzekł Józef spokojnie, i oddajemy przedsiębiorstwu cały zapas gotówki, jaki posiadamy.

— Wiele macie wszystkiego? zapytał Zuber.

— Trzech po pięć — piętnaście tysięcy.

— I nic?

— Ani centa.

— Kredytu?

— Żadnego. Nie jesteśmy znani, nie mamy stosunków.

— To wszystko razem bardzo mało. W żelaznych fabrykach dadzą wam półroczny kredyt, w składach narzędzi trzymiesięczny.

— A do wykopania jednego szybu potrzeba ośmiu do dziesięciu miesięcy, jeżeli wszystko pójdzie, jak z płatka.

Zuber zniżył głos.

— Odrazu wiercicie głęboko? spytał.

Nastała cisza, którą przerwał Władek.

— Odrazu! Czekać i bawić się, szkoda młodych lat.

— Władek, jak zwykle, gorączka. Cóż wy na to?...

— Odrazu, rzekł Józef, trudno się namyślać. Zebrać, co się da z pierwszej głębokości i jechać dalej. Bawić się nie mamy ani czasu, ani pieniędzy.

— Bez kredytu nie uradzicie!...

— Trzeba go stworzyć. Radź, jak go znaleźć.

— Trudno w kraju, który nie ma pojęcia o przemyśle i skutkiem swej martwoty nie zajmuje się nim!...

Stali zamyśleni i zrozpaczeni.

— Zacząć, zawołał Władek, nie pytać o nic i naprzód!... Jedni muszą kredyt przedłużyć, drudzy muszą czekać, trzecim pokażemy naszą nadzieję.

— Gdyby się dało? szepnął Wit.

— Musi, bo co nam zrobią? Będą kłaść aresztа na maszyny — nie nasze!... Na narzędzia — nie nasze! Zaaresztują otwór w ziemi — prosimy!

— Zaczynajcie, rzekł Zuber, potem będziecie szukać pieniędzy, ludzi, środków — i jakoś to będzie, bo musi...

— Jest pewna atrakcya dokonanego czynu i silny wpływ tego czynu.

— A więc? spytali razem trzej.

— Zaczynajcie!...

Uścisnęli się za ręce.

— Do fabryk i składów dam wam polecające listy.

Wszedł Filip Gąsior, wąsami strzygł, mrugał oczyma. Wzrok młodych ludzi przeniósł się na niego.

— Namówiłem już trzech Rusinów, których grunta leżą na samym skraju, skąd panowie chcecie zacząć kopać. Prawie się godzą. Są u Icka. Bestya Żyd mądry, trzyma z nimi przeciw panom Na surdutowców się odgraża: „Tylko ostrożnie, mówi im, bo to obieżyświaty, Mazury, mogą was orżnąć, wszystko musicie u „matereusza" spisać i zawarować u starosty górniczego w Borysławiu. Chcecie, ja z wami pojadę, ja was nie dam skrzywdzić".

— I cóż? pochwycił Władek.

— Żyd mruga na mnie, ciągnął Filip, i pyta się: „A wiele procentów dają od znalezionej ropy, gadajcie, Filipie? A ja odpowiadam: dwa! Żyd się za głowę chwyta i woła — rety — Mazury obieżyświaty chcą was ze skóry obedrzeć. Co to dwa... To trzy mało. Chłopi za nim: Mało. Cztery mało, woła Icek, Rusiny—mało. Pięć? odetchnął — może pięć dosyć, bo to procent, przez prawo ustanowiony. Jak się uda, to możecie mieć z morgi i po dziesięć tysięcy tych procentów. Chłopi powstali ze zdziwienia i powiedzieli:

— Żydzie, ty „breszysz!"...

— A wy głupi jesteście, zawołał Icek, bo trza było iść do kopalni Szwarcenberga i patrzeć, jak się złoto lało.

— A czy tu będzie tak samo? spytał Hrehory.

— Żebyśmy wiedzieli, tobyśmy Mazurów nie potrzebowali, tylko sami kopali. Już jabym się o dydki postarał.

Chłopi się rozśmieli, Icek z nimi, Ickowa warzy krupnik—piją, radzą i cieszą się, że Żyd nie pozwoli, aby Mazury ich obdzierali...

— Kiedy ich przyprowadzisz?...

— Jutro!

— I my od jutra rozpoczynamy.

Filip uradowany odszedł.

— Pięć procentów bardzo szczęśliwie, a i dla chłopów dobrodziejstwo, rzekł Zuber.

— Zaczęliśmy od dwu, żeby iść dalej. Żyd sprytnie się do rzeczy bierze. Zdobywa sobie uznanie chłopów, a nam służy.

– Jeśli tu znajdziecie ropę, w co ja wierzę, to Icek najpierwej będzie panem.

— Wszystko się składa, abyśmy jutro zaczęli.

— Wszystko, jutro będziemy mieli grunt pod nogami.

— Gdy chłopi zobaczą braci, pijących krupnik, a baby ich w nowych chustkach, które na prezenta z Borysławia przywieziemy.

— Pisz rekomendacye do fabryk, przerwał Władek. Na początek musimy mieć dwa rygi, zaczynamy odrazu dwa szyby, mniej nie wolno żadną miarą.

Pisali listy, rachowali, pieczętowali wysyłane pieniądze, pracowali całą noc.

Nazajutrz rano pojechało do Borysławia trzech Rusinów, Icek, propinator Wyżnicy górnej, i Filip jednym wozem. Drugim czterech przyjaciół z czasów argentyńskich...

Tego samego dnia zaczęły się roboty przygotowawcze. W tydzień później przyszły maszyny, które należało przywieźć dwunastoma parami koni, i narzędzia. Ruchome podkłady drewniane zastępowały szyny. Lokomobile i kotły szły po nich, jak po żelazie. Okolica zaczęła się ożywiać, Mazury i robotnicy z Borysławia powoli ściągać. Pierwsi stanęli kowale i wiertacze ze świadectwami. Dobre ceny i znajomość rzeczy młodych panów, którzy się nie bali najcięższej pracy, zjednywała serca robotników.

Praca rosła z każdym dniem. Już maszyny zaczęły warczeć, świdry w ziemi jęczeć. Wieże złotawe w słońcu dźwigały się wśród ciemnej zieleni świerków i ciemniejszych jodeł.

Icek zacierał ręce, Rusini na rachunek bogactw, wierconych dla nich przez Mazurów, pili zawzięcie. Propinator trzymał straż nad interesami Rusinów—jakże Rusini pić nie mieli?

Karczmarz dolnej Wyżnicy powtarzał filozoficznie, chociaż serce jego krajało się z bólu.

— Przyjdzie i na mnie kolej, i ja jeszcze Icka nauczę rozumu.

Młodzi ludzie odznaczali się zawziętością, kopalnia była w ruchu dzień i noc. W dzień pracowało ich dwóch, w nocy jeden po kolei. Zaledwo wieczorami wymykali się na rządcówkę do Magdusi grać z nią, śpiewać, marzyć i mówić głośno o przyszłości.

Dziewczyna poważniała; głos jej stawał się głębszym i jeszcze więcej metalicznym, muzyka zdradzała większą siłę i rozdrażnienie

nerwów. Dojrzewała pod wpływem towarzystwa młodych i ich biblioteki. Odwiedziny bywały krótsze, za to serdeczniejsze o przyśpieszonym tempie bicia serc.

W nocy szalała burza, a wschód słońca złocił odrodzony świat, skąpany w deszczu i elektryczności...

Tego dnia o poranku witany świergotem ptaków i zabłąkanymi w lesie oparami zjechał do Wyżnicy Tadeusz. Zdawało się, że odmłodniał, wyrósł i wypiękniał, tyle zdradzał energii życia, wiary w siebie, w ludzi i świat.

Wszyscy przy nim odmładzali się również, myśli ich żywiej krążyły, nowa energia wstępowała.

Wpadł do kopalni argentyńczyków, witany, jak zbawca.

— Pracujecie!

Wskazali na dwie wieże.

— Doskonale. Nadzieje są?

— Wielkie, prawie idziemy na pewne.

— W takim razie cóż znaczą dwa szyby?

— I te dwa na sześciomiesięczny kredyt.

— Powinniście najmniej zaczynać dziesięcioma odrazu.

Zrobili miny, że radaby dusza do raju — gdyby...

— Samiście odkryli tereny?

— Zuber również je oznaczył bez naszego udziału.

— Czy Zuber badał i grunta księżną?...

— Ma wytkniętą linię naftową przez całą Wyżnicę.

— Nic mi nie mówcie, jutro zaczynam szukać od strony północnej. Gdy skończę, pokażecie mi linię Zubera, która również jest waszą. Może się zejdziemy?

— Gdy trzy razy szukana linia okaże się tą samą, to dowód, że innej i lepszej niema, poświadczyli przyjaciele.

— Dziś mam nocną stróżę, rzekł Władek, prześpię się dwie godziny i służę ci, Tadziu, jako przewodnik i pomocnik.

— Zmęczony będziesz — młodość potrzebuje snu.

— Ale i manny bożej. Ty jesteś dla mnie manną życia.

— Dziękuję ci, będzie mi weselej. Tyloma sprawami pragnę się z wami dzielić.

— Gdzieżeś stanął? Byliśmy pewni, że do nas zajedziesz.

— Stanąłem we dworze w gościnie u księżny. Nie przyjąć zaproszenia byłoby niegrzecznością z mej strony. Mam dwa pokoje na górze, z okien szeroki widok na całą Wyżnicę. Stamtąd po-

dług busoli oznaczę najdalej wysunięty punkt na północy i stamtąd zaczniemy.

— Zgoda.

— Będziemy szli bez przerwy, a jeśli dobrze pójdzie, we dwa lub trzy dni powinniśmy dojść do waszej kopalni!... Cóż ludzie, robotnicy, majstrzy, kowale — mówcie!

— Dotąd zbieranina głodna, słaba, leniwa. Dopiero mamy jednego średniego wiertacza, wyrobił go Władek. Kowale—partacze, nie umieją nawet urządzić wielkiego ogniska i utrzymać go! Nie umieją grzać żelaza.

— Bo też to trudno, przerwał Tadeusz.

— Pomyśl, mój drogi, co to za praca. My jesteśmy wszystkiem. My wiercimy, prowadzimy szyb, ostrzymy w kuźni świdry, okuwamy sztangi — wszystko my!...

— To wybornie, odparł wesoło Tadeusz, tak samo i ja robiłem w Swobodzie! Lecz stąd idzie wielka praktyka, znajomość rzeczy, pewność siebie, wiara w swe siły i szybkie wyrabianie robotnika. Podrażniona ambicya tych ludzi cuda robi.

— Ale nim się to wszystko zrobi, jakie straty i udręczenia!

— Ale za to wyrobicie najdzielniejszych ludzi w Galicyi, a może i w Austryi. Z naszych kopalń robotnik będzie szedł na cały kraj. A zresztą to konieczność, fatalizm, prawo ciężkości... Naprzód i basta — pamiętajmy, że nie jesteśmy tylko nafciarzami, zbierającymi grosze, lecz ludźmi, tworzącymi wartości w kraju, jego bogactwa, siły mięśni i mózgów w społeczeństwie. Myśl ta to pociecha i zapał, energia i wiara nasza!

— Prawda, szepnęli. Te idee, któreś w nas wlał, czynią nam pracę miłą, a życie w pracy rozkoszą.

— Robić dla czegoś to żyć, zawołał Władek. My z nędzarzy robimy nowych ludzi o żelaznych muskułach i sile woli. To przecie zadanie. Gdybym miał być całe życie tylko nafciarzem, polującym na wykradanie z ziemi milionów i tracenie ich, tobym przecie wolał w łeb sobie strzelić. Żyć, żeby pieniądze zbierać i wyrzucać je przez okno?.. to przyjemność jakiegoś zdechlaczka, tonącego w rozpuście, to rozkosz żarłoka, to cnota nadętego pawia.

— Miejmy tylko miliony, przerwał Tadeusz, a wydatków nam nie zabraknie. Idea jest wszystkiem. Bez idei my stado — jeść, stroić się i rozmnażać. Już czas zostać ludźmi... W imię człowieczeństwa my tu zrobimy kopalnię cywilizacyi, jeżeli i ja znajdę to,

co znalazł dzielny Zuber i wy. Z tego punktu Podkarpacia będą się rozchodzić najdzielniejsi robotnicy i tworzyć nowe ogniska pracy i bogactwa. Całe Karpaty podminowane naftą. Wierzę w to!

— Tylko ją znaleźć, dodał spokojnie Józef.

— Szukać!.. Na całej linii my tylko dziś szukamy, dopiero za nami przyjdą inni... Poszukiwaczy złota nigdy nie zabraknie.

— Do nas należy, dodał z przejęciem Witold, pchać cywilizacyę przemysłem, bo to potrafimy. Robimy, na ile sił mamy.

— I ile siły starczą, to prawda, rzekł Józef, lecz starczą na króciutko.

— Co znaczy dziś jednostka wobec idei? Idea, raz stworzona, szuka ludzi, póki ich nie znajdzie, siada im na karki i każe iść naprzód. I idą, bo muszą. Przemysł ma to do siebie, że ciągnie i zapładnia gorące umysły... Do widzenia, idę rozpatrzyć się w mapach Wyżnicy i ponotować z nich punkta wytyczne do jutrzejszej pracy. Co robicie wieczór?

— Wieczór? powtórzył Władek i, zniżając głos, dodał tajemniczo — znaleźliśmy skarb. Tadeusz pochylił się i dłoń do ucha przyłożył.

— Szopen, Szuman, Palestrina — muzyka i śpiew.

— Śpiew w tych dzikich górach — cóż to za rozkosz!

— Dziewczę, co nie widziało nigdy miasta. Dwudziestoletnie, urocze swą nieśmiałą naiwnością, z głosem srebra, uderzanego o stal.

— Tam wieczory spędzacie?

— I śpiewamy na cztery głosy mszę Palestriny.

— Umiecie?

— Nieźle!...

— Weźcie mnie dziś z sobą. Tęsknię za muzyką i śpiewem.

— Tadek, tylko ostrożnie. Józefowi nie trzeba robić przykrości...

— Już tak?...

— Żartują, rzekł Józef zmieszany.

— Za dużo wymagam od życia, abym się miał narażać na pchnięcie szpadą! Józiu, bądź spokojny.

Rozśmieli się serdecznie, nie dając Józefowi przyjść do głosu.

— Magdusia rozumie ideę, dodał z komiczną powagą Władek.

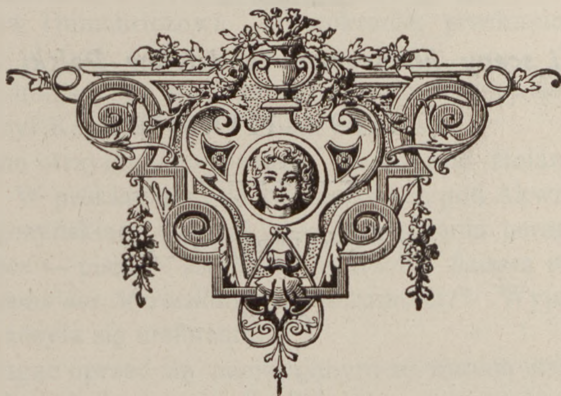
— Niech ją naprzód odczuje!... Kobieta pojmuje sercem, my mózgiem — i to są zasadnicze między nami a nią różnice. Kobieta przez błyskawice, zrodzone w mózgu, odbiera wrażenia w sercu i te dopiero z serca wracają u niej do mózgu. Niech sercem odczuwa, a mózgiem ocenia...

— To już zadanie Józia, dodał Wit. Ona naprzód odczuła wcieloną duszę Józia i śpiewa, ale to tak śpiewa, że ptaki rajskie raduje. Śpiewa na cześć Bogu za to, że stworzył Józia.

— Co za szczęście, że mam narzeczoną, mówił wesoło Tadeusz.

— A więc wszystko się dobrze składa, dodał Józef, zabieramy cię z sobą...

(*D. c. n.*) *Sewer.*



Miączyński i Dumouriez.

Wizerunki i sceny historyczne z dziejów Polski i Francyi.

(1769—1793) *).

CZĘŚĆ TRZECIA.

XIV.

Odwrót Miączyńskiego pod Liège. Obóz w S. Tron. Odwołanie Dumourieza. Klęski armii północnej. Misya Chaussarda. Lewe skrzydło. Utarczka Miączyńskiego pod Tirlemont. Bitwa pod Neerwinden. Oddziały Miączyńskiego i Ruaulta. Nowa klęska.

Austryacy utrzymali się w Akwizgranie po morderczej walce ulicznej, w której przez chwilę bataliony Miączyńskiego miały przewagę, a nawet na czas krótki zdołały nieprzyjaciela wyprzeć z miasta. Pokonany w ponownem starciu, zmuszony był Miączyński cofnąć się do Liège, pozostawiwszy cztery armaty i nieco

*) Ob. „Ateneum“ styczeń—kwiecień 1900 r.

jeńców na łup zwycięzców [1]). Rozpierzchły się i oddziały generałów: Stengela, Neuilly i Mirandy. Zgromadzeni w Liège generałowie: Valence, Dampierre i Miączyński, chcąc się połączyć z niedobitkami, ruszyli na St. Tron z takim pośpiechem, że w odwrocie pozostawili znaczną część zapasów wojennych.

Wreszcie udało się niedobitkom połączyć się w Tirlemont, dokąd na pomoc wezwano Dumourieza. Komisarze konwencyi pośpieszyli do Paryża celem odwołania Dumourieza z Holandyi i postawienia go na czele armii Mozy.

Krok ten tem silniejszą niechęcią do konwentu przejął Dumourieza i utrwalił w nim długo tajony zamiar — wypowiedzenia mu posłuszeństwa.

Na wiadomość o klęskach armii północnej wszczął się w Paryżu zamęt. Konwencya na posiedzeniu z 9 marca 1793 r. zadekretowała ustanowienie trybunału kryminalnego nadzwyczajnego celem ferowania dekretów bezapelacyjnych przeciw wszystkim podejrzanym o spiski przeciwrewolucyjne, w pierwszym rzędzie zaś, na wniosek sekcyi Poissonière, miano zamiar wystąpić z aktem oskarżenia przeciw Dumouriezowi, „arystokracie, przekupionemu przez Anglików".

Najgłośniejszym z wichrzycieli paryskich był podówczas przywódca sekcyi Kordelierów — Polak Łazowski.

Pomimo otrzymanego rozkazu, Dumouriez Holandyi opuścić nie chciał. W proklamacyi do zwyciężonych pod Akwizgranem oddziałów Miączyńskiego wezwał je do pomszczenia porażki: „*Pensez à la vengeance* — pisał — *serrez vos bataillons, baissez vos baionettes, entamez l'hymne des Marseillais, et vous vaincrez!*" Wyprawa do Holandyi zakończyła się niefortunnie.

Nie mogąc oprzeć się nacierającym ze wszech stron wojskom koalicyi, cofnął się Dumouriez do Belgii i tu rozpoczął wojnę otwartą z komisarzami konwencyi, rozkazawszy im udać się do Brukselli i tam wyczekiwać dalszych jego instrukcyi.

Publikola Chaussard, jeden z komisarzy, oburzony tym rozkazem, udał się do Dumourieza z zapytaniem: czy on to jest jego autorem?

---

[1]) „Miączyński arrivait de Rolduc et, à sa grande surprise, trouvait les Impériaux dans Aix la Chapelle. Il les chassa par un brusque effort, mais ils revinrent à la charge, et Miączyński, pliant sous le choc, abandonna la ville, quatre pièces de canon et quelque prisonniers". Chuquet: *Trahis. de Dumouriez*, str. 60.

— Tak jest, obywatelu, odrzekł Dumouriez — i nakazuję ci, byś się do tego rozkazu zastosował!

— Obywatelu generale! Podwładny zwierzchności wojskowej nie ma prawa w taki sposób postępować z podwładnym zwierzchności cywilnej....

— W czyjem imieniu przemawiasz?

— Spełniam urząd republikanina. Jestem trybunem ludu, i odemnie zależy nakazać przyaresztowanie Cezara...

— Wiem, że się nazywasz Publikola...

— Strzeż się zatem, generale, bym na to imię nie zasłużył...

— A zatem zechciej, obywatelu, poddać się memu rozporządzeniu!

— Nie wolno ci, generale, przemawiać tonem wezyra do obywatela francuskiego.

— Nie jestem wezyrem, a pan nie jesteś Publikolą... Jestem przedstawicielem władzy wykonawczej, a gdy będzie potrzeba — obejmę dyktaturę w Belgii.

— Wątpię, czy ci ją powierzą. W każdym razie, ściągasz na siebie wielką odpowiedzialność.

— Przyjmuję tę odpowiedzialność, ocalę Rzeczpospolitą i zdam sprawę ze swego postępowania.

— A więc dobrze. Oddalam się, lecz tylko dlatego, by donieść rządowi o tem, co tu zachodzi...

Dumouriez nie poprzestał na wypędzeniu Chaussarda.

Powierzywszy zarządcom Antwerpii władzę komisarzy narodowych, udał się do Brukselli, gdzie przyaresztował Chepy'ego, nakazał Moretonowi objąć dowództwo w Douai i wydał trzy proklamacye buntownicze do wojska i do obywateli z rozkazem odmówienia posłuszeństwa komisarzom republikańskim i poddania się jego wyłącznie rozporządzeniom.

Miał podówczas Dumouriez pod swymi rozkazami czterdzieści tysięcy piechoty i 4500 jazdy. Prawe skrzydło powierzył generałowi Valence, środek — księciu de Chartres, lewe zaś — generałowi Miranda. Pod rozkazami tego ostatniego pozostawał Miączyński, dowódca oddziału harcowników. Głównem jego zadaniem było pilnowanie nieprzerwalności komunikacyi z Holandyą. Wespół z Dampierrem strzegł przesmyku Geete, na punktach Hongaerde i Haelen. Za danym rozkazem wszystkie oddziały miały przejść do taktyki zaczepnej i rzucić się na zastępy ks. Koburskiego, Holendrów i Anglików. Ewentualne ich zwycięstwo mogło odrazu zni-

weczyć usiłowania sprzymierzonych i zapewnić Dumouriezowi zdobycie Holandyi.

Lecz i zastępy Koburga miały taktykę zaczepną na widoku 15 marca awangarda arcyksięcia Karola zbliżyła się pod Tirlemont. W zaciętej walce Francuzi zrazu ulegli, i oddział Miączyńskiego cofnął się do poblizkiego lasu, gdzie przez dni dwa pomyślnie wytrzymywał ataki nieprzyjacielskie. Dumouriez postanowił odzyskać Tirlemont, i dnia 16 marca 1793 r. po morderczej walce, w której znowu harcownicy Miączyńskiego odznaczyli się dzielnością, plan ten uwieńczyło powodzenie [1]).

Pozostało jedynie wyzyskać to zwycięstwo.

Dnia 18 marca 1793 r. Dumouriez wybrał słynną równinę *Neerwinden*, jako plac boju, na którym miał się rozstrzygnąć los kampanii.

Tu jednak czekała zastępy Dumourieza stanowcza porażka, i, jak bitwa pod Jemappes była wstępem do podboju Belgii, tak bitwa, stoczona 18 marca pod Neerwinden, w niwecz obróciła wszystkie dotychczasowe owoce zwycięstw republikańskich...

Pierwsze trzy krwawe starcia z oddziałami Austryaków zapowiadały pomyślny dla Francuzów rezultat walki.

Oddziały Miączyńskiego i Ruaulta przebyły rzekę Geete pod Neerhessen i Orsmael i wyparły ze stanowisk placówki arcyksięcia Karola. Ruault zdobył Orsmael, Miączyński — Dormael. Lecz w tej chwili nadciągnęły liczne zastępy nieprzyjaciela pod dowództwem generała austryackiego Benyowskiego i wspólnie z dragonami Koburga rzuciły się na oddział Miączyńskiego [2]).

Po pierwszem natarciu nastąpił atak na bagnety, z taką siłą, że żołnierze Miączyńskiego nie oparli mu się i rozpierzchli bezładnie [3]).

Opanowawszy zdobytą na Miączyńskim pozycyę Dormael, generał Benyowski, z oddziałem Węgrów, przy okrzykach *rajta!* natarł na oddziały Ruaulta, Ihlera, Guiscarda i Mirandy i zmusił je również do ucieczki, do rozpaczliwych nawoływań *sauve qui peut!*

---

1) Thiers: *Hist. de révol.* I, 431.

2) Chuquet: *Trahison*, 105.

3) *Ibid.*: „Les troupes de Cobourg furent deux foix réculés et se sont ralliés hors de la portée du canon français. Enfin, une troisième fois, elles chargèrent à la baionnettes, avec tant de vigueur et d'élan, que les soldats de Miączynski le débandèrent et s'enfuirent d'Orsmael vers le pont le plus voisin, dans une confuonis inexprimable“ str. 105.

Klęska była stanowcza. Miączyński z niedobitkami swych wojsk oparł się o Wommersom, skąd jednak, na rozkaz Mirandy, cofnął się w kierunku Tirlemont.

Tymczasem Dumouriez, zajęty obrotami skrzydła prawego i środka, nie wiedział o tem, jaki los spotkał skrzydło lewe. Słysząc kanonadę od strony Orsmael, sądził, że bitwa wre tam na dobre, tymczasem pod wieczór już, nie mając żadnej wiadomości o jej przebiegu, zaniepokojony rusza z paroma adjutantami w stronę Geete, spotyka tam generała Dampierra, który mu donosi, że zmuszonym był zatrzymać po drugiej stronie rzeki swą dywizyę, gdyż inne oddziały były już w rozsypce.

Dumouriez, miotając klątwy, pędzi do Orsmael, gdzie wśród ciemności słyszy hasła niemieckie: *Wer da!* i o mało co nie dostaje się w niewolę huzarów węgierskich... Cofa się jednak szczęśliwie pod Tirlemont i tam, o pół mili za miastem, znajduje niedobitki czterech batalionów Miączyńskiego — smutne ślady poniesionej klęski..

Jedynym jego celem stało się obecnie ocalenie skrzydła prawego i środka, co miało być osiągnięte przez niechybny odwrót, pod osłoną oddziałów: Dampierra, Lamarche'a, Le Veneura i ks. de Chartres.

Lecz generał austryacki Benyowski, otrzymawszy rozkaz ścigania cofających się Francuzów, zjawił się pod Orsmael i zajął Wommersom. Starał się go wyprzeć stamtąd Dumouriez i w tym celu wysłał na czele swoich kolumn zorganizowane oddziały niedobitków Miączyńskiego.

Zdemoralizowane wczorajszą porażką nie mogły się już zdobyć na energię i, zatrzymawszy się w pół drogi, odmówiły dalszego pochodu.

Napróżno starał się je Dumouriez zagrzać do boju. Artylerya austryacka pod wodzą pułkownika Smola prażyła je straszliwym ogniem, a bezwładni żołnierze, skamieniali, sił do walki nie mieli. Pod Dumouriezem padł koń. Nikt dowódcy nie pośpieszył z pomocą. Wygramoliwszy się, pomknął na oślep w kierunku Hackendover.

Tak więc losy kampanii północnej rozstrzygnęła na niekorzyść Francuzów bitwa pod Neerwinden. Dotkliwszemi nierównie były jej moralne następstwa. Wojsko liniowe trzymało się jako tako, lecz ochotnicy, stanowiący trzecią część armii, doszczętnie zdemoralizowani, odmówili dalszej walki pod pozorem, że nie warto dać się zabić w Belgii, gdy można bronić Francyi, we Francyi sa-

mej. Stało się to hasłem do rozsypki kadrów i do wypowiedzenia posłuszeństwa dowódcom.

Odtąd kampania północna przedstawia szereg buntów i zdrad, które wpędziły Dumourieza do obozu przeciwników i, pomimo ostatniego przebłysku bohaterskiego oporu pod Louvain, zmusiły go do rokowań z Koburgiem o zawieszenie broni i swobodny odwrót z Belgii do Francyi.

Niechętnie zgodził się wódz austryacki na taki warunek, lecz uczynił to wobec odmowy księcia Brunświckiego dostarczenia niezbędnych posiłków.

Jedynie zatem Austryacy zdobyli wawrzyny zwycięstwa. Prusacy w pogromie Francuzów pod Neerwinden udziału nie mieli.

21 marca 1793 rozpoczął się odwrót armii Dumourieza z pod Brukselli.

Gdy ostatni Francuz opuszczał to miasto, ludność rozpoczęła palić na wielkim rynku drzewo wolności i frygijskie czapki rzucać w błoto.

Na spotkanie wkraczających do Brukselli wodzów: księcia Koburga, arcyksięcia Karola i hr. Meternicha Winebourga wybiegły tłumy z okrzykami radości, a wieśniacy, przystroiwszy się w zieleń, wołali zapamiętale: *Vive le roi de Prusse!*

XV.

Zdradzieckie plany Dumourieza. Tajna narada w Ath. Pułkownik Mack. Odwrót Francuzów z Belgii. Narady z delegatami Konwentu. Opór Dumourieza. Udaje się do St. Amand. Miączyński w Orchies z niedobitkami armii.

Niepowodzenie złym jest doradzcą. W umyśle rozgoryczonego Dumourieza dojrzewać zaczęła myśl zwalenia przyczyn doznanych klęsk nie na przewagę sił nieprzyjacielskich, na rozprzężenie karności ochotników republikańskich, lecz wyłącznie na konwent, na anarchię, która w nim zapanowała u schyłku 1792 roku.

Klubiści sekcyi Poissonnière już oddawna podejrzewali Dumourieza o zachcianki dyktatorskie, o zdradę, lecz domaganie się ich wytoczenia procesu Dumouriezowi zażegnały na razie mowy Barèra i Marata.

Zwycięstwa pod Argonne i Jemappes otoczyły nazwisko naczelnego wodza aureolą chwały, która pierzchła, jak dym, pod wrażeniem klęski Neerwinden. Dumouriez, rozgoryczony przeciw Montagnardom i Jakóbinom, postanowił nieodzownie stać się konsta-

blem królewskości i przywrócić Francyi rządy monarchiczne, któreby położyły kres gospodarce motłochu paryskiego.

23 marca 1793 r., otrzymał książę Koburski wiadomość, że Dumouriez zamierza rozpędzić konwent, ukarać królobojców i proklamować królem Ludwika XVII. W tym celu prosi o wydelegowanie z ramienia księcia specyalnego pełnomocnika dla rozpoczęcia rokowań, w przedmiocie przyszłego ukształtowania stosunków Francyi do sąsiadów...

Komunikat ten przesłany został bezzwłocznie królowi pruskiemu do wiadomości, i dnia 25 marca, nad wieczorem, przybył do obozu w Ath pułkownik Mack, a po zawiązaniu układów o wymianę jeńców, obaj dowódcy zasiedli za biesiadnym stołem. Szampan rozwiązał usta biesiadnikom. Zaczęto rozmawiać poufnie o bitwie pod Neerwinden, i pod koniec rozmowy Dumouriez szepnął na ucho Mackowi po niemiecku, iż pije w tej chwili za zdrowie cesarza, arcyksięcia Karola, księcia Koburga i wzywa pułkownika do wychylenia kielicha za zdrowie Ludwika XVII.

— Dobrze, generale, odrzekł na to Mack. Za twoje również...

Po biesiadzie usunął się Dumouriez do sąsiedniego pokoju z Mackiem, Thouvenotem, ks. de Chartres i z pułkownikami: Montjone i Valence.

Ten ostatni przybył właśnie z Tournay i miał przewiązaną bandażem głowę.

Szyldwacha postawiono u drzwi.

Dumouriez zabrał głos. Odmalował w jaskrawych barwach stan Francyi, gnębionej przez konwent, przypomniał egzekucyę Ludwika XVI, której zapobiedz nie był w stanie i zakończył wnioskiem o wydobycie Francyi z przepaści.

— Chcę — oświadczył — ruszyć na Paryż z najdzielniejszą i najpewniejszą częścią mojej armii, proklamować Ludwika XVII i zwołać nowe zgromadzenie narodowe. Reszta wojsk moich pozostałaby na dotychczasowych stanowiskach, lecz książe Koburski musi mi dać słowo honoru, że jej atakować nie będzie i dopomoże mi, wedle sił, do spełnienia tej wielkiej imprezy...

Pułkownik Mack oświadczył na to: że, dopóki choć jeden Francuz pozostanie w Belgii i Holandyi, o układach, jakichkolwiek bądź, mowy być nie może..

— Musisz, generale, nadmienił, opuścić te terytorya i cofnąć się w granice Francyi.

W przeciwnym razie książę Koburski bezzwłocznie napadnie na twoje wojska z siłą 60 tysiącznego korpusu i odetnie ci odwrót z Holandyi.

Słowa te ubodły Dumourieza.

— Mam jeszcze dosyć wojska, rzekł wyniośle. Oczekuję posiłków dla dalszej zaciętej obrony. Pamiętaj, pułkowniku, że los oręża jest zmienny. Sprobój pokonać armię holenderską. Jestem pewnym, że odwrotowi jej nie zapobiegniecie.

Mack umilkł i wzruszył ramionami na znak, że propozycyi swej zmienić nie może.

Dumouriez podniósł się z siedzenia, zbliżył do okna i pocichu zaczął się naradzać ze swymi oficerami. Poczem, zwracając się do Macka, rzekł tonem stanowczym:

— Więc dobrze! Niderlandy bywały zawsze łupem jednej bitwy. Ja stoczyłem ich dwie. Jestem zdecydowany. Tej nocy jeszcze wydam rozkaz ewakuowania fortec holenderskich i belgijskich i bezzwłocznie rozpocznę odwrót ku granicom Francyi. Mam nadzieję, iż książę Koburski będzie ze mnie zadowolony.

— Na tych warunkach, rzekł Mack, daję ci, generale, słowo, że książę, daleki od zamiaru nękania twoich wojsk, uczyni wszystko, by ułatwić ci pochód na Paryż.

— Lecz czy zapewniasz, pułkowniku, że wojska moje holenderskie będą mogły bez przeszkody dotrzeć do granicy i że im wszystko do odwrotu niezbędne dostarczonem będzie?

— Przyrzekam ci, generale!

Poczem Dumouriez przedstawił szczegółowy plan swego przedsięwzięcia: stanie na czele awangardy, podzielonej na trzy dywizye. Pierwsza uderzy na konwent, druga na klub Jakóbinów, trzecia na Temple. Proklamacya obwieści przywrócenie królewskości i konstytucyi roku 1791....

— A czy nie byłoby odpowiedniem — wtrącił podchwytliwie Mack — obsadzić niektóre forty francuskie garnizonami austryackimi?

— Przenigdy! zawołał Dumouriez. Obudziłoby to nieufność w mojej armii. Mam w tej mierze zasady niewzruszone. Pragnę uniknąć nawet cienia interwencyi obcej. Zresztą, nacóż tu garnizony austryackie, gdy mogę zaufać własnej armii?

— A jednak... — zarzucił Mack — usposobienia są zmienne. Wojska, które pozostawiasz, generale, na tyłach, mogą cię opuścić...

— Niepodobna! zawołali chórem oficerowie francuscy.

Jeden tylko Thouvenot wyraził powątpiewanie.

Pułkownik austryacki poprzestał na tem oświadczeniu i zapytał o stosunek generała Coustin'a do Dumourieza.

— Ani zły, ani dobry... — odrzekł Dumouriez. Jest to człowiek ograniczony, niezdolny do samodzielności. Zresztą, armia pruska trzyma go zdaleka i nie dopuści do ruszenia na Paryż.

W końcu rozmowy Dumouriez rzucił od niechcenia zapytanie, czyby książę Koburski nie zaliczył dwudziestu tysięcy luidorów dla rozdania ich w Paryżu?... Kasa armii jest wprawdzie zaopatrzoną obficie, lecz byłoby nieroztropnem czerpać z niej. Obudziłoby to podejrzenie.

Poczem rozeszli się wszyscy. Na rozstanie raz jeszcze zapewnił Dumouriez, że cofnie się bezzwłocznie w kierunku Tournay i przekroczy granicę 30 marca. Z obu stron zachowywane będzie zawieszenie broni, które ustanie za 24 godzinnem uprzedniem wypowiedzeniem.

Mack doniósł Koburgowi i cesarzowi o rezultacie narady w Ath.

Dumouriez, dotrzymując słowa, rozkazał dowódcom de Flers i Tilenne, w Bredzie i Gertruidenburg, zawiązać układy o kapitulacyę honorową. Takiż rozkaz posłano i innym dowódcom. Gdzie Francuzi dobrowolnie nie kapitulowali, tam ich do tego znaglano groźbą rozpoczęcia kroków wojennych.

Opuszczały też fortece holenderskie i belgijskie załogi francuskie przy odgłosie bębnów, z rozwiniętymi sztandarami i zapalonemi pochodniami, kierując się ku granicy Francyi, a w trakcie tego Dumouriez odbywał w Tournay naradę z delegatami ministra spraw zagranicznych, Lebruna: Dubuissonem, Proly i Pereyrą, z których pierwszy uchodził za literata, drugi znany był, jako syn naturalny księcia Kaunitza, trzeci, Żyd portugalski, należał do stronnictwa Jakóbinów. Mieli oni zażądać od Dumourieza wytłómaczenia się z wydanych w Belgii proklamacyi i uchwalić środki uratowania Belgii.

Delegaci przybyli do Tournay we wtorek, dnia 26 marca. Zastali generała w domu pani de Sillery, w asystencyi nieodłącznych adjutantek, panien Fernig, oraz generałów: Valence i ks. de Chartres.

Gniewnie oświadczył im Dumouriez, iż uważa Jakóbinów i konwent za główne źródło nieszczęść Francyi, lecz że czuje się dosyć potężnym, by prowadzić walkę na dwa fronty, i, choćby go miano obwołać cezarem, Kromwellem, i Monckiem — zbawi Francyę...

Delegaci, przypisawszy takie zuchwalstwa zdenerwowaniu Dumourieza po doznanych klęskach, oddalili się milcząc, lecz powrócili nazajutrz. Usłyszeli znowu tyradę, iż konwent składa się z 745 tyranów i królobójców, że drwi sobie z jego dekretów i że wkrótce władza jego nie będzie sięgać po za rogatki Paryża. Poprzysiągł, że nie zniesie dalej trybunału rewolucyjnego, że, dopóki tylko przy boku czuć będzie parę cali szpady, nie ustanie w walce przeciw tyranii konwentu, że wreszcie ruszy na Paryż i przywróci dawną konstytucyę i królewskość.

Wspomniał wkońcu o zawiązanych z Koburgiem rokowaniach, o skrupułach, jakie go wstrzymują od otwartego wystąpienia, jedynie ze względu na królową Maryę Antoninę i jej dzieci [1]).

Wobec tak jawnie buntowniczych słów Dumourieza, delegaci opuścili Tournay i udali się przedewszystkiem do komisarzy konwentu: Lacroix, Gossuina, Treilharda, Merlina z Douai i Roberta, wysłanych do Lille celem zaopatrzenia tego miasta w należyte środki obronne i stłumienia wichrzeń przeciwrewolucyjnych.

Lacroix, jakkolwiek osobisty przyjaciel Dumourieza, uznał za konieczne przyaresztować go i odesłać przed kratki konwentu. Inni wszakże koledzy radzili wstrzymać się z tem aż do przybycia reszty komisarzy konwentu: Carnota i Lesage'a Sénault'a, bawiących podówczas w Douai.

Ci ostatni przybyli nazajutrz, a gdy Lacroix wynurzył przed nimi swój projekt, zawahali się wszyscy wobec następstw, jakie w wojsku, i tak już niekarnem, mogłoby wywołać przyaresztowanie naczelnego wodza. Lacroix oświadczył, że przyjmuje na siebie odpowiedzialność i że w razie potrzeby położy trupem buntowniczego generała.

Naradzano się jeszcze czas niejaki, wreszcie stanęło na tem, by wezwać Dumourieza do miasta Lille, pod pozorem zakomunikowania mu instrukcyi i zażądania wyjaśnień, w trakcie czego łatwoby można było dokonać jego uwięzienia.

W odpowiedzi na to wezwanie Dumouriez oświadczył ironicznie, że obowiązkiem jego głównym jest na razie kierować odwrotem armii, a nie bronić sprawy własnej, że głowa jego nie podołałaby naraz obu tym zadaniom.

— Gdybym się udał do Lille — nadmienił — armia powzięłaby pewne obawy, a zaprawdę nie udałbym się do tego miasta bez

[1]) *Monitor* z r. 1792. № 92.

dostatecznej siły dla ukarania wszystkich tam zgromadzonych niegodziwców, miotających przeciw mnie potwarze. Przyślijcie mi, jeśli chcecie, dwu lub czterech z pośród siebie delegatów. Odpowiem im na wszystkie pytania otwarcie i szczerze...

Wobec takiej odpowiedzi, komisarze konwentu postanowili, udać się bezzwłocznie do Tournay, gdy nadspodziewanie otrzymali od Dumourieza list, donoszący im, że wobec rozprzężenia armii postanowił opuścić Tournay i udać się do St. Amand, gdzie 31 marca oczekiwać będzie przybycia komisarzy.

Odwrót wojska francuskiego właśnie się był w tym dniu zakończył. Postanowiono zatem udać się 1 kwietnia do St. Amand, a po zbadaniu Dumourieza oddalić się niby na naradę do sąsiedniego pokoju, tymczasem zaś obezwładnić buntowniczego generała, zamianować w jego miejsce innego i o wszystkiem, co zajdzie, obwieścić armii oddzielną proklamacyą.

Lacroix raz jeszcze zaklął się, że w razie najlżejszego oporu Dumourieza uśmierci...

W trakcie tego park artyleryi udał się za Dumouriezem do St. Amand. Armia Ardeńska obozowała w Maulde, północna zaś w Brouille. Harcownicy Miączyńskiego znajdowali się w Orchies, dywizya Ferranda w Valenciennes, a Duvala w Lille...

Dramat zbliżał się ku rozwiązaniu...

XVI.

Uchwały komitetu ocalenia publicznego. List Dumourieza do Beurnonvilla. Delegacya nowych komisarzy. W Lille. Generał Duval. St. George i Tomasz Aleksander Dumas. Groźby Miączyńskiego. W St. Amand. Bunt generała. Aresztowanie komisarzy.

Na wiadomość o kapitulacyach belgijsko-holenderskich, komitet obrony, przemianowany z dniem 26 marca 1793 r. na komitet ocalenia publicznego, z gorączkową energią zdwajał środki zabezpieczenia granic zewnętrznych i wewnętrznego spokoju Francyi. — Jeszcze w początkach marca odzywały się głosy, broniące Dumourieza, lecz już 29 marca opinia ogółu potępiła generała i postępowanie jego bez ogródek okrzyknęła — zdradą.

Zwrot ten wywołał odczytany przez ministra Beurnonvilla list Dumourieza, w którym, nie tając już wstrętu do rządów konwentu, zapowiedział przywrócenie królewskości i konstytucyi, a gdy na domiar groźby nadszedł raport komisarzy: Dubuissona, Proly

i Pereyry, opisujący rozmowę z Dumouriezem, komitet ocalenia publicznego jednomyślnie postanowił wezwać zdrajcę przed kratki konwentu i delegował w tym celu, jak wiemy, nowych komisarzy w asystencyi ministra wojny Beurnonvilla.

Ten ostatni, osobisty przyjaciel Dumourieza, chciał się zrazu wymówić od fatalnej misyi, lecz się na to nie zgodzono.

Czterej komisarze: Camus, Quinette, Lamarque i Baucal, mianowani przez komitet, zatwierdzeni zostali przez konwent, z przydaniem im Łazarza Carnota, który podówczas zwiedzał forty na granicy północnej i znajdował się w Lille.

30 marca nad wieczorem komisarze pocztą ruszyli do Flandryi i 31 nad ranem spotkali w drodze kuryera Langueta z listem Dumourieza, oświadczającym, iż generał do Lille się nie uda, że znajdzie dosyć sił i środków do poskromienia wrogów Francyi, zewnętrznych i wewnętrznych. Komisarze donieśli przez gońca Langueta konwentowi o wykonaniu instrukcyi.

W poniedziałek, 1 kwietnia 1793 r., stanęli w Lille, lecz tam Carnota nie zastali, gdyż właśnie w wilię ich przyjazdu udał się do Arras. Widocznie losy sprzyjały Rzplitej, gdyż, gdyby Carnot zarzymał się był w Lille, wpadłby wspólnie z innymi komisarzami w ręce Austryaków, dzięki zdradzie Dumourieza, i Francya utraciłaby przyszłego „organizatora zwycięstw".

Poprzedni komisarze znajdowali się jeszcze w Lille i ze zdziwieniem dowiedzieli się o swem odwołaniu. Delacroix wynurzył żal, iż go pozbawiono możności dostawienia Dumourieza, lecz należało poddać się rozkazowi, i tegoż dnia jeszcze komisarze: Delacroix, Gossuin, Merlin i Robert ruszyli w drogę.

W Lille był komendantem generał Duval Komisarze ofiarowali mu naczelne dowództwo nad armią północną, lecz Duval wymówił się brakiem uzdolnienia do tak ważnego stanowiska.

Wówczas komisarze, jadąc do St. Amand, gdzie spodziewali się zastać Dumourieza, zatrzymali się w Orchies, w którem konsystowały oddziały Miączyńskiego. Duval dodał im eskortę stu strzelców konnych, na której czele był głośny pułkownik St. George, towarzyszem zaś jego, w randze podpułkownika, był Aleksander Dumas, ojciec autora Muszkieterów.

Zmęczone ośmiomilowym kłusem konie orszaku pozostawiono w Orchies, dla wypoczynku. Minister Beurnonville zażądał od Miączyńskiego — orszaku innych stu jezdnych z legii Ardeńskiej.

Miączyński okazał pozorną uległość komisarzom (*„leur fait mille courbettes"* z przekąsem wyraża się Chuquet), lecz przeszło pół godziny, a orszaku nie było.

Camus i jego towarzysze gniewnie zwracają się do Miączyńskiego, zarzucając mu opieszałość, która, zdaniem ich, stała się źródłem klęsk Francyi i czynią mu zarzuty z powodu porażki pod Akwizgranem.

Miączyński, podrażniony tymi wyrzutami:

— Nie znam się — woła — na waszej polityce, lecz umiem się bić i bić się będę dalej!

Camus nakazał mu milczenie. Wówczas Miączyński oddalił się, szepcząc jakieś pogróżki:

— To nie do uwierzenia! Tak się to postępuje z uczciwymi ludźmi. Pożałujecie tego! [1])

Noc zapadła, gdy komisarze dotarli do St. Amand. Eskortę dla niepoznaki pozostawili pod miastem i sami, pod osłoną kilku żołnierzy, udali się do pałacyku, w którym przebywał Dumouriez.

Nieopodal od gospody „pod Lwem złotym" spostrzegli trzydziestu huzarów austryackich z oddziału Berchiny.

— Co wy za jedni? zapytał ich Camus.

— Jesteśmy strażą honorową generała Dumourieza.

Generał, uprzedzony sztafetą o przyjeździe komisarzy, przyjął ich w otoczeniu sztabu swych oficerów.

Spostrzegłszy Beurnonvilla, rzucił się w jego objęcia, innych zaś komisarzy powitał uprzejmie.

— Przybywacie, oczywiście — rzekł — by mnie aresztować.

Beurnonville oświadczył, iż właściwiej będzie rozmówić się na osobności.

— Czyny moje, odparł Dumouriez, nie lękają się światła. Dekret, uchwalony przez siedemset osób, nie jest tajemnicą. Oficerowie moi i koledzy mogą wszystko widzieć i wszystkiego wysłuchać!

Na usilne domaganie się Beurnonvilla zgodził się wreszcie przejść do gabinetu. Poszedł za nim generał Valence, oficerowie zaś sztabowi, nie chcąc stracić z oczu generała, nie zgodzili się na zamknięcie drzwi.

Dumouriez odczytał dekret, przedstawiony mu przez Camusa.

---

[1]) Raport Camusa. Zeznanie St. George'a, przytoczone przez Chuqueta: *Trahison*, str. 170.

— Dekret ten — rzekł — przychodzi nie w porę. Armia jest rozsprzężoną, niezadowoloną. Usiłuję doprowadzić ją do należytego ładu. Czyż podobna w tym stanie porzucić ją i narazić na rozsprzężenie doszczętne? Gdy ją wzmocnię i podniosę jej ducha, wówczas zdam ze swego postępowania sprawę. Poznają wówczas, czy zasługuję na powołanie przed kratki konwentu. Jesteście na miejscu i możecie ocenić, co wam czynić wypada. Z dekretu widzę, że macie upoważnienie zawiesić mnie w obowiązkach. Konwent, który was wybrał do tak drażliwej misyi, liczy na waszą roztropność i stanowczość.

— Generale — rzekł Camus — musimy spełnić włożony na nas obowiązek.

— Pomnijcie na odpowiedzialność, jaką bierzecie na siebie, zawieszając mnie w urzędzie. Przyjmijcie raczej moją dymisyę, o którą już od trzech miesięcy proszę.

— Do tego nie mamy władzy. Zresztą cóż uczynić zamyślasz, generale, po otrzymaniu dymisyi?

— To, co za właściwe uznam. Lecz oświadczam bez ogródek, że do Paryża się nie udam, gdzie mnie czeka dekret trybunału rewolucyjnego.

— A więc nie uznajesz władzy trybunału?

— Nie, nie uznaję! Nigdy się owemu barbarzyńskiemu sądowi nie poddam. Natomiast uczynię wszystko, by wyzwolić z pod jego władzy ziomków moich. Jest on zakałą wolnego narodu!

Wtrącili się do rozmowy towarzysze Camusa.

— Dlaczego, generale, odmawiasz udania się do Paryża? Miasto jest spokojne. Obawiać się nie masz powodu. Staniesz przed kratkami konwentu, a nie trybunału, i potwarcze wieści ucichną.

— Znam Paryż tak dobrze, jak i wy — odrzekł Dumouriez. Byłem tam w styczniu. Miasto bynajmniej spokojnem nie jest, zwłaszcza po naszych ostatnich porażkach. Wiem, że konwent opanowanym jest przez Marata, przez Jakóbinów, przez trybunów. Przed ich zawziętością nie będzie mnie mógł osłonić. Zresztą, gdybym się nawet poniżył do tego, by stanąć przed konwentem, zachowanie się moje byłoby dostatecznem dla mego potępienia.

— Towarzyszyć ci będę — rzekł Quinet — osłonię cię własną osobą i nie dopuszczę twej zguby.

— Odpowiadam własną głową, nadmienił Lamarque, za nietykalność twoją.

— Lecz czy zdołam nawet dostać się do Paryża? Zduszą mnie podczas drogi. Zbójcy nasadzeni są na mnie. Wiem to od waszych ludzi, że w Roye, w Tournay i w Senlis czyhają na mnie dragoni Rzplitej, by mnie rozsiekać.

Bancal zaczął przytaczać przykłady uległości generałów greckich i rzymskich.

— Panie Bancal, odparł Dumouriez, cytacye nie do wypadku. Nie poprawiajmy historyi starożytnej. Rzymianie nie zamordowali Tarkwiniusza. Mieli wybornie uorganizowaną Rzplitą i doskonałe prawa. My zaś żyjemy w czasach anarchii. Nie mam ochoty oddać głowy mojej na pastwę tygrysom. Mówię to bez obawy posądzenia mnie o tchórzowstwo.

Camus zabrał głos:

— A więc nie chcesz się poddać dekretowi konwentu?

— Podałem powody. Proszę nie doprowadzać sprawy do ostateczności. Wracajcie do Lille. Ja armii nie opuszczę, gdyż doszczętnieby się rozsprzęgła.

— Ja ciebie zastąpię — przerwał Beurnonville. Zapewniam, że nieprzyjaciel nie wtargnie na terytoryum Francyi. Znam granice, i póki tam dowodziłem, nikt nie śmiał pokusić się o najazd. Oparłem się w trzy tysiące żołnierza dwudziestu tysiącom Austryaków.

Dumouriez roześmiał się.

— Przybyliście tu zatem, by mi zdmuchnąć z przed nosa dowództwo.

— Generale — odezwał się jeden z komisarzy. Nieposłuszeństwo twoje gubi Rzplitą. Państwo nie może się utrzymać, gdy obywatele wyłamują się z pod prawa. Czy chcesz naśladować Lafayetta, którego sam potępiłeś? Francuzi uwielbiają cię. Czy chcesz się stać przedmiotem ich nienawiści i pogardy?..

Czas mijał. Ósma wybiła na zegarze. Delegaci mieli wysłać gońca bezzwłocznie, by we środę rano mógł zdać sprawę o wykonaniu dekretu.

Na dany przez Camusa znak komisarze skłonili się i weszli dla narady do sąsiedniego pokoju.

Z Dumouriezem pozostał Beurnonville. Starał się go generał przeciągnąć na swoją stronę.

— Nie uczynię tego — oświadczył Beurnonville. Zginę raczej, a nie zdradzę ojczyzny. Położenie moje jest okropne. Widzę, że jesteś zdecydowany na krok stanowczy. Błagam cię więc, byś mi pozwolił podzielić los moich kolegów.

— Rad będę, że ci oddam przysługę. To mówiąc, wszedł z Beurnonvillem i Valencem na salę ogólną, gdzie oficerowie sztabowi wyczekiwali niecierpliwie rezultatu narady.

Dumouriez zbliżył się z uśmiechem do lekarza wojskowego Menureta i zapytał żartobliwie:

— Cóż, doktorze! Jakiż mi plaster przepisujesz na ranę?

— Taki, jak w roku zeszłym na polu bitwy pod Maulde... Trochę nieposłuszeństwa...

Po upływie godziny wyszli z gabinetu komisarze, a na czele ich był Camus.

Dumouriez, oparłszy się o kominek, z podniesioną głowę, z uśmiechem na ustach, oczekiwał.

— Obywatelu generale — przemówil Camus. Znanym ci jest dekret konwentu, powołujący cię przed jego kratki. Czy będziesz mu posłuszny?

— Nie!

— Odmawiasz więc uległości prawu.

— Armia mnie potrzebuje...

— Nieposłuszeństwo to czyni twoją winę oczywistą.

— A zatem?

— W myśl dekretu opieczętujemy twoje papiery...

— Nie ścierpię tego!

Szemranie powstało między oficerami Dumourieza.

— Nazwiska tych ludzi? zapytał Camus.

— Sami je podadzą.

Jakoż jeden z oficerów odezwał się.

— Nazywam się Devaux.

Drugi: Nazywam się Nyss.

Dumouriez, ironicznie wskazując na panny Fernig:

— Oto są — rzecze — moje adjutantki. Czy możesz wątpić o ich odwadze?

— To okropne! zawołała jedna z nich.

— Dosyć tego — rzekł Camus. Zbyt długo to się przewleka. Proszę, by mi wszyscy ci panowie wręczyli swe dokumenta. Co do ciebie, generale, w imieniu narodu i prawa, zawieszamy cię w obowiązkach.

Oficerowie podnieśli protest.

Dumouriez skinął na nich.

— Tego już za wiele. Musimy tę sprawę zakończyć. Pułkowniku, wezwij tu huzarów!

Drzwi się otwierają. Wchodzą żołnierze i otaczają komisarzy.

— Aresztować tych ludzi! — woła Dumouriez do nich w języku niemieckim — lecz nie czynić im żadnej przykrości... Kochany Beurnonville, jesteś także aresztowanym, lecz zatrzymasz szpadę. Będziecie moimi zakładnikami...

Camus zwraca się do Dumourieza.

— Generale, gubisz Rzplitą!

— To raczej ty, bezrozumny starcze, ją gubisz.

Po upływie paru godzin karety z uwięzionymi komisarzami pomknęły w stronę Belgii.

Nad ranem znalazły się pod eskortą huzarów Berchiny między patrolami austryackimi. Towarzyszył im list Dumourieza, do generała Clayrfaita adresowany.

— Posyłam ci, generale — pisał zdradziecki wódz francuski — czterech deputowanych konwentu, którzy imieniem tyranów przybyli mnie aresztować i poprowadzić przed kratki.

Prosił w końcu Dumouriez, by aresztowanych dostawić, jako zakładników, księciu Koburskiemu, sam zaś zapewnił o swej gotowości uśmierzenia motłochu paryskiego.

Książę Koburski odmówił przyjęcia jeńców. Odesłał ich do Maestrichtu, a następnie do twierdzy Ehrenbreitstein, wreszcie do Czech i na Morawy, gdzie część ich osadzono w Spielbergu, resztę w Ołomuńcu [1]).

(*d. c. n.*) *Alexander Kraushar.*

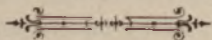


---

[1]) Niewola zakładników trwała do 25 grudnia 1795 r., do chwili wymiany ich na córkę Ludwika XVI i Maryi Antoniny, *Madame Royale*, późniejszą księżnę d'Angoulême. Beurnonville został następnie posłem francuskim przy dworze berlińskim.

Przesilenie rolne

w NIEMCZECH.



Dwie, równolegle wzmagające się dążności w życiu społecznem Niemiec, wzrost ruchu agrarnego i stosunkowe wyludnianie się wsi, nasuwają socyologowi myśl, że w układzie sił społecznych o przewadze politycznej stanowi nie tylko stosunek liczebny stanów lub klas, ale i czynniki poboczne, jak uświadomienie społeczne, tradycye historyczne, barwa polityczna i t. d. Od początku bieżącego stulecia ludność rolnicza w Niemczech kurczy się i maleje, ustępując wobec nowych zajęć wytwórczych na plan drugi. Nieubłagane cyfry statystyki zawodowej coraz jaskrawiej ujawniają drugorzędne stanowisko, jakie zajęło obecnie rolnictwo w gospodarce społecznej. Jeszcze na zaraniu XIX wieku cała niemal ludność żyła z roli, a już w połowie wieku stosunek uległ poważnej zmianie: 65% zajęte przy roli, reszta przeszła do zajęć innych. Z biegiem czasu zjawisko to przybrało żywsze tempo. Gdy w czerwcu roku 1882 ks. Bismarck przeprowadził statystykę zawodową, chcąc powagą cyfr poprzeć

swą politykę agrarną, rezultaty zawiodły oczekiwania kanclerza, gdyż wbrew przewidywaniom nie wykazały przewagi stanu ziemiańskiego: ludność rolnicza wynosiła zaledwie 42,5%, a przemysł i handel zatrudniały 45,5%. Wreszcie rok 1895, era polityki Capriviego, który, wedle słów własnych, „nie posiadał ani jednej piędzi ziemi", potwierdził w zupełności założenie nowego kanclerza, że rolnictwo przestało już być głównem zajęciem większości obywateli państwa. Niemcy stały się państwem przemysłowem: ludność rolnicza wraz z ogrodnictwem, chowem bydła i rybołówstwem wynosiła — 35,74%, przemysłowa zaś i handlowa -- 50,6%. Niemal równolegle z tem zjawiskiem rosną wymagania ziemian, w stronę władzy państwowej skierowane. Towarzystwa rolnicze, wywiady rządowe domagają się zacieśnienia rogatek celnych, by w ten sposób żaden hektolitr zagranicznego zboża nie przedostał się do państwa, żądają upaństwowienia handlu zbożowego, zniesienia swobody ruchu i traktatów handlowych, wnoszą wreszcie wiele innych projektów, jak gdyby naprzekór wszelkim tendencyom rozwojowym współczesnego gospodarstwa Niemiec. Kwestya agrarna i środki zapobiegawcze nie schodzą z porządku dziennego obrad najrozmaitszych ciał prawodawczych, a składają się na to rozmaite czynniki. Liczny udział w dykasteryach rządowych synów ziemiańskich, dotkliwie odczuwających spadek renty, historyczne zasługi rycerstwa, wreszcie konserwatyzm tej sfery nie pozwalają rządowi obojętnie spozierać na nowy proces dziejowy, który usuwa grunt z pod nóg najstarszej historycznie klasie wytwórczej. Ten jej odwieczny charakter nakazuje państwu energicznie poprzeć rolników, którzy stoją wobec ciężkiego przesilenia. Wyświetlenie istoty i charakteru zmian, jakim uległo rolnictwo niemieckie, stanowi zadanie niniejszej pracy.

W pierwszej połowie naszego stulecia wprowadzone zostały do rolnictwa niemieckiego takiej doniosłości reformy, społeczne i techniczne, jakich nie zaznało ono od czterech wieków. Reformy Stein-Hardenberga, znoszące poddaństwo, wlały nową krew w stężały organizm: zniewoliły większych właścicieli do wprowadzenia intensywniejszej gospodarki, czemu szczególniej sprzyjał rozwój nauk agronomicznych. Udoskonalenia techniczne, zmierzające do podniesienia wydajności ziemi, znalazły licznych zwolenników, albowiem naradzające się ogniska przemysłowe stawały się dogodnym i blizkim rynkiem zbytu dla produktów rolnych. Cena tych ostatnich bezustannie wzrastała: tak naprzykład cena 1000 kilo pszenicy (Conrad) w markach wynosiła:

	Anglia	Francya	Prusy
1821—30	266	192.40	121,40
31—40	254	190,20	138,40
41—50	240	206,60	167,70
51—60	250	231,40	211,40
61—70	248	224.60	204.60
71—75	246.40	248.80	235.20

Renta rosła, majątki szły w górę. Słusznie Conrad nazywa okres pomiędzy 1840 a 1875 r. okresem pomyślnym dla rolnictwa niemieckiego, a minister rolnictwa w Prusach w swem sprawozdaniu z r. 1859 stwierdza powszechny dobrobyt warstwy ziemiańskiej i wzrost cen na ziemię, które mu się wydawały nawet nadmiernemi. Lecz wkrótce po latach tłustych nastąpiły chude: na rynkach angielskich ukazał się w 1875 r. groźny współzawodnik z Ameryki i tuż deprymująco oddziałał na ceny: za 1000 kilo pszenicy płacono marek (Conrad):

	Anglia	Francya	Prusy
1876 — 80	206.80	229.10	211.20
81 — 85	180.40	205,60	189,00
89	137	198,30	192

Wskutek takiej szalonej zniżki cen zboże amerykańskie wszechwładnie zapanowało na rynku angielskim, skąd też całkowicie wyrugowane zostało ziarno niemieckie. W Niemczech pocieszano się, że konkurencya ta niedługo potrwa, że obszary ziemi, eksploatowane w sposób rabunkowy, wkrótce wyjałowieją. Lecz nadzieja zawiodła. Konkurencya nie tylko nie została zwalczoną, ale, opanowawszy targi angielskie, przeniosła swe pole operacyjne do Niemiec i tu zagrażać poczęła miejscowemu zbożu. Niebezpieczeństwo blizkie a groźne wymagało szybkiej i energicznej akcyi ratunkowej. Ówczesny kanclerz, ks. Bismarck nie odmówił swej pomocy i w r. 1879 po długiej i uporczywej walce w prasie, opinii publicznej i w parlamencie opasał ojczyznę swą rogatkami celnemi, broniąc ją w ten sposób od dopływu zboża zagranicznego. Nie będziemy podejmowali niezliczonych *pro* i *contra*, owych pereł krasomówczych, jakie nowa fala polityki ekonomicznej wyrzuciła na piaski dziennikarstwa niemieckiego, lecz zatrzymamy się jedynie na dwu wytycznych programach przeciwników i zwolenników systemu protekcyjnego.

Cło, rozumowali pierwsi, wpłynie na podrożenie produktów spożywczych, więc albo na zmniejszenie konsumcyi u większości

narodu albo też na wzrost płacy roboczej, co znów utrudni konkurencyę z przemysłem zagranicznym. W ten sposób cło, a właściwie nadwyżka, jaką płacą spożywcy rolnikom niemieckim, nie dopuszczającym taniego zboża zagranicznego, staje się „darem miłosnym", opłacanym przez lud. „Dar" ten ratuje od gwałtownej zniżki rentę gruntową, która płynie do kieszeni nielicznej garści agraryuszów, ale zarazem uniemożliwia ostanie się fabrykatów niemieckich na rynkach zamorskich lub zniża stopę życiową ludności pracującej.

Wręcz przeciwnie zapatrują się na tę kwestyę zwolennicy systemu protekcyjnego. W ich oczach jest cło nieskruszoną opoką, potężnie podpierającą rolnictwo w Niemczech, a z niem i całokształt stosunków państwowych. Usuńmy tę podporę — wołają — a cała budowa runie! Znieśmy cło, a skażemy stan rolników na zagładę! Świadczy o tem dowodnie Anglia, hołdująca zasadom wolnego handlu. Tysiące hektarów uprawnej ziemi, wzbogaconej nakładem pracy i kapitału, nagle zamieniają się w pastwiska. Setki tysięcy rodzin rolniczych ze stanowiska klasy uprzywilejowanej strącone zostaną w otchłań nędzy. Ludność rolna zmniejszyć się może o połowę. Niemcy nie mogą i nie powinny za cenę taniego zboża pozbawiać się olbrzymiej klasy wytwórczej, która ze względu na swój stan fizyczny i konserwatyzm przekonań krwią swoją pokrzepia nadwątloną społeczność miejską i miarkuje jej dążności wywrotowe. Niemcy, pozbawiając się klasy rolniczej, tracą kilkumilionowy rynek zbytu dla fabrykatów własnych, rynek tem cenniejszy, że pewny, czego powiedzieć nie można o rynkach zagranicznych. Prócz tych względów ekonomicznych zwolennicy cła wystawiają jeszcze i wzgląd ściśle polityczny: zależność w otrzymywaniu zboża od zagranicy może mieć doniosłe znaczenie podczas wojny. Mocarstwa sąsiednie, zamykając granice dla zboża, mogą zagrozić Niemcom głodem i w ten sposób zmusić do złożenia broni. Jedynie Anglia dzięki szczęśliwemu położeniu geograficznemu może uniknąć tej ewentualności.

Zwyczajem krajów konstytucyjnych przed wprowadzeniem projektu w życie poczęto wytaczać przed forum publiczne wszystkie te argumenty, zaprawiając je sosem partyjnym i ozdabiając kwiatami retoryki. Koniec końcem parlament uchwalił cło na zboże zagraniczne w ilości 1 marki na centnar podwójny pszenicy i żyta, 50 fenigów — jęczmienia, gryki i kukurydzy. A stało się to po długich targach partyjnych, przy których rządowcy kładli na szalę potwierdzenia nie tylko rozumowania teoretyczne o korzyściach cła dla gospodarstwa narodowego. Lecz tuż po uchwaleniu cła sprawdziła się przepowiednia przeciwników, że cło nałożone nie

daje się traktować, jako zjawisko przejściowe, gdyż i przyczyny, co je wywołały, są natury stałej. Wszelkie nadzieje co do zwalczenia konkurencyi okazały się płonnemi, a złudne rachuby na wyjałowienie gruntów amerykańskich zawiodły zupełnie. Co gorsza, obszar krajów zamorskich, wytwarzających zboże, wciąż niepomiernie wzrastał; do liczby krajów już współzawodniczących przybywały nowe. Rynek zbożowy zataczał coraz szersze kręgi, rozsiadał się po wszystkich zakątkach kuli ziemskiej, aż wreszcie stał się wszechświatowym. Obecnie po latach dwudziestu gorzkiego doświadczenia oceniamy całą bezpodstawność ówczesnych rojeń, gdyż widzimy, jak rynek zbożowy dotąd się jeszcze rozrasta, jak wciąż wchłania nowe obszary i skwapliwie korzysta z dróg, jakie mu toruje kapitał europejski, czy to przeprowadzając koleje żelazne, czy też udostępniając parową żeglugę morską. Minęły bezpowrotnie czasy, kiedy w podręcznikach ekonomii słusznie zaznaczano, że klejnoty i kruszce szlachetne jedynie nadają się do przewozu na duże przestrzenie. Obecnie i towary wielkiej pojemności nie znają obawy przestrzennej: zboże, szukając spożywcy, tysiące przewędruje mil, nie odczuwając kosztów transportu. Koszta przewozu wciąż ulegają zniżeniu: przestrzeń nie wpływa na podrożenie towaru. W 1895 roku fracht Chicago, N. York, Hamburg, to jest bez mała 10,000 kilom., wynosił na jednej tonnie żyta 18,99 mar. — tyle, co kosztuje w Niemczech 396 kilom. kolei. Przewóz z Indyi do Rotterdamu i Antwerpii wynosił w 1893 roku 20,70 m., w 1896 r. — 12,16 m. Ciągła zniżka cen na targu wszechświatowym od roku 1879, ów konkretny symbol wspaniałego rozwoju handlu wszechświatowego, jest zarazem świetną ilustracyą stopniowego pierzchania pięknych marzeń ziemiańskich. Cena zboża indyjskiego w Hamburgu bez cła w 1876/80 r. wynosiła 203,30, a w 1891/95 r.—167,80, to jest o 55,50 marek mniej. Już stare cła nie chroniły zboża od konkurencyi na rynku własnym, jeśli renta nie miała uledz redukcyi, a majątki wymknąć się z rąk dotychczasowych właścicieli. Rząd, chcąc być konsekwentnym, musiał podnieść cło, co też uczynił dwukrotnie: w 1885 i 1887 roku. Dopiero w 1892 roku za rządów Capriviego traktaty handlowe, z całą środkową Europą zawarte, osłabiły parcie polityki protekcyjnej. Cło na główne produkty zmiejszone zostało z 5 marek na 3 mar. 50 fen. Krok ten przypłacił Caprivi dymisyą, i dotychczas jeszcze nie mogą przeboleć agraryusze traktatów handlowych, które Niemcom przyniosły nieobliczone korzyści ekonomiczne. Obecnie cło na dotychczasowym swym poziomie stało się nieodzownym punktem programu rządowego i niezbędnym warun-

kiem istnienia dla większości posiadaczy rolnych. Nawet chłopi na pięciu hektarach (a obszar gospodarstw 5 hektarowych wynosi 84% ziemi uprawnej) wobec zaniku gospodarki naturalnej i rozwoju potrzeb, zaspakajanych za pośrednictwem pieniędzy, odczuwają wahanie się cen na produkty rolne. Cło chroni je od znacznej zniżki, przez to samo utrzymuje wartość majątku na poziomie dawniejszym. Zniesienie cła spowoduje nagłą zniżkę wartości ziemi i będzie wyrokiem śmierci dla jej obecnych posiadaczy. Świadomość ta dociera do szerokich sfer społecznych i wywołuje odpowiednie zmiany. Jedna z bardzo rozpowszechnionych gazet mieszczańskich z 13/III 1899 r. w następujący komentarz zaopatrzyła swe sprawozdanie z obrad parlamentu nad prawem hypotecznem. Chłoszcząc zabiegi agraryuszów koło podniesienia wartości listów zastawnych ziemskich kosztem miejskich, gazeta powiada: „Dawniej takie niedocenianie listów miejskich w stosunku do ziemskich odpowiadało powszechnie panującym poglądom. Z biegiem jednak czasu poglądy się zmieniają. Wartość nieruchomości miejskich polega obecnie na naturalnym rozwoju miast; o jakiejkolwiek sztucznej i z tego względu niepewnej zwyżce wartości mowy być nie może. Inaczej się rzecz ma z posiadłościami wiejskiemi. Dzięki tendencyom agrarnym współczesnego prawodawstwa, cłom i premiom: cukrowym i spirytusowym, majątki ziemskie są wyśrubowane do wielkości, na której się trzymają, dopóki prawodawstwo wysługuje się ich posiadaczom. Z chwilą, gdy władza prawodawcza odwróci się od nich, poziom wartości wiejskich nagle upadnie". Na tem podłożu celnem, które jest *conditio sine qua non* spółczesnego rolnictwa w Niemczech, rozwijają się poszczególne przejawy gospodarki rolnej w Niemczech: wzajemny stosunek własności wielkiej, średniej i drobnej, ruch stowarzyszeniowy, gospodarka intensywna, stopniowe przejście do nowych gałęzi wytwórczych. Gdybyśmy jednak rolnictwo pozbawili tego fundamentu, zapadłby się cały gmach stanu rolniczego, i na jego miejsce powstaćby musiała nowa organizacya wytwórcza.

Skoro już zapoznaliśmy się z ogólnem tłem rolnictwa, przejść możemy do badania poszczególnych jego przejawów, jak fizyk, wiedząc o powszechnem parciu atmosfery, bliżej rozpatruje stosunek wzajemny ciał, na tle powszechnego atmosferycznego wpływu powstały.

II.

Państwa i państewka, przez rzeszę niemiecką pochłonięte, przechodziły odmienne koleje historyczne i pod wpływem różnych

poglądów prawnych i społecznych wytworzyły kilka odrębnych typów gospodarstw wiejskich. Na zachodzie blizkie sąsiedztwo Francyi, wpływ jej prawodawstwa i rozwój przemysłu sprzyjały utrwaleniu drobnej własności ziemskiej, która obecnie przeważa w prowincyach nadreńskich; wschód z tradycyami krzyżackiemi wytworzył wielką własność, środek państwa, usiany zagrodami chłopskiemi wielkości od 5 do 50 hekt., stał się siedliskiem własności średniej. Co prawda, trudno jest przeprowadzić dokładną linię demarkacyjną, którąby dzieliła gospodarstwa podług obszaru na jednolite grupy, ulegające odmiennym prawom rozwojowym. O przynależności danego gospodarstwa do tej lub owej grupy stanowi nie tylko obszar gruntów, ale i gatunek gleby, ta lub inna uprawa roli, system gospodarki, na ogół jednak biorąc, gdy mowa o całem państwie, możemy bez obawy zbłądzenia ułożyć gospodarstwa niemieckie w następujące pięć grup, które statystyka urzędowa w swych badaniach za wytyczne przyjmuje: gospodarstwa poniżej 2 hek. — drobna własność, od 2 do 5 hek.—mała, od 5 do 20 hek.—średnia, od 20 do 100 — większa, od 1000 i wyżej — wielka.

Chcąc poznać tendencye rozwojowe i wzajemny stosunek tych pięciu głównych grup, rozpatrzmy następującą tabelę porównawczą liczb i obszaru gospodarstw w latach 1882 i 1895.

Wielkość gospodarstw	Liczba gospodarstw		Uprawnej ziemi hekt.		na 100 gospodarstw wogóle		na 100 hekt. uprawnej ziemi	
	r. 1882	r. 1895	r. 1882	r. 1895	r. 1882	r. 1895	r. 1882	r. 1895
poniżej 2 ha.	3,061,831	3,236,367	1,825,938	1,808,444	58,23	58,03	5,75	5,56
od 2 do 5	981,407	1,016,313	3,190,208	3,285,984	18,60	18,28	10.01	18,11
od 5 do 20	926,605	998,804	9,158,398	9,721,875	17,56	17,97	28,74	29,20
od 20 do 100	281,510	281,767	9,908,170	9.869,837	5,34	5,07	31,09	30,35
powyżej 100	24,991	25,061	7,786,263	7,831,801	0,47	0.45	24,43	24,08
	5,276,344	5,558,317	31.868,972	32,517,941				

Ogółem tedy przybyło w okresie 1882—1895 gospodarstw przeszło ćwierć miliona (281,973), ale nie był to wzrost równomierny wszystkich wzmiankowanych grup, gdyż jedne wzrastały kosztem innych. Liczebnie przybyło najwięcej drobnych gospodarstw, potem średnich; czwarta i piąta grupa w stosunku do pozostałych wykazują straty. Zestawiając dane o ilościowym wzroście gospodarstw każdej grupy ze zmianami, jakich doznały też gospodarstwa pod względem obszarów, przekonywamy się, że najdzielniej uporała się z trudnościami ekonomicznemi, a nawet wyszła zwycięsko z walki

i wzmocniła się własność średnia. Drobna własność, choć liczebnie wzrasta, to jednak ziemią się nie bogaci i szuka poza rolnictwem punktu swego oparcia. Grupy od 20 do 100 i wyżej hek. borykają się z trudnościami przesilenia bez widocznych dodatnich rezultatów; tylko gospodarstwa powyżej 1000 ha. wskazują nieznaczny wzrost liczebny. Jak dalece średnia własność najbardziej odpowiada współczesnym warunkom ekonomicznym, wskazuje dążność dwu grup sąsiadujących do zbliżenia się ku niej, jako do wzoru.

Gospodarstwa mniejsze, niż 5 hek. ujawniają dążność do rozszerzania swego obszaru, a gospodarstwa powyżej 20 h. zdradzają znów tendencye kurczenia się. Żywotność średniej i małej własności i wyższość ekonomiczna tych typów gospodarczych nad pozostałymi uwydatnia się również w cenie i ruchu dzierżawnym rozmaitych grup. Na wschodzie, gdzie przeważają majątki wielkie, cena dzierżawna zniżyła się o 18% (na Szląsku o 26,8%, w zachodnich Prusach o 48%), na Zachodzie śród własności drobnej tylko o 1,3%. Na południu również ceny dzierżawne nie wskazują raptownej zniżki. W Badenie naprzykład przeciętna czynszu wynosiła w r. 1880 — 92 m., w 1894 r.—87 m. Na wyższość w obecnych warunkach średniej i małej własności, na jej korzyści ekonomiczne wskazuje fakt, że dzierżawcy rolni przenoszą swój kapitał i pracę z wielkiej do średniej własności. Obszar puszczonych w dzierżawę gospodarstw w Prusach w ciągu lat 1882—1895 przedstawia się w pięciu grupach w ten sposób:

do 2 ha.	— +	17,805 ha.
od 2 do 5 ha.	— +	83,057 ha.
od 20 do 100 ha.	— +	81,191 ha.
od 100	— —	172,358 ha.

Do tych samych wniosków co do odporności na przesilenie rolne wspomnianych typów gospodarczych prowadzą nas dane o odłużeniu hypotecznem gospodarstw i przymusowych sprzedażach. W Prusach zlicytowano:

	w r. 1881	1893 r.
na Wschodzie	86,000 ha.	80,700 ha.
na Zachodzie	20,000 ha.	13,500 ha.,

w Bawaryi liczba wypadków sprzedaży z 3,739 w roku 1880 spadła do 823 w 1893 r., sprzedana przestrzeń z 30,059 ha. do 6,718; w Badenie w 1883—1785 ha., w 1891 tylko 1,116 ha. Co do stopy obdłużenia w Prusach naprzykład w okresie 86—93 hypotecznie wnie-

sione sumy przenosiły umorzone długi o 1,098 mil. mar., z których na prowincye wschodnie przypadało 61,6%, a na zachodnie — 38,4%. Podobnież przedstawiają się w badaniach, przedsięwziętych w ostatnich czasach, stosunki kredytowe w Bawaryi, Badenie, Oldenburgu, we wszystkich tych miejscowościach, gdzie przeważa średnia i mała własność. Stwierdzona na podstawie ścisłych danych statystycznych przewaga ekonomiczna wspomnianych typów gospodarczych nad wielką własnością ma doniosłe znaczenie społeczne. Gdy w przemyśle i rzemiośle już nie luźne spostrzeżenia lub oderwane teorye, ale niezbite dane unaoczniają nieprzeparty ruch dośrodkowy mniejszych przedsiębiorstw, coraz bardziej pochłanianych przez większe, i gdy dotychczasowe środki zaradcze żadnego nie osiągnęły skutku w sprawie zatamowania prądu koncentracyjnego kapitałów ruchomych, to równocześnie w innej gałęzi wytwórczej — rolnictwie, zatrudniającem $^1/_3$ ludności państwa, odbywa się ruch biegunowo odmienny, odśrodkowy, polegający na rozpadaniu się własności wielkiej, na ekonomicznem potęgowaniu się średniej, wreszcie na ilościowem wzrastaniu małej i drobnej. Stan średni w przemyśle i handlu liczebnie się kurczy, społecznie traci grunt pod nogami; ten sam stan w rolnictwie wykazuje żywotność w walce ekonomicznej i odporność wobec groźnego przesilenia. Liczba samodzielnych gospodarzy w rolnictwie wzrosła absolutnie i stosunkowo, liczba najmitów się zmniejszyła:

	1882 r.	1895 r.
samodzielnych gospodarzy	27,78%	31,07%
najmitów	71,41%	67,77%
wykwalifikowanych pracowników	0,81%	1,16%

Doszukując się przyczyn tego znamiennego zjawiska, napotykamy przedewszystkiem luźne węzły, które łączą oddzielne gospodarstwa chłopskie z ogólnym rynkiem wszechświatowym. Wprawdzie już powszechnie znikła w Niemczech gospodarka naturalna, przy której każda zagroda była sama w sobie całością ekonomiczną, od zewnętrznego świata odciętą, jednakże gospodarstwa chłopskie w Niemczech nie są jeszcze warsztatami, produkującymi jedynie na sprzedaż. Nie wciągnięte jeszcze w powszechny wir wymiany, nie zależą wyłącznie od cen światowych. Wyroby „samodziałowe" już znikły, a podniesienie się stopy życiowej i wyśrubowanie podatków pociągnęły za sobą wzrastającą wciąż potrzebę pieniędzy, zniewalając najdrobniejszego nawet gospodarza do wywożenia części wytworów na targ, ale mimo to zależność od cen rynkowych nie jest je-

szcze dla tych gospodarstw kwestyą istnienia, bo większą część budżetu stanowią owoce własnej pracy.

Ta samodzielność ekonomiczna, której zawdzięcza średnia własność w Niemczech swą odporność, z rozwojem stosunków wymiennych i środków przewozowych traci na swej rozciągłości. Zakres potrzeb, samodzielnie zaspakajanych, zmniejsza się, natomiast wzrasta liczba przedmiotów, nabywanych poza gospodarstwem; oddzielne jednostki gospodarcze, nie mogąc już sobie wystarczać, wchodzą w zaklęte koło powszechnej wymiany, pokrywając coraz znaczniejszą część swego budżetu pieniędzmi. Stąd powstaje konieczność kredytu i stosunków pieniężnych, a przejście naturalnej gospodarki do pieniężnej przedstawia groźne niebezpieczeństwo dla niewyrobionych w kierunku kupieckim rolników. Czujność społeczeństwa oddała pod tym względem niepospolite usługi średniej własności ziemskiej. Gdy wywiady „*Verein'u für Socialpolitik*" wykazały, jak zgubnie oddziaływa na rolników ten proces dziejowy, co rzuca ich na pastwę lichwiarzom wiejskim, w której to roli chętnie występują handlarze bydła, szynkarze, kupcy bławatni — to opasano Niemcy siecią samorządnych i przystosowanych do wymagań wiejskich instytucyi kredytowych, które w potrzebie dostarczają chłopom pieniędzy, nie wyzyskując ich nieznajomości rzeczy. Brak miejsca nie pozwala nam przedstawić historyi tego ruchu, który wystawia piękne świadectwo niemieckiej rządności i zmysłowi stowarzyszeniowemu. Wynik przeszedł wszelkie oczekiwania: 8,451 instytucyi pożyczkowych, na samopomocy opartych, udziela obecnie kredytu półmilionowej ludności rolniczej państwa. Stowarzyszenia te wyparły ze wsi groźnego wroga średniej własności — lichwiarza wiejskiego. Dopiero, wiedząc, do jakich wybiegów, szwindlów i podłości uciekają się ci wiejscy pasorzyci, by wplątać w swe sieci nieprzywykłego do obrotów pieniężnych chłopa, jak wyzyskać umieją każdą chwilę niepowodzenia, łatwowierności i słabości chłopa, można w całej pełni ocenić wielką doniosłość tych stowarzyszeń pożyczkowych. Sławetna wolność ekonomiczna, ułatwiająca zaciąganie zobowiązań pieniężnych, skutecznie działa w środowisku przemysłowem, atoli dla chłopa, który nie dorósł jeszcze do emancypacyi ekonomicznej, zbytnia łatwość kredytu bywa źródłem zawodów i niepowodzeń i w końcu doprowadzić może do ruiny. To też, gdy po miastach rozpowszechniły się stowarzyszenia typu Schultze Delitzsch, po wsiach cieszą się uznaniem jedynie kasy Reifeisena, które obok pieniędzy udzielają także rad i wskazówek, przyczem zarząd tylko wtedy wydaje członkowi pożyczkę, gdy zna powód i cel i aprobuje potrzebę.

W cyfrach działalność stowarzyszeń pożyczkowo-oszczędnościowych przedstawia się, jak następuje: z pośród 8,451 stowarzyszeń należy do „powszechnego związku niemieckiego" 16 mniejszych związków, w których skład wchodzi 3,149 stowarzyszeń lokalnych. Członków liczą 219,595, pożyczek wydano członkom na rachunek bieżący za rok 1897 — 43,237,389, na czas dłuższy 26,120,927. Nie mniej imponują swym ogromem cyfry pożyczek, wydanych przez stowarzyszenia, nie wkluczone do „związku". Powołując się na takie rezultaty samopomocy ekonomicznej, członek zarządu związku nie minął się z prawdą, gdy zaznaczył na ogólnym zjeździe delegatów związku, że na tem polu niemiecki rolnik wyprzedził współtowarzyszy na całej kuli ziemskiej.

Bezbolesne to przejście od gospodarki naturalnej do pieniężnej w Niemczech, jakie ujawnia rozwój instytucyi kredytowych, do tychczas nie pociągnęło złych skutków dla średniej własności, jeśli wnosić mamy z odłużenia ziemi i poczynionych obserwacyi. Przeciwnie, instytucye powyższe, udzielając rolnikom w czasie właściwym na cele produkcyjne taniego kredytu, zwiększają ich odporność ekonomiczną. Czy jednak wzrastająca zależność od rynku wszechświatowego nie ukrywa w sobie niebezpieczeństwa na przyszłość, czas dopiero pokaże.

Prócz warunków ekonomicznych, które utrzymują średnią własność, na żywotność jej i przewagę nad wielką własnością składa się i odmienny rozwój techniki rolniczej, nie odpowiadający rozwojowi techniki przemysłowej.

Technika rolnicza stawia dopiero pierwsze kroki i w swym pochodzie reformatorskim wywiera na stosunki wpływ, całkowicie różny od techniki przemysłowej. Ta ostatnia druzgoce i na zagładę skazuje mniejsze zakłady przemysłowe. Maszyna parowa, punkt wyjścia współczesnej techniki, wymaga już pewnej koncentracyi kapitału i pracy, uniemożliwia istnienie mniejszych od pewnej normy zakładów przemysłowych. Każdy następny wynalazek, ulepszenia lub maszyna wpływały na spotęgowanie koncentracyi, bo są przystosowane jedynie do przedsiębiorstw wielkich i przeznaczone na ich użytek. W technice rolniczej tendencye te nie nabrały tak wyraźnego charakteru, i mamy cały szereg maszyn, które w równym stopniu służą średniej, jak i wielkiej, własności: sieczkarnie, młockarnie, wialnie, pługi i t. d. i t. d. Wprawdzie tak w rolnictwie, jak i w przemyśle, w miarę wzrostu majątku maszyna staje się niezbędniejszą, w miarę zmniejszenia obszaru traci na zastosowaniu. W 1895 roku na 100 gospodarstw posiadało maszyn rolniczych:

w grupie mniej.	od 2 ha.	2,03
	2 — 5 ha.	13,81
	5 — 20 ha.	45,80
	20 — 100 ha.	78,89
	100 i więcej ha.	94,16,

Ale stosunkowo najbardziej rozpowszechniły się maszyny śród średniej własności ziemskiej, która, zastosowawszy je, obróciła nie na szkodę, lecz na korzyść własną. Tabela poniższa służyć ma za dowód swoistego wpływu techniki rolnej na stosunek wzajemny grup gospodarczych.

Obszar gospodarstwa	Pługi parowe		Siewniki		Kosiarki		Parowe młockarnie		Inne młockarnie	
	1882 r.	1895 r.	1882 r.	1895 r.	1882 r.	1895 r.	1882 r.	1895 r.	1882 r.	1895 r.
mniej niż 2 ha.	3	4	4,807	214	48	245	4,211	35,066	6,509	15,951
2 — 5 ha.	7	25	4,760	551	78	600	10,279	52,830	23,221	66,653
5 — 20 ha.	24	65	15,980	3,252	1,493	6,746	34,863	109,348	138,451	318,521
20 — 100 ha.	92	277	22,975	12,091	10,681	19,535	17,960	46,778	115,172	180,575
wyżej 100 ha.	710	1,325	15,320	12,565	7,334	7,958	8,377	15,342	15,011	15,169

Nie chcemy przez to przeczyć faktom uznanym, że większa i wielka własność w Niemczech stoi wyżej pod względem technicznym od średniej, że lepiej zagospodarowana daje rezultaty lepsze pod względem wydajności ziemi i gatunku zbiorów. Zarówno dane statystyczne, jak i wywiady „*Verein'u für Socialpolitik*", nie pozostawiają w tej kwestyi żadnej wątpliwości. Ale wobec tej wyższości technicznej grup gospodarczych ma średnia własność przeciwwagę w przywiązaniu do ziemi, które na długo chronić ją może od grożących niebezpieczeństw. Wielkie przywiązania chłopa niemieckiego do ojcowizny nie tylko powoduje troskliwą uprawę gruntu, ale skłania go do największych poświęceń osobistych, byle utrzymać grunt w posiadaniu, Wielkiemu właścicielowi trudno zaprowadzić reformy w budżecie domowym, chłop zaś z łatwością sprowadzi wydatki do *minimum*. Wedle wielokrotnych referatów „Stowarzyszenia" obawa utraty gruntu pcha rodzinę chłopską do bezgranicznych ofiar: staranna uprawa gruntu prowadzi do przepraco-

wania rodziny i służby, a uszczuplenie budżetu do niedojadania, głodzenia się.

Przebiegając wsi niemieckie, natrafiamy na szereg gospodarstw, przechodzących od wieków z ojca na syna. Niemasz tam mobilizacyi gruntu, nikt gospodarstwa nowego nie zakłada, bo nikt go dobrowolnie sprzedać nie chce. We wsi ludności prawie nie przybywa, bo liczba gospodarstw pozostaje bez zmiany, a nadwyżka ludności wędruje ze wsi do miasta; „przyrost ludności spostrzegać się daje jedynie w zupełnie wyjątkowych miejscowościach, jak w obwodzie Recklinghausen, gdzie się rozwija przemysł węglowy, lub też w miejscowościach fabrycznych; w okręgach czysto wiejskich ludność pozostaje na stopie stałej. Gdzie niema pomnażania sadyb ani podziału gruntu, nie może też ludność się zwiększać". (*Verein für Socialpolitik. Baüerliche Zustände Deutschlandes).* Małżeństwo, zawierane niezbyt wcześnie (25 lat u mężczyzn, 20 u kobiet), hołduje systemowi neomaltuzyańskiemu (Bawarya). Często już za życia starzy odstępują swe gospodarstwo najstarszemu lub najmłodszemu synowi, pozostawiając sobie dożywocie. Reszta rodzeństwa idzie do miasta na zarobki lub emigruje, by za morzem szukać szczęścia, ale przesiąknięta instynktem rodzinnym nie nagabuje pozostałych krewnych o pieniądze wzamian za odstąpioną część ojcowizny. Ciężkie czasy przechodziło chłopstwo niemieckie, gdy biurokracya, hołdująca ideom prawa rzymskiego i prawa francuskiego, obstawała przy równomiernym podziale, obliczając wartość mienia wedle normy sprzedażnej. Sprawa spadkowa, przeprowadzana przez adwokatów i rejentów, kończyła się zazwyczaj ruiną gospodarstwa i przymusową sprzedażą. Obecnie jednak wypadki takie zdarzają się dość rzadko, bo rząd wyparł się już tendencyi równego podziału i zaprowadził instytucye majoratów chłopskich pod nazwą: *Höferollen* (za wyłączeniem prowincyi reńskich i wschodnich), które zabezpieczają całość gruntu na rzecz rolnika i obdarzają go możliwymi przywilejami. Emigrujące rodzeństwo zadawala się świadomością, że ma jakiś kącik na starość, dokąd zawsze wrócić może, gdy oczekiwanego szczęścia nie znajdzie na szerokim świecie, a pozostały na gruncie rolnik, przejęty powagą swego stanowiska, poczytuje sobie za święty obowiązek i jedyny cel w życiu przekazanie ojcowizny swemu następcy. Na takiem tle rozwinęło się i utrwaliło bałwochwalcze przywiązanie do ziemi, które prowadzić może do wszelkich ofiar i poświęceń. Historyk współczesnego przemysłu ma zawsze przed oczyma ponury obraz walki domowego przemysłu z wielkim. Wolny pracownik, który nie chciał się zaprządz do

rydwanu fabrycznego, uciekał się w nierównej walce do jedynej broni, jaka mu pozostawała, mianowicie do pracy prawie dwudziestogodzinnej całej rodziny z nieodłącznem wycieńczaniem sił i zdrowia. Jeśli na takie ofiary zdobywały się rodziny całe, które nic na własność prócz warsztatu tkackiego nie miały, łatwo zrozumieć, do jakiego napięcia dojść może obrona wypieranego z ojcowizny chłopa niemieckiego. Nic też dziwnego, że i wywiady, podjęte przez „Stowarzyszenie polityki socyalnej", stwierdziły w wielu wioskach fakty ogromnego przepracowania rodzin chłopskich i systematycznego głodzenia organizmów. Chłopi w niektórych okolicach Bawaryi żądają ograniczenia czasu szkolnego nie do 14-go, lecz do 12 roku, by dzieci swe wcześniej wprzęgnąć do pracy zarobkowej; są wsi całe, gdzie gospodarze miesiącami nie spożywają mleka i mięsa, gnieżdżą się razem z bydłem, odżywiają się i mieszkają gorzej, niż parobcy. Jednakże powyżej przytoczone fakty, jakkolwiek bezwzględnie prawdziwe, są poszczególnymi objawami, spostrzeganymi w pewnych okręgach; wszelkie uogólnienia, na mocy tych faktów czynione, pozostaną „subjektywnymi poglądami, opartymi na badaniu oddzielnych wsi" (Conrad. *Verhandlungen des „Vereins für Socialp."*). Spostrzeżone fakty mogły powstać, jako środki obronne, na tle walki z grożącą ruiną lub wywłaszczeniem. W każdym razie nie mogą być za wzór brane i stosują się przeważnie de majątków poniżej 5 ha., t. j. do grupy małej i drobnej własności. Nie mamy powodu rozciągać tych faktów na cały obszar państwa, tembardziej, że nie brak w danych owych wywiadów i najlepszych świadectw, wystawionych zdrowotności ludu wiejskiego. Jedno niechybnie wypływa z tych obserwacyi, że „chłopi w przeciwstawieniu do wielkich właścicieli są pod względem stopy życiowej nad wyraz niewymagający i oszczędni. Gdyby chłopi zechcieli tak się urządzić i tak żyć, jak żyje w miastach drobnomieszczaństwo (tego samego stanu majątkowego), to nie uniknęliby ruiny". I ta właśnie sprężystość i łatwość zaprowadzania zmian w budżecie domowym stanowi wielką prerogatywę średniej własności, prerogatywę, na którą z pogardą patrzy proletaryat miejski, dążący wciąż do powiększania potrzeb i większego używania życia.

Nie takim jednakże środkom, opartym na wyczerpaniu fizycznem, zawdzięcza swą żywotność średnia własność w Niemczech. Wiemy już, że upadek cen zboża nie mógł zgubnie wpłynąć na położenie chłopa niemieckiego, bo w budżecie jego sprzedaż zboża występuje w stosunku odwrotnym do wielkości majątku. Potrzeby pieniężne, wciąż wzrastające, pokrywa powyższy typ gospodarczy

przez sprzedaż innych wytworów swego warsztatu: produktów mlecznych, bydła, jaj, drobiu. Od wieków chłop wiózł na blizki targ wymienione towary, obecnie z rozwojem miast konsumcya tych środków spożywczych wzrosła niepomiernie, a budżet chłopa prawie wyłącznie oparł się na tej kategoryi dochodów. Ale wraz z rozwojem konsumcyi, jako naturalnem następstwem wzrostu miast i udoskonaleniem środków przewozowych, powyższe produkty uległy powszechnemu losowi: wybiegły poza ciasny obręb oddzielnych rynków; wciągnięte w wir wszechświatowej wymiany uledz musiały jego wymaganiom, zastosować sposoby produkcyi i handlu do techniki najbardziej w tym kierunku posuniętych państw. Następujące dane, dotyczące handlu niemieckiego produktami spożywczymi, w 1896 roku wskazują, że dla Niemiec okres ten nastąpił w całej pełni:

	Wwóz.	Wywóz.
	w 1,000 marek:	
I. Bydło	157,749	23,951
II. Środki spożywcze	1,324,266	426,752
A) środki spożywcze pochodzenia zwierzęcego:		
1) surowe	169,021	15,191
α) mleko	1,219	496
β) jaja	82,653	4,627
2) fabrykaty	81,684	16,684
α) masło	11,165	14,147
β) sery	13,176	1,893
C) owoce, warzywa	93,045	13,036
H) konfitury, konserwy	5,572	6,152

Olbrzymia fala wymienna przyniosła z sobą udoskonalony aparat techniki handlowej i rutyny kupieckiej, z którą chłop niemiecki, w rozsypkę idąc, uporać się nie byłby w stanie. Umiejętność rozumienia koniunktur handlowych, poszukiwanie rynków, tanie pośrednictwo stały się niezbędnemi wobec przewrotu w stosunkach wymiennych. Proces wytwarzania i przeróbki surowca również uległ głębokim zmianom. Przykład ze stosunków mleczarstwa najdowodniej zmiany te wykaże. Dawniej zagrody chłopskie były wyłącznemi fabrykami masła i sera, że nie wspomnę o mleku. Obecnie wedle statystyki przemysłowej państwa niemieckiego z roku 1895 (wydanie 1898 r.) istnieją zakłady przemysłowe, zatrudniające setki robotników i dziesiątki maszyn dla przeróbki masła i sera i przygotowania kondensowanego mleka.

Z ogólnej sumy powyższego typu fabryk w ilości 7,774,—4,463 zatrudnia od 2 do 5 robotników, 538 od 6 do 10, 141 od 11 do 20, 35 od 21 do 200 i jedna—963 robotników. Nie tu miejsce rozwodzić się nad tem, jakie zmiany wywołała taka szalona koncentracya w technice produktów mlecznych. Gdy uprzytomnimy sobie fakt, że równowaga budżetu chłopskiego zależy od sprzedaży produktów, które uległy radykalnemu przewrotowi w sferze techniki handlowej i wytwórczej, ocenimy cały ogrom niebezpieczeństwa, jaki zawisł nad średnią własnością. Na pomyślnem odparciu tej właśnie trudności miała oprzeć średnia własność w Niemczech swój pewny i niezależny byt. Dane, tyczące się pomnożenia liczby gospodarstw, a szczególnie imponujące cyfry, świadczące o ilościowym wzroście bydła rogatego i świń w okresie pomiędzy 1882 — a 1895 r. [1]), przypuszczać pozwalają, że średnia własność w Niemczech i z tej trudności znalazła szczęśliwe wyjście. Jak w sprawie przejścia od naturalnego do pieniężnego systemu gospodarki zmysł stowarzyszeniowy ustrzegł chłopstwo od grożącego niebezpieczeństwa, zarówno w produkcyi, jak i w handlu powyższych produktów, decydującą rolę odegrały stowarzyszenia współdzielczo-wytwórcze. Stowarzyszenia połączyły w sobie ekonomiczne zalety drobnej własności: staranność i pracowitość z technicznemi zaletami wielkiej produkcyi. która ma do usług ulepszone maszyny, doświadczony personel i znajomość koniunktur handlowych. Nic też dziwnego, że stowarzyszenia tego rodzaju niepospolitą zdobyły w Niemczech popularność i dobiegają liczby 2,000. Przyjrzyjmy się działalności najbardziej rozpowszechnionego typu stowarzyszeń—mleczarniom.

W 1897 roku istniało 1,574 stowarzyszeń, o 177 więcej, niż roku poprzedniego, $^{3}/_{4}$ z tej liczby jednoczy się w związki centralne. Pięć związków centralnych sprzedało w ciągu roku masła za pięć milionów marek. Mleczarnie odbierają codziennie od stowarzyszonych mleko, dając im przytem instrukcye co do chowu, pasania i dojenia krów.

Zwiezione od stowarzyszonych mleko przerabia się w fabryce najdoskonalszego systemu techniki nowożytnej na ser i masło, które w sklepach spółki dochodzą bezpośrednio do rąk spożywcy, Dzięki takim stowarzyszeniom przeciętny rolnik niemiecki nagina

---

[1]) Nie chcąc obciążać artykułu balastem cyfr, tabeli odpowiedniej nie podajemy. Znaleźć ją można w „Statistik des Deutschen Reiches“, Band XVII. Wzrost bydła przypada głównie na własność średnią.

się do wymagań współczesnej zootechniki i korzysta ze wszystkich dobrodziejstw wielkiego kapitału. W dziedzinie handlu stowarzyszenia te wyzwalają chłopów z rąk pośredników, zapewniając regularny odbyt produktów i wyrabiając stowarzyszonym chłopom pewną firmę. Pomyślny rozwój stowarzyszeń współdzielczych wskazuje, że i pod tym względem rolnictwo odbiega od pobratymczej gałęzi przemysłu. Wszelkie podobne stowarzyszenia w dziedzinie przemysłu nie dawały dodatnich rezultatów, bo tajemnice handlowe, wzajemne współzawodnictwo przeszkadzają współdziałaniu i porozumieniu. Zbyt są widoczne zalety stowarzyszeń, by z nich nie miał korzystać zabiegliwy chłop niemiecki, nie pozbawiony zmysłu kooperacyjnego. Niemasz takiego produktu, któregoby sprzedaży nie pokuszono się ująć w karby stowarzyszeń. Dla sprzedaży zboża w 1897 r. zawiązało się 19 stowarzyszeń, w 1898 r. przybyło 11, które już jednak sprzedażą zboża się nie zadawalają i biorą na siebie jeszcze wypiekanie chleba, usuwając w ten sposób cały szereg pośredników (młynarzy, handlarzy, piekarzy, sklepikarzy). Dla sprzedaży owoców powstało w 1897 r. 6 stowarzyszeń, następnego roku 7, dla warzywa — 2, dla sprzedaży bydła — 7, dla sprzedaży jaj, kur, dla chowu bydła i świń — również po kilka. Wciąż zwęża się zakres produktów, które chłop luzem na targ zwozi, i zwiększa się liczba surowców, które przejmuje od chłopa stowarzyszenie dla sprzedaży, ewentualnie przeróbki. Obecnie z trudem znajdziemy jakąkolwiek gałąź rolnictwa, którąby nie znała sprzedaży na drodze kooperacyjnej ze wszystkiemi jej konsekwencyami. Do powyższego typu stowarzyszeń, podtrzymujących żywotność stanu chłopskiego, zaliczyć możemy także stowarzyszenia dla nabywania nawozów, ziarna i innych przedmiotów (961) i stowarzyszenia dla użytkowania maszyn i narzędzi. Wstrzymujemy się od roztoczenia przed oczyma czytelnika wspaniałej kolumny cyfr, wykazujących milionowe zyski, ½ miliona członków i stumilionowe obroty, powołane do życia przez potężny ruch kooperacyjny rolników niemieckich; zaznaczamy jeno, że ruch ten najgościnniejszego doznał przyjęcia pośród średniej własności i jej też przeważną część swych zysków, jako daninę, składa. Grupując prowincye niemieckie podług ilości mieszkańców i hektarów uprawnej ziemi, na jedno stowarzyszenie przypadających, widzimy, że pierwsze miejsce zajmują: Pfaltz, Hessen, Hessen-Nassau Waldeck, Wirtemberg, prowincye Reńskie, Bawarya, Baden, wszystkie z przewagą średniej i małej własności, a na końcu dopiero sadowią się: Bran-

denburgia, Prusy, Szląsk, Poznańskie, gdzie panuje wielka własność ziemska.

Rozbudzony ruch stowarzyszeniowy śród chłopstwa niemieckiego nie zadowolił się jedynie zdobyczami w dziedzinie gospodarczej, lecz sięgnął także po wawrzyny polityczne. Chłopstwo, stanowiące przez wieki całe bierną rezerwę panującego ustroju, odczuło teraz potrzebę wpływania na czynności prawodawcze rządu. Na czele ruchu stanął b. oficer kawaleryi von Schorlemer-Alst, „królem chłopków" zwany, twórca związku chłopskiego w Westfalii. Na wzór westfalskiego potworzyły się we wszystkich krajach państwa związki chłopskie i rozwinęły energiczną działalność zarówno pod względem kulturalnym, jak i politycznym. Przez tanie a odpowiednie wydawnictwo pism i kalendarzy, przez iustruktorów i zbiorowe odczyty zaznajamiają związki swych członków z nowymi sposobami produkcyi, w kierunku politycznym ujmując w karby organizacyjne gromady chłopskie, niepomierną wyświadczają usługę rządowi, który upatruje w nich potężną twierdzę niedostępną dla socyalizmu, coraz bardziej ogarniającego tłumy miejskie. Za wyświadczone usługi domagają się związki od rządu uwzględniania stawianych przez się żądań. Zagorzali przeciwnicy manchesteryzmu i traktatów handlowych nie hołdują bynajmniej socyalpolityce, krzywią się na próby ubezpieczenia robotników rolnych, żądają podniesienia cła, waluty podwójnej, zniesienia podatków bezpośrednich i wogóle zwalenia ciężaru podatkowego na barki żywiołów miejskich.

Szereg danych statystycznych, podanych na początku pracy niniejszej, przekonał nas, że średnia własność ziemska w Niemczech w przeciwstawieniu do przemysłu nie tylko oparła się tendencyom zrzeszenia, ale i wzmocniła się, wykazała swą żywotność i przewagę ekonomiczną. W następstwie poznaliśmy przyczyny, które się na ten znamienny fakt złożyły, i warunki, cechujące współczesne rolnictwo. Nie bez śladu i głębokich zmian przeszło pół wieku dla średniej własności ziemskiej. Przed pięćdziesięciu laty każda zagroda chłopska stanowiła zamkniętą w sobie jednostkę ekonomiczną, w której rodzinę stanowiło zarówno rodzeństwo, jak i czeladź. „W przeważnej części Münsterlandu panuje jeszcze chwalebny zwyczaj, że drobni i średni włościanie traktują służbę, jako należącą do rodziny. Gospodarze pracują łącznie ze służbą. Chłop z żoną siedzą przy tym samym stole, co służba, modlą się wspólnie rano i wieczorem z parobkiem i dziewką. Gdy dziewka raz na rok, a co najwyżej dwa razy, wybiera się na tańce, to czyni to pod opieką pani, a w wieczory zimowe współzawodniczy z gospodynią i jej córkami w przędze-

niu lnu, który otrzymuje, jako ordynaryę". (*Berichte des Vereins für Socialpolitik*").

Ze światem zewnętrznym nie łączyły zagród chłopskich żadne węzły ekonomiczne, chłop świata tego się bał, bo go nie rozumiał, o żadnych zmianach w sposobie wytwarzania, od dziadów przejętym, słyszeć nie chciał. Indywidualista do szpiku kości, konserwatysta od urodzenia, do polityki czynnej się nie mieszał, będąc zawsze potulnem narzędziem w rękach rządu. Współczesny jego następca odbiegł od swego pierwowzoru i urobiony przez odmienne stosunki wyzuł się z cech szkodliwych, a nabrał pożytecznych w sensie przystosowania się do otaczającego go środowiska społecznego. Już nie tylko instruktorzy stowarzyszeniowi wprowadzają zmiany w wytwarzaniu i rewolucyonizują odwieczne jego metody; sam chłop chętnie dowiaduje się z gazet, odczytów i stacyi doświadczalnych o sposobach zwiększania wydajności ziemi, bo większa wydajność warunkuje większe dochody, a każdy ma cały szereg potrzeb, które jedynie pieniędzmi pokryć się dają. Śledzenie koniunktur rozwija widnokrąg umysłowy chłopa, prowadząc myśl jego po wszystkich częściach świata, a wzrost oświaty znów sprzyja prowadzeniu rachunkowości dokładnej.

„Idealny" ten typ niemieckiego rolnika nie odpowiada rzeczywistości, jest raczej zogniskowaniem wszystkich jego cech zasadniczych i tych przeobrażeń, jakich w całej rozciągłości zaznali średni właściciele ziemscy w Niemczech. W takiem uwypukleniu ma nasz „typ" więcej wspólnego z dzierżawcą angielskim lub farmerem amerykańskim, niż ze swym poprzednikiem z przed lat trzydziestu. Czy zmiany te w dalszym swym rozwoju doprowadzą do przeistoczenia się rolnika w przemysłowca, czy też wytworzą jakiś typ pośredni— czas za nas stanowczo odpowie.

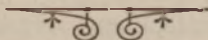
Rafał Kempner.



„ŻYDZI“

Obraz dramatyczny, osnuty na tle prześladowań Żydów.

w połowie XIV wieku *).



DZIEŃ DRUGI.

NA WAWELU.

Kilka schodów prowadzi na taras przed zamkiem, u którego drzwi wiszą stalowe tarcze. W głębi część muru z przymkniętą bramą i kilka lip i świerków. **Król Kazimierz** schodzi ku **Legatowi**, stawiającemu pierwszy krok na stopień. Dalej postępuje **Opat** i **Ksiądz**. Wstrzymują się, witając króla ukłonem.

Król. Witaj, ojcze przewielebny!
Legat. W zły przybywam czas —
Król. Więc tem więcejś mi potrzebny,
Witaj wtóry raz.
Z podwojoną dziś radością
Posłów Rzymu, sługi boże,
W dom swój proszę. Nigdy może
Tak nie byłem rad z przybycia,

*) Patrz „Ateneum“, kwiecień 1900.

Jak w tej chwili ciężkiej życia,
W której, dziwnym gwiazd obrotem
Czy szatana działań złością —
Poplątane świata sprawy
Zbrodnią znaczą pochód krwawy,
Bogu w twarz ciskają błotem.

Opat. Chaos! chaos!...

Król. Jak w stworzenia
Dniach pierwotnych.. Świat w rozterce
Stracił rozum, czucie, serce
I bożego zbył się tchnienia.
Skołatana łódź Piotrowa
U skalistych mknie wybrzeży —
Gnie się, pryska moc papieży,
W gromach Boże nikną słowa.
Jak posłanka burz złowroga,
Każdodziennie płynie wieść
Ciężka, by głaz, której treść:
Królobójstwo — mord — pożoga! —

Legat. Widzę, królu, że nie obce
Są ci sprawy tego świata;
Że myśl twoja w dal ulata
Za graniczne państw twych kopce— —
Że zajęty budowniczą
Pracą w ziemiach swych naddziadów
Karmisz umysł swój zdobyczą
Wiedzy szerszej, szukasz śladów
Stóp ludzkości, znasz jej bole
I wężowych dróg zakręty...
Iście — spoczął sam duch święty
Na monarszem twojem czole!

Król. Co tam prawisz! Jam zwyczajny
Człek a grzesznik i rab boży —
Lecz bieg świata mi nie tajny,
Ni to zło, co świat zaraża,
Które i was, sług ołtarza,
Nieraz w ziemski proch położy.
Wiem, że losy przewrotnemi
Poszły dzieje tego świata:

Nie próżnuje topór kata,
Nie wysycha krew tej ziemi.
Ale nie znam przyczyn bolu,
Co ludzkości dosiągł trzew —
Kto ten rzucił siew kąkolu,
Skąd ta rozpacz i ta krew?
Więc potrzebnyś mi w tej dobie
Kłamstwa ziemi i jej zdrad — —
Jedziesz z Rzymu—masz na sobie
Już świętości ślad.

Legat. A skąd tobie tu potrzeba?
Tyś szczęśliwy król!
Złote słońce masz wśród nieba,
Zieleń pośród pól.
Pieśń tam dzwoni, śmiech się budzi,
Gdzie niedoli kres —
Tu słyszałem śmiech u ludzi,
Nie dojrzałem łez.
Ja — z dalekich krain jadę,
Przez ziem mnogi lik —
Wszędziem widział twarze blade,
Wszędziem słyszał krzyk —
Wszędzie jeden głos rozpaczy
W zgodny bije chór —
Pierś tej ziemi krwawo znaczy
Wojna — głód — i mór!
Mord i zdrada w krajach onych,
Cisza — cmentarz — grób...
Nie odwilżysz ust spragnionych,
Byś nie runął w słup.
Skrytobójczy nóż wszechwładnie
Rozpościera moc —
Z godownikiem śmierć się kładnie
W poweselną noc.
Ja — wysłannik apostolski,
Uciekałem precz,
Aż w granicach twojej Polski
Mogłem schować miecz.
Przez zielonych łanów smugi,
Przez szumiące bory,

Jak szeroki kraj ten, długi,
Bez strażniczych wojsk podpory
W lasy koń mój wpłynął —
Wszędzie witał mnie spokojny
Lud twej ziemi... Gwar, huk wojny
W puszczach Wisły zginął.
Dwory panów, kmieciów strzechy
I świątynie boże,
Pod zieloną
Lip koroną,
Chłonąc wonne ich oddechy,
Tuliły się, strojne wieńcem
Gniazd bocianich, zórz rumieńcem,
Złotą szatą ziemi —
W zbóż kolorach, w blaskach słońca,
W zieloności fal
Bez końca,
Precz płynących w dal —
Rozciągniętych, hen — w przestworze
Kryształowo drżące...
A nad niemi:
Korab — słońce,
Niebo — morze!
I zdumiony nieraz stałem
Pośród cichych pól —
Łąk pytałem, niw pytałem:
Kto tu włada?... A głos żywy
Szedł przez lasy, pola, niwy:
„Kaźmierz, ojciec — król!"

Król. Więc niech będzie Bóg pochwalon,
Że od zbrodni plam ocalon
Został naród mój —
Że, gdy czarny anioł moru,
Poprzedzony widmem głodu,
Rzucał ciosy w pierś narodu,
Skrzydłem groźby szumiał:
Lud mój nie zląkł się potworu,
Wydał śmierci bój! —
Widzę, księże, szukasz cudu —
Wierzę i ja w cud!

Bo — gdy moja jest zasługa —
To w tem tylko, żem zrozumiał,
Iżem pierwszy kraju sługa,
Że postawion król dla ludu,
Nie dla króla lud.
Zagojone klęsk już blizny,
Zmilkły echa burz —
U wrót stałem ja ojczyzny,
Jej bezsenny stróż.
Wypełniłem ziarnem śpichrze,
Łzy ścierałem — krew...
Łkanie biegło cichsze, cichsze,
Aż zadzwonił śpiew.
A tam — mordu duch się tarza —
Nie policzył strat;
Woń krwi bije od ołtarza
I monarszych szat.
Kędy wałów miejskich szańce
Gniją setki ciał —
Berła dzierżą obłąkańce,
W ludzkich myślach szał.
Praw mi dalej!... Ciężkich wieści
Pełną torbę masz.
Ja — na ludzkich serc boleści
Mam odkrytą twarz.

Legat. Co ci prawić?... Rzeczy znane:
W kale grzechów świat się nurza,
Kładzie ostrzem nóż na ranę —
Stu ma królów, brak mu stróża!

Opat. Chaos, chaos, jak się rzekło —
Nie wyjaśnią nic frazesy...
Rozpuściło dyabłów piekło,
Więc hulają sobie biesy —
Ot i wszystko!

Król. Lecz przyczyna
Klęsk tych?...

Legat. Żydzi!

Król. Na Chrobrego
Miecz!..

Legat. Tak — owi siewcy złego,
Kopią światu dół, mogiłę...

Król. Czekaj!... niechaj myśl wytężę.
I przemierzę ludzką siłę...
. . . .

W imię Ojca, Ducha, Syna
Czuję obłęd — —
Garścią piasku
Tyś mi rzucił wprost w źrenice —
Oślepiłeś mózg mój, księże! —
Blasku więcej, blasku, blasku,
Bym spojrzeniem piorunowem
Przejrzał dziwną tajemnicę,
Do dna zbadał, bo pod słowem
Twem mój rozum się ugina,
Łamie — ale nic nie widzi.

Legat. Sprowadzili mór, głód — Żydzi!

Król. Co? co?

Opat. Ha — rzecz niepojęta.

Król. Sen z gorączki, strach na dzieci,
Widmo bez krwi! —

Legat. Prawda święta —
Żydzi! raz powtarzam trzeci.

Król. Światła więcej!...

Opat. Rozum człeczy
Sili się wszystkiego dowieść;
Lecz dla oka jego rzeczy
Skrytych — ogrom!

Król (do legata). Kończ swą powieść!

Legat. Syn dyabelski, król Grenady,
W kilkukrotnym złaman boju,
Widząc, że już drżą posady
Władztwa jego; że pokoju
Nie ma, ani snu nie zazna,
Chrześcijan bowiem dłoń żelazna

Rękojeścią krzyża strąca
Z jego świątyń sierp miesiąca:
Wezwał podłe Żydów plemię
I, rzucając skarbów góry,
Kazał zatruć całą ziemię,
Jad trucizny cisnąć w chmury.
Szatan sprzyjał tej robocie...
I za trupem runął trup;
Każdy krok twój spotka grób;
W nich leżących zmarłych krocie.
Nic po modłach, nic po żalach,
Próżno kapłan pieśnią grzmiał —
U bram świątyń, w królów salach
Straszny anioł moru stał.
Pomieszała rozpacz zmysły,
Przeciw bratu powstał brat —
Wszelkie węzły się rozprysły,
Co łączyły dotąd świat.
A rozpusta wielkie łoże
Rozpostarła wzdłuż i wszerz —
Król na tronie, mnich w klasztorze
Żyją, jako zwierz!

Bogacz rzucił ucztę sutą,
Ksiądz zbiegł z przed ołtarza —
Wszystkich jedna wieść przeraża:
„Powietrze zatrute!"

A w odpowiedź śmierć złowroga,
Jak pył marny, ludzi zmiata — —
Tak! oprawcy niegdyś Boga
Dziś są grabarzami świata.

Król. Przewielebny!... Taka moc
Może-ż ludzi być udziałem?
Ja od ciebie słońca chciałem,
Tyś mię rzucił w głębszą noc.
Więc — zwycięża moc nieczysta?—
Takież psalmy przed skonaniem
Świata — śpiewasz?

Legat. Ja z poddaniem
Oczekuję Antychrysta.

Król. Przenajświętsze imię Trójcy!
Z wszechobłędem duch twój zbratan —
Spojrzyj jaśniej!

Legat. Bogobójcy
Grzebią świat —

Król. A Bóg?

Opat. A szatan?

Król. Noc przede mną!

Legat. Wnet ci karty
Tajemniczej księgi wskażę:
Wywołane z piekieł czarty
Ludzki wezmą głos i twarze.

Król. Co mi prawisz!... Nad przepaście
Wschodnich bajek chcesz mię wieść——

Kleryk (skromnie). Ja widziałem dyabłów sześć—

Opat (z dumą). Ja widziałem sto szesnaście!

Król. Zgrozo! zgrozo!

Legat. Gdy zarazy
Powiał straszny dech nad światem,
I śmierć szła już tryumfalnie —
Wyszły królów wnet rozkazy:
By Żyd każdy, mąż czy dziecię,
Czy niewiasta, czy dziad stary,
Co sto dźwiga lat na grzbiecie:
Poznał się z czerwonym katem,
Na śmiertelne poszedł mary.

Opat. Oczywiście —

Kleryk. Naturalnie —

Legat. Szybko wyrok był spełniony...
Wionął dym w niebiosy —
Zahuczały głucho dzwony,
Zapłonęły stosy.
Żydzi, widząc śmierć, zniszczenie,
Uderzyli w szał...
Lecz rzucono ich w płomienie
Masą zbitą ciał.

Bronili się, jak szaleńce,
Darli strzępy szat — —
Nim ich skuły kajdan wieńce.
Zmordował się kat.

Król. Na krzyż Boga!

Legat. Dzieci, starce
Związano żelazem,
I z syczącym ogniem w harce
Poszli wszyscy razem.

Król. Co? i nikt się nie użalił,
Gdy się w mękach człowiek wił?

Opat. Jakto?.. każdy z nas zapalił
Stos — dął w ogień, co miał sił.

Król. Szał was opadł nienawiści,
Korowód złych mar —

Opat. Wszak się w ogniu dusza czyści,
Wybiela ją żar.
Rozdmuchane piersią naszą
Ognie darły się w obłoki,
Iż myślałeś, że opaszą
Niebo całe: tak wysoki
Słup płomienia sięgał szczytu,
Darty wichrem na sto ćwierci,
Precz, od ziemi do błękitu —
A smrodliwy dym się słał — —
Kto go wchłysnął, zaznał śmierci:
Taka biła woń z ich ciał,
Z piekieł wzięta, kiedy słabła
Gędźba jęków, a stos płonął:
Z każdym krzykiem Żyd wyzionął
Ogoniastą postać dyabła.
Zwyciężyła siła można,
Z ogniów darł się wrzask szalony...
... A dokoła biły dzwony,
Brzmiała nasza pieśń nabożna.

Legat (zrywa się nagle). Ha!... Czy słyszysz?!

Król (wstając). Co?

Legat. Aż tu
Potępieńczy krzyk dolata — —

Król. Co ci, księże?...

Legat (słaniając się). Mdło mi... tchu! —
Koniec świata! koniec świata!

(Księża go podtrzymują).

Król. Drżysz... Pobladłeś!... Wywołany
Siłą wspomnień obraz krwawy
O Wawelu trącił ściany,
A strach ciebie podjął z ławy.

Opat (biorąc legata za rękę). Pater!...

Legat. Słyszę jęki zblizka,
Znane dobrze mi — złowieszcze!
Tam — tam... i tam! (siada ciężko)

Król. Błąd słuchowy —
To w chorągwie wiatr szeleszcze,
Gra proporzec malinowy —
Zwykła muzyka zamczyska!

Głos (za sceną). Puszczajcie — w Imię Jehowy!...

(Wszyscy zrywają się z ław).

Legat. A co?

Król. Prawda —

Legat. Tu się wdarł
Krzyk ten, wichrem stamtąd zwiany...
Słyszysz? słyszysz?

Król. Jęk splątany —

Legat. Lament — —

Opat. Gwar!...

Król (podbiega do drzwi i uderza mieczem w tarczę).
Kochan!...

Legat (jakby widmo jakieś odtrącił). Precz!.. Precz!..

Król. Miej odwagę,
Bo na marmur runiesz wstecz —

Legat (j. w.).
Apage satanas — apage!..

Opat (węsząc). Smoła.

(Legat siada wpół omdlały — wbiega **Kochan**, ulubiony dworzanin króla).

Król. Do mnie — sam!
Kochan. Jestem, panie!
Król Co za krzyki,
Jak niesfornej dźwięk muzyki,
Do zamkowych biegną bram?
Kochan. Opętańców jakaś tłuszcza,
Czarcie plemię, co ma twarze,
Przez głód zbladłe, pod oczyma
Skrzepłe plamy krwi i sińce —
Chce w zamkowe wejść dziedzińce
Przed majestat twój... Nędzarze!
Brrr... Ohydni! — Człek się zżyma,
Patrząc na ich włos splątany,
Na zczerniałe, wielkie rany,
Gnoju pełne. — Straż nie puszcza,
Lecz stawiają opór hardy —
Więc kazałem halabardy
Cisnąć na nich razy trzy
I z łańcuchów spuścić psy.
Król. Co?!...
Kochan. Poszczute brytaniska
Szarpią łydy, aż krew tryska.
Król. Tyś śmiał?... i bez mojej woli,
Bez rozkazów moich wprzód,
Że cię nie swój ból nie boli,
Trzew nie pali czyjś tam głód,
Że świecąca łza szkarłatem
Nie w źrenicach twoich drży?...
Do ochmistrza! — Niech ci batem
Zmierzy skórę razy trzy!
Kochan. Panie! wszak ten tłum żebraczy
Czołem wali w mur tych wież?
Król. A ty wiesz, co szał ten znaczy,
O męczarniach dusz ich — wiesz? —
Tak spokojnym mówisz głosem,
Jak oprawca, krwawy kat...
Błaźnie! mleko masz pod nosem,
A na ustach wężów jad.
Młody wzrok twój, a nie widzi,
Że ich może straszny los
Gna tu? —

Kochan. Królu!... to są — Żydzi!

Legat (zrywając się). Bogobójcy!...

Opat. Gotuj stos!

Król. Niech wejdą!... Ja mam odwagę
Spojrzeć w każdą pierś człowieka,
Który cierpi.

Kochan (otwierając wierzeje). Król — pan czeka!

Opat. Apage satanas — apage!

(Podtrzymuje siadającego Legata; sam staje przy nim. Wchodzi tłum Żydów. Słaniającego się **Ezechiela** prowadzą **Estera** i **Jonatan**. **Roboam** staje na uboczu, mierząc obecnych wzrokiem nienawiści).

Ezechiel. Prowadźcie!... mnie męki złamały —
Nie ducha złamały, lecz ciało...
Jak nagle mi w oczach ściemniało! —
Tak było w tych chwilach wieczorów,
Gdy dzwony pieśń grały nieszporów,
A ognie z wichrami szalały. —
O męki!... Co ciebie dziś czeka,
Mój ludu, nieszczęściem złamany?...
Łza z oczu, a krew z ran ocieka,
Łachmany wszędzie, łachmany!..
Gdzie król?... Prowadźcie do króla —
Czy w płaszcz on twarz bladą utula
Na widok ludzi — upiorów? —
Gdzie król?...

Król (podchodząc). Przed tobą.

Ezechiel. O! zdala
Monarcho, zdala ode mnie...
Krew moja szatę ci zwala,
W sercu twem siądzie duch złości
I będę wołał daremnie:
Litości! litości! litości!...

Król. Wstań, starcze!...

Ezechiel (unikając rąk króla). Ty szat mych nie tykaj,
Jak zaraźliwych plam wrzodów.
Przekleństwo świata nas goni,
Smierć z naszej wypada dłoni,

Umykaj — umykaj — umykaj...
Jesteśmy klątwą narodów!
Nie!.. my litości niegodni —
Syny wszech złego, wszechzbrodni,
Twego czekamy rozkazu!
Wydrzyj morderczy grom chmurom,
Zabij, lecz zabij odrazu,
Nie każ nas łamać torturom!
Ostatni to krzyk już bólu,
Jak szatan na ustach mych siedział —
Chcesz wiedzieć ktośmy, o królu?...

Król. Wiem już! — Twój krzyk mi powiedział.
Roboam. Zapalą stosy — —
Tłum. Och!...
Król. Kto to
Zawarczał temi wyrazy?...
Kto śmie w twarz rzucać mi błoto,
Uprzedzać moje rozkazy? —
Z czyjej to piersi ta skarga,
Jak piorun nagły wybucha —
Przedwczesną wieści śmierć ducha,
Stargane serca znów targa?—
Czyż jestem mocarz zaguby,
Co w ostrze miecza wciąż dzwoni?
Miast życia — rzuca śmierć z dłoni,
Mrok sieje — zamiast roztaczać
Blask, mści się — mogąc przebaczać,
Aż duch narodów omdlały
Służalczo w pas mu się skłoni?...
Nie!... Takiej nie pragnę chluby,
Ni krwawej tyrana chwały! —
Patrzcie!... Królewska ta szata,
Na wzór olbrzymów skrojona,
Może ogarnąć pół świata,
Pół świata ująć w ramiona.
Niech skona strachu jęk głuchy,
Zmęczone piersi ochłoną:
Tutaj nie dzwonią łańcuchy,
Ogniste stosy nie płoną!...
Więc do was wyciągam ręce —
Ust waszych ból już nie skrzywi...

Legat (zrywa się i chwyta go za rękę). Królu!... to potępieńce! —
Król. Księże!... to nieszczęśliwi! —
(do ludu)
Rzekłem! —
Ezechiel (do tłumu). Uchylcie kolana!
(Tłum rzuca się na klęczki).
Zmieszane głosy.
Do króla!
Do ojca!
Do Pana!..

(Czołgają się do kolan Kazimierza. Roboam kryje się za filar — Estera stoi nieporuszona, zapatrzona w twarz króla. Uśmiech zachwytu drga na jej ustach).

Legat. Kogoś ty wpuścił w granice
Swych ziem?...
Kraj twój, jak posąg Jowisza,
Podwójne będzie miał lice:
Judasza twarz i Chrystusa — —
Dwie myśli odtąd, dwa serca
Będą w królestwie twem!
(wychodzi w otoczeniu swojem).

Ezechiel (stając na stopniu do ludu). Słuchajcie głosu proroka,
Co szedł, jak Mojżesz, przed wami;
Którego piersią — opoka,
A grom był jego słowami;
Co ducha waszego wskrzeszał,
Nowe wskazywał mu drogi —
Idących na śmierć pocieszał,
By umierali bez trwogi.
I wiódł was przez cmentarzysko,
Krwią waszą zlane i łzami —
I mówił: Mesyasz blisko,
Jerozolima przed wami! —
Cud się wypełnia — zagoi
Ran waszych serdeczną bliznę — —
On, Mesyasz, przed wami stoi,
Daje wam swoją ojczyznę.
Ta dawna nie wróci do nas
W królewskiej szacie Dawida:
Zagłady przeszedł duch po nas,
Piorunem trzasnął w pierś Żyda — —

Ale uczeni w Zakonie
Nie odbierali wiar waszych:
O dniu ogromnym mówili,
O wielkiej zbawienia chwili,
O gwieździe, która zapłonie...
I oto — czas w swym ogromie
Na skrzydłach przeleciał ptaszych —
I Mesyasz stanął widomie! —
Ojczyzna jego nas wita,
Z czoła ociera pot znojów —
Z jej pól uszczkniemy kłos żyta,
Zaczerpniem wody z jej zdrojów;
Wchłoniem powietrze jej nieba
I wonne wiatru oddechy —
Nie zbraknie wody, ni chleba,
Ni cichej, rodzinnej strzechy...
Słuchajcie! — to głos proroczy,
Który ja z piersi wygrzmiałem —
Wpółsenne otwórzcie oczy:
Sen wieków stanie się ciałem.
Słuchajcie! prorok nie zwodził —
Już wychylona mąk czasza...
Tu — Jeruzalem jest nasza,
I Mesyasz już się narodził!

Roboam (d. s.). Bluźnierco!

Król. Niech każdy pomny
Słów tych w zgodny bije rym...
Idźcie! dom mój jest ogromny,
Wiele komnat mam ja w nim.

Ezechiel. Wstańcie! skruszył Pan zapory,
Grom ostatni wypadł z chmur —
W górę serca!.. w jeden chór
Zaśpiewajcie pieśń Debory!..
(Tłum powstaje z klęczek i uderza w pieśń).

Pieśń.

Słuchajcie, króle, i wy, książęta,
I możni wszelkiego stanu —

Ja pieśń dziękczynną niosę dziś Panu —
O! rozbrzmiej — ty pieśni święta!

Boże! gdyś wyszedł z Seir i kroki
Stawiał na polach Edomu:
Wnętrza gór drżały od huku gromu,
Lały łzy srebrne — obłoki.

Za dni Samgara, za dni Jaeli,
Idąc ścieżkami krzywemi —
Lud twój, o Panie! zmiatał proch ziemi,
W krwawej się nurzał kąpieli.

Odtrącił Ciebie! — Już nowe Bogi
Cześć przynależną Ci biorą —
Aż rzekłeś, Panie: Powstań, Deboro,
I lud twój podnieś na nogi!

I głos Twój wiódł mię po krwawej roli
Przez mgły do Cyson rzeki...
Zwycięstwo przy nas! Cześć Ci na wieki,
Żeś lud mój wydarł niewoli! — *)

Roboam (patrząc za odchodzącymi). Zwycięstwo przy was?.. Gdzie [ono? — —

Nie! w taką pieśń nie uderzę —
Proroku! w ciebie nie wierzę,
Jak wierzę w stosy, co spłoną.
Uzbrajaj swoją pierś cnotą,
W miłości uderzaj tony —
Ja — będę czczony — za złoto,
Za złoto przez świat noszony.
Niech tamci klątw się twych boją
I nucą bezmyślny śpiew...
Ta ziemia nie będzie moją,
Ani żył moich jej krew.
Ja waszych kroków śladami
Nie pójdę w pochmurną noc — —
Mam siłę!.. i ona da mi
Potęgę — wielkość — moc!

*) Tłómaczenie kilku ułamków z pieśni Debory. Judicum V.

Dźwignę się ponad wszystkiemi,
Ogromny zbuduję tron —
Nie rzucę ziarna w gnój ziemi,
A złoty zbiorę plon.
Niech długie stają szeregi
Serc kryształowych bez plam —
Ja trzos mam pełny, nad brzegi,
I siła moja — tam!
Plujesz mi w oczy — syk węży
Nad głos mój milej ci gra — —
Zobaczysz, kto z nas zwycięży —
Ty — czy ja!...

Jonatan (podchodząc). Nie szedłeś do stóp tronu — —
Roboam (wskazując za Ezechielem). On zbluźnił!..
Jonatan. Szał go opętał — —
Roboam. Przemienił słowa zakonu —
Ja o tem będę pamiętał!
Jonatan. Roboam!
Roboam. Starszym dziś ludu
Musisz ty zostać! — Rabini
Zapalą światło w świątyni,
Dopełnią karty talmudu,
Że: kto wyciągnie ramiona
Do obcej braci —
Godność utraci
I niechaj samotny skona!..
Jonatan. Roboam!
Roboam. Tyś starszy ludu!

(Wychodzą szybko za tłumem — pieśń brzmi coraz ciszej, dalej i ginie, jak echo).

Król (do Estery). Kto jesteś, piękna, i we mnie wpatrzona
Rozpromienioną źrenicą lazuru? —
Jak bluszcze, twoje powisły ramiona
Przez arcymistrza wykute z marmuru.
Stoisz wyniosła, by kolumna grecka,
Na gruzach świątyń zasłuchana w ciszę —
Masz pierś niewiasty, ale uśmiech dziecka
Na twoich ustach słodko się kołysze.
Dla czego, w chwili, gdy przed moim tronem
Wiły się tłumy w pokornej podzięce —
Ty do stóp moich nie przyszłaś z pokłonem,

Ani mej szaty dotknęły twe ręce? —
Zali myślałaś, że źrenicą jasną
Król oczarowan, zostałby mniej gniewny —
I padłby wyrok z jego ust niepewny —
I byłaś dumna tą potęgą własną?
Widziałem — wzrok twój nie błądził po niebie,
Ni ścian zamkowych obiegał półkole — —
Z posępną myślą,na swem pięknem czole,
Z usty drżącemi — —

Estera. Patrzałam na ciebie!
I była chwila, że wszystkie łzy chciałam
Zebrać i na tych zanieść ci warkoczach —
Lecz mi tak nagle zolbrzymiałeś w oczach,
Że przed majestat twój ja iść nie śmiałam.
Nie karz mnie, panie! — nie duma, nie pycha
Patrzała ze mnie — ale rzewność cicha,
Ale wielkości twojej uwielbienie
Zwiało z ust słowa, skradło piersi tchnienie.
Zrazu niepewna stałam tak przed tobą
Z sercem strwożonem i duszną żałobą,
Nie śmiejąc podnieść dni idących rąbka — —
I byłam drżąca, jak trwożna gołąbka,
I byłam cicha, jak ci, którzy muszą
Umrzeć bez jęku — byłam tam... pół duszą!
Tak, przed potęgi twojej majestatem
Stojąc — o panie! byłam kruchym kwiatem —
I, gdy przed tronem runął lud zbolały,
Czułam, że twarz mą pokrył obłok biały,
I ducha mego tchnął strachu paraliż,
Gdy zapytałam: Podniesiesz czy zwalisz?...
Podniosłeś, panie! lecz z tem podniesieniem
Duch mój zapłonął tak wielkim płomieniem,
Że u stóp twoich nie mógł spaść spowity,
Tylko się unieść i lecieć w błękity! —
Więc nie widziałeś mnie przed swoim tronem,
Zgiętej pokornie z czołem uchylonem,
W proch rozsypanej w łkaniu piersi głuchem—
Nie byłam sobą — byłam myślą, duchem,
Którego we śnie gdzieś uniosły szały...
Arfianą struną byłam — pieśnią chwały!
Teraz, gdy: amen! zabrzmiało pacierza,

Ta dumna, silna, w proch czołem uderza —
Nieśmiałym szeptem zadźwięka pierś moja:
Uwielbiam ciebie — służebnica twoja!...
(osuwa się na klęczki).

Król. Powstań! i więcej w gwiazd zawrotną drogę
Nie leć!... Za tobą ja tam iść nie mogę,
Chyba miłości opętany szałem.
Bądź przy mnie, ze mną i myślą, i ciałem!...
Jesteś tak czysta, że mój duch się zrywa
Do lotów górnych i drży, jak cięciwa —
Jesteś tak piękna, że mi kipi łono
I niewolnika mam myśl pod koroną,
Który, olśniony potęgą uroku,
Idzie w jarzm pęta i nie cofa kroku.
(Bierze jej ręce).

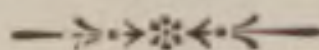
Tylko... to jarzmo, co oplata wkoło,
Jak puch, jest lekkie i słodyczą poi —
Tylko... niewolnik ma królewskie czoło
I nałożonych tych pęt się nie boi.
Bo wiedz, że piękność ma róż pełnych własność...
Upaja wonią — i — jak wielka jasność,
Wzrok może olśnić, skąpać w zawierusze
Świateł, pociągnąć zmysły — serce — duszę!...

Estera. Panie! jam dziecię obcego plemienia,
Niegodne szczęścia, ni twego spojrzenia —
Ty nie szydź ze mnie!.. Panie!.. twe ramiona
Na mnie spoczęły... Patrzaj! zapłoniona
Stoję i drżąca, jak ci, co się żalą
Przed tobą. — Panie!... twe usta mnie palą...
Nie mogę skończyć słów... schwytać tchnień łona...
Krew szumi falą...
Twe serce bije tak mocno — i moje
Drży bez ustanku...
To żar — nie usta twoje!...
Mdło mi! — Mój królu... panie mój... kochanku!...

(Oplata ramieniem szyję króla, który w jej usta się wpija).

(*d. n.*)

Kazimierz Gliński.



Rozalia Lubomirska,

jako ofiara terroryzmu w 1794 r.

Osoba Rozalii Lubomirskiej, jednej z niezliczonych ofiar krwiożerczego obłędu, który wykazała garstka ludzi, przez kilkanaście miesięcy rządząca Francyą, a utrzymująca rządy swoje owym krwawym postrachem, budziła szczególne zajęcie. Młodość, wdzięk, imię głośne w dziejach, z którem przyszła na świat — Rozalia bowiem była z domu Chodkiewiczówna [1]) — nie mniej, jak i to, które po mężu nosiła, wreszcie tragiczna śmierć — wszystko składało się na to, aby zainteresować jej osobą. Do ostatniej wszakże chwili nie było w literaturze nic, coby mogło przyczynić się do wyjaśnienia jej tragicznego losu, prócz kilku opowiadań, których legendarność jest zbyt oczywistą, aby można było do nich przywiązywać jakieś znaczenie historyczne. Dopiero przed paru laty p. Kraushar umieścił w „Tygodniku Illustrowanym", a następnie wydał w oddzielnej książeczce p. t. „Ofiara Terroryzmu" [2]) szkic, w któ-

[1]) Siostra Aleks. Chodkiewicza, autora *Portretów sławnych Polaków* oraz *Chemii* w 7 tomach.

[2]) Kraków 1897.

rym dał kilka szczegółów o śmierci Lubomirskiej, opartych na dokumentach historycznych. Liczba wszakże dokumentów, które posiadał, była zbyt szczupła, aby można było na ich podstawie odtworzyć dokładnie przyczyny tej śmierci lub nawet charakterystykę psychologiczną Lubomirskiej. Znajdujemy też w niej raczej podmalowanie tła historycznego, na którem przedstawia się postać główna nie dość jasno, a niektóre rysy tego konturu, z konieczności uzupełnione za pomocą domysłów, okazały się zbaczającymi od prawdy historycznej.

Przeszukując w r. 1898 archiwa paryskie dla innych celów, natrafiłem w Ministeryum Spraw Zagranicznych na szereg listów Lubomirskiej, zachowanych w odpisach Barssá, — listów, pisanych w ostatnich chwilach życia, a odsłaniających piękną duszę ich autorki, — oraz na inne dokumenty urzędowe, świadczące, że Polacy nie zaniedbali należytych starań dla uwolnienia biednej ofiary, że nawet Kościuszko, wówczas główny naczelnik siły zbrojnej, wstawiał się za nią. Wynotowawszy sobie te dokumenty, nie mogłem wszakże zużytkować ich natychmiast.

Tymczasem p. K. Stryjeński, który również natrafił na to źródło, a uzupełnił je jeszcze innymi szczegółami mniejszej wagi, zużytkował cały ten materyał w książeczce p. t. *Deux Victimes de la Terreur*. Nie zostaje nam więc nic innego, jak zaznajomić czytelników z losami Rozalii na podstawie owych dwu źródeł drukowanych, dorzucając na podstawie niewydanych dokumentów to, co zostało pominięte przez obu wymienionych autorów. Dodatki te pozwalają związać ów epizod z szerszem tłem dziejowem i uczynić z dramatycznej historyi kartę z dziejów doniosłej epoki.

W połowie października 1792 r. przybyła do Paryża z Lozanny Rozalia Lubomirska w towarzystwie córeczki czteroletniej, służącej Rozalii [1]), służącego de Poisson, oraz lokaja Williama Anglika. Paszport, opiewający te szczegóły, daje także jej rysopis: jest to

[1]) Ta to służąca miała, według opowiadania Steckiego, powtórzonego przez p. Kraushara, zanieść wpleciony w jej warkocz przez Lubomirską list do męża, udając się piechotą do Polski. Możnaby jeszcze uwierzyć, że w ciągu dwu miesięcy podróży młoda Rózia nie rozplątała warkoczy, stosując się ściśle do nakazu swojej pani. Ale cóż miała donosić mężowi z taką tajemniczością Lubomirska? Gdyby przewidywała swoje uwięzienie, zapewne, zamiast pisać o tem do męża, byłaby się ukryła lub przynajmniej opuściła Paryż. Stosunki zresztą między małżonkami były prawdopodobnie żadne, skoro Lubomirska kochała kogoś innego; a nawet w chwili ostatecznej nie udaje się do męża, lecz do osób, zupełnie jej obcych wśród współrodaków, jak to się niżej pokaże.

nizka blondynka, mająca zaledwie 4½ stóp wzrostu, o oczach dużych niebieskich i wijących się jasnych włosach. Miała wówczas lat 23 [1]). Portret jej przechowuje jedna z miniatur w Muzeum Czartoryskich, a Paris l'Épinard, który znał ją w więzieniu, powiada, iż była „piękna, jak Venus na obrazach".

Paryż nie przestał być jeszcze zbiegowiskiem świata eleganckiego, próżnującego i bawiącego się. Zresztą jest to cechą znamienną „ginącego plemienia", — używając wyrażenia autora „Nieboskiej" — że nie odczuwa grozy swego położenia i wciąż wyprawia bale na zapadającem się rusztowaniu... Groza terroryzmu nie przerwała widowisk, zabaw, a byli i tacy, którzy narażali życie swoje, aby pojść na operę [2]).

Lubomirska zamieszkała początkowo w pałacu Salm-Kyrbourg (z rodziną tą była spokrewniona), następnie zaś wynajęła pałac na Quai Challiot.

Zdaje się, iż niczem innem nie pociągał Paryż Rozalię, jak tylko tem, że nie przestawał być ogniskiem eleganckiego świata; przemawia za tem kilka szczegółów z jej poprzedniego życia, skrzętnie zebranych przez p. Kraushara. Dowiadujemy się stąd, że, wyszedłszy około 1787 r. za Aleksandra Lubomirskiego, kasztelana kijowskiego, już w pierwszych latach rzadko przebywała w Opolu — majątku męża, który zresztą sam miał usposobienie wielkie do podróży i niebezpiecznych przygód. „Jedna z najpiękniejszych pań ówczesnych", bawiła przeważnie w Warszawie, w gronie przyjaciółek, artystów, literatów, biorąc udział w życiu światowem i dworskiem [3]).

Może być, iż podczas wycieczek poprzednich już bywała u dworu Ludwika XVI, bądź co bądź, teraz w Paryżu znalazła się w otoczeniu artystów i literatów dworskiego autoramentu, używając w dalszym ciągu życia w postaci nieustannej uczty duchowej.

---

[1]) Urodziła się 16 września 1768 r.

[2]) W Paryżu były w owym czasie 23 teatry czynne co wieczór i nie mniej od 60 sal, gdzie tańczono publicznie. Carlyle. French Revolution. T. III, 145.

[3]) Wertując korespondencyę Stanisława Augusta w Muzeum Czartoryskich w celu wyjaśnienia przeszłości Rozalii Lubomirskiej, znaleźliśmy dwa listy jej do króla, nieznaczące co do treści, lecz świadczące o stosunkach z dworem. Pozwalamy sobie przytoczyć je tu; poprawiając cokolwiek ortografię, chwiejną w akcentach. Pierwszy jest bez daty; ton i styl jego zdradza osobę mało obytą w świecie; jest prawie pensyonarski. Zapewne pisany był wkrótce po wyjściu zamąż:

Jednem z ognisk, gdzie zbierały się te rozbitki minionego świata, był dom Dubarry w Louveciennes — zamku, podarowanym jej przez Ludwika XV [1]). Ten to stosunek stał się przyczyną jej zguby.

„Sire

Je baise humblement les mains de Votre Majesté et j'ai l'honneur de la remercier de la Lettre qu'elle a daigné m' envoyer. Il n'y a aucune réponse de bien pressée à faire et je ne me propose que par le courrier prochain. Votre Majesté voudra bien permettre que je saisisse cette Instance pour l'assurer de l'hommage respectueux que je ne cesserai de lui porter.

„De Votre Majesté la très
„humble et très obeissante
„servante

R. Lubomirska".

(Tom. 926, fol. 525).

Drugi list jest z r. 1791:

Ce 25 mai.

„Sire

„Je suis trop vivement penétrée de la dernière grâce que Votre Majesté vient de m'accorder, que je n'ose entreprendre de lui peindre ma reconnaissance; deignez donc, Sire, agréer mes faibles remerciments et souffrez l'hommage des sentiments qui Vous sont dus à plus d'un titre que celui de Monarque

Je suis, Sire,
de Votre Majesté
La très humble et obéissante
servante

R. Lubomirska.

(Tom, 728, fol. 991).

Nie skłonni jesteśmy natomiast dawać wiary epizodowi z Józefem Poniatowskim, przez p. Kraushara za pamiętnikarzami powtórzonemu. Rola, w jakiej w nim Lubomirska występuje, nie licuje ani z jej charakterem, ani z wychowaniem, i właściwszą jest dla kobiet półświatka, niż dla osób tego typu, do których Rozalia należała.

Groza ruchów mas żywiołowych unosiła się nad jej gniazdem rodzinnem w chwili jej urodzenia. Banda hajdamaków zbliżyła się do zamku na Czarnobylu, i jedynie wierności poddanych zawdzięczali Chodkiewicze ocalenie swoje. Epizod ten opisany jest w panegirycznie-poetyckiej formie w jednym z rękopisów Muzeum Chartoryskich, p. t. Niezdobyty Zamek Czarnobylski przez J. Dalkiewicza, 1841.

[1]) W spisie długów przez Rozalię Lubomirską ułożonym, a przytoczonym u Stryjeńskiego (str. 15), znajdujemy 315 liwr sklepowi muzycznemu i 277 księgarzowi; pokaźniejsza jednak pozycyą (556 liw.) zajmuje rachunek aptekarza.

Już 10 kwietnia 1792 r. Komitet Dozorczy Konwencyi zwrócił był na nią uwagę, donosząc w raporcie następującym o jej przyszłej instalacyi w Chaillot:

„Obywatele,

„Podczas gdy nasz kolega udawał się do was, aby zdać sprawę z aresztowania pięciu osób nieznanych u drzwi cudzoziemca księcia Potockiego, zostaliśmy zawiadomieni, iż niejaka mianująca (*soi-disant*) się księżną Lubomirską ma zamieszkać dom w naszym okręgu na *quai Chaillot*, № 38 (pomyłka: 33), który wynajęła z największym pośpiechem.

„Sądzimy, iż jesteśmy wam winni to doniesienie na wypadek, jeśli była w jakichkolwiek stosunkach z Potockim.

„Dodajemy, iż ta sama osoba, jak nas zapewniają, mieszkała przez czas dłuższy na bulwarze, róg ul. Poissonnière.

„Sądzimy, iż informacye te mogą mieć dla was pewne znaczenie w chwili, gdy, jak się zdaje, poszukujecie kilku Polaków. Będą przynajmniej nowym dowodem usiłowań, które w każdej chwili uczynić gotowi jesteśmy, aby wam dopomódz" [1]).

Czytelnik zapewne zadaje sobie pytanie, co robili wówczas owi Polacy w Paryżu, i jaka była przyczyna ich aresztowania?

W tym czasie, kiedy pani Lubomirska zajęta była zbieraniem kwiatków na dymiącym wulkanie, dwa stronnictwa polskie, przeciwne sobie, lecz nie bezwarunkowo wrogie, tajnie i jawnie dobijały się do udziału w owej podziemnej kuźnicy.

Najgłośniejszem było wystąpienie Wojciecha Turskiego, który pod przybranem „nazwiskiem republikańskiem Alberta Sarmaty" wystąpił przed kratkami Konwencyi Narodowej z przemówieniem w imieniu narodu (30 grudnia 1792). Przemówienie to zostało nader życzliwie przyjęte przez posłów i publiczność (było to niedzielne, uroczyste zgromadzenie Konwencyi); Turski otrzymał „braterski uścisk" od prezydującego, który mu odpowiedział w tonie pełnym sympatyi i zaprosił do „udziału w honorach posiedzenia". Konwencya zaś na propozycyę Barbaroux, dekretowała poparcie żądań Sarmaty [2]).

Około połowy stycznia 1793 r. wyjechał Kościuszko z tajną misyą do rządu francuskiego od emigrantów lipskich, zwolenników

---

[1]) Przytoczony u p. Stryjeńskiego str. 5—6.

[2]) Przemówienie Turskiego przytoczamy w cytowanej poniżej Misy Kościuszki.

konstytucyi 3-go maja, którzy schronili się do Saksonii po przystąpieniu króla do Targowicy, a tu nawiązali stosunki z Francyą za pośrednictwem wygnanego przez targowiczan ostatniego posła francuskiego do Rzptej, Maryana Descorches, a utrzymywali je w dalszym ciągu za pośrednictwem Piotra Parendiera, tajnego agenta rządu francuskiego, mieszkającego w Lipsku, a blizko zaprzyjaźnionego z emigracyą, zwłaszcza zaś z Ignacym Potockim. Misya ta miała na celu wyjednanie pomocy dyplomatycznej Francyi dla gotującego się już wówczas powstania, którego wybuch natychmiastowy po przystąpieniu króla do Targowicy z wielkimi wysiłkami odroczyli emigranci [1]).

Z drugiej stony, również tajnie, czynił jakieś kroki Stanisław August. Dowiadujemy się o nich po części z depesz wymienionego wyżej P. Parendiera do ministra francuskiego spraw zagranicznych. Źródło to nie bezwzględnie wszakże pewne, gdyż autor owych depesz przejęty był nienawiścią dla stronnictwa królewskiego. O większej części wszakże kroków jego agentów wiedział stąd, że agenci ci zwykle, przejeżdżając przez Lipsk, starali się wejść w porozumienie z emigracyą.

Jeszcze 24 lutego 1792 r. pisał Parendier do ministra:

„Mam z dobrego źródła wiadomość, że Little Page jedzie do Paryża, posłany przez króla. Wszystko to może być tylko w złym zamiarze. Król chce zapewne, aby zbadał usposobienie Francuzów dla zwolenników rzeczypospolitej w Polsce, którzy oczywiście nie są jego przyjaciółmi, aby mieć się na baczności z tej strony. Król przypuszcza jeszcze, że Pan masz dobrą opinią o Little-Page'u, i że to, co zdoła powiedzieć lub uczynić w Paryżu, mogłoby zmienić złą opinię, którą mają o nim samym. Jakiekolwiek zresztą są pobudki tej podróży, marszałek Potocki poleca mi powiedzieć Panu, abyś uczynił Little-Page'owi pobyt we Francyi możliwie nieprzyjemnym. Marszałek obawia się również, aby król, opłacając autorów, piszących do Monitora, nie starał się umieścić w nim artykułów, usprawiedliwiających jego nikczemne postępowanie. Proszę czuwać nad tem...“ [2]).

Little Page był Amerykaninem, który, wzorem innych cudzoziemców, przyjechał szukać szczęścia u najnieszczęśliwszego (z wła-

---

[1]) Co do szczegółów ob. pracę autora: Misya Kościuszki do Paryża w 1793. (1899).

[2]) Archiwum Minister. Spraw Zagr. w Paryżu. Correspondance Polonaise. T. 320, fol. 356—7.

snej winy zresztą wśród królów. W archiwach Spraw Zagr. w Washingtonie znaleźliśmy szereg listów jego do Jeffersona. W czerwcu (10) r. 1784 donosi on, iż został sekretarzem gabinetu króla polskiego. Na tem stanowisku zostawał przez lat dziesięć, jak dowiadujemy się z listu jego, datowanego z Altony 19 stycz. 1801 r.:

„Będąc oddalony od króla polskiego w skutek umyślnego rozkazu Cesarzowej Katarzyny II za udział, jaki miałem w rewolucyi 1794, a nawet po jej śmierci zostając w zatargu z jej następcą Pawłem I, wreszcie załatwiłem ten interes, i on zapłacił mi wspaniałomyślnie sumę, którą mi przeznaczył był król polski za moją długą i niebezpieczną służbę" [1]).

Jednocześnie nie zaniedbywał Little Page i obowiązków względem własnej ojczyzny, przesyłając Jeffersonowi (wówczas ministrowi spraw zagranicznych, a następnie wiceprezydentowi Związku) bardzo obszerne relacye o polityce europejskiej, zwłaszcza zaś o tem, co się działo w Polsce.

Zamierzona misya do Paryża nie była już pierwsza w ciągu tej „długiej i niebezpiecznej służby". W 1791 r. znajdujemy go w Paryżu [2]), skąd pisze do Jeffersona 5 marca:

„Moje sprawy prywatne przybierają postać bardziej obiecującą, niż miały od chwili otwarcia obecnego sejmu. Król powołał mnie ponownie do Polski, i za kilka dni wyjeżdżam stąd przez Berlin, gdzie się zatrzymam przez jakiś czas. Deputacya spraw zagranicznych sankcyonowała wszystkie moje jawne tranzakcye z dworem hiszpańskim, a jednocześnie odmawia przyznania prawowitości mojej misyi. Jeśli ciemność może uchodzić w polityce za głębokość, możesz Pan przyznać, że kombinacya ta jest głęboką" [3]).

---

[1]) ...After having been separated by express order of the Empress Catherine II from the King of Poland for the part I took in the revolution of 1794. even after her death Queeing brought into a sorte of squabble with her successor Paul I-st I at last settled matters with him and ne paid me very nobly the sum assigned to me by the king of Poland for my long and dangerous services". — Jefferson Papers. — Letters te Jefferson. Ser. 2. Vol. 52. № 71.

[2]) Znajdował się tu już w r. 1787, jako agent króla; na wiosnę 1787 prosił o dymisyą, pozorując ją potrzebą powrotu do Ameryki. W rzeczywistości, zdaje się, chciał wrócić do Warszawy, a później zaciągnąć się do wojska rosyjskiego, występującego przeciwko Turcyi. (E. Mottar. *Stanislas Poniatowski et M. Glayre*) 1897, str. XLI—XLII.

[3]) Jefferson papers. Serya 2. Tom 49, № 101.

Widzimy z tego, że Little Page był człowiekiem wytrawnym w polityce i że nie tylko do prywatnych swoich spraw posługiwał się nim Stanisław August. Misya wszakże, zamierzona w r. 1792, nie przyszła do skutku, jak dowiadujemy się z listu Bonneau, agenta francuskiego w Warszawie, pod datą 29 listopada [1]), — wskutek oporu ambasadora rosyjskiego, któremu krok ten wydał się podejrzanym nie mniej, jak i zamiar jednoczesny wyjazdu króla do Kozienic. Zamiar ten wywołał pogłoskę w Warszawie, jakoby król chciał uciekać.

Nie zaniechał wszakże Stanisław August zamiaru bliższego porozumienia się z rządem francuskim w chwili, o której mówimy. W doniesieniu kogoś, kto miał sobie polecone listy od pani Descorches do ministra francuskiego spraw zagranicznych, a musiał je zapewne zniszczyć po drodze ze względów ostrożności, czytamy:

„Istotna treść listów, które mi poleciła obywatelka Descorches dla Pana, jest następująca:

1) Że patryoci polscy, bawiący obecnie w Lipsku, zamierzają z wiosną przenieść się do Paryża;

2) Że generał Kościuszko, który ma ich zaufanie, również jak zaufanie armii i całego narodu, poprzedzi ich, aby się porozumieć co do podstaw wspólnego działania;

3) Że niejaki Maliszewski, pełnomocnik króla, prymasa i całej bandy Poniatowskich, daremnie usiłował zjednać sobie zaufanie Polaków w Lipsku, aby od nich otrzymać instrukcye do ministra francuskiego; chciał on nawet zaimponować marszałkowi Potockiemu, oświadczając, iż pójdzie sam, i zapewniając, że utrzymuje korespondencyę z Condorcet'em, Rabau, Barrère'em, Dupontem, Sieyès'esm, a nawet z Ob. Le Brun'em, ministrem spraw zagranicznych. Zauważywszy wszakże, że ton, który sobie nadawał, nie robił żadnego wrażenia, przyznał się marsz. Potockiemu, iż był w korespondencyi z królem i że miał szczególne polecenie prosić o względność dla niego. Zakomunikował mu nawet instrukcye swoje, zawarte w 15 punktach, które nic nie ustanawiają, nie dają żadnego światła. Konkluzyę ich stanowi żądanie niepodległości Polski i zainteresowanie Francyi, aby żądanie to wystawiła, gdy będzie mowa o pokoju".

„Za Maliszewskim podąży intrygant włoch Piattoli oraz kilku innych z podobnemi zleceniami. Pomiędzy listami, które miałem

---

[2]) Arch. Spr. Zagr. w Paryżu. Corresp. Pol. T. 320, fol, 358.

zlecenie doręczyć Ci, Obywatelu Ministrze, znajdował się jeden od owego Piattolego do Ob. Descorches'a, pełen hypokryzyi i fałszu, a mający na celu zamaskować rzeczywiste pobudki jego przyszłego przyjazdu do Paryża, któremi są jedynie intrygi Stanisława, przezwanego Augustem.

„Byłoby potwornem, dodaje ów sprawozdawca, dopuszczać do rachunku naszych środków wpłynięcia na Polskę nizkie intrygi tego, który przyśpieszył jej zgubę w sposób najhaniebniejszy, a który, widząc obecnie, iż rzeczpospolita francuska odzyskuje swoją przewagę na szali politycznej Europy, chciałby zapewnić sobie nowe sposoby utrwalenia swojej chwiejącej się korony przy pomocy nowych zdrad" [1]).

Toż samo, z mniejszymi tylko szczegółami, donosi i Parendier w depeszy z d. 16 stycznia 1793 [2]).

W tym czasie (styczeń i luty 1793) Piattoli bawił w Dreznie i utrzymywał ze Stanisławem Augustem korespondencyę bardzo poufną, której urywki odszukałem w Rapperswylu. Stwierdza ona w ogólnych zarysach to, co zawiera list, powyżej przytoczony, t. j., że St. August odbywał ustawiczne wahania pomiędzy dwoma biegunami politycznymi Europy, stosownie do tego, który z nich wznosił się ku górze. „Honor, długi i spokój króla" stanowią trzy główne troski dworaka, a pojęcie o pierwszym z tych przedmiotów trosk nie musiało chyba być bardzo wzniosłe. Często upomina się o pieniądze, z których „z góry kwituje". Nie ulega wątpliwości, że odbywał konferencye z emigrantami, i zdaje się, że te konferencye wpływały po części na odroczenie wybuchu [3]).

Dekret 5 kwietnia 1793 oddawał całą Francyę pod dyskrecyjną władzę chciwego krwi obłąkańca Fouquier Tinville'a [4]). Surowość środków policyjnych wzrastała ustawicznie.

---

[1]) Corresp. Pol. t. 321, fol. 131, pod datą 22 lut. r. 2 (1793).

2) l. c. t. 321, fol. 26.

[3]) Tak w liście z d. 5 stycznia 1793 r. pisze: „Les Zasady de Targowica, le plan d' alliance avec les trois Cours et enfin les trois corps d' armées Russes dans les trois provinces allarment les Patriotes, aigris d'ailleur par tant d'autres raisons. Il est à espérer qu'ils ne précipiteront pas les choses; mais si on continue de les pousser à bout, je ne réponds de rien"…. „Maleszewski est à Dresde depuis 5 jours, il parle de Votre Majesté avec interêt el il m'a chargé de le mettre à vos pieds, en me disant qu' il écrira lorsqu'il aura quelque chose à mander. Nous allons, Mostowski et moi, à Lepzig avec lui. Là on débrouillera quelques idées..."

[4]) Dekret ten dawał mu prawo uwięzienia i ścigania sądownie wszystkich podejrzanych w spiskowaniu na podstawie doniesienia władzy lub nawet osób prywatnych.

W memoryale 19 kwietnia La Roche, były tłómacz i drugi sekretarz ambasady francuskiej w Warszawie, obywatel francuski z ojca, Polak z matki, który wraz z Turskim opuścił był Warszawę, ale rozstał się z nim w Strasburgu, mając zamiar wstąpienia do armii, w kwietniu jednakże już znalazł się w Paryżu, — skarży się (19 kwietnia) przed ministrem spraw zagranicznych, że Polacy, znani z patryotyzmu, a prześladowani przez wszystkie rządy monarchiczne, nie doznają we Francyi tej gościnności, na jaką zasługują. Chwytają tu ich, pieczętują ich papiery, włóczą do policyi. Do tegoż memoryału dołączona jest, na żądanie ministra, lista Polaków, mieszkających w Paryżu.

Na pierwszem miejscu znajduje się:

„La Citoyenne P-se Alexandre Lubomirska à l' Hôtel de Salm fauxbourg St. Germain [1]). Dalej idą:

„Les Citoyennes Lerzenska soeurs à l' hôtel d' Angleterre rue du Colombier.

„Le citoyen Mostowsky, nonce à la dernière Diète Révolutionnaire de Pologne; hôtel d' York, rue Jacob et ayant aussi logement à Chaillot.

„Le Citoyen Nagoursky, nonce à la même diète; hôtel de Moscovie, rue des Augustins".

Dalej idą czterej oficerowie armii polskiej: Sułkowski, Broniec, Grabowski (b. oficer armii francuskiej) i Hipolit Błeszyński [2]).

List La Roche'a zakomunikowany został Komitetowi Ocalenia, jak dowiadujemy się z odpowiedzi ministra pod datą 24 kwietnia, w której tenże prosi La Roche'a, aby miał baczność na przybywających Polaków, ponieważ postanowiono aresztować wszystkich podejrzanych cudzoziemców.

List La Roche'a jest jedyną aluzyą, dotyczącą wypadku, o którym nadmienia doniesienie Komitetu Dozorczego, znajdującą się w papierach ministeryalnych; można też wnosić z niego, że nie miał on innych następstw prócz wymienionych, t. j. ciągania do biur i konfiskaty papierów.

Bądź co bądź drobny epizod ten był pierwszym powodem, który zwrócił uwagę podejrzliwej policyi jakóbińskiej na Rozalię Lubomirską. Ta okoliczność, że imię jej zajmuje pierwsze miejsce na

---

[1]) Mieszkała więc jeszcze w pałacu Salm, a nie widać, iżby stamtąd miała się przenieść na ul. Poissonnière, jak czytamy w doniesieniu.

[2]) Archiwum Spraw Zagranicznych w Paryżu. Pologne t. 321, fol. 265.

liście Polaków, podanej przez La Roche'a, świadczy niewątpliwie, iż utrzymywała stosunki z kółkiem swoich współrodaków. Domyślać się wolno, iż dom jej w Chaillot stał się gościnnem ogniskiem, w którem zbierało się to grono. Gościnność owa stała się niebawem źródłem nowej denuncyacyi.

Ósmego maja stanęła w biurze policyjnem niejaka obywatelka Roncelin i oświadczyła, iż, gdy udała się do ob. Lubomirskiej, zamieszkałej na quai Chaillot № 33, z żądaniem zapłaty należności w sumie 60 liwrów „quil luy étoient dus pour pansemants et guérison de corps et de poireaux quel avet aux pieds", zamiast zadość uczynienia jej słusznemu żądaniu, została ona, „zapewne według rozkazu gospodyni", wyrzucona precz, chcąc zaś utrzymać się, uchwyciła rękami za kratę, która je przycisnęła. Dodała na zapytanie, czy było tam więcej osób, iż widziała dwu „Anglików" nieznanych (przypominamy, że stosunki z Anglikami były w owym czasie jednem z najniebezpieczniejszych oskarżeń) oraz „księżnę Ostande" (Amalia Hohenzollern Sigmaringen), a przygotowania do śniadania kazały domyślać się większej ilości osób. Pośpiech, z jakim ją wyrzucono, dodawała owa cnotliwa obywatelka, kazał jej podejrzywać, iż dom ten służył za tajny przybytek zgromadzeń arystokratycznych.

Wszakże i teraz jeszcze zostawiono w spokoju Lubomirską. Powód do aresztowania podała sprawa Dubarry.

Pani Dubarry była przedmiotem nienawści Maryi Antoniny za życia Ludwika XV; stosunek ten zmienił się wszakże podczas rewolucyi. Dubarry dała w Louveciennes przytułek gwardzistom, ranionym podczas uczty królowej. Na słówko podziękowania od Maryi Antoniny odpowiedziała uprzejmym bilecikiem: „Luciennes est à vous, Madame, n' est ce pas votre bienvaillance qui me l' a rendu?... J'ai eu l' honneur de vous adresser ce trésor du temps des notables; je vous l'offre encore, Madame, avec empressement".

Rozrzutność kurtyzany, która, oprócz 1.200.000 liwrów, wypłaconych jej przez skarb królewski wzamian za rentę, wyznaczoną jej przez Ludwika XV, pobierała rocznie pensyę w sumie 100.000 liwrów, stanowiła rażące przeciwieństwo z ubóstwem ludu, który wiele cierpiał z przyczyny głodu i drożyzny. Tymczasem stał się wypadek, ktory zwrócił szczególną uwagę na te bogactwa, nieuczciwą drogą nabyte. W r. 1791 ukradziono Dubarry szkatułkę z biżuteryą. Poszkodowana ogłosiła swoją stratę w gazetach, obiecując 50,000 nagrody za odszukanie jej. Ta lista kosztowności była nowym powodem do zwrócenia na nią uwagi, nową kroplą, dodaną do

przepełnionej czaszy grzechów umierającej monarchii francuskiej; była zarazem powodem dla Dubarry do podróży do Anglii, gdzie odszukała policya niektóre z ukradzionych jej przedmiotów.

Stosunki, przy tej sposobności zawiązane, zużytkowała Dubarry dla celów o wiele szlachetniejszych. Podczas procesu królowej pod wpływem Cossé-Brissaca stała się ona pośredniczką w stosunkach między Paryżem a Londynem, mających na celu uwolnienie królowej. Po jednej z takich wycieczek do Londynu Dubarry została aresztowana 27 września 1793 r. i stanęła przed trybunałem rewolucyjnym.

Między papierami jej znaleziono list Lubomirskiej [1]) z dnia 6 lipca, rozpoczynający się od następujących zdań:

„Dowiaduję się właśnie, Pani, o powrocie twoim do Louveciennes i o niesłusznem prześladowaniu, któremu uległaś. Pierwsze skłania mnie do wzlotu na skrzydłach przyjaźni; drugie upoważnia mnie, Pani, prosić cię, jako o łaskę, abym ci mogła być użyteczną; jeśli moich chęci nie uwieńczy skutek pożądany, pozwól mi, Pani, przynajmniej dzielić samotność twoją i dowieść, że ci, których zechciałaś wyróżnić, niełatwo o tem zapominają".

Ton tego listu świadczy o zażyłości; mniej nas wszakże razić będzie, jeśli weźmiemy pod uwagę, że owe prześladowania, którym uległa Dubarry, były wynikiem jej udziału w zacnej sprawie ocalenia królowej. Ze sprawą tą nie mogła nie sympatyzować Lubomirska zarówno ze względów ludzkości, jak i dla stosunków, które, jak się zdaje, łączyły ją z dworem za poprzednich pobytów w Paryżu.

Sympatya ta wynurzyła się w innym liście bez podpisu, adresowanym do p. Dubarry, gdzie czytamy ustęp następujący, podkreślony energicznym ołówkiem Fouquier Tinville'a [2]).

„Nic godnego uwagi nie donoszę o wypadkach dnia. Święto, które tutaj obchodzono wczoraj, w szczególniejszy sposób przypomina majestat ludu... Królowa jest dotąd w Conciergerie. Nieprawdą jest, jakoby ją miano przeprowadzić do Temple. W każdym razie jestem o los jej spokojna... Nasi władcy (*souverains*) nasyceni są chwałą i zechcą, jak sądzę, spocząć na laurach".

---

[1]) Przytoczony w całości u p. Kraushara (str. 39), u p. Sryjeńskiego (str. 20—21).

[2]) Znajduje się w Archives Nationales; przytoczony w obu źródłach drukowanych: Kraushar, str. 40—41; Stryjeński, str. 22—23.

Nie pomogła wszakże spóźniona oględność Lubomirskiej, na ten raz nie podpisującej listu. Dubarry nie miała ani dosyć odwagi, ani uczciwości, aby osłonić milczeniem osoby, czemkolwiek bądź z nią związane. Protokuł indagacyi w przedmiocie tego listu, która miała miejsce 30 października 1793, przytaczają obaj nasi autorowie [1]); dowiadujemy się z niego, że widywała się Dubarry z Lubomirską jeszcze w r. 1789, kiedy zapewne zawiązała się pierwsza znajomość. Chociaż nic kompromitującego Lubomirską nie znajdujemy w zeznaniach Dubarry, samo jednak wymienienie jej nazwiska było dostatecznym powodem do jej aresztowania, które nastąpiło 19 listopada. Tymczasem Dubarry została skazana na śmierć 6 grudnia; spotkała ją z tym samym brakiem odwagi, jaki okazała przy indagacyach, błagając kata o moment zwłoki, z krzykiem o ratunek w ostatecznej chwili...

Lubomirska odstawiona została do więzienia Petite Force. Z pokwitowania, wydanego przez pomocniczkę odźwiernego Héancre La J-e [2]), dowiadujemy się, iż przyprowadziło ją dwu dozorców policyjnych, obywatele Betremieux i Le Grand, „jako podejrzaną”, z rozkazu zawiadowców (*administrateur*) policyjnych Laurent i Mennessier.

Kto chce mieć wyobrażenie o scenach, towarzyszących aresztowaniom w czasach terroryzmu, niech przeczyta kilka kartek, poświęconych temu przedmiotowi w pamiętnikach pani Roland, uwięzionej na pół roku wcześniej (1 czerwca), a straconej na 11 dni przed aresztem Lubomirskiej. Są to zwykłe akcesorya aresztów politycznych: wtargnięcie nocne, pieczętowanie papierów, oglądanie rozmaitych przedmiotów, znajdujących się w mieszkaniach. „Pięćdziesiąt, sto osób wchodzi i wychodzi ustawicznie; zapełnia dwa pokoje, a między nimi mogą znaleźć się złośliwi, którzy zechcą wziąć lub podrzucić cokolwiek, pisze p. Roland. Powietrze napełnia się wyziewami złowonnymi; zmuszona jestem zbliżyć się do okna przedpokoju, aby wciągnąć trochę powietrza. Urzędnik nie śmie rozkazać temu tłumowi, aby się oddalił; zaledwie odważa się na prośbę nieśmiałą, która powoduje tylko zamianę obecnych przez nowoprzybywających”. Wreszcie około siódmej zrana kończy się rewizya. Wśród płaczu domowników wychodzi p. Roland, przechodząc między dwoma rzędami uzbrojonych ludzi do dorożki, oczekującej po

[1]) Kraushar, str. 46—48. Stryjeński, str. 26—28.
[2]) La Jeune.

drugiej stronie ulicy, a otoczonej tłumem. Tłum ten podąża za powozem, otoczonym zbrojną strażą. Oszukany przez fakcyę chciwą rządu mniema, iż jest to zdrajczyni, jedna ze spiskujących przeciw jego wolności, łącząca się z wrogami ojczyzny. Niektóre z kobiet krzyczą: „Na gilotynę!..” [1]).

Zapewne, że aresztowanie mało znanej cudzoziemki, podanej „*sans état*” („bez zajęcia”) w wyżej wymienionem pokwitowaniu, otoczone było mniejszą pompą, niż uwięzienie żony eksministra, kobiety, która była duszą Żyrondy, a której umysł, męstwo i charakter imponowały jej wrogom, imponowały całej Konwencyi. Typ jednak procederu musiał być ten sam.

Więzienie Petite Force należało do najprzykrzejszych. W niem znajdowała się pani Lamballe, zanim wyciągnięta została 3 września 1792 r. na ulicę i zabita przez tłum. Pani de Mouchy była tu uwięziona w 1794 r. Również, jak i Lubomirska, umieszczona była na górnem piętrze, wśród prostytutek i złodziejek. „Od piątej godziny rozpoczywał się tam hałas, który trwał przez całą noc, podaje Dziennik pani Latour. Kobiety te przyszły odwiedzić panią de Mouchy, zapewniały ją o swojej niewinności i zażądały opłaty wstępnego” [2]).

O wiele jaskrawiej opisuje sąsiedztwo swoje pani Roland, która znalazła się w podobnem otoczeniu w więzieniu St. Pélagie.

„Oficyna, przeznaczona dla kobiet, czytamy tu, podzielona jest na długie, bardzo wązkie kurytarze; po jednej ich stronie znajdują się małe cele, podobne do tej, jaką ja zajmowałam. Znajdowałam się pod jednym dachem, na jednem piętrze, oddzielona zaledwie cienką przegródką, z kobietami upadłemi i zabójczyniami. Obok mnie mieści się jedna z tych istot, których rzemiosło polega na uwodzeniu niedoświadczonych i sprzedawaniu niewinności; nademną znajduje się kobieta, która podrabiała asygnaty i rozszarpała w towarzystwie potworów, do których bandy należała, osobnika płci swojej na gościńcu. Każda cela zamyka się na grubą zasuwkę przy pomocy klucza, którą co rano otwiera mężczyzna, przyglądając się natrętnie, czy uwięziona jest w łóżku lub na nogach. Wtedy mieszkanki tych cel zbierają się w kurytarzach, na schodach, w małem podwórku lub w pokoju wilgotnym i złowonnym, godnym punkcie zbornym dla tych szumowin społeczeństwa.

---

[1]) *Mémoires de M-me Roland.* Wyd. Bibl. Nationale. T. I, str. 35—40.

[2]) Stryjeński l. c. str. 36.

„Łatwo zrozumieć, iż nie wychodziłam z celi; odległości nie są wszakże dosyć znaczne, aby ochronić uszy od rozmów, jakie mogą prowadzić podobne kobiety, a których niepodobna wyobrazić sobie komukolwiek, kto ich nie słyszał.

„Nie dosyć na tem. Oficyna męska ma okna, zwrócone ku mieszkaniu kobiet i niezbyt odległe. Indywidua podobne do siebie prowadzą więc rozmowę, tem bardziej wyuzdaną, że ci, którzy w niej udział biorą, nie mają żadnej obawy co do jej następstw. Gesta zastępują czyny, a okna stają się widownią scen najhaniebniejszej rozpusty" [1]).

Parę szczegółów, dotyczących specyalnie Force, dodaje p. Stryjeński według Audouina [2]):

„Żadna komunikacya ze światem zewnętrznym nie była dozwolona. Wieczorem, o godzinie właściwej, każda z uwięzionych wracała do celi. Dwa psy przebiegały po kurytarzu, nagląc opóźniających się. Odźwierni, zaopatrzeni w sztaby żelazne, obchodzili cele, uderzając niemi po kratach, aby upewnić się o ich mocy. Powtarzało się to u każdego okna i trwało od godz. 9 do 10-ej".

Opisy te dają pojęcie o tem piekle, do którego nagle dostała się rozbawiona i urocza księżna, a przejście to musiało być tem boleśniejszem, iż, jak niebawem ujrzymy, poprzedzały je krótkie chwile szczęścia.

Życie więzienne tak oddziałało na nią, że już 20 stycznia 1794 r. przeniesiona została do szpitala — więzienia („*Maison de Santé et de Sureté*") obywatela La Chapelle, skąd 14 kwietnia przerzucono ją do więzienia Sainte-Pélagie, które poznaliśmy już z opisu p. Roland. Stamtąd wędruje do Port-Libre, a z tego przybytku do Conciergerie, które było przedsionkiem gilotyny.

Zanim uwięziona odbyła te wędrówki, nie próżnowali jej przyjaciele Polacy.

Kazimierz La Roche powrócony został zapewne z armii północnej do Paryża wskutek potrzeby, którą odczuwał minister spraw zagranicznych, posiadania kogoś przy sobie, ktoby mu ułatwiał stosunki z emigracyą polską. Pełnił on tę czynność, jak to stwierdza dokument, wydany mu przez nowego już ministra, Deforgues'a, który za-

[1]) Mémoires de M-me Roland, t. II, str. 63.
[2]) Xavier Audouin. *L'Inntérieur des maisons d' arrêt.* Paris, 1795.

stąpił Le Brun'a. Rola ta uwięzionego wkrótce po innych Żyrondystach, a ściętego w grudniu [1]), obok poprzedniego stanowiska, jako tłómacza i drugiego sekretarza ambasady francuskiej w Warszawie, nadawała mu pewien charakter urzędowy. Upoważniało go to do reklamacyi w obronie Polaków, z których jedną już przytoczyliśmy.

Na jego też żądanie zapewne zwracał się minister do gminy paryskiej (*Commune de Paris*). Pierwszy bowiem dokument, dotyczący sprawy Lubomirskiej, który spotykamy w papierach ministeryum spr. zagr., jest doniesienie gminy Paryża o jej aresztowaniu. Nadmienia się, iż jest niewinną, iż miała stosunki tylko z patryotami polskimi, i że sprawa jej polecona Godardowi. Dukument ten (na drukowanym blankiecie z nagłówkiem (*Commune de Paris*), datowany 12 pluviose an 2 (31 stycznia 1794 [2]).

---

[1]) Przytaczamy tu ów dokument, który odszukaliśmy w Rapperswylu. Zastępował on zapewne poświadczenia, które musiał mieć w owym czasie, według dekretu Konwencyi, każdy cudzoziemiec od swego ambasadora. Laroche był wprawdzie przez ojca obywatelem francuskim, ale wychowany w obcym kraju; a przytem tajemnicza korespondencya i stosunki, które utrzymywał z Polakami, wymagały ochrony specyalnej wobec natarczywej policyi terrorystycznej.

Pisany jest na blankiecie z drukowanym nagłówkiem: *Au nom du peuple français* oraz z wizerunkiem Rzeczypospolitej, trzymającej liktorski pęk rózeg z toporem i zaopatrzonym w pieczęć na laku:

„Je soussigné, Ministre des Affaires Etrangères de la République française, certifie que le Citoyen Casimir Laroche a été l' intermediaire d'une correspondence ministerielle, avec un agent de mon département en Allemagne; et que depuis le 13 brumaire il m' a remis, dans le cours de chaque décade plusieurs lettres qui m' étaient destinées, dont quelques unes portaient le cachet de surveillance générale.

A Paris le 4 ventose l' an 2 de la République une et indivisible (22 lutego 1794 r.).

Déforgues.

Ostatnie zdanie, powołujące się ubocznie na powagę policyi (*surveillance générale*), oraz nieśmiały ton całego certyfikatu jest bardzo charakterystycznym objawem powszechnego wówczas strachu przed Fouquier Tinvillém. Agentem, o którym tu wspomniano, był Piotr Parendier.

[2]) *Arch. des Aff. Etr.* Corresp. Pol. t. 321, fol. 22.

Pominął go p. Stryjeński; ja zaś mam tylko bardzo krótki wyciąg z niego. P. Stryjeński wspomina wprawdzie na str. 41, że pierwsze przedstawienie ministra zrobione bylo w miesiącu trimaire (koniec listopada lub grudzień 1793), ale cytowany przezeń ustęp, który niżej dajemy w przypisie, należy do dokumentu pod datą 15 ventose (5 marca). *Corresp. Polon.*, t. 321, fol. 58.

Na podstawie tego doniesienia odwołuje się minister 15 ventose (5 marca) do Komitetu bezpieczeństwa (*Comité de Sûreté générale*) „wskutek żądania patryotów polskich” w sprawie Lubomirskiej.

Wspomina on o wysokiem stanowisku jej ojca i męża w Polsce, o ich patryotycznem usposobieniu, o potrzebie zachowania przyjaźni Polaków, znajdujących się w Paryżu. „Ponieważ zaś, konkluduje minister spraw zagranicznych, według zebranych przez was informacyi oraz według indagacyi eks-księżny *(ci-devant princesse)* Lubomirskiej oskarżenia, przeciwko niej zwrócone, okazały się bezzasadnemi, sądzę, iż nie tylko nie będzie nic niewłaściwego w jej uwolnieniu, ale ten akt sprawiedliwości wywrze dobry skutek na jej uciśnionych współrodaków, których losem interesować się Rzeczpospolita ma ważne powody. Dodam, iż mam zbyt dobrą opinię o ob. Laroche, aby uważać go za zdolnego prosić o wyzwolenie osoby, którąby uważał za podejrzaną, a której uwięzienia wymagałoby bezpieczeństwo publiczne.”

Widoki więc w tym czasie były bardzo pomyślne dla uwięzionej. Nie zaniedbano jednak i środków energiczniejszych ku jej wyzwoleniu.

Stosunki, nawiązane przez Kościuszkę z rządem francuskim w r. 1793, obywatelstwo francuskie, nadane mu w 1792 r., cześć wreszcie, która otaczała już wówczas jego imię, kazały przypuszczać, że wstawienie się jego wobec rządu republikańskiego będzie najskuteczniejsze. Błeszyński, którego, jak niżej przekonamy się, wiązały stosunki najbliższe z Lubomirską, podjął się trudnego zadania uzyskania tego pośrednictwa.

Zadanie wistocie przedstawiało trudności ogromne i liczne. Nasamprzód wydostanie się za granice Francyi przy niezmiernej podejrzliwości rządu terrorystycznego, węszącego w każdym wyjeżdżającym emigranta, spiskującego z obcymi rządami. Powtóre — przedostanie się przez niezliczone granice państewek niemieckich, z których każde gotowe było widzieć w przejezdnym z Francyi emisaryusza rewolucyjnego: Parendier, który w kilka miesięcy później odbywał tę samą podróż, po tysiącznych zwłokach i niebezpieczeństwach zmuszony był cofnąć się, nie dotarłszy do granic Polski. Wreszcie odszukanie Kościuszki, w tym czasie nie mającego prawie piędzi ziemi, na której mógłby stanąć bezpiecznie na całym wschodzie Europy, i ustawicznie zmieniającego miejsce pobytu, aby uśpić czujność nieprzyjaciół w chwili gotującego się wybuchu.

Do przezwyciężenia pierwszej z tych trudności dopomogły stosunki La Roche'a. Pan Stryjeński przytacza memoryał, przedsta-

wiony ministrow spraw zagranicznych w tym przedmiocie pod datą: pluviose, an 2 (koniec stycznia lub luty 1794) [1]).

„Hipolit Błeszyński, Polak, pragnący zbliżyć się do ojczyzny swojej, aby być w możności wzięcia udziału w pierwszych ruchach powstańczych, któreby okoliczności mogły wywołać, prosił ob. Ministra o dowód lub list, aby mógł go okazać wobec współrodaków swoich, jako dowód usiłowań, przezeń tu wykonanych w celu służena bądź rzptej francuskiej, bądź swojej ojczyznie.

„Ob. Minister odmówił tej prośbie, ponieważ Polak ten nie jest mu dostatecznie znany, aby mógł niejako brać odpowiedzialność za jego postępowanie; Błeszyński więc ogranicza się do prośby o dowód, któryby mu ułatwił odnowienie paszportu, otrzymanego 12 brumaire'a (2 listopada).

„Ob. Minister raczy przypomnieć sobie, że Błeszyński został mu przedstawiony przez Kazimierza Laroche'a, jako obywatel, na którego patryotyzmie można polegać, który narówni z innymi oficerami polskimi, przełożył opuszczenie kraju swego nad hańbę poddania się despotyzmowi [2]); że w chwili przybycia do Francyi miał powody spodziewać się, iż zostanie przyjęty do służby rzeczypospolitej, skoro listy, pisane przez ob. Le Brun'a do Laroche'a, oświadczały, iż istniał zamiar przyciągnięcia do Francyi patryotów polskich, którzy, służąc naszej sprawie, służyliby jednocześnie i swojej.

„Że wreszcie, przedstawiając się, aby ofiarować usługi swoje bądź tu, bądź w Konstantynopolu, czuł się upoważnionym do pewnej nadziei przez odpowiedź obywatela Ministra, która, chociaż nie zawierała obietnicy, nie zdawała się wszakże zawierać odmowy. Nadzieja więc powzięta, iż zostanie zużytkowany, stała się przyczyną, iż dał upłynąć trzem miesiącom, w ciągu których paszport jego miał wartość. Dziś bezużyteczność jego pobytu w Paryżu, chęć zbliżenia się do ojczyzny, a może brak środków przyczyniają się do tego, iż postanowił nie odkładać dłużej wyjazdu swego; obawia się wszakże, iż zmuszony zostanie przechodzić przez długi łańcuch formalności przy uzyskaniu nowego paszportu. Sądzi, iż przy pomocy atestacyi Ministra, któraby stwierdzała, że chęć służenia tu była przyczyną spóźnienia jego wyjazdu, uniknąłby tej zwłoki i otrzy-

---

[1]) L. c. str. 130. Sądząc ze stylu, musiał być ułożony przez Reinhard'a, który miał sobie polecone sprawy polskie i wschodu Europy w ministeryum. On zwykle przygotowywał raporty ministeryalne.

[2]) Targowicy.

małby odnowienie paszportu bezpośrednio od Departamentu. Prośba jego wydaje się sprawiedliwą; udaje się z nią w tem przypuszczeniu, iż niczem nie skompromituje ob. Ministra, a nie sądzimy, aby atestacya podobna mogła pociągnąć jakiekolwiek niedogodności, skoroby nie zawierała w sobie nic prócz faktów.

„Sądzimy więc, iż można zaproponować wydanie mu certyfikatu mniej więcej następującej treści:

„Ja niżej podpisany i t. d... potwierdzam, iż ob. Hipoit Błeszyński, Polak, był mi przedstawiony, jako prawdziwy patryota, pragnący wstąpić w służbę rzeczypospolitej lub w jakikolwiek bądź sposób stać się użytecznym sprawie wolności, że chęci te oświadczył mi kilkakrotnie, lecz okoliczności nie pozwoliły mi ich zużytkować, Okoliczność ta skłoniła go do przedłużenia pobytu swego w Paryżu; lecz, gdy prawo, zakazujące przyjęcia cudzoziemców w służbę rzeczypospolitej, nie pozostawia mu żadnej nadziei w tym względzie, ma obecnie zamiar powrócić do ojczyzny".

W tym samym miesiącu *pluviose*, w którym Błeszyński czynił niebezowocne starania o paszport, przybył do Paryża na wezwanie ministra spraw zagran. dla bliższych wyjaśnień o gotującym się powstaniu agent jego, pośredniczący w stosunkach z emigracyą polską w Lipsku, Piotr Parendier. Z nim przybywał, jako pełnomocnik komitetu emigracyjnego, z szeregiem memoryałów, które miał przedstawić, Franciszek Barss, później — pełnomocnik Kościuszki i rządu powstańczego w Warszawie. Barss więc teraz miał zająć stanowisko reprezentanta polskiego wobec rządu francuskiego; na niego też spadł obowiązek wstawienia się za uwięzioną współrodaczką.

Czas wszakże był gorący. Barss i Parendier zajęci byli układaniem memoryałów, zaznajamiających ministeryum francuskie ze stanem rzeczy w Polsce i przygotowaniami do powstania, a mających na celu zainteresować rząd rzeczypospolitej i zachęcić do akcyi pomocniczej.

Był to także czas gorący pod względem szybkiego rozwoju manii krwiożerczej, która zhańbiła Rewolucyę. W miesiącu *ventose* (koniec lutego i marzec) trybunał rewolucyjny wysłał na ścięcie 116 ofiar. Więc pomimo ważnych spraw narodowych nie zapomina Barss o niewinnej ofierze terroryzmu. 8-go *germinala* (28 marca) otrzymuje minister spraw zagranicznych memoryał, w którym wspomina się o nadziei, jaką mieli Polacy, ujrzeć obywatelkę Lubomirską wolną; wyraża się obawa, że „wśród ogromu zajęć" Komitet bezpieczeństwa mógł o niej zapomnieć. Nadmienia ów memoryał, że

Lubomirska przyjechała do Paryża wskutek rozkazu, który wydalał ją z Lozanny, a spowodowany był przez jej jawną sympatyę dla Rewolucyi. Młoda i piękna, kobieta i księżna, może popełniła jakąkolwiek niekonsekwencyę; wszakże od pięciu miesięcy znajduje się w więzieniu, w którem gaśnie stopniowo, otoczona kobietami upadłemi lub zbrodniarkami.

„Zdaje się, konkluduje memoryał, iż charakter i zamiary tej kobiety zostały osądzone; że uznano, iż nie jest winną jakiegokolwiek bądź uczynku i że dostatecznie okupiła lekkomyślność swoją, jeśli ją rzeczywiście popełniła" [1]).

Minister powtarza wszystkie te argumenta na drugi dzień w piśmie do Komitetu [2]). Było to ostatnie jego odezwanie się w tej sprawie; 2 kwietnia Deforgues, podejrzany o dantonizm, zostaje uwięziony; 9 kwietnia na propozycyę Robespierre'a ob. Buchot został mianowany „komisarzem dla stosunków zewnętrznych" — tak bowiem odtąd nazywać się ma czynność ministeryalna, która już wcześniej spadła do tej roli biernie-wykonawczej pod despotyczną samowolą Komitetu Ocalenia. Był to człowiek bez znaczenia. „Jego nieuctwo, jego ułożenie pospolite, jego głupota przechodziły wszystko, co tylko można sobie wyobrazić" powiada jeden z współczesnych [3]); wrażenie, które wynieśliśmy, czytając jego liczne depesze, zgadza się z tym sądem. Przez tego to człowieka wypadało działać teraz na coraz to rosnący rozpęd despotyzmu, w strachu poczętego i postrachem panującego.

Tymczasem powraca Błeszyński, szczęśliwie spełniwszy misyę swoją. Przywozi on razem ze szczegółami o dniach kwietniowych w Warszawie i wiadomość o sympatyi, tam panującej dla rewolucyi francuskiej [4]). Nie dojeżdża wszakże do Paryża, czy nie mogąc prze-

---

[1]) *Corresp. polonaise.* T. 322, fol. 85, przytoczony u p. Stryjeńskiego, str. 44—45.

[2]) Ibidem, fol. 87. Brulion, pisany charakterem Reinhard'a.

[3]) Miot, Mémoires; cytowany u Sorel'a: *L'Europe et la Révolution française.* T. 4, str. 67.

[4]) P. Stryjeński mylnie podaje, jakoby Błeszyński miał wyjechać z Paryża przed śmiercią Rozalii (l. c. str. 134 w przypisku). Nie przejrzał on wszystkich dokumentów, nie mających bezpośredniego związku ze sprawą Lubomirskiej, a wskutek tego nie mógł dostrzedz kilku drobnych faktów, pozwalających jednak związać pozornie niezależne od siebie wypadki z prawdopodobieństwem, graniczącem z pewnością. Wyżej cytowany memoryał w sprawie paszportu Błeszyńskiego, będący powtórną już prośbą, świadczy o pośpiechu, z którym odbyć się miał jego wyjazd. Ale bardzo uderzającą okolicznością, przemawiającą za tem, że głównym

zwyciężyć trudności na granicach Francyi, czy dla jakich innych przyczyn. Zatrzymuje się w Bazylei, a stamtąd przez agenta francuskiego przesyła paczkę papierów, adresowanych do Barssa od Kościuszki. Pakiet ten przesłany jest Barssowi 27 *prairiale* (16 czerwca) w południe, jak świadczy notatka na marginesie zawiadamiającej o tem depeszy [1]). Zawierał on: 1) list Kościuszki z datą 20 maja w sprawie Lubomirskiej; 2) list Rady Warszawskiej, podpisany przez Zakrzewskiego i Mokronowskiego, w tej samej sprawie i z tą samą datą. Barss tegoż samego dnia złożył te świadectwa w biurze Komitetu Bezpieczeństwa [2]). W memoryale, z którego czerpiemy te wiadomości, nadmienia Barss, iż przedstawił również 20 *floréala* (9 maja) żądanie Aleksandra Lubomirskiego o oddanie mu jego córki. Z innego memoryału Barssa dowiadujemy się, iż „kuryer ów był kilkakrotnie rewidowany przez rząd austryacki, co go zmusiło do pozbycia się kilku ważnych listów. Między innymi znajdował się jeden od Kościuszki, opisujący rewolucyę w Warszawie, stan uzbrojenia i położenie ludu w Polsce" [3]).

Gdy te starania, o których zapewne nie wiedziała, czyniono dla jej uwolnienia, cóż się działo z uwięzioną? W krótkości przebiegniemy znane już naszym czytelnikom z opowieści p. Kraushara wypadki, prostując jedynie błędy, w które wprowadziły go zbytnia

---

celem podróży Błeszyńskiego było pragnienie ocalenia Lubomirskiej, jest to, że, niszcząc tak ważne dla sprawy ogólnej doniesienie Kościuszki o postępie powstania (ob. niżej), ocalił jednak listy, dotyczące Lubomirskiej. Sama już zgodność dat tych listów z innymi, niezawodnie przez Błeszyńskiego przywiezionymi, wobec trudności przesyłki i rzadkości okazyi, nie pozostawia wątpliwości, iż on był ich dostawcą. Wreszcie w depeszy Barssa z 4 messidora (t. 322, fol. 220) czytamy Extrait d'une lettre d' Hyppolite Bleszynski, officier polonais, courrier extraordinaire de Pologne à Bâle à Casimir La Roche". — Treść owego extrait jest identyczna z tem, co komunikuje na fol. 217.

[1]) Arch. des Aff. Etr. *Pologne*, t. 322, fol. 215.

[2]) Memoryał Barss'a z d. 14 messidora (4 lipca), w którym upomina się o pokwitowanie z tych papierów. (Arch. des Aff. Etr. *Pologne*, t. 322, fol. 229). Samych listów szukaliśmy daremnie. P. Kraushar niesłusznie więc zaliczył wstawienie się Kościuszki za Lubomirską do legend (str. 9 i 87), podnosząc natomiast kilka legend do godności historycznej. Że do takich należy tradycya o „umizgach krwawego dyktatora" do Lubomirskiej (str. 4), nie potrzebujemy dodawać. Każdy, kto zna charakter i temperament Robespierra, ani na chwilę jej nie uwierzy.

[3]) L. c. t. 322, fol. 217.

ufność do pamiętnikarzy obok braku dokumentów niewątpliwych, lub dodając to, co przyniosła nowego książka p. Stryjeńskiego.

Od chwili, tak pomyślne widoki rokującej, pierwszego wstawienia się za Lubomirską ministra spraw zagranicznych (5 marca) horyzont szybko się zachmurza. W *germinal*'u ilość skazanych na śmierć nie przekracza liczby poprzedniego miesiąca (wynosi 155); lecz w następnym — *floréalu* — jest więcej, niż podwójna: 354 ofiar ponosi śmierć na gilotynie. Pogarszają się też i osobiste widoki Lubomirskiej.

Pierwszego *floréala* (21 marca) powołani zostali do sądu ci, którzy podpisali protest Parlamentu przeciwko „nadużyciu władzy" ze strony posłów do Stanów Generalnych (14 października 1790 r.), innemi słowy przeciw Rewolucyi. Protest ten, zaopatrzony licznymi podpisami, przechowany był u Ludwika Lepelletier Rosambo, pierwszego prezydenta Parlamentu. Służący jego, który dopomagał do ukrycia tego pargaminu, zdradził go, i wszyscy podpisani znaleźli się przed Trybunałem Rewolucyjnym. Przy rewizyi u Rosambo znaleziono list bez podpisu do jego żony, datowany d. 11 grudnia 1789 z Nizzy, w którym nieznana korespondentka, opisując ciepłą pogodę, panującą w tem mieście, wtrąca takie zdanie: „Księżna Lubomirska, która mieszkała przez jakiś czas na wsi, jadała na otwartem powietrzu, a przyjaciółka Pani, p. de Roquefeuille, jada wciąż przy otwartych oknach, mając przed oczyma liczne drzewa pomarańczowe, obciążone owocami".

List ten wystarczył za dowód blizkości Rozalii z wrogami Rewolucyi. W rzeczywistości wzmianka przytoczona nie dotyczyła jej, a ponieważ na pierwszej indagacyi 30 germinala (19 kwietnia) nie pytano jej wcale o ten list, lecz jedynie o korespondencyę z Dubarry, oskarżenie zaś o obcowanie w Nizzy „z gronem emigrantów, z niejaką Levis, Roquefeuille i innymi" spotkała po raz pierwszy w akcie oskarżenia; odczytawszy więc ten akt, a widząc, że ją biorą za kogoś innego, napisała ów list do Fouquier Tinville'a, który przytacza p. Kraushar [1]), biorąc go za pozór, a w którym prosi o kilkudniową zwłokę dla dowiedzenia, że nie jest osobą, wymienioną w liście.

---

[1]) Str. 72. Ze względu na krótkość tej kartki, pozwalamy sobie tu ją powtórzyć:

„Obywatelu! Odczytawszy wręczony mi akt oskarżenia, przekonałam się ze zdziwieniem, że utożsamiają mnie z jakąś osobą, nie mającą, prócz nazwiska, które noszę, nic ze mną wspólnego. Żądam zatem, obywatelu, kilkudniowej zwło-

List ten nie odniósł żadnego skutku. Nie wyliczamy tu długiego szeregu osób, które jednocześnie z Rozalią Lubomirską stanęły przed Trybunałem, a które objął wspólny wyrok śmierci, wydany przez przysięgłych. Obrońca jej, przez ten Trybunał nadany — gdyż oświadczyła, iż nie zna nikogo, ktoby mógł stanąć w jej obronie — Chauveau Lagarde, bronił jej bardzo dyskretnie, powołując się głównie na jej szczerość oraz na jej oświadczenie, że nie zechce ratować życia kłamstwem. Położenie obrońcy było bardzo drażliwem wobec tego Trybunału, a obronę zbyt gorącą można było przypłacić życiem, jak się to stało z Adamem Lux, obrońcą dobrowolnym Karoliny Corday. Więc Chauveau Lagarde powtarzał stereotypowo ów frazes, stosując go do każdej z oskarżonych, zwłaszcza zaś czuł się skrępowanym tam, gdzie oskarżenie dotyczyło chęci ocalenia królowej, której on był również obrońcą.

Wszyscy skazani byli ścięci dnia tego prócz Lubomirskiej. Co innego wszakże odsunęło od niej na chwilę gilotynę. Oświadczyła, iż ma zostać matką.

I w tem oświadczeniu chce widzieć p. Kraushar pozór, a następnie, wiążąc je za pomocą domysłu z wielce nieprawdopodobną opowieścią jednego z pamiętnikarzy (przypominającą wątek *Abbesse*

---

ki dla wykazania swej niewinności i przekonania światłych sędziów, że nie jestem ich współczucia niegodną. Pozdrowienie i braterstwo. 3 Floréal, w więzieniu Conciergerie.

Aleksandrowa Lubomirska.

Lubomirska, wymieniona w inkryminowanym liście, jest prawdopodobnie Marcinowa, która utrzymywała korespondencyę z Glayre'em i której córki był nauczycielem. (Ob. Eugene Mottar, *Stanislas Poniatowski et Maurice Glayre*, Paris, 1897, str. 202 i nast.). Nie sądzimy także, iżby Rozalia Lubomirska potrzebowała „przywdziewać maskę republikańską“. W swojem zeznaniu wszakże na zapytanie: „czy tworzyła spiski przeciwko wolności i najwyższowładztwu ludu?“ — odpowiada: „Que bien loin d' avoir conspiré, elle a fui son pays pour respirer un air libre et qu'elle a même été chassé de la Suisse pour cause de démocratie“... To ostatnie musiało być prawdą, skoro znajdujemy wzmiankę podobną, z innego źródła pochodzącą (Memoryał do ministra spraw zagranicznych). Lekki ton, w jakim odzywa się o „naszych suwerenach“ w liście do Dubarry, nie świadczy bynajmniej o niechęci dla zasad Rewolucyi. Ton ten należał do otoczenia, w którem była wychowana. Wszakże i Marcinowa Lubomirska, która nie była nieprzychylna pracom Sejmu Wielkiego, odzywa się nieraz w ten sposób. („Le nouveau ministre d' Angleterre... ne revient pas de la surprise de trouver en Pologne une légion des Lycurgues, et de Lycurgues de vingt trois ans“ l. c. str. 222; toż samo str. 231 i t. d.). Zresztą poglądy Rozalii na jej stosunek z Dubarry, nie mniej, jak i jej przekonania wogóle, mogły uledz zmianie wskutek zbliżenia z ludźmi, jak Błeszyński, La Roche i inni Polacy ówcześni w Paryżu.

de Jouarre), każe Lubomirskiej szukać *post factum* podstawy dla jego stwierdzenia. Dokumenty wszakże niewątpliwej autentyczności usuwają i ten cień z pamięci Rozalii — jeśli można uważać za cień kłamstwo w podobnych okolicznościach.

Po wysłuchaniu wyroku Rozalia napisała szereg listów, które świadczą wymownie, że nie strach śmierci, ale myśl o zostających zapełniała jej duszę w tej ostatniej chwili. Poświadczone kopie tych listów załączone są do memoryału Barssa [1]).

Jeden z nich adresowany jest do służącego, który okazywał jej pomoc w czasie pobytu w więzieniach i otaczał ją troskliwością:

„Wdzięczność jest ostatniem uczuciem, gasnącem w duszy prawdziwie uczciwej i czułej; pośpieszam z niej zrobić użytek.

„Osądziłeś mię godną Twojej przyjaźni, gdy byłam nieszczęśliwą i opuszczoną; nie zadam kłamu tej opinii, a chociaż nie mogę odwdzięczyć się darem równie cennym, jak ten, któryś mi wspaniałomyślnie ofiarował, racz przynajmniej przyjąć słaby zakład mojej wdzięczności; jest to hołd, który winna Ci jestem oddawna. Oby mógł zabezpieczyć szczęście Twoje i Twoich dzieci! Jest to szczere życzenie Twej przyjaciółki.

„Rozalia Lubomirska z domu Chodkiewiczówna".

Towarzyszy listowi temu kartka następującej treści:

„Polecam rodzinie mojej, mężowi, ks. Aleksandrowi Lubomirskiemu, podjąć na posagu moim sumę 6000 liwrów francuskich, którą przekazuję służącemu memu Prévost, jego żonie i dzieciom, przez wdzięczność za przywiązanie trwałe i bezinteresowne, które mi świadczył w ciągu moich nieszczęść".

Obok tego znajdujemy list do Polaków, którego przesłanie poleca bankierowi Strouz w Lozannie:

„Moi współrodacy!

„Nie mam żadnych praw do waszego współczucia; ośmielam się prosić o nie, jako Polka, w imię wdzięczności i szacunku, które winniście pamięci wielkiego Karola Chodkiewicza.

„Po sześciu miesiącach cierpień zostałam skazana na śmierć... Wasze nieszczęścia, prześladowania, którym ulegacie, budzą dla was współczucie narodu francuskiego, który nie odmówi wam dowodu szacunku, ułaskawiając mnie... Jakakolwiek zresztą będzie dłu-

---

[1]) Archiwa Spraw Zagr. w Paryżu. *Pologne*, 322, fol. 171—173. Listy te przytacza p. Stryjeński.

gość dni, które wam będę zawdzięczała, ostatnie moje westchnienie będzie za moją ojczyznę, moje życzenia — za waszą sławę".

Ostatni list adresowany jest do Błeszyńskiego:

„Nadszedł czas złożenia dowodu, żeś był rzeczywiście godnym mego szacunku. Okryłam się wstydem, aby ocalić życie twego nieszczęśliwego dziecka... Współrodacy twoi cenią ciebie; masz licznych przyjaciół. Naród francuski nie odmówi ułaskawienia mego ich prośbom natarczywym. Najmniejsze opóźnienie wszakże poprowadzi mnie na rusztowanie. Potrzebny jest zapał, pilność, czynność. Nie masz czasu do stracenia, jeśli chcesz ocalić mnie od wstydu kary, jeśli wreszcie kochasz dziecko nieszczęśliwe, które przed urodzeniem jeszcze wystawione jest na opuszczenie, na nędzę i na wszystkie klęski życia.

Żegnam cię, Hipolicie, żegnam cię, przyjacielu serca mego. Dlaczegoż nie mogę łudzić się nadzieją ujrzeć cię raz jeszcze!..

„Żegnaj mi, żegnaj!

„Rozalia".

Nie wiedziała zapewne nieszczęśliwa, że Hipolita troska o jej los oddaliła na drugi kraniec Europy; że jej współrodacy niezależnie od jej prośby czynili wszystko możliwe, aby ją ocalić.

Lubomirską przeniesiono do dawnego pałacu biskupiego, koło *Notre Dame*, który przeobrażony został w *Hospice National*.

Warunki tu były łagodniejsze, niż w innych więzieniach. Główny dozór lekarski nad więzieniami w Paryżu miał wówczas Polak, Józef Markowski. Wysłany do Paryża dla studyów po ukończeniu Szkoły Głównej krakowskiej w r. 1785, zatrzymał się tam dłużej i pełnił podczas Rewolucyi ten obowiązek. Niemało ofiar prześladowania zawdzięczało mu ocalenie. Głównym lekarzem w Hospice był Bayard, człowiek bardzo dobry, pełen życzliwości dla uwięzionych. Niema wątpliwości, iż jeden i drugi robili, co mogli, dla ulżenia położenia Lubomirskiej. Jednakże brak pieniędzy i wszelkiej komunikacyi ze światem czynił położenie to bardzo przykrem. Drugiego maja pisze ona powtórnie do Błeszyńskiego list bardzo ostrożny i mówiąc o sobie w 3-ej osobie:

„Dzięki Tobie istnieje jeszcze [1]); niech że Ci zawdzięcza wolność; nie naglę Cię; byłoby to obrazą dla cnoty twojej. Koniecznem wszakże jest, abyś wiedział, że uzyskała zwłokę... Powiadają, iż została wzięta za jedną ze swych krewnych, która pisała listy

---

[1]) Oczywiście aluzya to do macierzyństwa.

przeciwne wolności (*des lettres liberticides*). Nie można było dowieść błędu i skazano ją, jako wspólniczkę ludzi, których nigdy nie znała. Córka jej znajduje się jeszcze w domu zdrowia, w którem umieszczona została na kilka dni przed sądem; sama ona jest w szpitalu, w dawnym pałacu biskupim i pozbawiona jest wielu rzeczy, niezbędnych w jej położeniu... Pozbawiona jest wszelkiej komunikacyi z kimkolwiekbądź; widuje tylko osoby, czuwające nad jej zdrowiem; nie odmówionoby jej wszakże pomocy, pośrednio dla niej nadesłanej. Żegnam."

Mania krwiożercza wzrastała ustawicznie. W miesiącu *prairial* (od 20 maja do 18 czerwca) ścięto 509 głów; w *messidorze* (od 19 czerwca do 18 lipca) 796; a w ciągu pierwszych dziewięciu dni *termidora* 382! Szpital, chwilowo przynajmniej osłaniający ofiary od gilotyny, był niemile widzianym przez Fouquier Tinville'a, a uczciwy i ludzki lekarz nie mógł być w nim tolerowany [1]). Około 5 czerwca 1794 r. Bayard został usunięty. Zastąpili go Naury i Enguchard, ludzie również pozbawieni wiedzy, jak i czci.

„Zaledwie parę dni upłynęło po usunięciu Bayard'a, opowiada jeden ze świadków naocznych, jak umierających poczęto wynosić bez litości; kobiety, które prawa bardziej ludzkie ochraniają, wleczono przed trybunał i tracono". Lubomirska, będąc świadkiem tych okrucieństw, nie umiała powściągnąć swego oburzenia.

„Pewna księżna polska, pisze ten sam świadek, [2]) młoda i piękna, zbyt oczywiście będąca w stanie odmiennym, daje się unieść zbyt sprawiedliwemu oburzeniu. Wyrzuca owym zwierzętom drapieżnym zabójstwa i wszystkie zbrodnie, któremi zasłużyli na przekleństwo przyszłych stuleci. Potwory te denuncyują ją przed oskarżycielem publicznym, a w ciągu dwudziestu czterech godzin zostaje osądzoną, skazaną i straconą".

Jeśli weźmiemy pod uwagę czas, spędzony przez Lubomirską w więzieniu (przeszło 7 miesięcy), nie będziemy mieli powodu powątpiewać o prawdzie wyrazów podkreślonych. Świadectwo zaś obu lekarzy, stwierdzające, jakoby badana nie wykazywała „za-

---

[1]) Paris Epinard opowiada w swych pamiętnikach, iż „Bayard często odmawiał wydania ofiar, których żądał Trybunał zabójczy".

[2]) Paris de l'Epinard w *Mon retour à la vie*, cytowany przez p. Stryjeńskiego (str. 92).

dnych oznak, ani symptomatów" macierzyństwa, musiało być jawnym fałszem. P. Stryjeński, który oglądał je w Archiwach Narodowych, dostrzegł, że nazwisko Lubomirskiej zostało później wciśnięte i napisane innym charakterem, jak reszta świadectwa, pisanego przez Enguchard'a. Przypuszcza na tej podstawie, iż lekarze ci dawali podobne dowody *in blanco*.

Przed śmiercią napisała Rozalia do przyjaciółki swojej, ks. Hohenzollern (wymienionej w jednej z przytoczonych wyżej denuncyacyi, jako ks. Ostande) następującą kartkę, pełną prostoty, graniczącej z wielkością:

„Żegnam Cię, Amelio; wkrótce żyć przestanę, pamiętaj o twojej przyjaciółce i kochaj mnie w osobie mego dziecka.

Rozalia".

Dziecko to, które spędziło również kilka miesięcy w więzieniu, zdala od matki, zostało później żoną Rzewuskiego, przezwanego „emirem".

Było to 30 czerwca 1794. Dwadzieścia siedem dni tylko oddzielało dzień śmierci Lubomirskiej od ostatniego dnia terroru — dziewiątego termidora, kiedy głowy Robespierra, Tainville'a i tylu innych krwi chciwych stoczyły się do tegoż kosza, pod żelazem tegoż Sansona, który ścinał głowy Ludwika XVI i Maryi Antoniny, rojalistów, konstytucyonalistów, żyrondystów, dantonistów, hebertystów; głowy tylu przeciwników rewolucyi i tylu fanatycznych republikanów rozmaitych odcieni. W ciągu siedmiu i pół miesięcy, które oddzielają dzień ten od chwili uwięzienia Rozalii, ileż wypadków nadzwyczajnej wagi przebiegło nad Europą; ileż głów znakomitych stoczyło się pod tą samą gilotyną!

Adam Lux, entuzyastyczny obrońca Karoliny Corday, który, jak rozkoszy, pragnął „uczuć chłód tego żelaża, co ścięło jej boską głowę", i chłodno ironiczny Filip Egalité, przemawiający do kata, który chciał owładnąć jego błyszczącymi butami: „Pośpieszaj, później zdejmiesz je łatwiej!" — Bailly, który spędzić musiał parę godzin na chłodzie, pod marznącym deszczem, zanim lud przeniósł gilotynę z pola Marsowego na brzeg Sekwany, a na uwagę, że drży, odpowiedział: „od zimna"; Barnave, Petion, Manuel, Hebert, Vincint, Anacharsis Clootz, apostoł braterstwa ludów, niepohamowany Danton i marzący Kamil Desmoulins, w towarzystwie całej gromady innych, Elżbieta, siostra króla i znakomity Lavoisier, któremu na żądanie dwutygodniowej zwłoki odpowiedziano, że Rzeczpospo-

lita nie potrzebuje chemików. 17 czerwca — na drugi dzień po złożeniu przez Barssa memoryału Kościuszki i Rady Warszawskiej w obronie Lubomirskiej na rusztowanie weszła „*fournée*" [1]), złożona z 44, osób w tej liczbie Cecylia Rénault, która, ujęta przykładem Karoliny Corday, chciała uwolnić Francyę od drugiego tyrana Robespierre'a: odwagi jej zabrakło na zabójstwo, ale starczyło na oddanie własnej głowy. Czterdzieści cztery razy musiał Sanson naciskać dnia tego fatalną sprężynę.

Na to samo rusztowanie wstąpiła po pięciu miesiącach więzienia — pięciu miesięcach, w ciągu których napisała „Pamiętniki", przez cały świat czytane, dodaje Carlyle [2]) — 8 listopada 1793 r. pani Roland, w białej sukni, z włosami spuszczonymi, żądająca u stóp rusztowania pióra i papieru dla zapisania niezwykłych myśli, które się w niej budzą. Było to na owym dziś tak pięknym „Placu Zgody", znanym wszystkim turystom z obeliskiem i fontannami po środku, rzuconym na prawym brzegu Sekwany, za pomocą „Mostu Zgody" łączącym się z Izbą posłów. Na miejscu obelisku stała wówczas gilotyna, a przed nią, zastępując zburzony posąg konny Ludwika XV, gipsowa olbrzymia figura „Wolności". Przechodząc koło niej, skłoniła się bohaterka i rzekła: „O wolności! jakież to rzeczy dzieją się w twojem imieniu!" — a widząc, że towarzysz jej Lamarché nie wykazuje odwagi należytej, prosiła kata, aby pozwolił jej pójść naprzód i pokazać, jak łatwo jest umierać.

Jak umarła Lubomirska? Nie mamy żadnych wieści pewnych, prócz tradycyi, iż miała suknię białą, w której była uwięziona podczas zabawy. O piętnaście lat młodsza od pani Roland, zaledwie żyć zaczynająca, bez świadomości, iż spełniła w życiu cokolwiek, coby na pamięć innych zasługiwało — o ileż smutniejszą i boleśniejszą musiała się jej wydawać śmierć w chwili, gdy może najwięcej odczuła potrzebę żyć inaczej, jak dotąd. Bo jakaż to ogromna różnica tonu owych ostatnich listów, pełnych głębokiego tragizmu poza prostotą stylu i wyrażeń w porównaniu z tymi, które pisała do Dubarry! Musiał się odbyć ogromny przewrót w tej pięknej duszy, którą warunki wychowania i otoczenia utrzymywały dotąd w świecie bawiącym się, zasłaniając od niej powagę życia, skoro powaga ta razem z grozą odsłoniła się jej w długich miesią-

---

[1]) Tak nazywano gromadkę, wchodzącą na rusztowanie. Dosłownie znaczy pieczywo chleba, naraz wsadzone do pieca.

[2]) *The French Revolution.* Avon Edition, t. III, str. 147.

cach cierpień, oczekiwania śmierci, połączonego ze świadomością, że będzie zarazem śmiercią jej dziecka nieurodzonego, zwątpień o ukochanym, widoku wreszcie tylu okropnych i okrutnych wypadków.

Możemy się domyślać i z tonu jej listów, i z odwagi, z jaką wynurzała oburzenie swoje na widok tych okrucieństw, że z niemniejszą wstąpiła na rusztowanie.

Ściślejsze poznanie prawdy historycznej podnosi w oczach naszych postać biednej ofiary terroryzmu. Była to tylko ofiara wprawdzie, ale ofiara, która gotowa już była urość na bohaterkę. A chociaż niema innego prawa na pamięć potomnych, prócz nieszczęść swoich, sama już możność starcia z jej pamięci kilku drobnych plamek, które pozostawił był pierwszy szkic p. Kraushara, nie tylko usprawiedliwia ten drugi, ale niejako czyni go obowiązkiem moralnym.

Wł. M. Kozłowski.



NAJNOWSZE POGLĄDY

na mechanizm budowy i czynności układu nerwowego.

Szkic popularny o teoryi neuronów.



Wiedza ścisła nie mniej, jak literatura i sztuka, podlega panowaniu prądów i mody. Mówiąc to, bynajmniej nie obniżamy jej wartości, lecz stwierdzamy raz jeszcze dobrze znane zjawisko, że umysły oryginalne i wyższe narzucają całym pokoleniom swój sposób widzenia rzeczy, wytykając im przedmiot i metody badania. Taki właśnie prąd i modę stworzył w biologii Darwin, za którego sprawą przyrodoznawstwo w ciągu kilku dziesięcioleci obracało się przeważnie, jeżeli nie wyłącznie, około kwestyi pochodzenia gatunków i dziedziczności. Podobne zjawisko, acz na skalę niezrównanie mniejszą, zaszło w ostatnich latach, gdy Nägeli i Weisman dali pochop do badań, mających na celu uzupełnienie i pogłębienie teoryi Darwina. W patologii znowu tak obecnie wszechwładny kierunek bakteryologiczny ma początek w pracach Pasteura i Kocha. W psychologii wreszcie Fechner zapoczątkował, a Wundt rozwinął i udoskonalił kierunek doświadczalny, który dla wielu stał się niemal

alfą i omegą psychologii. Nie inaczej dzieje się w nauce, tak napozór oschłej, jak anatomia i fizyologia, a w szczególności anatomia i fizyologia układu, nerwowego czyli neurologia. Antropolog francuski, Paweł Broca, wykazał w roku 1861, że utrata mowy, występująca u osób, dotkniętych apopleksyą, czyli tak zwana afazya, zależy od zmian patologicznych (wylew krwi, zatkanie naczynia, nowotwór), umiejscowionych w części czołowej lewej półkuli mózgowej; stąd słuszny wyprowadził wniosek, iż w rzeczonej okolicy mieści się ośrodek mowy członkowanej. W dziewięć lat później dwaj uczeni niemieccy, Fritsch i Hitzig, zauważyli u zwierząt przy draźnieniu elektrycznem ściśle określonych punktów szarej masy mózgu równie ściśle określone ruchy przeciwległych kończyn, po zniszczeniu zaś lub wycięciu tych punktów — bezwład odpowiednich mięśni; a ponieważ szara istota czyli kora mózgowa uważana jest za siedlisko najwyższych władz psychicznych — inteligencyi i woli — wypływało z powyższych doświadczeń, iż miano do czynienia z środkami ruchów dowolnych. Odkrycia Broca oraz Fritscha i Hitziga stały się początkiem ruchu niezmiernie żywego, gorączkowego, trwającego bez przerwy lat 30 i słabnącego dopiero w ostatnich czasach. Nie było prawie badacza, przynajmniej z młodszego pokolenia, któryby nie próbował swych sił w rozwiązaniu palącej kwestyi umiejscowienia czynności mózgowych; nie było czynności psychicznej czy fizyologicznej — poczynając od inteligencyi, woli, percepcyi zmysłowej, wzruszeń i kończąc na najniższych funkcyach, jako to: serca, naczyń, żołądka, kiszek, nerek i t. d. — dla którejby nie poszukiwano odpowiedniego środka w mózgu. Równocześnie z ruchem lokalizacyjnym powstał i wciąż mu towarzyszył, jako jego niezbędne uzupełnienie, inny jeszcze kierunek w neurologii, mający na celu ustalenie tak zw. „dróg przewodnictwa.” Drogi przewodnictwa to innemi słowy nerwy, idące z obwodu ciała do ośrodków oraz wzdłuż nich i odwrotnie. Wielki znawca budowy mózgu, Teodor Meynert, porównywa korę mózgową, mieszczącą w sobie wszystkie ośrodki zmysłowe, do powierzchni, na której rzutują się wszelkie wrażenia, powstałe przez bezpośrednie zetknięcie bodźców zewnętrznych z obwodu naszego ciała. Osobliwa ta powierzchnia rzutów odzwierciadla w sobie obraz psychiczny całego świata zewnętrznego, nadto zaś jeszcze odznacza się zdolnością wprawiania w ruch samego ciała za pomocą t. zw. impulsów dowolnych. Z takiego stanowiska rozważany organizm zwierzęcy sprowadza się poniekąd do dwu powierzchni krzywych — obwodu ciała wraz ze zmysłami i kory mózgowej — wzajemnie na się oddziały-

wających, wzajemnie udzielających sobie pobudek za pośrednictwem odpowiednich „przewodników.” Badano tedy początek, kierunek i koniec poszczególnych dróg nerwowych, starano się zbadać połączenia poszczególnych ośrodków korowych z przynależnemi im okolicami na obwodzie ciała, słowem usiłowano rozwiązać na drodze anatomicznej problemat fizyologiczny lokalizacyi czynności mózgowych. Przypuśćmy teraz, że osiągnięto znajomość doskonałą kory mózgowej i innych części mózgu, a nawet całego układu nerwowego; że określono w sposób niezachwiany ilość i czynności poszczególnych ośrodków nerwowych oraz wyodrębniono drogi, łączące ośrodki z odpowiednimi narządami ciała: co wszystko ma wprawdzie niezaprzeczoną wartość praktyczną — dla dyagnostyki, patologii, chirurgii, nie mniej i teoretyczną — dla mechaniki nerwowej, ale zarazem nosi piętno wiedzy czysto zewnętrznej, opisowej, nie odsłaniającej nam wnętrza ośrodków nerwowych, których mechanizm wewnętrzny pozostaje dla nas równie ciemnym, jak był poprzednio. Najnowsze badania w dziedzinie neurologii rzuciły właśnie wiele światła na to ostatnie zagadnienie, wielce zawiłe i ciemne.

I.

Zacznijmy od przykładów konkretnych. Co zachodzi w moim układzie nerwowym, gdy patrzę na świecę, gdy wyciągam rękę po pióro lub gdy cofam ją pod wpływem ukłucia? W pierwszym wypadku obraz świecy wywołuje w pierwiastkach nerwowych siatkówki pewną zmianę fizyologiczną, zwaną pobudzeniem; pobudzenie przenosi się na nerw wzrokowy, który przeprowadza je przez rozmaite stacye pośrednie aż do szarej istoty półkul mózgowych, w szczególności do tylnego zrazu mózgowego, gdzie ostatecznemu ulega przeobrażeniu, zwanemu ze strony psychicznej percepcyą świecy. W drugim wypadku sprawa zaczyna się w części układu nerwowego o najwyższem dostojeństwie fizyologicznem — w korze mózgowej. Pewien złożony szereg procesów psychofizyologicznych kończy się dowolnym impulsem ruchowym, umiejscowionym w okolicy ruchowej kory; impuls przez odpowiednie drogi nerwowe przedostaje się do rdzenia pacierzowego, w szczególności do przednich rogów, stąd zaś przez nerwy obwodowe do mięśni ręki, gdzie wywołuje stosowną do celu kombinacyę skurczeń*). W trzecim wreszcie przypadku ukłucie

*) Dla zrozumienia niniejszego artykułu wystarczą następujące wiadomości

draźni zakończenie skórne jednego z nerwów czuciowych ręki; nerw przenosi podraźnienie do szarej masy rdzenia, i tu przedostaje się ono na nerw ruchowy, idący do ręki. Tak przedstawia się rzecz ze stanowiska teoryi lokalizacyi. Teorya ta orzeka, że każdej sprawie nerwowej odpowiada określony narząd obwodowy, określone drogi przewodnictwa, określony środek w mózgu lub rdzeniu, ale nie wdaje się w szczegółowy rozbiór budowy i sposobu połączenia owych narządów, dróg i ośrodków. Nerw wkracza do rdzenia czy do mózgu, jedna masa nerwowa zlewa się z drugą; ale ośrodki zawierają niezliczone mnóstwo komórek i włókien: jaki więc zachodzi związek między nerwami obwodowymi a komórkami i włóknami ośrodkowemi? jak mamy sobie wyobrazić związek samych komórek ośrodkowych? w jaki sposób pobudzenie, powstałe na obwodzie, przechodzi na ośrodek, rozprzestrzenia się w nim, przenosi się z ośrodka do ośrodka i wogóle z torów zmysłowych na ruchowe? Na to odpowiadano jednogłośnie do ostatnich lat: jakikolwiek będzie ostateczny wynik subtelnych badań histologicznych, jest rzeczą *a priori* widoczną, że wszelkie pobudzenie przedostaje się z jednej części układu nerwowego do drugiej nie inaczej, jak za pośrednictwem tkanki nerwowej. Jeżeli tedy nerwy zmysłowe nie ciągną się nieprzerwanie od obwodu do ośrodków korowych, lecz kończą się gdziekolwiek na stacyi pośredniej, naówczas istnieć muszą włókna nerwowe, łączące ostateczne zakończenia tych nerwów z korą, t. j. z pewnemi grupami komórek mózgowych; jeżeli drogi nerwowe, przeprowadzające impuls dowolny z mózgu, nie dochodzą bezpośrednio do mięśni, muszą istnieć komórki i włókna nerwowe, które pośredniczą między rzeczonemi drogami a mięśniami; jeżeli w odruchu nerw czuciowy nie przechodzi bezpośrednio w ruchowy, lecz kończy się gdzieś w szarej istocie rdzenia, muszą istnieć tu pewne grupy komórek i włókien nerwowych, które łączą tor zmysłowy z ruchowym. Nie na tem jednak koniec. Do wytłómaczenia procesów nerwowych — tak utrzymywano powszechnie — nie dość, aby wzmiankowane włókna i komórki nerwowe łączyły się z sobą wogóle i w jakikolwiek sposób; przejście pobudzenia z jednej cząstki masy nerwowej na drugą wymaga tak ścisłego między niemi związku, iżby tworzyły

---

z anatomii opisowej: mózg mieści się w jamie czaszkowej, rdzeń pacierzowy — w jamie kręgosłupa; powierzchnia mózgu składa się z szarej masy i nazywa się korą; powierzchnia rdzenia — z białej czyli włóknistej, wewnątrz zaś znajduje się masa szara; na cięciu poprzecznem rdzenia szara masa ma postać rogatą i zbliżoną do litery H; odróżniamy dwa rogi przednie i dwa tylne.

jedną, wolną od wszelkich przerw, bodaj mikroskopowych, czyli nieprzerwanie ciągłą substancyę. Zręczny preparator potrafiłby wyjąć bez najmniejszego uszkodzenia mózg z jamy czaszkowej, rdzeń z kanału kręgosłupa, nerwy z miękkich części ciała i przekonać nas naocznie, że tworzą one razem, od powierzchni mózgu aż do najostateczniejszych zakończeń nerwowych, jedną całość nieprzerwaną. Ta ciągłość nieprzerwana istnieje nie tylko na zewnątrz, makroskopowo, między widocznemi częściami układu nerwowego, lecz również — i to właśnie stanowi jądro dawnej teoryi — na wewnątrz, mikroskopowo, między ostatecznymi pierwiastkami nerwowymi. Nie dotyczy ona wprawdzie budowy fizykalno-chemicznej materyi nerwowej, która, jak wszelka wogóle materya, składa się oczywiście z cząsteczek i w tem znaczeniu słowa ciągłą być nie może; mówimy tu o ciągłości czysto anatomicznej. Hypoteza nieprzerwanie ciągłej substancyi nerwowej uchodziła do ostanich niemal dni za niewzruszony postulat, za podwalinę całej neurofizyologii, rzec można za większą przesłankę, domyślnie tkwiącą we wszelkich naszych rozumowaniach o procesach nerwowych, bez której nie umiano sobie wytłómaczyć ani wyobrazić najprostszej sprawy, odbywającej się w ośrodkach nerwowych. Że hypoteza, która, jak zobaczymy poniżej, powstać mogła tylko dzięki wadliwej technice mikroskopowej, panowała wszechwładnie w nauce przez szereg lat, na to złożyły się okoliczności nader poważne. Przedewszystkiem pewne racye czysto logicznej natury, dowody apryoryczne: wszelkie przypuszczenia przeciwne prowadziły do wniosków niedorzecznych. Istotnie, łatwo sobie wyobrazić taką budowę układu nerwowego, iżby szczególne jego składniki wcale z sobą się nie łączyły albo też powiązane były za pomocą ogniw nienerwowej natury. Ale w pierwszym wypadku pobudzenie, powstałe w komórce lub włóknie, nigdyby — jak sądzono — nie mogło przekroczyć ich granic, podobnie jak przecięty drut telegraficzny nigdy nie zdoła przeprowadzić nawet najsilniejszego prądu elektrycznego z jednej stacyi na drugą, co przeczy oczywistej ciągłości zjawisk nerwowych. W drugim zaś wypadku musielibyśmy dla wytłómaczenia rozprzestrzeniania się pobudzeń nerwowych nadać ogniwom wstawionym własności, przysługujące wyłącznie tkance nerwowej, czemu znowu sprzeciwia się zasada podziału pracy w organizmie, albowiem zdolność przyjmowania i przeprowadzania pobudzeń jest własnością wyłączną i zasadniczą tkanki nerwowej, wypływającą z samego jej określenia, tak samo jak kurczliwość — własnością tkanki mięśniowej, zdolność wydzielania — własnością tkanki gruczołowej i t. d. Następnie, po części

spostrzeżenia utarte nad irradyacyą impulsów nerwowych, skutkiem której pewne uczucia, jak np. ból, zamiast ściśle się umiejscowić, rozprzestrzeniają się na znaczną część ciała, albo ruchy, jak np. drgawki, zamiast ograniczyć się do pewnej grupy mięśniowej, obejmują szereg grup, a nawet i całe ciało; po części subtelne doświadczenia nad szybkością procesów fizyologicznych i psychologicznych, jako odruch, percepcya, ruch dowolny i t. p., szybkością mniejszą, być może, niż oczekiwano, ale bądź co bądź niezwykle wielką—wszystko to nakazująco domagało się podkładu anatomicznego wolnego od wszelkich przerw, luk, a przynajmniej znajdowało w takim podkładzie objaśnienie najłatwiejsze i najnaturalniejsze. Wszakże podstawą najważniejszą omawianej hypotezy, tą mianowicie, która zdawała się bezpośrednio świadczyć o jej prawdziwości, były pewne fakty, oddawna znane, z dziedziny morfologii komórkowej. Rozróżniano zawsze w komórce nerwowej ciało, czyli okrągławy lub kańczasty kłaczek protoplazmy, oraz dwojakiego rodzaju wypustki. Z tych jeden zwłaszcza, zawsze pojedyńczy, wyróżnia się swą wyzistością, gładkością, równomierną wielkością z brakiem rozgałęzień; na pewnej odległości od komórki zamienia się on wprawdzie we włókno nerwowe, tworząc jego część najistotniejszą *), czyli cylinder osiowy; stąd nazwa: wypustek osiowy czyli nerwowy. Pozostałe wypustki, zawsze mniej lub więcej liczne, wielokrotnie rozgałęziają się na kształt drzewa i tworzą właściwie dalszy ciąg samego ciała komórkowego, którego protoplazma, jak gdyby nie mogąc zmieścić się w ciele, rozlewa się dokoła w postaci kanałów protoplazmatycznych, łatwo przypominających niby—nóżki ameby; nazwano je wypustkami protoplazmatycznemi. Dla krótkości będziemy nazywali nadal wypustek osiowy *aksonem* (od *axis*—oś), protoplazmatyczny—*dendritem* (od *dendron* — drzewo). Aksony, przekształciwszy się we włókna nerwowe, w prawdziwe nerwy, przekraczają granice ośrodków i sięgają aż do obwodu ciała. A dendrity? Do czego służyć może takie ich mnóstwo, zostające zawsze w obrębie ośrodków nerwowych? Najprawdopodobniej do wzajemnego połączenia komórek i włókien w jedną całość nierozerwalną. Mówię: najprawdopo-

*) Włókno nerwowe składa się z trzech walców współśrodkowych; zewnętrzny zwie się pochewką, środkowy — rdzeniem, wewnętrzny — cylindrem osiowym. Tylko ostatni rzeczywiście przeprowadza pobudzenia nerwowe; dwa pierwsze służą po części do ochrony cylindra osiowego, po części do izolowania od innych włókien. Na początku i zakończeniu włókna znajdujemy wyłącznie nagie cylindry, bez rdzenia i pochewki.

dobniej, gdyż nikt ani połączenia, ani nawet samych dendritów w całej ich rozciągłości stanowczo nie widział. Prawdopodobieństwo miało się zamienić w oczywistą pewność z chwilą, gdy znany histolog Gerlach dzięki nowemu sposobowi barwienia wykrył w szarej istocie rdzenia niezmiernie bogatą i, jak sądził, zupełnie zamkniętą sieć włóknistą, utworzoną z dendritów komórek nerwowych i ciągnącą się nieprzerwanie po przez rdzeń i wszystkie części mózgu, zatem obejmującą cały środkowy układ nerwowy. Na podstawie powyższego odkrycia Gerlach zakreślił szemat budowy ośrodków, stosunku nerwów obwodowych do ośrodków oraz mechanizmu anatomicznego czynności nerwowych. Jak wiadomo, rdzeń ma z każdej strony szereg parzystych powrozków, zwanych korzonkami nerwowymi. W każdej parze rozróżniamy korzonek przedni i tylny; pierwszy zawiera wyłącznie włókna ruchome, drugi—wyłącznie czuciowe: fakt, ustalony drogą niezbitych doświadczeń fizyologicznych. Na pewnej odległości od rdzenia oba korzonki zlewają się w jeden wspólny pień, który dopiero w dalszym ciągu rozsypuje się na większą ilość nerwów. Co się dzieje z korzonkami po ich wstąpieniu do rdzenia? Włókna ruchome, utrzymuje Gerlach, idą do przednich rogów szarej istoty rdzenia, czuciowe — do tylnych; tu i tam znajduje się wielkie mnóstwo komórek nerwowych. Owóż włókna ruchome przechodzą stopniowo i bezpośrednio w wypustki osiowe, czyli aksony komórek przednich rogów, innemi słowy: przedstawiają niezwykle wybujałe aksony tych komórek. A włókna czuciowe czyli tylne? Na mocy analogii z przedniemi możnaby je wyprowadzić z komórek, znajdujących się w tylnych rogach szarej istoty; tak rzeczywiście sądzono dawniej. Tymczasem Gerlach na preparatach swoich nigdzie nie mógł dopatrzeć się tego związku; natomiast stwierdził, że skoro tylko włókna tylne dochodzą do szarej istoty, natychmiast zanurzają się one i giną w zawiłej sieci, utworzonej przez zlanie się ostatecznych rozgałęzień dendritów komórek przednich czyli ruchowych z takiemiż rozgałęzieniami dendritowemi komórek tylnych. Gdy więc nerwy ruchowe biorą początek bezpośrednio z komórek ruchowych, czuciowe łączą się bezpośrednio nie z komórkami tylnemi, lecz z siecią protoplazmatyczną, znajdującą się w szarej istocie rdzenia. A ponieważ sieć protoplazmatyczna rozpościera się po całym układzie ośrodkowym, zatem nie tylko w rdzeniu, lecz i we wszystkich częściach mózgu znajdujemy ten sam stosunek nerwów do komórek i do sieci. Za pomocą szematu Gerlacha, nadającego substancyi nerwowej pożądaną jedność i ciągłość anatomiczną, łatwo objaśnić wiele zjawisk, zachodzących w układzie nerwowym.

Odruch polega na tem, że podrażnienie nerwu czuciowego lub zmysłowego przechodzi na wzmiankowaną sieć nerwową, stąd przez odpowiednie dendrity na pewną grupę komórek czuciowych lub zmysłowych, które po odpowiedniem przekształceniu pobudzenia znowu je wyzwalają do sieci; tu pobudzenie przechodzi na dendrity komórek ruchowych, stąd zaś przez komórki wprost na drogi ruchowe, idące do mięśni. W percepcyi zmysłowej pobudzenie z obwodu ciała przenosi się przez nerw zmysłowy do mózgu; tu przebiega ono drogę rozmaicie długą, utworzoną, być może, z kilku sieci protoplazmatycznych i wielu grup komórkowych, aż wreszcie dociera do sieci, zawartej w korze mózgowej, skąd już prosta droga przez dendrity prowadzi do specyficznych komórek mózgowych. Dalsze przykłady uważam za zbyteczne, gdyż czytelnik z łatwością sam wyznaczy drogę, jaką przebiega proces nerwowy w każdym przypadku poszczególnym.

II.

W histologii, czyli nauce o budowie mikroskopowej tkanek zwierzęcych lub roślinnych, obserwacye nasze bardziej, niż w jakiejkolwiek innej nauce, podlegają rozmaitym błędom, a postęp w technice badania stanowi o postępie wyników. Nigdy bowiem nie oglądamy bezpośrednio przedmiotu badań, lecz wyłącznie obraz jego, którego dokładność i czystość zależy od doskonałości całego systemu szkieł optycznych. Nadto rzadko kiedy badamy tkanki w stanie natury, najczęściej poddajemy je uprzednio działaniu rozmaitych odczynników i barwników, w wysokim stopniu zmieniających ich wygląd i konsystencyę. Tkanka, mająca przy pewnem powiększeniu i pewnym sposobie barwienia wygląd zupełnie jednolity, przy innem powiększeniu i innem zabarwieniu zdradza wysoki stopień zróżnicowania. Takiemu właśnie udoskonaleniu techniki drobnowidzowej zawdzięczamy najnowsze postępy w neurologii, które z gruntu zmieniły dawniej panujące poglądy na budowę układu nerwowego. Jeszcze w roku 1873 prof. Camillo Golgi w Padwie ogłosił metodę, w istocie swej polegającą na przesiąkaniu małych kawałków masy nerwowej naprzód rozczynem dwuchromianu potasu, następnie rozczynem lapisowym: pierwiastki nerwowe przybierają barwę czarną, przyczem bardzo dokładnie uwydatniają się szczegóły morfologiczne komórek i włókien nerwowych. Na tę metodę oraz wyniki, za jej pomocą otrzymane przez Golgi'ego, dopiero po latach 15 zwrócono należytą uwagę, głównie za sprawą sędziwego weterana histologów

niemieckich, Köllikera. W końcu ósmego dziesięciolecia prof. Santiago Ramon y Cajal w Barcelonie ulepszył metodę badacza włoskiego i rozszerzył zakres badań na wszystkie części układu nerwowego, zwłaszcza u zarodków i noworodków. Ci dwaj uczeni są prawdziwymi twórcami tak rozgłośnej obecnie „teoryi neuronów.” Kölliker, Retzius, Lenhossék, Van Gehuchten i inni zasłużyli się, sprawdzeniem i opracowaniem szczegółowem pomysłów i wyników Golgi'ego i Cajal'a.

W ogólnych zarysach Golgi przy pomocy swej metody potwierdził wyniki badań dawniejszych. Wraz więc z Deitersem, Max. Schultze'm i Gerlachem uważa on dendrity i aksony za integralne części komórki nerwowej; ale na tem kończy się cała zgodność. Przedewszystkiem, ilość wypustków protoplazmatycznych jest znacznie większa, aniżeli dawniej podawano, i w niektórych komórkach dosięga 20; nadto każdy z dendritów tylokrotnie dzieli się na gałązki drugo—, trzecio—, czwartorzędne i t. d., że razem wzięte tworzą iście zdumiewający labirynt rozgałęzień, o jakim starzy histologowie nie marzyli i wobec którego ciało komórki ma czasami postać niezwykle nikłą. Wielce zasłużony dla nowszej neurologii badacz, M. Lenhossék, twierdzi, że przed Golgi'm nikt stanowczo nie widział komórki nerwowej w jej prawdziwym całokształcie. Anatom tej miary, jak prof. Waldeyer w Berlinie, przyznaje, iż, jakkolwiek zawsze podziwiał niezwykłą obfitość rozgałęzień na pięknych preparatach Gerlacha, był przecież uderzony niesłychanem ich bogactwem, oglądając po raz pierwszy preparaty mikroskopowe z móżdżku, przygotowane sposobem Golgi'ego. *A priori* tak wspaniały labirynt ostatecznych rozgałęzień dendritowych powinienby świadczyć właśnie na korzyść protoplazmatycznej sieci Gerlacha. Tymczasem najbardziej drobiazgowe badanie wieluset preparatów przekonało Golgi'ego, że ani gałązki dendritowe tej samej komórki, ani gałązki komórek sąsiednich lub odległych żadnych między sobą nie tworzą spojeń, lecz *wszystkie kończą się w sposób wolny*. Przyznać trzeba — powiada on—, że bardzo często, zwłaszcza przy słabem powiększeniu, dwa dendrity, idąc wprost jeden naprzeciw drugiemu, sprawiają istotnie wrażenie, jak gdyby się zlały z sobą w jedno włókienko; wszakże dość jest baczniej rozpatrzeć się w badanym preparacie i przy pomocy objektywu, silniej powiększającego, aby sprostować złudzenie, wypływające z zwyczajnego zetknięcia się gałązek. Spostrzeżenie Golgi'ego potwierdzili wszyscy badacze, a co ważniejsza, bez względu na to, czy stosowano jego własny sposób barwienia preparatów, czy jakikolwiek inny, tak, iż *brak zamkniętej*

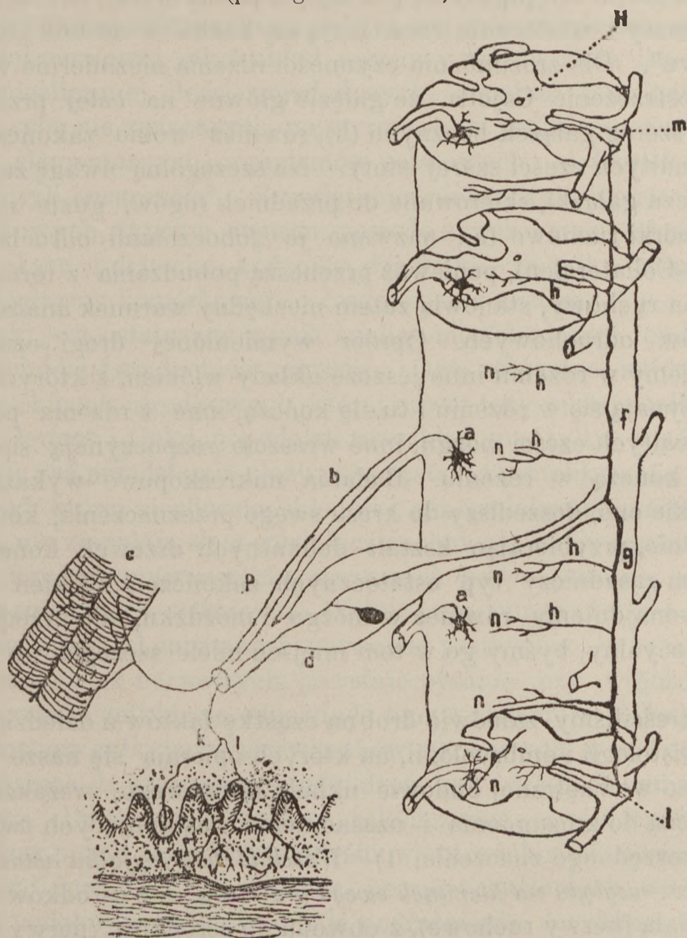
sieci protoplazmatycznej, a zatem *wolne zakończenie dendritów i ich ostatecznych rozgałęzień* zaliczyć możemy do trwałych i niewątpliwych zdobyczy neurologii. Zarazem wszakże utraciliśmy dostarczoną przez Gerlacha podstawę anatomiczną dla wciąż postulowanej ciągłości substancyi nerwowej: współczynność komórek nerwowych, pochodzenie nerwów czuciowych i zmysłowych, związek sfery czuciowej z ruchową — wszystkie te sprawy nabrały znowu charakteru zagadkowego, jak i przed odkryciem Gerlacha. Ale powróćmy do komórki i aksonu. Wbrew jednomyślnemu twierdzeniu poprzedników, którzy uważali pojedyńczość i niepodzielność za cechy charakterystyczne aksonu, odróżniające go od dendritów, Golgi wykazał, że i on nie jest zupełnie wolny od gałązek bocznych. Odchodzą one w nieznacznej ilości od głównego pnia jużto w pobliżu ciała komórkowego, jużto w dalszym jego ciągu; będziemy je nazywali *oboczniami* lub *paraksonami*. Nadto Golgi wykrył w ośrodkach nerwowych obecność osobliwych komórek, których aksony zachowują się zupełnie na wzor dendritów, mianowicie: ledwo się rozpocząwszy, natychmiast się dzielą na mnóstwo gałęzi wtórnych, te na trzeciorzędne i t. d., tak, iż akson, jako taki, przestaje istnieć i rozwiązuje się w mnóstwo gałązek pochodnych. Stąd podział komórek ośrodkowych na dwa typy: pierwszy obejmuje komórki, których aksony pomimo oboczni zachowują na całej przestrzeni swoją odrębność i następnie przekształcają się we włókna nerwowe białej masy mózgu i rdzenia; do drugiego należą komórki, których aksony tuż przy początku tracą swą odrębność, rozpadając się na mniej lub więcej zawiły układ rozgałęzień drzewiastych. Jak dotychczas, stoimy na gruncie ściśle faktycznym; natomiast wywody poniższe wkraczają już w dziedzinę hypotez, stanowiących wyłączną własność Golgi'ego i jego szkoły. Mówiliśmy wyżej, że włókna przednich czyli ruchowych korzonków rdzenia tworzą przedłużenie aksonów komórek, zawartych w przednich rogach. Jakkolwiek Gerlach obalił przypuszczenie, oparte na analogii i wywodzące włókna korzonków tylnych czyli czuciowych z komórek tylnych rogów, przecież wiary w czuciową naturę tych komórek nie zachwiał. Owóż Golgi utrzymuje, po pierwsze, iż komórki nerwowe I typu mieszczą się przeważnie w przednich rogach, komórki II typu — w tylnych, i wyprowadza stąd wniosek o ich naturze fizyologicznej: pierwsze są ruchowe, drugie czuciowe; gdziekolwiek je spotykamy, w rdzeniu, móżdżku, mózgu, należy wnosić o naturze ruchowej lub czuciowej badanej części układu nerwowego. Dalej twierdzi Golgi — i to stanowi oś i jądro całej jego nauki o systemacie nerwowym—, że deli-

katne rozgałęzienia aksonów II typu tworzą sieć spojeń niezmiernie gęstą i zamkniętą, która znajduje się w bezpośrednim związku: z jednej strony — z oboczniami aksonów I typu, z drugiej — z ośrodkowemi zakończeniami włókien czuciowych i zmysłowych; jest to sieć rozlana, która się ciągnie poprzez szarą substancyę rdzenia i mózgu, a kończy się w korze półkul mózgowych. Porównajmy z sobą szematy Gerlacha i Golgi'ego. Obaj badacze wychodzą z tego samego założenia — ciągłości anatomicznej substancyi nerwowej, uważając ją za warunek niezbędny czynności układu nerwowego; obaj upatrują wyraz zewnętrznej tej ciągłości w istnieniu rozlanej sieci nerwowej, obejmującej wszystkie ośrodki; obaj wreszcie wywodzą nerwy ruchowe bezpośrednio z komórek ośrodkowych, czuciowe zaś — z wzmiankowanej sieci. Cała różnica polega na tem, że jeden buduje swą sieć z rozgałęzień dendritowych, drugi — z aksonowych. Ta ostatnia, wobec stwierdzonego faktu wolnego zakończenia ostatecznych rozgałęzień dendritowych, stanowi niewątpliwy postęp w histologii, ale na pojmowanie wewnętrznego mechanizmu ośrodków mało wpływa, gdyż w obu szematach fala podrażnienia rozchodzi się dzięki ciągłości materyalnej substancyi nerwowej. Jest zresztą jedna jeszcze pomiędzy obu szematami różnica, już sama przez się ważna, ale donioślejsza jeszcze dla następstw, do których konsekwentnie prowadzi (o czem mowa będzie poniżej); podług Gerlacha, odruch dla swego uskutecznienia się wymaga zawsze obecności komórki ośrodkowej, gdy tymczasem w szemacie Golgi'ego bodziec z nerwu czuciowego może przejść odrazu na ruchowy, dzięki oboczniom, które łączą akson ruchowy z siecią. Aby przejść od wyników Golgi'ego do obecnych pojęć o wewnętrznej budowie ośrodków nerwowych, pozostało jeden tylko uczynić krok, mianowicie: rozwiązać jego „rozlaną sieć nerwową” tak samo, jak on rozwiązał sieć protoplazmatyczną Gerlacha. Spełnienie tego zadania doniosłego jest całkowicie zasługą Ramon y Cajal'a, do czego zresztą niepomału przyczyniły się pierwszorzędnej wagi badania Wilhelma Hisa nad historyą rozwoju ośrodków nerwowych. W pewnym okresie rozwoju zarodek nie posiada ani nerwów, ani rdzenia, ani mózgu; powstają one znacznie później i stopniowo z tak zw. „rurki rdzeniowej”, idącej wzdłuż ciała zarodkowego. Substancya rurki przedstawia, naturalnie, skupienie komórek, a wśród nich His wyodrębnił pewną ilość pierwiastków zrazu bezwypustkowych, a następnie dających po jednym wypustku, i nazwał je „neuroblastami.” Neuroblasty — są to przyszłe komórki nerwowe, wypustki zaś — zarodkowe aksony; później dopiero powstają dendrity. W tej części rurki

rdzeniowej, która daje początek rdzeniowi, aksony niektórych komórek wydłużają się, przekraczają granice rdzenia, układają się w korzonki przednie i rosną w tkankach ciała aż do mięśni, gdzie ostatecznie się kończą. W ten sposób His pierwszy dowiódł, że nerwy ruchowe rdzenia istotnie rozpoczynają się w rdzeniu, jako aksony komórek ruchowych. Co się tyczy nerwów czuciowych, nadaremnie szukalibyśmy w rdzeniu zarodków komórek, które im dają początek. Na małej odległości od rdzenia, zatem zewnątrz niego, znajdujemy na każdym z korzonków tylnych zgrubienie, zwane zwojem międzykręgowym. Zwój zawiera komórki nerwowe, z których każda daje jeden wypustek osiowy czyli akson; ten prawie natychmiast dzieli się widełkowato na dwie gałęzie: jedna rośnie w kierunku do obwodu ciała (do skóry lub błon śluzowych), druga — do rdzenia. Dalsze spostrzeżenia dowiodły, że to samo dzieje się z nerwami czuciowymi, będącymi w związku z mózgiem: nie powstają one w mózgu, lecz w pewnych skupieniach komórek nerwowych, wewnątrz jamy czaszkowej, ale zewnątrz mózgu znajdujących się i odpowiadających zwojom międzykręgowym. Słowem, nerwy czuciowe nie powstają ani w ośrodkach, ani na obwodzie, lecz w okolicy pośredniej, mianowicie w zwojach. Tylko nerwy specyficzne narządów zmysłowych rozpoczynają się w samych narządach, a więc nerw wzrokowy w siatkówce, nerw węchowy — w błonie śluzowej nosa i t. d. Doszliśmy teraz do faktu o znaczeniu bardzo ogólnem i ważnem. Fizyologia poucza nas o istnieniu dwojakiego rodzaju nerwów: ruchowych czyli odśrodkowych, to jest przenoszących pobudki z ośrodków do obwodu ciała, oraz czuciowych i zmysłowych czyli dośrodkowych, to jest przeprowadzających pobudki w kierunku przeciwnym. Owóż co ze stanowiska fizyologii jest tylko wnioskiem, wyprowadzonym z szeregu doświadczeń, embryologia potwierdza na drodze bezpośredniego postrzegania i wykazuje, iż „odśrodkowość" i „dośrodkowość" tkwią w samej mechanice rozwoju układu nerwowego, gdyż istotnie nerwy odśrodkowe powstają w ośrodkach i rozwijają się w kierunku do obwodu ciała; a nerwy dośrodkowe powstają na obwodzie i rozwijają się w kierunku do ośrodków. Jeżeli jednak pominiemy utarty, czysto opisowy, zewnętrzny podział układu nerwowego na ośrodkowy i obwodowy; jeżeli będziemy rozważali układ nerwowy ze stanowiska ogólnomorfologicznego, jako swoistą i w sobie zamkniętą tkankę komórkowo-włóknistą; to wyniki przytoczonych badań embryologicznych dadzą się ująć w następujące twierdzenie ogólne: wszelkie włókno nerwowe przedstawia od początku do końca w istocie

rzeczy tylko więcej lub mniej wydłużony akson jakiejkolwiek komórki nerwowej, bądź ośrodkowej, bądź obwodowej, czyli: wszystkie włókna nerwowe, bez względu na swe pochodzenie topograficzne, mają jeden i ten sam początek — w komórce nerwowej. Czy również podobne są ich zakończenia? Czy włókna nerwowe kończą się w komórkach czy nie? Zacznijmy od nerwów ruchowych, jako zdawna lepiej znanych. Dążą one oczywiście do mięśni i tam się kończą. Jak? Histolog francuski Ranvier już dawno dowiódł, że włókno ruchowe kończy się całkiem swobodnie w postaci drzewka, złożonego z pewnej ilości delikatnych gałązeczek, stykających się z tkanką mięśniową, ale nie związanych z nią organicznie. Niemniej wolne są zakończenia obwodowe nerwów czuciowych (nie zmysłowych!); np. w rogówce i w powierzchownych warstwach skóry znajdujemy zupełnie wolne gałązeczki nerwowe między komórkami nabłonkowemi, w głębszych zaś warstwach skóry — takież zakończenia nerwów czuciowych, otoczone komórkami lub ciałkami dotykowemi, ale organicznie z niemi nie spojone. Na te właśnie fakty zwróciwszy uwagę i nie widząc przyczyny, dla którejby zakończenia nerwowe miały różnić się od siebie zasadniczo w ośrodkach i na obwodzie, His i Forel jeszcze roku 1886, niezależnie od siebie, wypowiedzieli przekonanie, że ośrodki nerwowe utworzone są z pierwiastków, nie związanych z sobą organicznie w jedną substancyę nieprzerwaną, lecz całkiem wolnych i jedynie stykających się z sobą. Ale było to tylko przypuszczenie; brakowało mu bezpośredniego dowodu histologicznego. Dowodu tego dostarczył dopiero Ramon y Cajal, którego badania znalazły potwierdzenie w pracach Köllikera, Retzius'a, Van Gehuchten'a, Lenhossék'a i innych. Śledźmy wraz z Cajal'em przebieg czuciowego włókna odśrodkowego po wyjściu z zwoju międzykręgowego. Dociera ono do rdzenia i w obrębie jego białej masy włóknistej dzieli się (e) w postaci litery y na dwie gałęzie główne: jedna — wstępująca (f) — idzie wzdłuż białej masy do góry, druga — zstępująca (g) — na dół. Na pewnej odległości od miejsca podziału gałąź zstępująca zagina się pod kątem prostym (l), wkracza do szarej masy, gdzie wcześniej czy później rozsypuje się na *kilka delikatnych i krótkich gałązeczek, które, żadnych ani między sobą, ani z innymi pierwiastkami nerwowymi nie tworząc połączeń, obejmują nakształt drzewka lub koszyczka bądź jakąkolwiek komórkę, bądź koniec jakiegokolwiek jej dendritu.* Jak daleko sięga gałąź wstępująca? Na to pytanie histologia nie daje jeszcze stanowczej odpowiedzi. Jest rzeczą wielce prawdopodobną, że niektóre gałęzie wstępujące dochodzą do samego mózgu; inne znowu nie przekra-

Fig. I
(podług Lenhossek'a).



Szemat początku, przebiegu i zakończenia włókien czuciowych i ruchowych rdzenia pacierzowego.

Rdzeń pacierzowy przedstawia się, jako przezroczysty. Na trzech przekrojach poprzecznych widać szarą istotę, podobną do litery H, i cztery jej rogi. Po prawej stronie widać tylne korzonki, po lewej — przednie; *b* — przedni korzonek w całości; *d* — tylny, ze znacznie powiększonym zwojem międzykręgowym; *i* — gałązka czuciowa, wolno zakończona w skórze; *k* — takaż gałązka, otoczona ciałkiem dotykowem. W *d* komórka zwojowa; *e* — miejsce podziału włókna czuciowego w białej istocie rdzenia; *f* — gałąź wstępująca; *g* — zstępująca; *l* i *m* — kąt prosty, pod którym gałęzie główne zaginają się do szarej istoty; *h* — otoczenie gałęzi czuciowych; *n* — drzewka końcowe gałęzi głównych i ich oboczni; *a* — komórka przednich rogów; w *b* — akson komórki *a*, czyli włókno ruchowe; *c* — mięsień, w którym włókno ruchowe kończy swobodnie nakształt drzewek; *p* — miejsce połączenia obu korzonków w jeden wspólny nerw obwodowy

czają granic rdzenia, i te właśnie na pewnej wysokości zaginają się, wzorem gałęzi zstępujących, pod kątem prostym (m), wkraczają do szarej masy i ostatecznie rozwiązują się każda w osobne „drzewko końcowe". Dla zrozumienia czynności rdzenia niezmiernie ważnem jest spostrzeżenie Cajal'a, że gałęzie główne na całej przestrzeni oddają szereg gałązek bocznych (h), również wolno zakończonych, do rozmaitych części szarej istoty. Na szczególną uwagę zasługują zwłaszcza gałązki, skierowane do przednich rogów, gdzie mieszczą się komórki ruchowe (a); nazwano je „obocczniami odruchowemi" (Reflex-Collateralen), ponieważ przenoszą pobudzenia z toru czuciowego na ruchowy, stanowią zatem niezbędny warunek anatomiczny procesów odruchowych. Oprócz wymienionej drogi czuciowej, znajdujemy w rdzeniu inne jeszcze układy włókien, z których jedne rozpoczynają się w rdzeniu i tu się kończą, inne z rdzenia podążają do rozmaitych części mózgu, inne wreszcie rozpoczynają się w mózgu, a kończą w rdzeniu. Badania mikroskopowe wykazały, że wszystkie one, doszedłszy do kresu swego przeznaczenia, kończą się swobodnie, przybierając kształt delikatnych drzewek końcowych. Ten sam zasadniczy typ ostatecznych zakończeń włókien nerwowych odnajdujemy również w mózgu i móżdżku; ale przedmiot to zbyt specyalny, byśmy go w tem miejscu mieli szczegółowo rozpatrywać.

Streściliśmy zaledwie drobną cząstkę faktów z dziedziny anatomii, histologii i embryologii, na których opierają się nasze obecne pojęcia o wewnętrznej budowie układu nerwowego; wszakże i one wystarczą do zrozumienia i uzasadnienia następujących twierdzeń pierwszorzędnego znaczenia: 1) *Wszelkie bez wyjątku włókno nerwowe, bez względu na kierunek swego przebiegu* — z ośrodków do obwodu ciała (nerwy ruchowe), z obwodu do ośrodków (nerwy czuciowe i zmysłowe) lub wreszcie z ośrodka do ośrodka — *poczyna się od komórki nerwowej* — ośrodkowej lub obwodowej, *przedstawia zatem tylko więcej lub mniej wybujały jej akson czyli wypustek osiowy.* 2) *Wszelkie bez wyjątku włókno nerwowe*, doszedłszy do ostatecznego kresu swego przeznaczenia, tak na obwodzie, jak i w ośrodkach, *przybiera kształt drzewka końcowego, zupełnie wolnego* to jest nie znajdującego się w związku organicznym i bezpośrednim z żadną komórką ani włóknem nerwowem. 3) Ponieważ wypustki protoplazmatyczne, czyli dendrity mają również zakończenia wolne, wypływa stąd, że *komórki nerwowe nie łączą się z sobą wcale, nie tworzą zatem tkanki nieprzerwanie ciągłej, lecz przeciwnie każda z nich wraz z swymi wypustkami wyobraża pewną całość skończoną, w sobie zam-*

kniętą i zewnętrzną względem wszelkiej innej komórki. Uważana do niedawna za postulat ciągłość nieprzerwana nie jest ani zasadniczym atrybutem substancyi nerwowej, ani warunkiem sine qua non czynności nerwowej, gdyż układ nerwowy składa się w istocie rzeczy z niezliczonej ilości pojedyńczych, zupełnie samodzielnych, wcale z sobą nie związanych, najwyraźniej w zetknięciu z sobą będących, elementarnych organizmów nerwowych, „*jednostek nerwowych*", czyli „*neuronów*". Z wyjątkiem nielicznych komórek bezwypustkowych, typowy neuron posiada zawsze trzy człony: komórkę, akson i drzewko końcowe; dendrity — to tylko rozgałęzienia protoplazmy komórkowej -- rozgałęzienia aksonu.

Taki jest ostateczny wynik analizy morfologicznej, opartej na bezpośredniem świadectwie zmysłów. Owa motanina najdrobniejszych włókienek ośrodkowych, której nawet tacy mistrze mikroskopu, jak Gerlach i Golgi, nie zdołali rozwikłać, ma tylko pozór sieci, właściwie zaś przedstawia niezwykle gęstą i skomplikowaną „pilśń nerwową", której niezliczone składniki, acz wielokrotnie z sobą przeplatane, nie zespalają się z sobą, lecz zachowują swoją samoistność: *związek wzajemny pierwiastków nerwowych polega zawsze i wszędzie tylko na zwyczajnem zetknięciu.* Wobec tego jednak, że zasadę anatomicznej ciągłości substancyi nerwowej postawiono w celu wytłómaczenia zjawisk nerwowych, powstaje pytanie: czy wręcz przeciwna jej zasada zetknięcia odpowiada temuż zadaniu? Najzupełniej! Ścisłe bowiem zetknięcie pierwiastków nerwowych w równej mierze wystarcza do przenoszenia pobudzeń, jak i ciągłość substancyi nerwowej. Dowodem obwodowe zakończenia nerwów ruchowych, które przez proste zetknięcie z mięśniowemi włóknami udzielają im pobudzeń; dowodem zakończenia nerwów czuciowych w skórze, które w podobny sposób otrzymują podrażnienia dotykowe od otaczających je ciałek dotykowych; zresztą w przewodnictwie elektrycznem posiadamy doskonałą analogię i ilustracyę wzajemnego oddziaływania neuronów, i tu bowiem zwyczajne zetknięcie drutów najzupełniej wystarcza do przeprowadzenia prądu elektrycznego. Ale nie dość na tem. Hypoteza ciągłości materyalnej układu nerwowego dłużej ostać się nie może z tego jeszcze względu, że istnienie nieprzerwanej drogi nerwowej od obwodu poprzez ośrodki aż do kory mózgowej wiąże się ściśle z innem przypuszczeniem, mianowicie jakoby pobudzenia nerwowe przedostawały się z jednej stacyi krańcowej na drugą w stanie pierwotnym i niezmienionym, co wcale nie odpowiada, a nawet wprost przeczy zawiłemu charakterowi procesów nerwowych. Przez wykazanie zaś, że drogi nerwowe

składają się każda z całego szeregu kolejnych jednostek, samodzielnych i swobodnie z sobą się stykających, teorya neuronów opiera tłómaczenie ośrodkowych procesów nerwowych na całkiem nowej podstawie. Fala pobudzenia nie rozprzestrzenia się po torze jednolitym, lecz dochodzi w swej formie pierwotnej nie dalej, jak do końcowego drzewka pierwszego neuronu; stąd niejako przez indukcyę oddziaływa na neuron sąsiedni, wywołując w nim stan pobudzenia odmienny od pierwotnego i t. d. i t. d. W każdym więc neuronie prąd inerwacyjny zmienia się w pewien sposób swoisty, a fala nerwowa rozszerza się drogą indukcyi—pogląd, o wiele lepiej odpowiadający zawiłemu charakterowi procesów nerwowych i łatwiej go objaśniający, aniżeli przypuszczenie drogi nieprzerwanej i w stanie niezmienionym przenoszącej pobudzenie od początku do końca układu nerwowego.

III.

Już sam podział makroskopowy układu nerwowego na część obwodową i ośrodkową dowodzi niejednakowego ich stosunku do świata zewnętrznego. To samo daje się powiedzieć o neuronach. Są neurony, wystawione na bezpośrednie lub prawie bezpośrednie działanie bodźców zewnętrznych, jak np. zakończenia nerwowe w narządach zmysłowych obwodowych. Z neuronu obwodowego pobudzenie przenosi się w porządku szeregowym na następny, stąd na dalszy, stąd znowu na inne, aż wreszcie dochodzi do neuronu, znajdującego się w korze mózgu i będącego — według mniemania powszechnego — siedliskiem właściwej percepcyi zmysłowej. Z drugiej strony, dowolny impuls ruchowy, mający wszelkie cechy aktu psychicznego, powstaje w neuronach korowych mózgu, a więc najbardziej od obwodu oddalonych; ale impuls ten nie udziela się bezpośrednio mięśniom, lecz uprzednio przechodzi na neuron ruchowy niższego rzędu, który dopiero wprowadza w ruch odpowiedni mięsień. Istnieją zatem dwa szeregi neuronów, z których jeden — wstępujący — odtwarza w porządku kolejnym stopień odległości neuronów zmysłowych od obwodu ciała, a zarazem stopień ich wartości psychicznej, wzrastającej w miarę zbliżania się do kory mózgowej; drugi — zstępujący — odtwarza w takim samym porządku stopień odległości neuronów ruchowych od kory mózgowej, a zarazem ich wartość psychiczną, malejącą w miarę zbliżania się do ob-

wodu [1]). Poza tym podwójnym szeregiem i w związku z nim znajdują się jeszcze liczne szeregi neuronów, współrzędnych i podporządkowanych, bezpośrednio niezależnych od świata zewnętrznego i bezpośrednio czynnością swą również nie wkraczających w jego dziedzinę, oddanych wewnętrznej pracy nerwowej, już to czysto fizyologicznej, już to par excellence psychicznej, a więc stanowiących ogniwa pośrednie między obu szeregami, wyżej wzmiankowanymi. Taka jednak współzależność czynnościowa tudzież wartość niejednakowa dla całokształtu zjawisk nerwowych nie znosi bynajmniej samoistności fizyologicznej neuronów, wypływającej z ich rozdzielności i udzielności morfologicznej. Ponieważ — jak powiedziano — każdy neuron w szczególności przedstawia świat, w sobie zamknięty, swojego rodzaju mikrokosm, dla którego jego bezpośrednie otoczenie, to jest sąsiednia tkanka nerwowa i nienerwowa, jest takim samym światem zewnętrznym, jak dla całego organizmu „prawdziwy”, czyli pospolicie tak zwany świat zewnętrzny, musi on na własną rękę i na skalę niezmiernie drobną spełniać zadanie, wykonywane na skalę nierównie większą przez cały układ nerwowy, t. j. czerpać bodźce z swego własnego otoczenia, odpowiednio je przerabiać i zwracać nanowo otoczeniu w postaci zmienionej. Krótko mówiąc, wszystkim bez wyjątku neuronom przysługuje trojaka zdolność: przyjmowania, przerabiania i przenoszenia bodźców nerwowych; cała zaś między nimi różnica sprowadza się do tego, że gdy jedne dzięki położeniu topograficznemu przystosowane są do bodźców surowych, kosmicznych, „objektywnych”, inne dla tej samej przyczyny przystosowane są wyłącznie do bodźców, które uprzednio doznały już przeróbki w pewnym szeregu neuronów. Teraz zachodzi pytanie czy wymienione zdolności przysługują neuronowi, rozważanemu w całości, czy też poszczególnym jego częściom składowym przysługują i czynności odrębne? Na to odpowiedzieć trzeba, że nawet utwór tak miniaturowy, jak neuron, również podlega prawu fizyologicznego podziału pracy. Komórka, dendrity, akson, drzewko końcowe — każdy z członów neuronu posiada odrębną i sobie właściwą czynność. Jedyny wyjątek stanowią komórki bezwypustkowe, pozbawione zarówno dendritów, jak i aksonu; jako jedyny składnik neuronu, komórka taka łączy w sobie wszystkie jego zdolności czynnościowe. Ale w zwykłych warunkach, gdzie mamy do czynienia

[1]) Zbytecznem będzie chyba nadmieniać, że układ nerwowy składa się z niezliczonego mnóstwa takich szeregów podwójnych.

z typowym neuronem o wiadomej nam budowie, powierzchnia protoplazmy komórkowej wraz z dendritami służą specyalnie do przyjmowania bodźców nerwowych, które prawdopodobnie wewnątrz komórki dopiero ulegają należytej przeróbce. Zresztą w zapatrywaniach na naturę czynnościową dendritów nie osiągnięto jeszcze zupełnego porozumienia. Golgi np. zgoła im zaprzecza własności nerwowych. Jako swobodnie zakończone i nie biorące udziału w powiązaniu komórek nerwowych, uważa on je za całkiem zbyteczne dla spraw nerwowych. Powtóre, dendrity, zdaniem Golgi'ego, znajdują się w związku z utworami bynajmniej nie nerwowej natury, a mianowicie: z komórkami nerwogleju [1]) oraz ściankami naczyń krwionośnych, mają one zgoła inne przeznaczenie, aniżeli przypuszczano dawniej; są to kanały, przez które soki odżywcze przedostają się z naczyń i nerwogleju do pierwiastków prawdziwie nerwowych. Zresztą, — twierdzi Golgi — jeżeli dendrity nie służą do odżywiania komórki nerwowej, tedy niepodobna pojąć, jaką inną drogą materyał odżywczy mógłby się do niej dostawać. Pogląd ten, któremu niepodobna odmówić śmiałości i oryginalności, nie zgadza się jednak z pewnymi faktami histologicznymi, z których natura nerwowa dendritów wypływa z całą oczywistością. Nie przytaczamy ich, jako zbyt szczegółowych. Dość będzie zaznaczyć, że większość badaczy przypisuje dendritom narówni z innymi członami neuronu, czynności nerwowe i mianowicie uważa je za *narządy recepcyjne, przyjmujące pobudzenia zewnętrzne* (względem neuronu!) *i przenoszące je w kierunku dokomórkowym.* Jasną jest teraz rzeczą, na czem polega czynność aksonu: *wszelki akson przedstawia* — bez względu na naturę, zmysłową czy ruchową, komórki nerwowej — *narząd, odprowadzający pobudzenia nerwowe w kierunku od komórki ku drzewku końcowemu.* Np. komórki nerwowe, zawarte w błonie śluzowej nosa i tworzące razem obwodowy narząd węchowy, przyjmują podrażnienia węchowe, przerabiają je odpowiednio i przesyłają wzdłuż swych aksonów, czyli nerwów węchowych do mózgu. Albo np., protoplazma komórek przednich rogów rdzenia wytwarza pewien

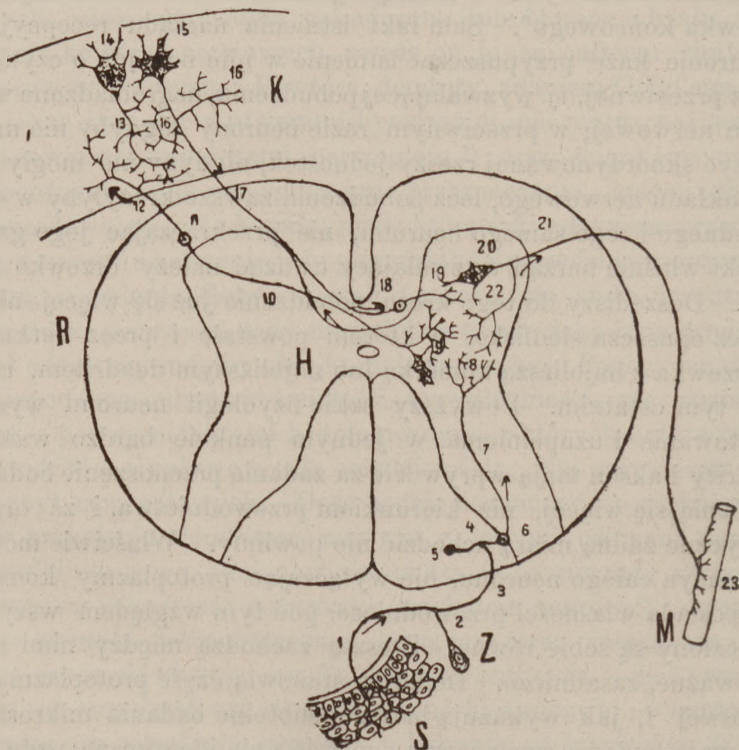
---

[1]) Ze stanowiska ogólnomorfologicznego ciało zwierzęce składa się z tkanek. Rozróżniamy tkanki: 1) nabłonkową, wyściełającą powierzchnię ciała oraz wszystkie jego jamy; 2) mięśniową; 4) nerwową i 3) łączną. Ta ostatnia służy do spajania zarówno pojedynczych pierwiastków tej samej tkanki, jak i rozmaitych tkanek z sobą; tworzy ona właściwy szkielet organizmu, którego część stanowią chrząstki i kości. Znajduje się ona naturalnie i w układzie nerwowym, gdzie nosi odrębną nazwę nerwogleju.

stan pobudzenia, pewien impuls ruchowy, który udziela się mięśniom za pośrednictwem obwodowych nerwów ruchowych, czyli aksonów tychże komórek. Co się tyczy oboczni, te, nie różniąc się morfologicznie od pni macierzystych, są do nich i czynnościowo podobne: i one więc przeznaczone są do przenoszenia bodźców w kierunku odkomórkowym. Pozostaje jeszcze do określenia czynność „drzewka końcowego". Sam fakt istnienia narządu recepcyjnego w neuronie każe przypuszczać istnienie w nim narządu o czynności wręcz przeciwnej, tj. wyzwalającej pobudzenia, nagromadzone w komórce nerwowej; w przeciwnym razie neurony nigdyby nie mogły tworzyć skoordynowanej rzeszy jednostek, nigdyby nie mogły tworzyć układu nerwowego, lecz pobudzenia zawsze krążyłyby w obrębie jednego i tego samego neuronu, nie przekraczając jego granic. Za taki właśnie narząd wyzwalający uważać należy drzewko końcowe. Doszedłszy do tego kresu, pobudzenie już się więcej nie cofa, lecz opuszcza siedlisko, w którem powstało i przez zetknięcie się drzewka z najbliższą komórką lub najbliższym dendritem, udziela się tym ostatnim. Powyższy szkic fizyologii neuronu wymaga sprostowania i uzupełnienia w jednym punkcie bardzo ważnym. Dendrity i akson mają wprywdzie za zadanie przenoszenie bodźców, ale różnią się więcej, niż kierunkiem przewodnictwa, i za organy identyczne żadną miarą uchodzić nie powinny. Właściwie mówiąc, substancya całego neuronu, nie wyłączając protoplazmy komórkowej, posiada własności przewodnicze: pod tym względem wszystkie jego człony są sobie równe. Zresztą zachodzą między nimi różnice poważne, zasadnicze. Dendrity stanowią część protoplazmy komórkowej i, jak wykazują bardziej subtelne badania mikroskopowe, mają budowę wewnętrzną zupełnie z nią identyczną, gdy tymczasem akson, jeżeli powstał z protoplazmy, to, bądźcobądź, znacznie, nie do poznania się od niej wyodrębnił. Nie powinno się zatem dendritów narówni z aksonem przeciwstawiać komórce; zamiast mówić o dwojakiego rodzaju wypustkach, należy raczej uważać dendrity za integralną część protoplazmy komórkowej, za rozszerzenie jej powierzchni, akson zaś za jedyny wyrostek fizyologicznie odmienny od reszty neuronu. Protoplazma nerwowa zarówno w komórce, jak w dendritach, składa się z substancyi wytwarzającej, ale zarazem i przeprowadzającej zjawiska nerwowe, zwane pobudzeniami, o których przypuszczamy, że polegają na jakichś sprawach molekularnych czy przemianach chemicznych, rozprzestrzeniających się pod postacią ruchu falistego w kierunku raz na zawsze ustalonym. Akson zaś, czyli wypustek osiowy zdaje się z sprawą tą nic wspólnego nie

mieć, i z wielkiem prawdopodobieństwem twierdzić wolno, że posiada on tylko jedyną zdolność — przenoszenia pobudzeń, powstałych w samej protoplazmie komórkowej.

Fig. II.
(podług Waldeyera).



Szemat wzajemnego stosunku neuronów.

K —przekrój kory mózgowej; *R*—przekrój poprzeczny rdzenia pacierzowego; *H*—szara istota rdzenia; *Z* — komórka zwoju międzykręgowego; *S* — skóra wraz z wolnemi zakończeniami nerwów czuciowych; *M* — mięsień z wolno zakończonemi włóknami ruchowemi. *2* — akson komórki zwojowej; *1* — gałąź obwodowa włókna czuciowego; *3* — gałąź ośrodkowa; *4* — miejsce podziału tejże na gałąź wstępującą i zstępującą; *5* i *6* — miejsca, w których gałąź wstępująca i zstępująca zostały przecięte przy prowadzeniu cięcia poprzecznego; *7* — obocznia czuciowa; *8*— jej drzewko końcowe; *9* — komórka czuciowa rdzenia; *10* — jej akson; *9'* — obocznia aksonu; — *11* — miejsce przecięcia aksonu, przybierającego kierunek podłużny; *12* — dalszy ciąg tegoż aksonu, dążący do mózgu; *14* — komorka czuciowa kory mózgowej: *13* — jej rozgałęzienia ostateczne; *15* — komórka ruchowa kory; *16* — jej obocznie; *17* — jej akson; *18* — miejsce przecięcia tegoż; *19* — obocznia tegoż do komórki (*20*) ruchowej przedniego rogu; *21* — akson komórki ruchowej rdzenia, czyli włókno ruchowe obwodowe; *22* — obocznia tegoż; *23*—*M*.

Zobaczmy teraz, jak, według teoryi neuronów, odbywają się rozmaite procesy w układzie nerwowym. Rozważymy najprostsze przykłady czynności nerwowej: odruch rdzeniowy, percepcyę czuciową i dowolny akt ruchowy. 1) W odruchu (np. ukłucie nogi powoduje cofnięcie jej od narzędzia kłującego) sprawa zaczyna się od podrażnienia zakończeń nerwowych w skórze, już to wolnych (i, fig. I), jużto otoczonych ciałkami dotykowemi (k, fig. I). Stąd pobudzenie biegnie wzdłuż obwodowego włókna czuciowego aż do miejsca, gdzie akson komórki zwojowej (d) dzieli się na dwie gałęzie: obwodową i ośrodkową; czy przechodzi ono przez komórkę, czy też ją mija i wprost się przenosi na gałąź ośrodkową, na to niepodobna jeszcze odpowiedzieć z całą stanowczością, wszelako pierwsze przypuszczenie ma za sobą dużo prawdopodobieństwa. Przedostawszy się na gałąź ośrodkową, pobudzenie biegnie wzdłuż niej do białej istoty rdzenia, mianowicie do podziału (e) na gałąź wstępującą (f) i zstępującą (g). Odtąd kierunek pobudzenia może być rozmaity: może ono przejść na jednę lub kilka oboczni (h) albo też przebiedz przez całą długość gałęzi głównych aż do ostatecznych ich zakończeń. Tak czy owak, pobudzenie wkracza do szarej istoty rdzenia i dociera do drzewka końcowego (n), jednego lub kilku. Drzewko końcowe wyzwala nagromadzoną w niem energię pobudzenia, która przechodzi niejako drogą indukcyi na sąsiednią komórkę ruchową (a), wiemy bowiem, ża niektóre obocznie czuciowe dochodzą do samych komórek ruchowych rdzenia (obocznie odruchowe). Komórka ruchowa udziela otrzymane pobudzenie swojemu aksonowi, czyli włóknu ruchowemu, po którem dąży ono — wzdłuż korzonka przedniego (b) i wspólnego pnia nerwowego (p) — aż do ostatecznych jego rozgałęzień w mięśniu (c). Wynikiem będzie skurcz mięśnia. Takim jest odruch w najprostszej formie: biorą w nim udział dwa neurony — zwojowy (i, p, d, e, h, n) i ruchowy (a, b, p, c). Jeżeli zaś pobudzenie przechodzi nie odrazu na obocznię odruchową, lecz na jakąkolwiek inną, tedy do uskutecznienia odruchu potrzeba więcej, niż niż dwu neuronów.

2) Odruch jest mimowolną i sam w sobie bezwiedną odpowiedzią organizmu na doznane podrażnienie i dokonyya się nie tylko za pośrednictwem rdzenia, lecz również mózgu z wyjątkiem — kory mózgowej, która jest siedliskiem spraw świadomych. To samo pobudzenie, które powoduje odruch, dopóki zostaje w sferze rdzenia i dolnych części mózgu, może wywołać wrażenie, czyli stać się świadomą percepcyą, z chwilą, gdy dociera do kory mózgowej. Jaki jest szczegółowy mechanizm percepcyi? Jedną jego część — przynaj-

mniej w użytym wyżej przykładzie — znamy już: podrażnienie naprzód musi przebyć drogę od zakończeń nerwowych w skórze do drzewka końcowego w rdzeniu czyli i (k) — p — d — e — h — n (podług fig. I) lub S — 1 — 2 — 3 — 4 — 6 — 7 — 8 (podług fig. II); z drzewka końcowego tego pierwszego neuronu przechodzi ono drogą indukcyi albo przez ścisłe zetknięcie na komórkę sąsiedniego neuronu szarej istoty rdzenia, skąd biegnie wzdłuż aksonu aż do odpowiedniego drzewka końcowego; naturalnie ilość tych neuronów pośrednich może być rozmaita, a same neurony znajdować się tak w rdzeniu, jak i mózgu; dla prostoty jednak przypuśćmy, że istnieje tylko jeden neuron pośredni, zaczynający się w szarej istocie rdzenia i kończący w korze mózgu (9 — 10 — 12, fig. II). Aby zostać uświadomionem, pobudzenie musi z drzewka końcowego (12) neuronu pośredniego przedostać się do neuronu korowego (13—14). Zbytecznem będzie dodać, że droga niezbędna do uświadomienia podrażnienia zmysłowego może się składać z mnóstwa kolejnych neuronów, co zresztą jest wysoce prawdopodobnem, ale, jak widać z rysunku, najmniejsza ilość wynosi trzy.

3) Nie wdając się w rozbiór szczegółowy zawiłej sprawy psychicznej, zwanej „wolą", dość będzie nadmienić, że najistotniejsze jej ogniwo tworzy to, co nazywamy ruchem dowolnym. Pojedyńczy akt woli nie powstaje w nas spontanicznie, jakby *deus ex machina*, bez wszelkiego związku z innymi procesami psychicznymi, lecz owszem, ma on z konieczności swoje poprzedniki w naszem życiu duchowem, w szczególności w sferze intelektualnej i uczuciowej, które zlewają się z nim w jeden proces nader zawiły. Ale to, co wyróżnia go z pośród innych kategoryi duchowych, to, co nadaje mu swoiste znamię „woli" — to właśnie możność wykonania ruchu dowolnego. Owóż na zasadzie licznych spostrzeżeń i doświadczeń możemy twierdzić z największem prawdopodobieństwem, że impulsy dowolne powstają w osobliwych komórkach piramidalnych (15, fig. II), mieszczących się w szarej istocie półkul mózgowych, w szczególności w korze okolicy ruchowej. Droga, po której impulsy ruchowe dostają się z komórek piramidalnych do mięśni, należy do najlepiej znanych dróg nerwowych. Ciągnie się ona (17, II) nieprzerwanie poprzez mózg i białą istotę rdzenia, skąd — zależnie od mięśni, do których dąży — zagina się na rozmaitej wysokości do szarej istoty rdzenia, mianowicie do przednich rogów, dając po drodze obocznie. Taką właśnie oboczność wyobraża włókno 19 na fig. II. W końcu jednak tak akson (17, II) komórki piramidalnej, jak i jego obocznie, dają znane nam drzewko

końcowe, obejmujące komórkę rogów przednich. Drzewko końcowe wyzwala impuls, otrzymany z komórki piramidalnej i czy to skutkiem ścisłego zetknięcia, czy też indukcyi udziela go komórce ruchowej przednich rogów (20, II). Protoplazma tejże wprawioną zostaje w stan pobudzenia, który przez akson (21), czyli obwodowe włókno ruchowe przechodzi na jego drzewko końcowe, znajdujące się w włóknie mięśniowem (23, II): w wyniku otrzymamy skurcz dowolny mięśnia. Wypływa z powyższego, że wykonanie ruchu dowolnego wymaga współudziału nie więcej, jak dwu neuronów, z których jeden ciągnie się od kory mózgowej do szarej istoty rdzenia, drugi od szarej istoty rdzenia aż do mięśnia. Jeżeli zaś weźmiemy na uwagę całokształt zjawisk psychicznych i fizyologicznych, poprzedzających i towarzyszących ruchowi dowolnemu, tedy ilość neuronów niezbędnych do urzeczywistnienia aktu woli okaże się nierównie większą. To samo da się powiedzieć o wszelkich procesach intelektualnych, będących czemś więcej od zwyczajnej percepcyi zmysłowej: wymagają one zawsze współczynności co najmniej całego szeregu neuronów, a, być może, i kilku szeregów. Możemy tedy określić systemat nerwowy, jako układ niezliczonych szeregów neuronowych, współrzędnych i podporządkowanych, a wszelką czynność nerwową, jako wynik współczynności conajmniej jednego szeregu neuronów.

Nasz przegląd najnowszych zdobyczy w dziedzinie neurologii nie byłby zupełny i dokładny, gdybyśmy pominęli w nim niezwykle śmiałą, rzec można, iście rewolucyjną hypotezę rozgłośnego podróżnika i cenionego przyrodnika, Fridtjofa Nansena. Jak widać z rysunku II, sąsiedztwo ostatecznych zakończeń włókna czuciowego w rdzeniu i ostatecznych rozgałęzień oboczni włókna ruchowego może być tak blizkie, że łatwo wyobrazić sobie przejście bezpośrednie bodźca nerwowego z drogi czuciowej na ruchową bez udziału komórki ruchowej (20), a tembardziej czuciowej. Droga anatomiczna odruchu rdzeniowego przedstawiałaby się, jak następuje: 1 — 3 — 4 — 6 — 7 — 8 — 22 — 21 — 23 (fig. II). Ponieważ, według teoryi neuronów, wszelkie włókno nerwowe, jako akson (czyli wypustek osiowy) komórki lub obocznia aksonu, przeprowadza bodźce w kierunku odkomórkowym, należałoby w danym wypadku przypuścić, że najdrobniejsze gałązki oboczni mogą się czasami zachowywać fizyologicznie na wzór dendrytów, to jest przejmować bodźce bezpośrednio zzewnątrz (to jest z swego otoczenia) i przenosić je w kierunku dokomórkowym. Niektórzy histologowie, jak np. Lenhossék, rzeczywiście bronią tego

przypuszczenia, jako niezbędnego do tłómaczenia pewnych spraw nerwowych. Owóż, co ze stanowiska teoryi neuronów uchodzi tylko za konieczny wyjątek, Nansen w swej hypotezie podnosi do godności prawidła, obejmującego wszelką czynność ośrodków nerwowych. Nansen ogłosił swą hypotezę w roku 1887, a więc przed ostatecznem ukształtowaniem się teoryi neuronów, stojąc na gruncie ciągłości materyalnej substancyi nerwowej w tej mianowicie postaci, jaką jej nadał Golgi. Rozumuje on w sposób następujący. Jeżeli — jak utrzymuje Golgi, a Nansen w zupełności potwierdza jego spostrzeżenia — wypustki protoplazmatyczne, czyli dendrity, mając zakończenia zupełnie wolne, nie służą do łączenia komórek nerwowych z sobą, a zatem te ostatnie nie znajdują się w bezpośrednim z sobą związku; jeżeli włókna czuciowe nie łączą się również bezpośrednio z komórkami nerwowemi w układzie ośrodkowym, lecz zanurzają się odrazu w rozlanej sieci włóknistej: tedy niema powodu, dla któregobyśmy powinni byli przypisywać komórkom udział w sprawach nerwoywch. Ponieważ włókna ruchowe dają obocznie do sieci nerwowej, więc droga odruchowa, czyli tak zw. „łuk odruchowy" składa się właściwie z włókna dośrodkowego, sieci i włókna odśrodkowego, a dzięki sieci pobudzenie przeniesione zostaje wprost z pierwszego włókna na drugie, nie przechodząc przez komórki nerwowe. Ta sama sieć nerwowa, ciągnąc się poprzez cały układ ośrodkowy, sprawia, że pobudzenie przedostaje się również do ośrodków wyższego rzędu bez współudziału komórek niższych ośrodków. Następnie przyjąć należy, zdaniem Nansena, że i dowolne impulsy, powstające w wyższych ośrodkach, przechodzą za pośrednictwem sieci ośrodkowej z odpowiednich włókien nerwowych wprost na włókna ruchowe ośrodków niższych, z pominięciem komórek, wchodzących w skład tych ostatnich. Doszliśmy tedy do wyniku, że przynajmniej najważniejsze rodzaje czynności nerwowej, mianowicie ruchy zwrotne i dowolne, odbywają się bez udziału i wpływu komórek niższych ośrodków nerwowych (np. rdzenia). A skoro tak się rzecz ma z pewną kategoryą komórek nerwowych, to możemy twierdzenie to rozciągnąć na wszelkie bez wyjątku komórki nerwowe, dopóki przynajmniej nie ujawnią się jakiekolwiek między niemi różnice anatomiczne. Wypływa stąd, że komórki nerwowe pozbawione są własności specyficznie „nerwowych", oraz że ośrodkowa sieć rozlana ma największe bezpośrednie znaczenie dla czynności nerwowej: jest ona prawdopodobnie właściwem siedliskiem duszy, najistotniejszem podścieliskiem świadomości umysłu i t. d.

Jakież czynności przysługują komórkom nerwowym? Poznaliśmy wyżej zapatrywanie Golgi'ego na naturę dendritów, czyli wypustków protoplazmatycznych: odmawia on im własności swoistych, nerwowych, przypisuje natomiast własności wyłącznie odżywcze; dendrity dostarczają komórce soków odżywczych, czerpiąc je z naczyń krwionośnych i otaczających tkanek, odżywiają zatem komórkę nerwową, a pośrednio i włókna nerwowe. Nansen posuwa się o krok dalej i twierdzi, że ze wszystkich czynności komórek nerwowych czynność odżywcza jest najważniejszą. Komórki i wypustki protoplazmatyczne przejmują pokarm z swego otoczenia i przerabiają go odpowiednio, przerobiony zaś materyał odżywczy udzielają zapomocą prądów wypustkom osiowym siec rozlanej, a pośrednio i włóknom nerwowym. Słowem, komórki nerwowe mają się do włókien, jako ośrodki odżywcze. Nansen przytacza następujące spostrzeżenia na usprawiedliwienie swojej hypotezy. U zwierząt bezkręgowych budowa substancyi nerwowej, odpowiadającej sieci rozlanej kręgowców, jest tem zawilszą, im wyższą inteligencya zwierzęcia. Z drugiej strony, znajdujemy u zwierząt, znanych z swej inteligencyi (np. u mrówek, pszczół), komórki nerwowe o kształcie i budowie niezwykle prostych; gdy tymczasem zwierzęta, odznaczające się nizkim rozwojem duchowym, posiadać mogą komórki nader zawile zbudowane (np. najniższe kręgowce).

Tak głęboko zakorzeniło się w nas pojęcie komórki wogóle, jako czegoś zasadniczego, pierwotnego i samoistnego, w szczególności zaś pojęcie komórki nerwowej, jako pierwiastku par excellence czynnego, jedynie uzdolnionego do oddziaływania na bodźce zewnętrzne i do wytwarzania pobudzeń, w przeciwieństwie do włókien, jako narządów biernych i obdarzonych tylko zdolnością przenoszenia pobudzeń, gdzieindziej powstałych, że hypoteza powyższa, odwracająca nawspak powszechnie przyjęty porządek pojęć, brzmi naturalnie, jako paradoks albo zgoła jako odstępstwo. A jednak jest ona tylko nieuchronną konsekwencyą poglądów Golgi'ego. Najbardziej rażące przeciwieństwo zachodzi oczywiście między hypotezą Nansena a teoryą neuronów, która i pod względem genetycznym i czynnościowym uważa komórkę za najistotniejszy i naczelny składnik układu nerwowego, zaś wypustki osiowe i cały wir najdrobniejszych włókien nerwowych za rzeczy pochodne, a pod względem fizyologicznym bierne. Dlatego właśnie, wobec wielkiej powagi Golgi'ego, a po części i Nansena (który należy do jego szkoły) z jednej strony, Ramon y Cajal'a, Hisa, Köllikera z drugiej, mimowoli powstaje pytanie: czy spostrzeżenia, na których zbudowano teoryę

neuronów, acz same przez się, być może, wiarogodne, zostały wytłómaczone zgodnie z rzeczywistością? Pytanie to jest tem bardziej uzasadnione, że bardzo niedawno (1898) jeden z najlepszych znawców tkanki nerwowej, prof. Bethe, usiłował na podstawie bezpośredniego doświadczenia dowieść zbyteczności komórki nerwowej dla drogi odruchowej. Jeżeli doświadczenie Bethego znajdzie zupełnie pewne potwierdzenie ze strony innych badaczy, to nerwowa natura komórek nerwowych, a zarazem teorya neuronów będzie poważnie zachwiana. Ale i poza tem dają się słyszeć głosy przeciwne teoryi neuronów i przemawiające za powrotem do dawnej teoryi ciągłości substancyi nerwowej. Nie są to głosy ludzi, ślepo wierzących w dawne „tradycye”, lecz czerpiących swe przekonanie z badań samodzielnych i nieuprzedzonych. Która z dwu teoryi ostatecznie zwycięży, w obecnej chwili trudno nawet przewidzieć. Jedno tylko powiedzieć można, mianowicie: że metody Golgi'ego i Cajal'a, acz nowe i genialne, są jeszcze zbyt grube, a otrzymane za ich pomocą wyniki, jakkolwiek stosują się do „mikroskopowej” budowy komórek i włókien nerwowych, mają charakter jeszcze nazbyt makroskopowy, nazbyt ogólnikowy. Najnowszy zwrot w histologii nerwowej polega na poszukiwaniu w komórce i włóknie nerwowem pierwiastków, jeszcze bardziej od tychże elementarnych i tworzących prawdziwe podścielisko zjawisk nerwowych.

Dr. A. Grosglik.



METODYKA
badań starożytniczych.

Kilka aforyzmów,

ofiarowanych zjazdowi historyków polskich w Krakowie zamiast programu.



I. Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło.

Uczeni niemieccy utopiliby wszystkich Słowian w błotach Prypeci, słowiańscy — wszystkich Niemców w Dollarcie: proceder całkiem niesłuszny, gdyż się tam nie pomieszczą; lepiej go zaniechać i jednym i drugim świata Bożego nie skąpić.

II. Nie ufaj etymologiom możliwym, cóż dopiero niemożliwym.

Grzeszą przeciw temu nietylko dyletanci, lecz i znakomici wyszkoleni fachowcy. Tak np. powstała najnowsza (tegoroczna) teorya celtycka z etymologii, którym pod względem formalnym nicby zarzucić nie można: nazwy Elby i Wisły, Neurów i Halicza (Ga-

łacu), Dniestru i Dniepru są rzeczywiście celtyckie, ergo Słowianie przejęli je od Celtów; dodajmy jeszcze Nidę i Dunajec, o których pp. Braun i Bremer widocznie zapomnieli. Biedniż ci Słowianie! — już i Celtowie, nie tylko Niemcy, do Berezyny czy Prypeci ich wtłaczają; lecz cierpią zasłużenie, bo i pocóż było im, wbrew wszelkiej gramatyce i historyi, do Turingów, jako Durzyńcy, do Helwecyi, jako do Chełmecyi, i do Szwicu, jako do Świtezi, włazić? Teraz ich z własnych siedzib wyrzucają.

III. Qui bene distinguit, bene docet.

Napisał p. Kadlec dzieło p. t. „Rodinný nedil *čili* zádruha v právu slovanském.” Cóż mogą wywody jego być warte, skoro sam tytuł gruby fałsz zawiera? Rodzinny niedział to rzecz sobie bardzo zwykła, np. wśród mieszczaństwa niemieckiego, praktykowana i do dziś np. w Skandynawii — zupełnie co innego zaś zadruga komunistyczna, specyalność bałkańska; tytuł musi brzmieć więc: rodzinny niedział i zadruga. Wprowadzono „zadrugę” i do Polski, opierając ją głównie na dwu przykładach (jeden z mieszczaństwa niemieckiego, od pp. Kuhszmelców pod Sanokiem wzięty, drugi z Rusi) i na jednym fałszywym wywodzie (*chlebojedźca* znaczył tylko sługę, który mój chleb je). Więc na zadrudze śmiało nie budujmy.

IV. Nie wierz nikomu na ślepo.

Jeśli np. źródło arabskie twierdzi, że sławne w dziejach Paderborn, rezydencya cesarska, leży w ziemi „słowiańskiej”, to nie buduj na tem dalszych wniosków, lecz śmiej się z Araba i powiedz mu: wy, czego nie wiecie, to Saklab (Słowianami) nazywacie. A tyczy to nietylko zachodu, lecz i wschodu.

V. Konstrukcyi i szablonu wystrzegaj się, jak ognia, tudzież wszelkich uogólniań przedwczesnych, a praca twoja będzie zbawiona.

Jawnie grzeszą przeciw temu wszyscy nowinkarze. Gdzieś ktoś coś dowiódł albo odszukał: nuż i nam nowego eliksiru! środek uniwersalny, wcierany lub wlewany gwałtem, okazuje się potem blagą, przynajmniej dla nas. Znaleźli np. Bachofen i Mac-Lennan „matryarchat”, zaraz i Słowian i Germanów nim raczą, ani dbając o to, że nawet praaryjskim stosunkom, jeśli przynajmniej z nazw dla pokrewieństwa wnioskować co wolno, „matryarchat” był obcym.

Tak odszukują u Słowian i kanibalizm i różnymi innymi izmami zawalają nam tylko ścieżki badania. Jeszcze zadrugi u Słowian nie dowiedli, a już absolutyzm pierwotnych Przemysłowiców i Piastowiców z tej zadrugi wywiedli, ustrój państwowy na absolutystycznym ustroju domowym dowolnie opierając. Nie wiemy wcale, co się pod nazwą żupy kryje, a już konflikty i katastrofy przeddziejowe na antagoniźmie żupanów-pasterzy i chłopów-rolników wykomponowali. Albo któż nie wierzył niegdyś ślepo w trójcę ewolucyjną: myśliwy—pasterz—rolnik? a przecież pokazało się, że są rolnicy, którzy nigdy pasterzami nie byli. Więc strzeżmy się szablonu i orgii uogólniań.

VI. Zmian ludności marnie nie wzywaj.

Grzeszą tu nie tylko archeologowie, którzyby, gdyby mogli! z odmiennej ornamentacyi na garnku glinianym zaraz wędrówkę całkiem nowych narodów wywnioskowali, którzy w samej Skandynawii cztery razy ludność pierwotną odmieniali (np. Szwed Hildebrand), lecz i historycy. Oni to osadzali np. Kijów Finnami przed Słowianami; oni to zmieniali Słowianami jakąś inną ludność pierwotną np. Polski dopiero w szóstym wieku po Chr. — chociaż nikt dotąd wykazać nie potrafił, aby w Kijowie, Lwowie i Kaliszu przed Słowianami ktoś inny siadywał.

A kiedyśmy już o Kaliszu wspomnieli — czyż nikt się tam nie ruszy, aby godnie obchód dwutysiącznej rocznicy grodu przygotować? Jak Słowiańszczyzna szeroka i daleka, jedyny jej gród Kalisz, co tak sędziwym wiekiem szczycić się może; wobec niego furda Kraków, Praga i Kijów. Czyż nie staćby Kaliszan na kilka łopat i motyk? Co sądziłby o tem p. Majewski?

VII. Nie fałszuj, t. j. nowych i obcych rzeczy za stare i własne nie podawaj.

Jednemu, co nowo-urobioną tyarą Saitaferna Francuzów na setki tysięcy franków okpi albo królodworskim rękopisem z r. 1815 Czechów za nos wodzi, porządny człowiek ręki nie podaje; drugiemu, co najnowsze żarty, np. pukaninę z fuzyi albo okradywanie domostwa przy weselach za ślady i pozostałości prastarej „umyczki" podaje, gotowiśmy się nizko kłaniać i intuicyę jego podziwiać: skąd ta różnica? czy dlatego, że ów swój wynalazek korzystnie spienięża ten zaś do swego jeszcze może i dopłaca?

Mówiwszy po baranie, trzeba też co i po wilku rzec. U pierwszych zła wola oczywista; drudzy błądzą w najlepszych zamiarach Oto znaleźli np. epikę ruską i serbską, więc uciecha wielka, nadzieja odszukania samej krystalizacyi ducha narodowego, wyśledzenia mitów pierwotnych, powolnej zmiany postaci mitycznych na bohaterskie, i jak tamte hasła szkoły grimmowskiej brzmiały,—lecz pokazało się, że nowe za stare, obce za własne podawali: powieści i motywów wschodnich, połowieckich i chrześcijańskich, greckich, szata słowiańska nie odmieni. Zrezygnowawszy z epiki, łudzą się dziś pieśniami obrzędowemi i obrzędami lub zwyczajami: tu pewnie ślady praaryjskie odnajdziemy; treść epiczna ciągłej zmianie podlega — jak w dumach ukraińskich widzimy, które o Włodzimierzu Wielkim i Ilji Muromcu zapomniały, aby Chmielów i Neczajów wysławiać—zato obrzędy, zwyczaje, pieśni są trwałe tak, jak życie samo, ożenek, żniwa i t. d., które je wywołały. Niebaczni, nie długo waszej pociechy! i z liryką dalej nie zajdziecie, niż z epiką; wspomnijcie tylko na kolędy, kupały, rusałki, jasełka, sobótki,—jakie to wszystko późne, obce, chrześcijańskie, począwszy od nazw; konia z rzędem temu, kto w nich co słowiańskiego odnajdzie!

VIII. Co z woza spadło, to już przepadło.

Np. mitologia niemiecka lub słowiańska. Tumanią nas i siebie samych, że o nich coś wiedzieć można, pisują nawet wielkie dzieła o jednej i drugiej. Jabym o mitologii nie pisał ani wykładał, chyba tak, jak się uczniom fałszywe dokumenta podaje, aby ich zmysł krytyczny obudzić.

Niemcy jeszcze, choć własnej mitologii nie mają, mogą się pod cudzą (nordyjską) podszywać — ale my? Dawnych źródeł nie mamy ani jednego. Polak, Czech, Słowieniec, Serb nie odnajdą nawet ani jednej błahej wzmianki; o Piorunie Kijowskim należy jeszcze wprzód dowieść, że on słowiański, czy nie „ruski” (normański) raczej? ci, którzy coś wiedzieć mogli, Wojciech św., Bruno św., Thietmar, milczą po większej części; Gall, Koźma, „Nestor” nic mądrego już nie wiedzieli, tylko z Rusi i Pomorza nie poskąpiono nam kilku szczegółów; zresztą zewsząd głuche milczenie. I z tegoż mamy stworzyć całą naukę? Próżne starania.

Wprowadzenie chrześcijaństwa podcięło od jednego razu całą dawną wiarę, bóstwa i t. d., i lud o nich zapomniał tak zupełnie, że nie odnajdziemy na całym obszarze Słowiańszczyzny ani jednego zaklęcia czy zamawiania, ani jednej pieśni, ani jednego obrzędu,

w którychby się choć jedna jedyna nazwa pogańska zachowała. Weźmy nawet ludowe wierzenia demoniczne, od dyabła począwszy do skrzatów, mamun, strzyg i czarownic: ani śladu pogaństwa — wszystko obce, chrześcijańskie, późne, ogólno-europejskie, nie słowiańskie. O bajkach, klechdach, przysłowiach, zagadkach, o tropach i przenośniach w mowie pieśni — co wszystko do niedawna jeszcze za żywe źródła mitologii uchodziło — dziś i wspominać nie warto. Luki tej niczem nie zapełnimy; tu nawet fałszerzom fantazya nie dopisywała: nawet Hanka nic mądrego nie wymyślił. A mitologia nie jedyne, co nam z woza spadło.

IX. Bez pracy nie będą kołacze.

Ubóstwa i luk źródeł nie zastępujmy górnymi frazesami i hypotezami niedonoszonemi; pracujmy wytrwale, bez hałasu, a wyniki jakieś się znajdą. Np. zbierajmy nazwy miejscowe: skarb to nieprzebrany, lecz należy się z nim przyzwoicie obchodzić; tak samo proklamacye herbowe i t. d. Ach! jak u nas pod tym względem grzeszą! myślano np. bez wszelkiego zachodu z nazw na — ice lub na — ów wyczytać zaraz całą historyę epoki, warunki osiedlenia. Albo z proklamacyi herbowych wyczytywał jeden same nazwy miejscowe (gniazd rodowych), drugi same nazwy osobowe (protoplastów rodowych)! Albo z imion osobowych wysnuwano dowolne kombinacye, odgadywano w nich nazwy rycerskie i nazwy gminne, chociaż w rzeczywistości takich kategoryi nigdy nie było. Z takiej pracy nie będą kołacze, tak lekkim kosztem trwałych rezultatów nie zdobędziemy nigdy. Lecz skoro już mowa o nazwach, uwzględnijmy jeszcze inny, bardzo powszedni punkt widzenia, szczególniej w nauce niemieckiej popłacający (u Müllenhoffa, Meitzena i innych luminarzy). Otóż weźmy np. taki Neu-Ruppin w Meklenburgii; jest to oczywiście Rypin mazowiecki, lecz z tożsamości nazw nie wynika bynajmniej, żeby nasi Rypinianie ów Ruppin założyli. A przecież historycy nasi i niemieccy na takim najfałszywszym wniosku hypotezy o wędrówce plemion oparli i opierają i dzieje pierwotne pogmatwali w niesłychany sposób. Na słowiańskim gruncie powtórzy się słowiańska, na niemieckim—niemiecka nazwa, ale z tego mało co albo nic nie wynika: „Dudlebowie" (na Rusi Dulebowie, z tego polska nazwa Dulęba) siedzieli i na Rusi, i między Czechami, i za Słowieńcami; Fryzowie są na wybrzeżu morza północnego i w środkowych Niemczech—kto z powtarzania się nazw wędrówki samych

szczepów wyprowadza, bredzi; tak samo powtarzają się nazwy Serbów, Chorwatów — ależ tylko nazwy, nie szczepy same!

Praca nad nazwami szczepów (narodów nie było), miejscowości, rzek i t. d. jest strasznie mozolna, nierównie trudniejsza, niż nad innemi słowami, nawet tam, gdzie wiemy już (albo raczej mniemamy, że wiemy), z jakiego one języka pochodzą, a cóż dopiero, gdzie tego nie wiemy, np. przy Dunaju i innych nazwach rzek, gdzie brak nam wszelkich warunków do odgadnięcia nazwy, gdyż ani wiemy, z jakiego ona języka, ani co znaczyć ma. Tu dla dyletantów pole najwdzięczniejsze; fachowiec milczy, chyba ręce załamuje w rozpaczy.

X. Szanuj starożytnych.

Każdy skrybent, wielki i mały, uważa za prawo swe nietykalne takiego Tacyta np. lub Ptolomeusza chwytać za uszy i uczyć ich, jak żaczków, co właściwie pisać należało. Więc np. Zeuss lub Müllenhoff mówią Ptolomeuszowi: ty durniu jeden, wystawiłeś nad morzem (baltyckiem) *Weltai*, a powinieneś był napisać *Letwai*, bo tam Litwa siedziała, i nam z tem wygodnie. Wierzyli ludziska w ten pomysł, jak w ewangelię, tymczasem przyszła inna Pitya i zawyrokowała, że to ani *Weltai*, ani *Letwai*, tylko *Wentai* (Wenedzi, Słowianie) ten dureń stary miał napisać. Nie czekając innych Pityi z innemi widzimisię, obstajemy przy *Weltai*, bo szanujemy starożytnych, chociaż z nimi nie zawsze gładka sprawa. Co innego, gdzie w rękopisach samych są myłki w pisowni—tam można się wahać, którą obrać należy; zresztą zaś świadectwa „starych" nie wymieniajmy na żadną hypotezę wszystkich „młodych" razem. Koniec końcem, „starzy" zawsze racyę mają; śmiano się z bajek Herodotowych, ojca łatwowierności, a cóż się pokazało? że jego „bajki" albo co do joty są prawdziwe, albo tylko jaskrawiej prawdziwe stosunki oddają. Gdzie zaś starożytni rzeczywiście się pomylili—i oni przecież ludźmi byli tylko i zawiśli od bardzo nieraz błędnych informacyi — to przepadło: tego nie poprawimy i przeciw wszelkim dowolnym domysłom zakładamy veto. Jeśli np. Ptolomeusz Setidawę i Karrodunum na północy umieszcza, to przyznam się, że nie wiem, co tracka i celtycka ta nazwa w Polsce czynią, lecz w żaden sposób Żydowa lub Krakowa w nich odszukiwać nie pozwolę, chybabym oszukiwał siebie i innych.

XI. Wnioskuj oględnie.

Nie do uwierzenia, jak w praktyce zasadę tę nogami depczą. Ileż to razy można się spotykać np. z podobnym wnioskiem: nazwa

Wenedów (Słowian, w ustach Niemców) nie da się z niemieckiego wytłómaczyć, ergo nazwa ta jest słowiańskiego pochodzenia i powtarza się u Słowian w nazwie Wiatyczów. Albo: nazwa Chorwatów nie da się ze Słowiańszczyzny wywieść—więc to nazwa Karpatów, którą przez usta niemieckie Słowianie przyjęli i t. d. Że czegoś wytłómaczyć nie możemy — cóż stąd za wniosek? chyba ten, żeśmy rzeczy jeszcze nie zrozumieli; że należy więc czekać, a nie śpieszyć się z ferowaniem wyroku, kłócącego się z historyą, z sensem, z gramatyką lub ze wszystkimi razem.

XII. Cudzym bogom się nie kłaniaj.

Jeśliś historyk, nie udawaj się do przybytków antropologii i archeologii, bo nic nie wskórasz i stracisz jeszcze, coś miał. Na razie niema bowiem pomostu między badaniami i wynikami przedhistorycznymi a historycznymi; historyk np. obserwuje jednolite narody: Germanów, Słowian i t d.; filolog poucza go, że narody te, jak ich język już dowodzi, zupełnie są wolne od obcej jakiejkolwiek przymieszki. Antropolog tymczasem konstatuje z łatwością, że narody to bynajmniej nie jednolite, że to raczej zlepki jakichś ras odmiennych, dwu lub więcej nawet. Podobnież nie możemy dotąd spajać wywodów archeologicznych z historycznymi: „hiatus" tak zwany, — luka, o której głośno w archeologii między różnymi peryodami, — istnieje właściwie tylko między prehistoryą a historyą: każdy archeolog tłómaczy sobie wykopaliska, jak mu się podoba: co dla Niemca niezawodnie „germańskie", to samo u nas za słowiańskie podają. Z czasem dojdziemy może do jakichś pewniejszych wyników; na razie jednak oba kierunki badań, historyczny i przedhistoryczny, rozchodzą się zupełnie. Historya (z filologią) dowodzi szerzenia się np. szczepów germańskich w Skandynawii w kierunku od południa na północ, od stałego lądu na wyspy i półwysep; antropologia dowodzi przeciwnie i t. d. Historyk - filolog z antropologiem - archeologiem dotychczas porozumiewać się nie umieją.

XIII. Milcz, jeśliś nic nowego nie znalazł; nie powtarzaj rzeczy znanych.

Lecz w takim razie, pocóż i jakiem prawem piszą się i te „aforyzmy?"

XIV. Jedyna droga zbawienna dla badań starożytniczych: traktować wszystko porównawczo.

Wszyscy uznajemy tę zasadę, lecz nikt się do niej nie stosuje. Kłóci się ona pozornie z zasadą inną, przestrzegającą przed uogólnieniami i szablonami, lecz pozory mylą. Całkiem co innego bowiem narzucać „zadrugi" lub „izmy" najrozmaitsze dziejom polskim, a co innego szczegóły ich badać ze stałem uwzględnianiem dziejów i stosunków u ludów pokrewnych. Teorya np. najazdu nie rozsadowiłaby się u nas nigdy, gdyby absolutyzm monarchii Piastowskiej porównywano ze stosunkami u najbliższych sąsiadów, u Czechów: Przemysłowicy, jak i Piastowicy, cieszą się tą samą pełnią władzy, mimo to „najazdów" u Czechów nawet śladu niema! Gdyby uchodziło dzieje polskie traktować bez ciągłego uwzględniania innych, to moglibyśmy np. i w bajkach ludu polskiego śledzić szczątki mitów pogańskich polskich — studyum porównawcze dopiero poucza nas, że w żadnej bajce żadnego śladu mitów niemasz, że między bajką a „wiarą" najmniejszej łączności nigdy niebyło.

Szczególniej u nas należało do dobrego tonu wzgardzać studyami porównawczemi, przedewszystkiem słowiańskiemi; po świetnych początkach naszych slawistów: Lindego, Rakowieckiego, Kucharskiego, Surowieckiego nastąpiła kompletna reakcya. Zaniedbywanie rzeczy słowiańskich doprowadziło też zaraz do absolutnego zastoju np. na polu gramatyki i dziejów języka, gdzie dopiero obcy slawista, Mikloszyc, nowe drogi nam wskazał i utorował; podobny zastój możemy i na polu starożytniczem obserwować. Dziś się lody przełamały nareszcie, ale zostaje jeszcze wiele do zrobienia.

XV. Nie gardź najdrobniejszym, najdziwaczniejszym napozór szczegółem.

Któż nie wyśmieje np. bajki o tem, że Węgrzy psa królem obrali, bajki, u Kochanowskiego i innych wspominanej. Tymczasem to wcale nie marna bajka, lecz rzecz, głęboko w pogańskich obrzędach narodu uzasadniona; podanie o Henryku Ptaszniku, rzucającym psie ścierwo Węgrom, również celu i znaczenia obrzędu już nie rozumiało; pogańscy Węgrzy bowiem na psa przysięgali i traktaty zawierali.

Marna nazwa miejscowa „Koniojady" jest ważniejszem świadectwem polskiej pogańszczyzny, niż to wszystko, co Długosz o niej popisał. Cała rzecz w tem, aby umieć z tych szczegółików korzystać.

XVI. Minęły czasy szczęśliwej prostoty, trzeba się uczyć; upłynął wiek złoty,

kiedy to historyk, nie mający np. o językoznawstwie pojęcia, tem śmielsze i pewniejsze kroki na najniebezpieczniejszym gruncie dziejów pierwotnych stawiał i rozbiorami językowymi nazw miejscowych i osobowych hypotezy swoje popierał. Lecz pocóż ruszać popioły „lechickie", kiedy ciągle jeszcze — nie u nas tylko — od szewca wymagają, żeby umiał buty szyć, starożytnika zaś z nieznajomości filologii rozgrzeszają. I tak pojawiają się owe potworne etymologie i na nich zbudowane jeszcze potworniejsze wnioski, jak węże morskie.

Jeśli na historyków sarkamy, nie przebaczajmyż i filologom ich przewinienia! Tak np. tego roku dobrano się z dwu stron do nazwy Neurów (ludu Herodotowego, w którym Słowian upatrują „Nurów": niby z nad Nuru i Nurca). Jeden twierdzi, że to nazwa celtyckiego szczepu, nie słowiańskiego, ponieważ w celtyckim Noryku się powtarza; drugi znowu w Nestorowych „Norici" śladuby tych Neurów dopatrywał. Jeden z tych filologów zawinił, że ignoruje historyę i Słowian, którzy nie sroce z pod ogona wypadli; drugi grzeszy przeciw zasadzie kardynalnej: nie dawać się łudzić brzmieniem pokrewnem, nie łączyć dla niego rzeczy najróżnorodniejszych. Trzeba się uczyć! a ostrożnym... być przytem! Historye z runaemi polskimi i słowiańskimi np. nie ostoją się również wobec krytyki.

XVII. W fantazye się nie baw.

Podał np. u nas mistrz Wincenty bajki o Krakusie i Wandzie. Nic łatwiejszego, jak dowieść, że to on sam sobie obie wyssał z palca Krakusa choć — z nazwy istotnej Krakowa, Wandę zato — z nieistniejącej, bo zmyślonej nazwy Wisły. Tymczasem u nas, zamiast ludzkie rzeczy po ludzku traktować, do ostatniej chwili na temat Kraka i Wandy fantazyowano w najlepsze: jeden — to bohater słoneczny czy niebiański, występujący stale w zapasach ze smokiem (słońce

i czarne chmury); druga—to Meluzyna czy Undyna, wracająca do żywiołu, z którego się na czas wychyliła. Nie powtarzamy, co o oślepieniu Mieszka, co o Piaście u nas prawiono, co o myszach Popielowych i t. d. — fantazye te, nieraz zadziwiająco bystre, tracą na kredycie.

Lecz naodwrót nie zgodzimy się znowu na zbyt euhemerystyczne traktowanie przedmiotu. Jeśli np. Neurowie Herodotowi uchodzą przed wężami do kraju Budinów, to nie wystarczy nam wstawienie „nieprzyjaciół" na miejsce wężów, tem bardziej, skoro podanie o wężach, zmuszających szczep do rzucania ziemi, pojawia się i gdzie indziej, np. u Longobardów.

Oto garstka komunałów, nasuwających się czytelnikowi prac choćby najnowszych. Może przypomnienie tego i owego otrzeźwi jednego badacza, obudzi w drugim głos krytyki czy wątpliwości, powstrzyma trzeciego na drodze pochyłej, wysadzanej teoryami i etymologiami, a prowadzącej do zguby niechybnej. Tego życzy im szczerze

Towarzysz broni.



RUCH ARTYSTYCZNY.

„Zaczarowane Koło“ Lucyana Rydla. Sztuka, stosowana do przemysłu. Nadmierna ilość słów zabija dramat. Turniej retorów. „Sfinks“ Kazimierza Tetmajera. Przygotowanie *nastroju* za pomocą obrazów zmysłowych. *Dreszcz*, jako cel sztuki.

Już to poezya nie ma szczęścia do konkursów! Co nagroda, to zawód. Snać talent wszelaki dzieli dolę i niedolę z cnotą:

Cnota (tak jest bogata) nie może wziąć szkody,
Ani się też ogląda na ludzkie nagrody;
Sama ona nagrodą i płacą jest sobie
I krom nabytych przypraw świetna w swej ozdobie.

Pan Lucyan Rydel, niepomny przestrogi Kochanowskiego, sięgnął po „ludzką nagrodę" i jeszcze w przeszłym roku dał ostatnie swoje dzieło: „Zaczarowane Koło" na konkurs dramatyczny imienia Paderewskiego. Sąd konkursowy uwieńczył dzieło pierwszą nagrodą, dzienniki ochrzciły je mianem arcydzieła — i arcydzieło padło zarówno na scenie krakowskiej, jak warszawskiej. A że nie padło zaraz na pierwszem przedstawieniu, przypisać to należy raczej „przyprawom nabytym": dekoracyom barwnym, strojom fantastycznym i wierszowi gładkiemu, niż wartości wewnętrznej: nerwowi dramatycznemu, polotowi wyobraźni, wzruszeniu poetyckiemu autora. Ale bo też „Zaczarowane Koło" p. Rydla jest raczej

wytworem *sztuki, stosowanej do przemysłu*, niż dziełem samorzutnej wyobraźni poetyckiej. Lecz „sztuka, stosowana do przemysłu" to nie byle co. I Benvenuto Cellini, stosując ją choćby do solniczki, pozostawił po sobie arcydzieła snycerskiej i złotniczej roboty; i Hans Makart część sławy i znaczenia zawdzięcza swojemu talentowi dekoracyjnemu w urządzeniu stylowem mieszkania; i Francya przoduje Europie więcej jeszcze swoimi wyrobami artystycznymi, niż dziełami sztuki. To też słabą stroną talentu p. Rydla jest nie to, że stosuje on świetną sztukę wierszowania do utworu scenicznego, lecz że jego utwór sceniczny nie posiada warunków bytu trwałego. Na cóż bowiem zdadzą się przyprawy artystyczne jakiegoś garnka, jeżeli garnek sam sklejony jest ze skorup różnorodnych i ledwie się trzyma?

Jestże to bowiem dramat w pięciu aktach?..... Nie: — zbywa mu na potężnej pobudce psychicznej, wywołującej i ześrodkowującej akcyę. Jestże to poemat w pięciu odsłonach na modłę „Balladyny" czy „Lilli Wenedy" Słowackiego, lub „Burzy" czy „Snu nocy letniej" Shakespeare'a?.... Nie: — zbywa mu na idei przewodniej, wybiegającej daleko poza zakres życia codziennego, a i skrzydła fantazyi nie unoszą autora wysoko ponad ziemię. Jestże to wreszcie „baśń" udramatyzowana, jak chce autor?.. Nie: — jego dziełu zbywa na prostocie układu i na toku gawędziarsko-rytmicznym myśli i języka, jak w „Starej Baśni" Kraszewskiego i poniekąd w „Dzwonie Zatopionym" Hauptmann'a.

„Zaczarowane koło" p. Rydla to szereg obrazów i obrazków, zaczerpniętych w połowie z fantazyi ludowej, w połowie z życia rzeczywistego, z tem jednak zastrzeżeniem, że fantazya pojęta jest realistycznie, przy samej ziemi, a życie rzeczywiste jest spowite w mgłę ogólników.

Co do świata fantastycznego, to autor dzięki odczuciu realistycznemu symbolów i dzięki łatwości władania słowem sprowadził go całkowicie na ziemię. Duchy nieba, piekła, przyrody mają kształty tak wypukłe i namacalne, iż można z nimi obcować doskonale w izbie, przy stole biesiadnym, na polu, w lesie, nad wodą, słowem — wszędzie, gdzie tylko człowiek na własnych nogach dotrzeć jest zdolny. To nie postaci urojone, to nie twory wyobraźni, to nie obrazy poszczególnych stanów ducha, ale istoty rzeczywiste, rusałki z tatarakiem na głowie, Sylwan z długą brodą, dyabli w swojej własnej osobie z rogami, z nogami i uszami koźlemi, odczuwający ból fizyczny w zetknięciu z wodą święconą, miotający się na widok krucyfiksu, wpadający w szał na odgłos pieśni nabożnej lub muzyki

idealnie czystej. A przytem język ich jest przerażająco realny. Mówią oni o piekle, o swojem posłannictwie czarciem, o sobie, jak prawdziwi obywatele Erebu; klną się na swoją godność szatańską, ba! Boruta w chwili gniewu wściekłego wyrzuca nawet z ust swoich słowa obelgi: „Tfu, do czarta!" Wobec tego, czy można się dziwić, iż ludzie w walce z tymi duchami, z temi siłami nadprzyrodzonemi, a nieczystemi, biorą się odrazu do pazurów, do grabi, do siekiery, a wciągnięci w matnię podstępu szatańskiego wymieniają swoje dusze wprost na złoto, na papiery procentowe, na uciechę zmysłową, na zaszczyty i dostojeństwa, na buławy hetmańskie, jak w kantorze bankierskim u wekslarza? Manipulacya tak prosta i łatwa, a dostawcy zdrożności tak blizko! Zresztą, kto nie miał dyabła pod ręką, zstąpił do piekła — po drodze mu było.

Rzecz, jak to po strojach narodowych poznać można z łatwością, dzieje się w Polsce. Lecz kiedy? Może w w. XVII-ym, gdy jeszcze czarownice spławiano, może w XVIII, gdy buławę hetmańską można było zdobyć sztuką, ale nie wojskową. Wskroś „baśni dramatycznej" biegną dwa wątki: jeden to miłość występna Młynarki, pozbywającej się męża siekierą dla parobka Jaśka; drugi to ambicya wygórowana wojewody, przyśpieszającego śmierć brata dla osiągnięcia buławy hetmańskiej. Niezależnie od tych dwu wątków luźnych przewija się tu nadto romans czułostkowy Basi, wojewodzianki, rozkochanej na modłę „pasterek" salonowych w głupim Maciusiu, pastuchu prawdziwym, ale grającym pięknie na fujarce. Te trzy „historye" duszy ludzkiej niczem się z sobą nie łączą. Ale od czegoż figle szatana, który na każde zawołanie autora może stawić się, jako *Deus ex machina*, i to nie w jednej, lecz we dwu osobach? Bo szatan w poezyi p. Rydla to nie upostaciowanie ciemnej strony duszy ludzkiej, ale istota rzeczywista, mająca swój byt niezależny, swój odrębny zakres działania, swoje społeczeństwo, urządzone hierarchicznie. To też po scenie uwijają się dwaj dyabli, zgoła nie wcieleni, lecz prawdziwi: jeden od szlachty, Boruta, drugi od chłopów, Kusy. W dodatku występuje tu też i *natura*, uosobiona w Dziadku leśnym z długą brodą, której zadaniem jest przeciwstawiać się wysiłkom i namiętnościom ludzkim. Słowem, prostota uogólniania życia, granicząca z naiwnością, jak w „Faustbuch'u" lub w powieści z *1001 nocy* o „Cudownej lampie Aladyna".

Napróżnoby w tem szukać jakiejś myśli przewodniej! Ani to walka woli świadomej z instynktami, ani to apoteoza fantazyi ludzkiej! Całe szczęście, iż wszystkie popędy nikczemne i nizkie odbierają karę zasłużoną: inaczej niewiadomo byłoby nawet, poco

autor wyprowadził na scenę tyle epizodów potwornych, skoro jeden byłby wystarczył do zbudowania dramatu prawidłowego z sentencyą, jak w „Don Juanie” Mozart'a lub w szopce krakowskiej: „A za twoje zbytki, pójdź do piekła, boś ty brzydki!”

Przedewszystkiem niema tu węzła intrygi. Wprawdzie osnowę sztuki stanowi zetknięcie się dwu światów: rzeczywistego i fantastycznego, lecz zetknięcie się to nie wywołuje dramatu: walka odbywa się na słowa. Żadnej akcyi, żadnej zbieżności linii, żadnego starcia się charakterów, czy temperamentów, oddziaływających na siebie wzajem. Wypadki następują po sobie, jak w kalejdoskopie z obrazkami i figurkami, którego korbę kręci mechanicznie bądź Boruta, bądź Kusy, stosownie do tego, czy autor, gwoli urozmaiceniu wyprowadza na scenę szlachtę czy chłopów. Dramat nie rozwija się wcale, bo i jakże mógłby się rozwinąć, skoro akcya zadzierzgnięta jest nie na węzeł intrygi,ześrodkowujący w sobie wypadki, ale na supły i supełki scen, którebv można dowolnie porozwiązywać, poobcinać, inaczej ponawiązywać — i sztuka nic a nicby na tem nie straciła. Jest to mozaika przygód, mechanicznie zestawionych, albo raczej jest to dekoracya, złożona z kawałków, nierównomiernie przykrajanych, różnorodnych pod względem znaczenia wewnętrznego i formy zewnętrznej, wykonanych to olejno, to znów akwarelą, to pastelem, to znów węglem, to ołówkiem, to znów akwafortą, często barwnie i plastycznie, często dosadnie i charakterystycznie, lecz w oderwaniu od całości, od wątka sztuki. Co prawda, niektóre sceny są wybornie pomyślane, niektóre epizody dosadnie nakreślone, niektóre postaci doskonale słowami, bo nie czynami, scharakteryzowane; lecz scenom zbywa na ruchliwości, a postaciom na pogłębieniu psychologicznem: maszyna wciąż staje i wtenczas postaci przedstawiają się płasko, jak w malowidłach chińskich lub japońskich: wypływa to z wielomówstwa osób działających, z tej swady niepomiarkowanej a łatwej, która wszelki dramat zabija, a i liryce zgoła nie służy. A przytem p. Rydlowi zbywa nie tylko na oryginalności pomysłu, ale i na indywidualności wyrazu — i to właściwie obniża wartość jego „sztuki stosowanej do przemysłu”. Widz czy słuchacz na pierwszem zaraz przedstawieniu „Zaczarowanego Koła” doznaje wrażenia, jakby już na tem był. Wszystko to się widziało, wszystko to się słyszało: autor przedstawia rzeczy znane i zgoła nie interesujące; że zaś niema poczucia dramatu, więc przeciwstawianiem warstw społecznych i światów odrębnych pokrywa brak myśli przewodniej, a formą kunsztowną brak wzruszenia.

Rzecz mogłaby równie dobrze nazywać się: „Szklana góra”, „Wieczór Trzech Króli” czyli „Jak wam się podoba”, albo i „Dzwon Zatopiony.”

Akt pierwszy rozgrywa się w puszczy przed norą Dziadka Leśnego, nad jeziorem, skąd dochodzą dźwięki dzwonów zatopionych. „To nie woda dzwoni, jeno dzwonią topielice, dzwonią potępieńce oni, bo dziś u nich wielkie święto! Miesiączek dziś w pełni staje”, więc „dźwigają się na dzwonienie topielice i topielce z dna samego, z mułu, z piasku, i one mleczne promienie będą pić i w białym blasku śpiewać.” A ten Dziadak Leśny to Baba Jaga z „Dzwonu Zatopionego”, z tem jednak zastrzeżeniem, iż Baba Jaga Hauptmann'a wyraża się krótko, a Dziadek Leśny p. Rydla miele ziarno mizantropii bez końca. Głupi Maciuś przynosi mu od młynarki dary: kobiałkę czereśni, sera dwie gomółki i chleba dwa bochenki. Dziadek nie domyśla się, o co chodzi — więc daje folgę językowi:

Dziwne to stwory ci ludzie
I głupie! — Ja do nich z lasu
Nie wyłażę i z tej nory,
Lecz ich znam... Siedzę w tej budzie
Tyle czasu — tyle czasu!
Idą ranki a wieczory,
Idą wiosny a jesienie,
Idą lata za latami,
Idą czasy i przechodzą,
A oni wciąż tacy sami
Z pokolenia w pokolenie:
Jak się lęgli, takich płodzą!
— Odmienia się, przyodziewa,
Jak rosochy u jeleni,
Jak listeczki te, co z drzewa
Opadają na jesieni.
A dołem zawdy pień stary,
I gałęzie i konary,
I rdzeń stary — do korzeni!
...Podłe, zatracone plemię,
Ród omierzły a łakomy,
Zagarnęli całą ziemię
Pod te role, pod te domy...
Uwija się to a krząta,
I rozpycha się i żre się,
Włazi do każdego kąta.
Spokoju niemasz i w lesie:
Łowy, trąby, huki, psiarnie,
Nie przepuszczą lichej sarnie,
Ni w łozach małej ptaszynie,

Ni rybie w jasnej głębinie!
Szumną puszczę moją drwale
Wyrębują mi zuchwale,
Krzywe kosy, zgrzytające,
Sieką moje młode zioła
Na polanie i na łące...
Ściskają mnie dookoła!
Co jeno żyje na ziemi,
Zabić, zgrabić, złapać, złupić,
Przedać za grosz, za grosz kupić;
Aż się czasem słońcu dziwię,
Że nad głowami ludzkiemi
Świecić chce jeszcze po niebie...
— Maciuś, powiedz-no prawdziwie,
Rozumiesz ty, co do ciebie
Gadam?

Nie. — Głupi Maciuś nie rozumie, i nic dziwnego: taki potok słów! Lecz to tylko próbka, *maleńka* próbka swady Dziadka Leśnego, który, broniąc „swojej puszczy szumnej" przed siekierą o mało, że nie wymyśla plemieniu ludzkiemu od „postępowców." I jestże on symbolem natury, broniącej swoich praw odwiecznych, a obojętnej na dolę i niedolę ludzką? Nie! Daje głupiemu Maciusiowi to, co ma: fujarkę cudowną, *Pieśń*; lecz równocześnie daje młynarce w rękę to, czego nie ma: siekierę zbrodniczą, pomysł *ślubu krwawego*. Jest to istota połowiczna, jak Boruta, jak Kusy, jak cały zresztą ten świat nadzmysłowy, który p. Rydel zna z książki, z przeróbek literackich, nie zaś z doświadczenia, z serca własnego, z wyobraźni swojej, i dlatego zbywa mu na wyrazie poetycznym. Bez szczerości uczucia niema poezyi. A jak dalece pomysły p. Rydla są sztuczne, dowodzi fakt wprowadzenia na scenę dwu dyabłów odrębnych, którzy, nie znając się osobiście, przedstawiają się sobie wzajem, jak dwaj urzędnicy, pracujący w dwu niezależnych od siebie *dykasteryach*.

A bodajże cię ubito!
Nie znasz mnie? Na Belzebuba!
— To ty nie wiesz, błotna mszyco,
Kto od czasów Lecha króla,
Rezyduje pod Łęczycą?
Kto po dworach z szlachtą hula?
Kto na fecie i na stypie,
Przy sowitym traktamencie
Oracye z rękawa sypie?
Nie słyszałeś wietrzykręcie,
Kto, zjechawszy na kiermasze,

Lub na sejmiki, wychyla
Jednym tchem miodu antałek
I saganem jada kaszę
I zrazy, a lada chwila,
Od przymówek i przechwałek
Wiedzie szlachtę na pałasze?
Kto więcej szlacheckich pałek
Nakarbował, niźli Wasze
Wwiodłeś chamów do kąpieli?
Nie wiesz, ty mizerny głąbie,
Kto jest ów łęczycki śmiałek
Do szklanki, do karabeli,
Szlachcic — z końską nogą w bucie,
Dyabeł, co pije i rąbie?
Nie słyszałeś, mylidrogo,
O Imci Panu Borucie?!!

Tak: Kusy nie tylko nie słyszał o Imci Panu Borucie, ale nawet po tej swadzie, po tej *maleńkiej* próbce swady, nie poznaje go. W dodatku, jak w książkach dla dzieci, chce go „przed Belzebuba sąd pozwać o zgwałcenie granic!” Naiwniej już chyba świata nadzmysłowego przedstawić nie można. Ależ to parafraza wierszowana folkloru. Boruta bierze na rozum:

Słuchaj, taki modus mam:
Szlachta mnie — a tobie cham;
Przecie masz roboty dość,
Ja ci tylko dopomogę...

Kusy:

Za nic! — Ruszaj, Waszamość,
Ruszaj sobie w swoją drogę,
Bo jak nie, to wpadnę w złość,
Jeszcze ci *co* (?) zrobić mogę!

Nie dość na tem. Kusy, „łypiąc oczyma groźnie, cofa się i biegnie z nastawionymi rogami.” Boruta „chwyta go za kark i za pludry i, jak piłką, rzuca nim prosto w jezioro.” A w jeziorze woda święcona, bo ją Dziadek Leśny, dla uspokojenia topielic i potępieńców wlał przed chwilą. Użył też Kusy kąpieli, użył, mało nie oblazł cały ze skóry; to też wnet odechciało mu się walki z dyabłem szlachcicem i, jako „szwab, łyk, pludrak,” wziął się do chamów. Boruta, jak sobie to z góry założył, czyha na duszę wojewody.

Akt drugi rozgrywa się w zamku wojewody. Nieraz w historyi imię wojewody było splugawione prywatą, a buława hetmańska obryzgana krwią niewinną. Wojewoda p. Rydla to *indywidualista*

ambitny, nie dbający o nic i o nikogo, posuwający się do zbrodni bratobójstwa, byle zadowolić swoją miłość własną. Zgoda i na taką postać, lecz p. Rydel niczem nie usprawiedliwił jej w dramacie. Wojewoda, jako osoba działająca, występuje tutaj w dwu tylko momentach: raz, gdy puharem podejmuje u siebie bracię szlachtę, drugi raz, gdy przez prostą pomyłkę wydaje wyrok niesprawiedliwy na drwala, domniemanego zabójcę młynarza. Poza tem i z tem wszystkiem jest to figura zbędna w sztuce gdyż nie łączy się organicznie ani z romansem chłopskim, ani z światem fantastycznym. Jeżeli chodziło o wydanie wyroku niesprawiedliwego, to można było załatwić się z życiem drwala, nie sięgając tak wysoko. Prawda, iż nikt nie mógłby Borucie na jego podszepty o buławie hetmańskiej odpowiedzieć tak dumnie: „Jeśli zechcę, kraj zakrwawię po samego tronu stopnie, i pobladnie król w Warszawie!" Lecz poco te słowa, skoro szlachta, jako warstwa społeczna czy nawet kasta, w sztuce nie występuje wcale? Boć sceny pijackiej i złączonego z nią oratorstwa nie można uważać za obraz całkowity życia i za wyraz zewnętrzny duszy szlacheckiej. Jedno tylko udało się p. Rydlowi w charakterystyce umysłowości wojewody: wiara naiwna w interwencyę djabła. Ta tranzakcya buławy hetmańskiej na duszę to arcydzieło rysu psychologicznego! Dusza wojewody nie będzie należała do władcy piekła, „jeśli pan wojewoda nigdy żadnego człowieka niewinnego nie zabije, ani też na śmierć nie poda niewinną przez ręce czyje."—„Zgoda, zgoda! Cóż u kata, miałżebym się chwytać zbrodni?! Bez tego sobie buławą w górę utoruję drogę!" I wojewoda zaraz na wstępie pozwala ściąć jawor w ogrodzie, a jawor ten to drzewo pana Hieronima, brata wojewody, obecnie hetmana. „Życie w nim, jak w tym jaworze, zamrze, i hetman się kłodą za jednym razem powali, jakby mu kto podciął nogi!" Śmierć tedy brata, hetmana to furda; natomiast wyrok na drwala, wydany nieświadomie, choć nieświadomość grzechu nie czyni, to zbrodnia, za którą trzeba iść do piekła. I wojewoda idzie, ale jak? Z początku zasłania się krzyżem, lecz następnie, oplwany przez Borutę za złamanie słowa szlacheckiego, poddaje się losowi, i w końcu wyrzuca z piersi okrzyk pełen prawości: „Ja czci swej nie splamię; lecz spełnię *verbum nobile*: idę na piekielną mękę, w ogień, który wiecznie pali, lecz bez *plamy na honorze*!" I p. Rydel wierzy, iż poczuciu *honoru szlacheckiego* stało się zadość. Ani słowa ironii! Inaczej, niż na początku aktu drugiego, gdy wojewoda, podejmując braci — szlachtę z racyi swoich imienin, występuje z kielichem w ręku:

Honor *tandem* niesłychany
W dniu dzisiejszym na mnie spada;
Rozszerzcie się, stare ściany
Domus meae — i bądź rada,
Chato moja, dla tych gości,
Którzy od dziada pradziada
Błyszczą splendorem zacności
I szlacheckie swe klejnoty,
Od wieków zdobyte w polu,
Nowemi *adornant* cnoty!
Gdyby mi fale Paktolu
Nadpłynęły do tej sali
I przyniosły skarb swój złoty —
Gdyby słońce, co się pali
Na niebie, zeszło w te progi
I siadło przy moim stole —
To klnę się na wszystkie bogi
I na mojego Patrona,
Którego mamy dziś święto,
Że preferuję i wolę
Honor, jaki zgromadzona
Brać — szlachta, *in hoc momento*,
Domowi mojemu czyni.
Niechaj żelazna Bellona,
I Cerera złotokłosa,
I Minerwa doradczyni
Górne porzucą niebiosa,
I niech między nami staną,
By potwierdzić słowa moje:
Bo nigdy nie widziano
Tak wielkich obywateli,
Zgromadzonych *uno loco*!
Rzym jednego Cyncynnata
Miał w swych murach, więc szeroko
Niech się chełpi i weseli
Ta uboga moja chata,
Że w swych murach naraz wita
Mężów tak wielkiej zasługi,
Których *fama* pospolita
Równo z Cyncynnatem kładzie:
Bo dzierżą miecze i pługi,
A zawżdy *sapientes* w radzie
Et in bello, et in pace!
Etiam za splendoru tyle
Jakoż ja się wam odpłacę?
Chyba dziękując pokornie,
Afekt kordyalny wyrażę,
I kielich do dna wychylę —
...Niech z chóru zagrzmią waltornie!

Niech salwę dadzą puszkarze!
— *Vivant!* Zdrowie Panów — Braci!!

Tak, to chyba ironia, boć niepodobna przypuścić, aby poeta dzisiejszy dla scharakteryzowania krasomówstwa szlachty starej daty, chciał tak długo dusić się dymem czczych kadzideł w dobrej wierze. I Włodzimierz Wolski duszę stolnika w „Halce" wyraził językiem napuszonym. Ale tam przynajmniej co wiersz — to myśl, to obraz, to rzecz!

O mościwi mi panowie!
W istnej błąka alteracyi
Moich dzięków przedsięwzięcie,
Że was tylu w tym momencie
Rzuca splendor na mój domek!...
Żeście tak do serca wzięli,
Iż jedyny ów potomek
Mego rodu po kądzieli
W moim, panie, wdowim stanie
Wkrótce ojca osamotni,
Gdy połączy się Januszem...
Więc waszmoście, gdy ochotni,
Prosim dalej z animuszem!

I na tem koniec charakterystyki. Tymczasem przemowa wojewody to dopiero początek, to dopiero próbka, *maleńka* próbka jego swady. Nie przeszkadza mu to jednak karcić gadulstwa cudzego. Gdy o jego cierpliwość chodzi, umie zawołać, iż „Brzechwa ze swojemi słowami włazi mu w drogę i wierci dziurę w brzuchu."

Nie inaczej też scharakteryzowany jest Kusy. Ma on być sprężyną niecnych czynów chłopstwa i byłby nią nieraz, gdyby nie to, iż się w danej chwili *zagadał.* Oto przykład, jak traktuje on swoje zapasy rycerskie. „Z kim-że to?..."

Z jedną kumoszką
Z tej wsi. Wybór broni miałem.
A baba sobie zastrzegła
Wybór placu. Jędza stara
Bardziej od lisa przebiegła
Pyta mnie: „Rożen czy widły?"
Widły, boć to kolców para,
Więc rożen babie przebrzydłej
Zostawiam... Ba! Cóż mi po tem?
Wyznaczając stanowiska,
Baba stawia mnie za płotem;
Sama staje z drugiej strony:

Co żgnę, to płot na przeszkodzie,
Ani rusz dostąpić zblizka,
Widły więzną w chróst spleciony
A ta mnie bodzie i bodzie,
Bo jej rożen nawskroś płotu
Raz w raz do mnie się przeciska!
Myknąłem w lasy i bory,
Pokłóty gorzej rzeszota:
Sześć miesięcy byłem chory,
I przeszła mi od tej pory
Do pojedynku ochota.

Jakże czuć w tem wirtuoza formy! Lecz cały humor przepada w obfitości słów, w dokładności formy. Snać p. Rydel nie dowierza domyślności czytelnika i wykłada mu przedmiot, jak profesor. Wykład jest świetny stylistycznie, lecz przedmiot ginie dla oka wyobraźni. A jednak Krasicki zrobiłby z tego opisu arcydzieło bajki naiwnej czy satyry złośliwej w czterech wierszach, może w sześciu, gdyby mu chodziło o sentencyę w zakończeniu. To samo ze wszystkiemi postaciami. Zarówno ludzie, jak djabli, zarówno szlachta, jak chłopi, zarówno mądrale, jak głupcy, zarówno mężczyźni, jak kobiety, dopuszczają się gadulstwa bezmiernego. Nawet głupi Maciuś, byle dorwał się do słowa, prawi bez końca i miary. I on, jak wszyscy, boi się zmilknąć. To też akcya zatrzymuje się co chwila, i słychać tylko jakby „wdzięczne wód szemranie, wdzięczne zdrojów gadanie.” Nie! Pan Rydel nie napisałby dramatu, którego bohaterem głównym byłby Wilhelm Milczący!

W „Zaczarowanem Kole” niema bohatera głównego, a nawet niema bohaterów: są tylko manekiny wyindywidualizowane w słowach; a i z tych dwa zaledwie — Wojewodzianka i głupi Maciuś— mają swój wyraz. Wojewodzianka to typ panny, wychowanej na poezyi czułostkowo-sielankowej, — głupi Maciuś to typ poety, znajdującego zadowolenie w własnej pieśni, a raczej w samej czynnosci śpiewania.

Język wojewodzianki jest tak kunsztowny i sztuczny, jak jej dusza. Niema w nim dźwięku, któryby był echem serca, niema w nim słowa, któreby było odgłosem uczucia. Mimo to słucha się go z rozkoszą. Przypomina on te kwietniki barwne, zręcznie rysowane, starannie strzyżone, na których za czasów Ludwika XV pasały się baranki białe z czerwonemi wstążeczkami na szyi. Ale bo też wojewodzianka jest postacią z obrazu Watteau'a. Myśli ona i mówi, jak gdyby śniła na jawie. Głupi Maciuś jest dla niej Filonem, a jego fujarka pastusza fletnią czarodziejską, z której wylatują bajki o Da-

fnisie, lub „piosenki w noc miesięczną rozpłakane.” Dopiero, gdy wzięła jego fujarkę do ręki, oczy jej się otworzyły.

Co się stało?
Tyżeś to? Ach, jakiż inny
Jesteś od tego pasterza,
Który śnił mi się na jawie...
Oczy kłamać nie powinny
Sercu, które im dowierza.
Czemu kłamią?! Skąd ta zmiana
W twem obliczu i postawie?
Zdajesz mi się taki gminny,
Pospolity i prostaczy!
Ach, i ta chłopska sukmana
Taka brudna... Po Filonie
Śladu niema! Co to znaczy?
Masz, odejdź, paś sobie konie!“

Ta zmiana nagła w uczuciu wojewodzianki nie dziwi wcale głupiego Maciusia: „Jej się zawdy tak majacy” — powiada i idzie „pojźryć na konie, choć spętane.” Kulminacyjnym jednak punktem czułostkowości wojewodzianki, jest prośba z jaką ona zwraca się do ojca, aby nie kazał ścinać ulubionego jej jaworu. Lecz to wydwarzanie nie razi tu wcale. Przeciwnie: zdaje się, że taka wojewodzianka mówićby inaczej nie umiała, nie mogła. Ale bo też p. Rydel ujął jej mowę w rymy tryoletu tak dźwięczne, tak wybredne, tak dopasowane do nastroju, iż słucha się ich, jak muzyki prawdziwej, jak menueta Haydn'a, w formie kanonu kontrapunktycznego. Jest to kryształek stroficzny, arcydzieło formy, arcydzieło tem piękniejsze, iż w toku myśli nie czuć wysiłku a i łza uczucia tkliwego mieni się niejako w blasku słów.

Choć byłam jeszcze maleńka,
Pamiętam, jak gdyby wczora:
W cieniu onego jawora...
Gdy byłam jeszcze maleńka,
Siadała ze mną mateńka,
Taka biedna, taka chora!...
— Choć byłam jeszcze maleńka,
Pamiętam, jak gdyby wczora:

Te uśmiechy, te pieszczoty,
Gdym u kolan jej usiadła!
Czasami przedemną kładła,
Wśród uśmiechów i pieszczoty,

Swój stary Ołtarzyk Złoty
I uczyła abecadła...
Te uśmiechy, te pieszczoty,
Gdym u kolan jej usiadła!

Więc bronię cichej ustroni
Pod jaworem przy studzience...
Wspomnienia moje dziecięce
Wabią mnie do tej ustroni,
Tam w gałęziach słowik dzwoni,
Tam pamiątki lube święcę!
Więc bronię cichej ustroni
Pod jaworem przy studzience... i t. d.

Na nic łzy Wojewodzianki! Jawor padł pod toporem, gdyż w nim drgała nie poezya Wojewodzianki, lecz dusza hetmana, brata wojewody, a wojewoda zapragnął buławy hetmańskiej.

Najudatniejsza jednak postać w „Zaczarowanem Kole” to głupi Maciuś. I on wprawdzie nie działa, nie występuje czynnie w dramacie, ale to już taka jego rola. Odczegóż byłby głupim Maciusiem? I skarbów nie pragnie, choć go dyabeł kusi, i jest zadowolony z losu, choć go każdy, nie młynarz to młynarka, grzmoci po plecach: A jakże! Od czego kij? I jego też djabeł chciał sprowadzić na manowce. Lecz co szlachcic, to nie chłop, co Boruta, to nie Kusy! Kusemu nie udało się otumanić Maciusia. Na nic obietnica jadła i napitku podostatkiem, na nic złoto i wszystkie skarby na świecie! Głupi Maciuś, jak był biednym a niewzruszonym w prawości i cnocie, tak pozostał do końca. Ale bo też Dziadek Leśny jego tylko, jako nieodłączną i nieodrodną cząstkę przyrody, wziął w swoją opiekę i zaopatrzył przeciw wszelkim pokusom i zdrożnościom w broń nieprzeparcie silną. Dał mu *Pieśń*. I głupi Maciuś gra, gra, gra — a wszystko mu ulega i wszyscy go słuchają. W całym utworze zresztą jest to jedyna postać rozumna biernością, czysta nastrojem myśli, szlachetna bezinteresownością uczucia, a przytem naturalna, i przez to sympatyczna. A może głupi Maciuś nie jest szczęśliwy?

Oj, scęśliwy... jesce jaki,
Nikiej ta ryba we wodzie,
Od kiej wsyćkie one cuda
Wygrywam i wsyćkie dziwy,
I zyje se, jak te ptaki,
Śpiewajęcy... Cy o głodzie,
Cy o chłodzie, jak się uda,

Zawdy gram i gram od ucha...
Oj, nikomu ja nie zajrzę!
Pasę w lesie, to las gada:
„Grajze ino, Maćku, grajze!“
Ta i gram... A tu las słucha,
Widno rad z onego grania,
Bo mi ciągiem odpowiada.
Jak bez te błonia przechodzę,
To gałązeckami rucha
Kuzda wierzbecka przy drodze,
I listeckami się kłania,
Coby jej grać... Idę miedzą,
To ci sumi w kuzdem kłosiu,
I w tych chabrach, co tam siedzą
Skroś psenice albo zyta,
I sumi caluśkie pole,
Jakoby rzec: — „Graj, Maciusiu!“
I gram, jaz za serce chwyta!
Juz ja tę fujarę, wolę
Nade wsyćkie skarby świata!...
Juz mi nic na świecie nie trza...

Jest to wyborna charakterystyka rozpoetyzowanej duszy pastucha, — charakterystyka tem piękniejsza, iż utrzymana ściśle w gwarze ludowej i nie wykraczająca w obrazowaniu zmysłowem uczuć poza zakres pojęć ludowych. Szkoda tylko, iż głupi Maciuś nie może nigdy powstrzymać potoku swoich słów i w końcu jego hymn na cześć pieśni nuży. „Deszcz pada, a on gada.” Lecz, jeżeli to właśnie jest symbol sztuki naiwnej, wyraz artyzmu szczerego, to wobec takiego ideału nie łatwo przyznać się do stanowiska czy roli artysty w życiu. Całe szczęście, iż „Zaczarowane Koło” to bajka, a bajka najczęściej przeinacza kształty i fizyonomię postaci: głupi w niej jest mądrym, a mądry — głupim.

Jeżeli chodzi o prawdę w odtworzeniu postaci, to w „Zaczarowanem Kole” najlepiej przedstawiają się bohaterowie romansu chłopskiego: Młynarka i Jasiek. Nie zbywa im ani na dosadności rysów, ani na pobudkach czynów. Żyją oni jednostronnie, ale żyją. To też w obrazie tej miłości zmysłowej a występnej czuć chwilami krew, tętniącą pod powłoką formy. Szkoda tylko, iż obraz ten traktowany jest epizodycznie, dla pokazania chwiejności natury ludzkiej wobec pokus szatańskich i dla stworzenia... piątego aktu tragedyi. Młynarka dopięła celu — roznieciła nanowo miłość w sercu Jaśka przez „krwawy ślub”, lecz niedługo cieszyła się posiadaniem kochanka. Jasiek, dręczony wyrzutami sumienia utopił, się, a Młynarka

dostała pomieszania zmysłów. Nie byłoby w tem nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, iż autor wprowadził obłąkaną Młynarkę na scenę i każe jej świadczyć przeciwko... Wojewodzie. Tak jest. Wojewoda dał katu na śmierć niewinną drwala, pomówionego o zabicie młynarza, gdy tymczasem zbrodni zabójstwa dokonała para kochanków. I Młynarka gada na scenie, gada, a wojewoda słucha i do gadania ją podnieca, aż w końcu dowiaduje się: „Ady przecie sam wies... My z Jaśkiem... oboje... Bez łeb!... Ani zipnął, jucha!...” Co prawda, scena obłąkania usprawiedliwiona jest psychologicznie i utrzymana wybornie w nastroju, lecz całkiem niepotrzebna w sztuce. Toć dyabeł, Boruta, czy nie Boruta, mógłby wziąć duszę wojewody, jak swoją, nie czekając zgoła na zaświadczenie Młynarki. Ta *rewizya procesu* jest tylko przypieczętowaniem sprawy, która i tak zadługo się wlokła. Ale bo też p. Rydel, nie licząc zgoła na domyślność czytelnika, widza czy słuchacza, każdy czyn omawia trzykrotnie: przed wypadkiem, podczas wypadku i po wypadku. Jasiek i Młynarka w trzy dni po zabiciu młynarza rozstrząsają sami przed sobą przebieg zabójstwa tak szczegółowo, jak gdyby się dopiero mieli zabrać do niego. Wszyscy wiedzą o wszystkiem, a tu tymczasem co raz to kto inny wchodzi na scenę i zaczyna rzecz od początku. Pan Rydel widzi dobrze postaci albo raczej — słyszy dobrze mowę ludzi żywych, ale nie ma poczucia dramatu. Dramat powstaje ze starcia się temperamentów czy charakterów, nie zaś z walki na słowa. „Zaczarowane Koło” to turniej retorów.

Pan Rydel ma talent — niezawodnie; ale talentowi p. Rydla zbywa na oryginalności. Sceny, postaci, charaktery, myśli nawet są tu po największej części reminiscencyą utworów i pomysłów cudzych: Shakespeare’a, Słowackiego, Hauptmanna, Paska, klechd i podań ludowych. Co jednak stanowi znamię odrębne talentu p. Rydla, to *łatwość* uzmysławiania myśli, rysów charakterystycznych duszy, a poniekąd i uczuć, za pomocą słów, misternie dobranych. Śmiało rzec można, iż od czasu Słowackiego nikt tak nie władał i nie włada językiem, jak p. Rydel. Czy to chodzi o fantazyę, jak w słowach duchów dobrych, czy to chodzi o cierpkość uczucia, jak w słowach postaci szatańskich, czy to chodzi o dosadność, jak w gwarze ludowej, czy to chodzi o napuszoność, jak w swadzie oratorskiej braci-szlachty, czy to chodzi o kunsztowność rytmu i rymu, jak w wydwarzaniu czułostkowem pasterki, język p. Rydla mieni się wszystkimi blaskami tęczy, drga wszystkimi dźwiękami skali muzycznej. Każda istota, każdy osobnik mówi u niego inaczej i mówi doskonale. Sześć zwrotek tryoletowych Wojewodzianki to

arcydzieło kunsztu pisarskiego; język Młynarki to odzwierciedlenie żywe gwary ludowej; mowa głupiego Macinsia to hymn dźwięczny na cześć natury i poezyi nieświadomej; swada Wojewody to upust słów bez końca i miary, ale upust charakterystyczny w duchu czasów minionych. A przytem, co za zdolność przerzucania się od nastroju do nastroju, obok zachowania cech indywidualnych w mowie każdego osobnika! Jedno tylko p. Rydlowi pod względem formy zarzucić można i należy — i to stanowi jego niższość w porównaniu ze Słowackim, jako mistrzem słowa — iż wszystkie osoby, ludzie czy duchy, anieli czy dyabli, mówią u niego zadużo. Język Słowackiego to *wyraz* indywidualny temperamentu, uczuć, myśli, walki wewnętrznej, porywów ducha; język p. Rydla to *popis* wirtuoza, który, posiadając technikę niebywałą, daje formie pustej, ozdobom stylistycznym przewagę nad rzeczą. A rzecz? „Wywód to niezły, ale zda mi się — jakby powiedział Górnicki — iż więcej w nim postawy, niż wątku". To też p. Rydel, aby skryć brak wątku, wprowadził do swojej „baśni dramatycznej" całą mieszaninę fantazyi i życia powszedniego, poezyi i realizmu, kultury umysłowej i instynktów zwierzęcych. Jego utwór to nie dramat, nie objaw natchnienia poetyckiego, nie dzieło sztuki, ale fabrykat, misternie, a gdzieniegdzie nawet artystycznie opracowany: jakaś taca porcelanowa na postumencie metalowym. Chwilami oczu nie można oderwać od tego arcydzieła zręczności we władaniu formą złożoną; bo, jakkolwiek i taca, i postument pochodzą z fabryki wyrobów maszynowych, to jednak cała powierzchnia, wszystkie płaszczyzny, wszystkie wypukłości i zagłębienia, wszystkie kanty i krawędzie bryły uległy przeinaczeniu to pod pędzlem malarza na porcelanie, to pod rylcem snycerza, rzeźbiącego w brązie. Bo i czego tam niema? Jest i obraz z „Dzwonu Zatopionego" Hauptmanna, jest i scena z „Balladyny" Słowackiego, jest i biesiada z „Pamiętników" Paska, jest i finał ponury z „Don Juana" Mozart'a, jest i głuptas, grający pięknie na fujarce, jest i królewna, zakochana w głuptasie, jest i szlachcic butny, jest i chłop nieokrzesany, jest i mędrzec, wychowany w lesie, a z taką długą brodą, że ją sobie przydeptuje, jest i dyabeł prawdziwy z ogonem i rogami, jest wreszcie śmierć z kosą, karząca sprawiedliwie za występki, zdrożności i zbrodnie, — a wszystko oddane tak świetnie pod względem technicznym, iż napatrzeć się temu nie można.

Pierwsza nagroda, udzielona p. Rydlowi za „Zaczarowane Koło" na konkursie dramatycznym, to tryumf wirtuozowstwa ręki nad samorzutnością pomysłu.

Inny poeta, p. Kazimierz Tetmajer, równie wirtuoz języka, lecz obdarzony tą wyobraźnią żywą, która udziela słowu cechy zmysłowej, wystąpił z dramatem jednoaktowym, p. t. „Sfinks". Rzecz to napisana przed kilku laty (r. 1893) pod wpływem dramatów cudacznych Maeterlinck'a, — prawie naśladownictwo „Intruza" i „Ślepców" tego przecenionego Shakespeare'a belgijskiego, który postaci ludzkie zastąpił symbolami, a pojęcia dźwiękami. Widocznie jednak p. Tetmajer przywiązuje pewną wagę do „Sfinksa", skoro nie tylko pomieścił go w zbiorze nowel i fantazyi (*Melancholia*) obok obrazka tak pięknego, jak „Ksiądz Piotr", ale nadto pozwolił go wystawić (7 kwiet. 1900 r.) w Warszawie na scenie Teatru Nowego. Zresztą jest to utwór nawskroś *modernistyczny*, posiadający cechę znamienną literatury dzisiejszej, i z tego względu zasługuje, jeżeli nie na rozbiór szczegółowy w zestawieniu z melodramatami symboliczno-mistycznymi Maeterlinck'a, to przynajmniej na kilka słów charakterystyki przedmiotowej.

Różni już ludzie, upośledzeni od natury, byli bohaterami dramatu: byli ślepi, byli głusi, byli niemi. Pan Tetmajer wyprowadził na scenę człowieka, a raczej istotę, jakiej jeszcze nie było. Bohater jego dramatu jest i ślepy, i głuchy, i niemy. Jedyny zmysł, jakim rozporządza, a raczej jakim kieruje się w swojem życiu wegetacyjnem, to powonienie. Zdaje się, że to mało, aby zostać bohaterem sztuki, a jednak... Ten *Sfinks* popełnia zbrodnię, i stąd dramat. Rzecz się dzieje — jak u Maeterlinck'a — niewiadomo w jakim czasie, niewiadomo w jakim kraju, niewiadomo w jakiem miejscu. Jedynie sam fakt zbrodni jest ustalony. A fakt to zgoła nie zajmujący. Jakaś matka, pewnie wdowa, miała dwoje dzieci: córkę — neurasteniczkę, Annę i syna — kalekę, Leona. Anna opiekowała się Leonem czule, jak na siostrę i istotę wytworną przystało. W bracie jednak zbudziły się pewnego dnia instynkty zwierzęce, i odtąd prześladował on siostrę czułością niezwykłą, a nawet stał się o nią zazdrosny. Nadomiar nieszczęścia w domu tej rodziny szczególnej, a mieszkającej gdzieś w puszczy leśnej, zjawił się nagle młodzieniec, syn muzyka znakomitego, Artur Weren, i zakochał się w Annie od razu. Anna również zakochała się w Arturze. W chwili, gdy oboje oblubieńcy przysięgali sobie miłość wzajemną aż do śmierci, Leon, zwabiony wonią lilii, którą Anna miała wetkniętą we włosy, wszedł omackiem do pokoju i, przeczuwając, co się święci, rozbił Arturowi głowę wazonem od kwiatów. Wypadek okropny —

prawda, lecz tak szczególny, iż niewarto nim zaprzątać sobie głowy. Nie wpłynie to ani na pogłębienie tajemnic psychologii, ani na rozszerzenie ram moralności, ani na rozjaśnienie widnokręgu filozofii. Ot — fakt, nadający się do kroniki skandalicznej, i koniec na tem.

Inaczej poeta — zwłaszcza poeta dzisiejszy, który z *przeczuć* tworzy system filozoficzny, a z *determinizmu* instynktowego dramat. I dramat powstaje sam przez się: przeczucia wywołują *nastrój*, a determinizm wywołuje *dreszcz.* Ani odrobiny poezyi — ani śladu myśli głębszej! Ale bo też nie o polot fantazyi, nie o pogłębienie psychologii poecie dzisiejszemu chodzi, ale o wywołanie wrażenia zmysłowego zapomocą słów odpowiednio dźwięcznych i maszyneryi teatralnej, właściwie zastosowanej. *Nastrój* i *dreszcz* to dwa momenty poezyi dzisiejszej, *dwa akty dramatu* rzekomo psychologicznego, w którym akt pierwszy uwrażliwia naskórek, jako zmysł dotyku, dźwiękami i szmerami tajemniczymi, a drugi przyprawia duszę o *drgawki* grozą naoczną czynu, potwornie obmyślanego i wybornie, według wszelkich prawideł melodramatu, wykonanego. A trzeba przyznać na wstępie, iż p. Tetmajer z założenia swego wywiązał się znakomicie. Jego „fantazya dramatyczna" robi wrażenie ogromne.

Przedewszystkiem akt pierwszy — przygotowanie *nastroju.* Scena przedstawia werandę z balustradą z marmuru *czarnego.* Po bokach stoją kolumny z marmuru *czarnego.* Na stole pali się lampa, przepuszczająca światło *tajemnicze* przez szkło *zielone.* Z jednej strony stołu siedzi matka w *czarnej* sukni z *czarną* koronką na głowie; z drugiej córka, cała w *bieli*, z liliami *białemi* we włosach. Suche liście *szeleszczą* w parku. Zdala słychać *grzmoty.* Księżyc świeci, ale wygląda, jak z *mosiądzu zaśniedziałego.* Kwiaty bardzo *pachną.* Anna dopiero przestała *grać;* klawisze (chyba struny) fortepianu *same brzmiały* jej pod palcami; to też *mgła dźwięków* waha się nad jej głową, a ona *kołysze* ją jeszcze swoim *oddechem. Burza* się zbliża, *wicher* porywa liście, *ptak nocny* przelatuje koło oleandra, *muzyka dziwna* wyłania się z *głuchych* fal jeziora, podpływającego pod same mury domu, a w tej muzyce „jest *coś* nęcącego, jak życie, mocnego, jak śmierć". — Salomon w „Pieśni nad Pieśniami" wyraził to jaśniej i plastyczniej: „albowiem *miłość* mocna jest, jako śmierć, twarda, jako grób". — Wtem *ból* straszliwie *ostry* przeszywa Annę nawskroś, przez serce. To wspomnienie, że Leon *dotykał* dziś jej włosów palcami: twarz jego *posępna* miała *bladość trupią*, a on wciągał powietrze w usta napół otwarte i, wodząc palcami po jej wło-

sach, wyjął z nich lilię jedną, bardzo *pachnącą*.... *Burza* się zbliża jeszcze bardziej; *słychać* dziwny *dreszcz* drzew. Anna się boi, *odskakuje* nagle od stołu i *krzyczy* na cały głos: „Nie odchodź, mamo!" Matka, zdziwiona, stara się ją uspokoić. Na nic! Anna *czuje*, iż dokoła niej dzieje się *coś* dziwnego. W tej chwili nawet *coś drga* niezmiernie prędko... słychać jakby stłumione, *migotliwe dzwonienie*. Czy Leon śpi? Wprawdzie był *dziwnie niespokojny*, ale dał się odprowadzić do swojego pokoju i ułożyć w fotelu. To szczególna jednak: *wąchał* kwiaty i *kilkakrotnie* zdejmował *wazon* z kolumny, a wazon jest tak *ciężki*, iż trudno go unieść. Anna *drży*. Jakaś *trwoga spada* na nią w tej chwili. Dzieciństwo? Ależ są nieraz *przeczucia rzeczy dziwnych!* A są, zwłaszcza, jeżeli obserwator miast badać objawy zewnętrzne życia, zagląda rzekomo do głębi duszy w poszukiwaniu przyczyny przyczyn, a widzi tylko podłoże uczuć: *instynkt*. Lecz *przeczucie* nie zawiodło. W tej chwili na werandzie zjawia się nagle Artur Weren, syn wielkiego kompozytora, Ryszarda Werena — „ciemno ubrany, kurtka zapięta pod szyję, spodnie długie, buty bez ostróg". — To objaśnienie: „buty bez ostróg", jest śmieszne. A może to symbol? Wszakże nowy ten bohater dramatu jest oficerem marynarki i wraca zpod bieguna południowego. Bohater zwyczajny wracałby zpod bieguna północnego. Artur Weren zabłądził w puszczy, spadł z konia, stłukł sobie nogę i tu szuka schronienia przed burzą. Obie kobiety przyjmują go mile, a „ta dziewczyna jest *biała*, jak sen, jest, jak cud"... W tej chwili jednemi drzwiami wchodzi Leon i słania się koło wazonu z kwiatami, drugiemi zaś ksiądz, powracający od konającego. — Zdaje się, że nerwy słuchaczów i widzów dostatecznie już są przygotowane do odczucia wrażeń dramatu. Gdzież tam! To dopiero początek *nastroju*. — Anna przedstawia Arturowi brata swojego: „Bóg odjął mu wszystko: wzrok, słuch i głos"... „Cóż za okropne nieszczęście!" — „Okropne". — Leon zdejmuje wazon z kolumny i wącha kwiaty z rozkoszą. Anna odbiera łagodnie wazon z rąk brata i prosi pana Werena, aby jej pomógł „postawić wazon na dawnem miejscu: jest bardzo ciężki". Ale czemu Leon jest tak niespokojny? Widocznie zaniepokoiła go obecność pana Werena. — „Wydaje mi się czasem — mówi matka — jakgdyby był zazdrosny o Annę. Przed paru dniami uderzył ogrodnika, który *chciał* ją pocałować w rękę". — Czyżby odczuwał nie tylko przedmioty namacalne, ale i przyczyny faktów niedokonanych? Byłby to istotnie sfinks. — „A może budzą się w nim instynkty spóźnione?" — „Co?"— „Nic, sądzę jednak — dodaje ksiądz — że trzeba uważać

na niego". Anna będzie się modliła. — „Czy muzyką?" — „Nie umiem inaczej — odpowiada Anna — ale czyż Bóg nie słyszy każdej muzyki?" A możeby teraz zagrała? O, nie — grywa tylko wtedy, gdy jest sama, i gdy kwiaty bardzo *pachną*, a umie wszystkie utwory Ryszarda Werena na pamięć. „Ryszard Weren to jej ideał, jej *pierwsza miłość*". — A druga? — Anna, przy pomocy służącego, wyprowadza Leona do sypialni i wnet wraca. Słychać *grzmot* bliżej. Co za wspaniałe echo! A teraz jakże *dziwnie* cicho! Anna pragnęłaby widzieć *puste przestrzenie* polarne w świetle miesięcznem. Ksiądz marzy o Wschodzie; chciałby być w Ziemi Świętej, u *grobu* Chrystusa.... W górach, okalających park, coraz *czarniej*. Rzeka zaczyna *szumieć* coraz silniej: pewnie będzie wielka *powódź*. Co to? „Znów drzewa *zadrżały* w ogrodzie!.. To *wiatr!..* O, nie, to *nie wiatr!...* Może to przywidzenie, ale jakże *przejmujące...* Ach, jakże lilie *pachną* mocno! — Wtem piorun pada tuż obok pałacu i zapala stary śpichlerz. Łuna pożaru oświetla scenę. Wyborne tło do dramatu. Teraz *nastrój* jest już w części przygotowany: w tym światłocieniu słowa najzwyklejsze nabiorą wypukłości, a myśli najpowszedniejsze znaczenia ukrytego, może nawet głębokiego. — Wszyscy pobiegli do ognia. „Pałac jest pusty i głuchy", a ta „dziewczyna jest, jak sen, jest, jak cud".. I Artur marzy, a Anna opowiada jeszcze raz o kalectwie i *rozdrażnieniu* brata, jakby napawając się myślą o jego nieszczęściu i o jego popędach. — „Dziwną tajemnicą musi być jego dusza: *dziwną* i *wielką!*" — Psycholog powiedziałby: ani dziwną, ani wielką, jak u istot niższego rzędu. Nawet to, że „wszystko, co ma woń i co miłe w dotknięciu, sprawia mu widoczną przyjemność", nie zdziwiłoby fizyologa. Macie też nad czem łamać sobie głowę? Lecz poeci inaczej patrzą na naturę, zwłaszcza poprzez pryzmat *przeczuć*, nanizanych na wątek melodramatu. — Z drzew zrywają się spłoszone ptaki nocne i *szeleszczą* skrzydłami. Słychać jakiś *tętent* i *chrzęst* gałęzi, łamanych w puszczy.. To ogień zbudził i przeraził jelenie. Naraz odzywa się głos *dzwonu*. — „Jakże ponury ten dzwon!" — „Okropnie ponury!" — „Pożar nie grozi pałacowi, lecz ten dzwon jest okropny!" „Tak brzmi, jak w ostatniej, *przedśmiertnej* symfonii Ryszarda Werena"..... „To dziwne, iż los przywiódł tutaj jego syna". — „Po szczęście, czy nieszczęście". — Któż to zgadnie? Jeszcze chwila, a zagadka będzie rozwiązana. Proces przygotowywania *nastroju* zapomocą drażnienia zmysłów dobiega końca. Anna preludyuje prawie sama: — „Łuna taka jasna, *jasna* i *czerwona*, a tam w głębi tak *ciemno!*" „Ogary *wyją* na folwarku — ach, jak wyją *posępnie*". — „Czyżby *śmierć* zwietrzyły?"...

„Śmierć to *straszne* słowo. Są godziny, kiedy tego słowa nie powinno się wymawiać”. — „Wszakże godzina *duchów* nie nadeszła jeszcze”. — „Któż to może wiedzieć, *co* jest koło nas?” — „A jednak w tym *dreszczu* drzew, co przeleciał teraz ogrodem, i w tym *jęku* dzwonu słychać było to *słowo* straszne”. — „Zapewne matka powróci wkrótce z *księdzem*”. — „Z księdzem? A tak, ksiądz jeździł do umierającego, ale *tam* śmierci nie zastał i *tu* powrócił”..

Akt pierwszy skończony. Ani jednej obserwacyi nowej, ani jednej myśli głębszej, ani jednego pojęcia, któreby nie było ogólnikiem! Mimo to słuchacze z niepokojem w sercu oczekują katastrofy, choć od chwili pojawienia się na scenie Artura Werena katastrofę przewidują. Wynik to istotnie *nastroju*, przygotowanego słowami, wywołującemi obrazy zmysłowe, rytmem dźwięków, powtarzających się uparcie, symfonią szeptów, szmerów, szelestów, westchnień, jęków, grzmotów, piorunów — światłem tajemniczem lampy zielonej, księżyca sennego, łuny krwawej, błyskawic nagłych. Cała muzyka środków, działających na naskórek, na zmysł dotyku! Na takiem tle każde wyznanie miłosne wyda się porywem dusz, przepojonych uczuciem, a każdy wypadek dramatem, wywołującym *dreszcz*, zwłaszcza, iż co słowo, to *przeczucie* czegoś złowrogiego, a co zdanie, to *śmierć*, zaglądająca komuś w oczy.

I oto *dreszcz* idzie. Akt drugi rozpoczął się z chwilą, gdy w powietrzu zadrgało po raz pierwszy słowo: *miłość*. — Lecz jakże daleko jesteśmy od „Pieśni nad Pieśniami”, od duetu „Romea i Julii!” To nie oświadczyny, ale zgrzyt nerwów chorych, wyobraźnia Edgara Poë, podłożona pod muzykę „Tańca szkieletów” Saint-Saëns'a.

— „Zdaje mi się — mówi oblubieniec — że możnaby słyszeć własne myśli!” — „Cyt — odpowiada oblubienica — *węże* pobudziły się w trzęsawiskach, dźwigają głowy i *syczą*. Dziwne jakieś odgłosy!.. Ale dlaczego głos pański *drżał*?” — „Mój głos nie *drżał* wcale”. — „Ależ głos pański *drżał*... Pan się czegoś lęka i *tai trwogę*”. — „Nie, nie!” — „A czy pan wie, czy pan może wiedzieć, *co* tu jest w tej godzinie koło nas? Ludzie mówią, że *tu* jest *pusto* — a *tam* jest Bóg. Cyt! *Coś* jakby *szło* przez ogród, nie dotykając drzew, ani kwiatów... *coś* jakby *czołgało się* z cichym szelestem po szklanym, wilgotnym dachu cieplarni... coraz *bliżej*... coraz *bliżej*... Nie, to nad siły!... Tam, w ciemnościach, *świecą* wielkie, okrągłe, *krwawo iskrzące oczy*... Boże!”

W tej chwili we drzwiach staje Leon. Widocznie odczuwa *coś*, co go niepokoi, i omackiem, pocichu sunie ku rozmawiającym. Anna, nie widząc go wcale, pada zemdlona w objęcia Artura.

Nadmiar uczucia pozbawił ją sił. Po chwili jednak odzyskuje przytomność, i oboje oblubieńcy zaczynają rozmawiać. Leon słania się za nimi opodal. — Artur tak jest podobny do portretu swojego ojca, a jego ojciec to „pierwsza miłość” Anny. „Czy prędko stąd odjedzie?”. „Wkrótce”. — „Dokąd?” — „Pójdzie błądzić dalej po szerokim, głuchym oceanie”. — „Tam musi być smutno”. — „Smutno. Gdy wody leżą nocą senne, a cisza zstąpi na statek, wówczas myśl leci w pustki nieskończone, jak mewy albo orły morskie... Teraz przybędzie mu jeszcze jedno uczucie!” — „Jakie?” -- „Tęsknota”.

W odpowiedzi na to słowo znaczące Anna wyjmuje *lilię* z włosów i podaje ją Arturowi. Artur przyrzeka zachować ją do *śmierci*. — „Mojej czy swojej” — pyta Anna. Artur, zamiast odpowiedzi, całuje ją w rękę. Leon, zwabiony wonią lilii, zbliżył się o krok do rozmawiających.

I zaczyna się duet. — „Cyt! Wielka fala dźwięków rozlewa się powoli wkoło, krąg za kręgiem, dalej i dalej... Płynie, płynie, i upaja, i obezwładnia... Nęcąca jest, jak życie, mocna jest, jak śmierć, ta muzyka dziwna”... „To nie dźwięki, lecz muzyka słów, co nęci, jak życie, a mocna jest, jak śmierć”. — „Cyt! Fala płynie i dźwięczy i gra coraz mocniej.... Wszystko zamieni się w *błękit* i w *pieśń*... Dziwny sen!” — „To nie sen, nie sen! To miłość tak mówi do ciebie, pani; to miłość otacza cię falą dźwięków i mgłami z błękitu”. I Anna „widzi jakiś jasny, pełen słońca świat, cichą jakąś, słodką, senną toń”...

Nareszcie! Poprzez chmury, przestworza czarne, widziadła śmierci, szelesty i szmery tajemnicze, jęki otchłani, łuny, grzmoty, pioruny przedarł się promień świetlany uczucia błogiego — wyznanie miłosne! Przedarł się? Jakto! A *przeczucie?*

Czas na kondensacyę *dreszczu*. Leon, wiedziony instynktem zwierzęcym, podsunął się pod oblubieńców, złączonych w jednym uścisku. Nagle Anna wyrywa się z objęć Artura i woła z przestrachem:

— „Ach, drzewa *zadrżały!* Drzewa *drżą!*”

W tej chwili Leon uderza Artura wazonem w głowę. Artur pada z jękiem na ziemię. Anna, dotąd osłupiała, postępuje ku Arturowi, wzdryga się gwałtownie i, przysłaniając oczy, krzyczy przeraźliwie:

— Trup! A! A! A!

I koniec. Tak wygląda dramat nowoczesny, oparty na *nastroju*. Żadna myśl nie dotarła do duszy słuchacza, żadne uczucie nie wywołało płomienia w sercu, żadne pojęcie nie rozszerzyło wi-

dnokręgu wyobraźni — a jednak dramat wywarł wrażenie. Wrażenie czego? Litości? Smutku? Boleści? Grozy? Nie. To wrażenie czysto fizyczne, wywołane środkami materyalnymi obrazów zmysłowych, jakiegoby się doznało, patrząc na wieszanie czy gilotynowanie skazańców, a choćby na zarzynanie powolne i wymyślne zwierząt domowych. To *dreszcz* strachu i odrazy, który czepia się tylko zmysłu dotyku. Dość byłoby wysmarować sobie zawczasu skórę gliceryną, aby podczas przedstawienia teatralnego *mrowie* nie szło po ciele. Bez *nastroju* niema *dreszczu*, a bez *dreszczu* niema *drgawek* w duszy. Bo czemże jest cała ta sztuka modernistyczna, ta poezya dzisiejsza, która chce stać się melodramatem muzycznym, i ten dzisiejszy melodramat muzyczny, który chce dotrzeć do dna namiętności? Czem? Sztuką wywoływania dreszczu bolesnego w zmyśle dotyku, a drgawek konwulsyjnych w nerwach — i nic więcej.

Na szczęście, p. Tetmajer ma w swoim dorobku literackim rzeczy i oryginalniejsze, i tęższe, i piękniejsze. Szkoda tylko, iż pozwolił swojego „Sfinksa", który dla nikogo nie jest sfinksem, wystawić na scenie, a co gorsza, iż sam kierował próbami. Widocznie chodziło mu o to, aby *dreszcz*, choć naśladowany, nie zawiódł. I dreszcz nie zawiódł.

Antoni Sygietyński.



Rozbiory i Sprawozdania.



Friedberg. Pospolite ruszenie w Wielkopolsce w drugiej połowie XV w. Lwów, 1900 r.

Źródła prawne, rozświetlające kwestyę udziału w pospolitem ruszeniu w Polsce na schyłku wieków średnich, są pod jednym względem, jak autor objaśnia, jednostronne. Odnoszą się bowiem do Wielkopolski, a do Małopolski posiadamy bardzo mało wskazówek, któreby rzecz dokładniej rozejrzeć dozwoliły. W wiekach średnich przez dłuższy czas tworzyło pospolite ruszenie jedyną siłę zbrojną wszystkich państw europejskich. Tak było i w Polsce aż do końca XIV w. W następnem stuleciu pojawiają się i u nas hufce zaciężne, ale zawsze zasadniczym typem organizacyi siły zbrojnej jest pospolite ruszenie. Wszelako nie odpowiada ono już w zupełności wymaganiom czasu, i reforma jego okazuje się konieczną. Podstawą organizacyi pospolitego ruszenia są zawsze statuty Kazimierza W-kiego, nie wykonywane należycie. Dopiero trzynastoletnia wojna z Krzyżakami (1454 — 1466) dała pobudkę do ustawodawczego urządzenia pospolitego ruszenia. Wtedy to pod naciskiem konieczności wydano szereg uchwał, mających na celu uczynić zadość potrzebom

chwili i wyprawić w pole odpowiednią siłę zbrojną. Skutkiem tego wszystkie te uchwały noszą charakter rozporządzeń dorywczych i są nawet nieraz z sobą sprzeczne.

W wojnie trzynastoletniej Krzyżacy musieli koniecznie prowadzić wojnę żołnierzem zaciężnym, gdyż z pospolitego ruszenia żadnej prawie nie mogli sobie obiecywać korzyści z powodu rokoszu swych poddanych i przejścia ich na stronę polską. Rząd polski usiłuje im z początku przeciwstawić pospolite ruszenie, ale, gdy go na samym wstępie spotkał zawód, uchwalono, że pospolite ruszenie należy zachować na czas większej potrzeby, gdy położenie jest zupełnie groźnem. Utrata Malborga skłoniła jednak Wielkopolan do zebrania 6000 pospolitego ruszenia, chociaż w r. 1457 występuje na jaw pierwsza poważniejsza próba zreformowania organizacyi pospolitego ruszenia i w następnych latach powtarza się ona kilkakrotnie.

Przedewszystkiem nasuwa się badaczowi zasadnicze pytanie: czy pospolite ruszenie było ciężarem osobistym, czy też wynikało z innego tytułu? Statuta Kazimierzowe pociągają do pospolitego ruszenia nasamprzód tylko takiego rycerza, który dobra ziemskie posiada. Nie jest jednak rzeczą obojętną, jakie to są dobra. Dobra te muszą być wolne, w przeciwnym bowiem razie obowiązek służby wojennej odpada. Tem samem chłopi nie mogą wchodzić w skład pospolitego ruszenia, i pozostają tylko mieszczanie, o ile posiadają dobra ziemskie. Prócz tego uchwała z r. 1457 wyraża najpierw zasadę, że obowiązek udziału w pospolitem ruszeniu stosuje się do wielkości dóbr. Zatem, kto dóbr ziemskich nie posiada, nie podlega wcale obowiązkowi.

Przewodnią myślą memoryału Ostroroga było uczynienie obowiązku wojennego osobistym, a nie przywiązanym do gruntu wolnego. Ostroróg chce do służby wojskowej pociągnąć i chłopów i pragnie zorganizować trzy rodzaje wypraw: wyprawy zwyczajne, w których bierze udział cała szlachta z wyłączeniem innych stanów; do drugiej kategoryi w cięższej potrzebie prócz szlachty przyzwać należy jedną trzecią mieszczan i chłopów; wreszcie w największych wyprawach bierze udział cała szlachta i dwie trzecie mieszczan i chłopów. Na owe czasy plan Ostroroga stanowił reformę zbyt radykalną, do której społeczeństwo ówczesne nie było jeszcze przygotowane.

Z ducha statutów Kazimierzowych wypływało, że duchowni, posiadający bona patrimonialia, obowiązani byli do ponoszenia ciężaru wojennego. Dobra kościelne były w początkach od powyższego ciężaru oswobodzone. Ustawa jednak piotrkowska z r. 1477

rozszerzyła ten obowiązek na dobra beneficyalne. Co do tych ostatnich, rozróżnia ona dwie kategorye. Kościoły katedralne, kolegiaty i klasztory mają same wyprawiać zbrojnych, natomiast parochowie i wogóle niższe duchowieństwo świeckie ma tylko wspierać swego biskupa w wysyłaniu zbrojnych do pospolitego ruszenia. Biskupi zaś, kapituły i opaci mają wysyłać żołnierzy ze swych dóbr beneficyalnych, stosownie do ich wielkości, a więc wedle tej samej zasady, co osoby świeckie. Według przepisów uchwał z r. 1457, 1458, 1459 obowiązek miast polegał tylko na dostarczaniu piechoty. Po roku 1496, w którym zakazano mieszczanom posiadać dobra ziemskie, też mieszczaństwo, czując się pokrzywdzonem i upośledzonem, odsunęło się prawdopodobnie nawet zupełnie od służby wojennej.

Pośrednie stanowisko pomiędzy szlachtą a włościanami zajmowali sołtysi; i oni byli obowiązani do pospolitego ruszenia narówni z innymi posiadaczami ziemskimi. Skup zatem sołtystw przez szlachtę wpływał zatem na niekorzyść siły zbrojnej państwa. Szlachcic bowiem, nabywszy sołtystwo, uważał je za część składową swych dóbr dziedzicznych i spełniał obowiązek pospolitego ruszenia tylko raz. Na każdym więc skupie wójtowstwa lub sołtystwa traciło państwo przynajmniej jednego żołnierza. Ktokolwiek posiadał dobra ziemskie, musiał podlegać ciężarowi wojskowemu bez względu na wiek i płeć. Rozumiało się jednak samo przez się, że kobiety i dzieci podobnie, jak chorzy i wiekiem osłabieni starcy, czynić mogli zadość obowiązkowi tylko przez wysyłanie zastępców. Obojętną było rzeczą, czy kobieta była panną, mężatką, czy też wdową. Mężatki wysyłały ze swych dóbr żołnierzy niezależnie od obowiązku mężowskiego. Czasami się zdarzało, że zastępca żony stawał w poczcie męża. Mężatka też wysyłała żołnierzy z dóbr, które otrzymała w posagu. Z dóbr oprawnych ostatecznie służbę musiał pełnić mąż, gdyż on pozostawał ich właścicielem.

Jeżeli ktoś inny był właścicielem dóbr, a kto inny użytkowcą, to wtedy obowiązek służby ciążył na użytkowcy. Szlachcianki zaś, które wyszły za mieszczan, posiadały dobra *in vim reemptionis* i wysyłały z nich zastępców na pospolite ruszenie. Współwłaścicieli uważa się nazewnątrz za jednoskę, która raz tylko obowiązaną jest do służby. Mógł wszakże zachodzić kilkakrotny obowiązek służby. Szlachcic np., który miał syna, służącego w zaciężnych szeregach, jeżeli go chciał wysłać do pospolitego ruszenia, jako swego zastępcę, musiał go z pocztu zaciężnych odwołać. Obowiązek kilkakrotny mógł jeszcze powstać w innym wypadku, a mianowicie wtedy, jeżeli obowiązany do pospolitego ruszenia miał być zastępcą

drugiego obowiązanego. W tym razie zachodziło niebezpieczeństwo umniejszenia siły zbrojnej państwa. Ustawa piotrkowska starała się temu zapobiedz, zabraniając obowiązanych do pospolitego ruszenia brać, jako zastępców.

Uchwały z lat 1457, 1458 i 1459 nie kładą nigdzie nacisku na osobisty udział w pospolitem ruszeniu, nawet wtedy, gdy rzeczywistych przeszkód nie było. Pozostawiano też zwykle obowiązanym do woli: albo brać udział osobiście, albo też wyręczać się zastępcami. Ustawa Piotrkowska z r. 1477 uznaje zastępstwo tylko, jako ulgę dla niektórych kategoryi osób, zatem stanowi pośrednio, że wszyscy inni winni osobiście wyruszać na wojnę. W drugiej połowie XV w. przynależność stanowa zastępców zupełnie jest obojętną. W szeregach zastępców spotykamy szlachtę zarówno, jak i nieszlachtę, krewnych obowiązanego i jego domowników. Ulgi z łaski królewskiej zdarzały się bardzo rzadko i odnosiły się nie do samego obowiązku służby, ale do jego wymiaru. Tak np. zwolniony zostaje niejaki Gurowski od udziału w wyprawie ze względu na to, że pożar zniszczył mu całe mienie.

Podstawą wymiaru służby w pospolitem ruszeniu była wielkość dochodu, uzyskanego z gruntu. Według uchwały z r. 1457 podstawą wymiaru była wysokość czynszu, jaki z gruntu opłaca ludność kmieca, na nim osadzona. U biedniejszych właścicieli ziemi, którzy nie mieli dochodu z czynszów, podstawą wymiaru stawał się sam obszar gruntów. Ustawa z r. 1458 stanowi, że, kto ma 100 grzywien rocznego czynszu ze swych włościan, winien dostawić jednego konnego pancernego kopijnika i dwu konnych pancernych strzelców. Powtóre: kto ma 50 grzywien rocznego dochodu z czynszów lub więcej, ale poniżej stu, obowiązany jest złączyć się z drugim, tak, żeby dochody ich wynosiły razem 100 grz. W ten sposób złączeni wyprawiają poczet taki sam, jakiego dostarcza osoba pierwszej kategoryi. Potrzecie: kto ma 20 grzywien rocznego dochodu z czynszu, wyprawia konnego pancernego strzelca. 20 grzywien stanowi więc minimum tej klasy obowiązkowej; czyj zaś dochód stanowi mniej, niż 20 grzywien, ten winien dostarczyć od każdych 20 łanów, które posiada, pieszego strzelca w hełmie z tarczą, uzbrojonego w kuszę i nóż, ale bez pancerza. Biedniejsi mogą się złożyć w kilku na wyprawienie takiego żołnierza. Największa jest różnica ciężaru między tymi, co wysyłają pieszych, a tymi, co wysyłają jezdnych. Najniższy dochód roczny z dóbr, z których wyprawiano konnego strzelca, wynosił 5 grzywien, najwyższy zaś wynosi 12 grzywien. Kto posiadał niżej 5 grz.

dochodu, dostarczał jednego pieszego, a ustawa określała niedostatecznie uzbrojenie piechurów.

Księgi wojenne dowodzą niewątpliwie, że wobec tych, którzy nie dopełniali służby wojennej, stosowano karę konfiskaty dóbr. O karze śmierci niema żadnych wiadomości, choć z milczenia zapisek bynajmniej nie wynika, żeby ona wcale nie miała zastosowania. W pracy p. Friedberga mieści się jeszcze dużo interesujących szczegółów, odnoszących się do ówczesnego uzbrojenia pospolitego ruszenia i do formowania pocztów wojennych. Przytoczona przezemnie treść studyum p. Friedberga przekona jednak dostatecznie każdego o sumienności i gruntowności badania autora. Wydobył on starannie zasady, na których się opierało pospolite ruszenie w XV w. i objaśnił je należycie krytycznemi uwagami. Jednem słowem, rozprawa p. Friedberga przyczyniła się do rozświetlenia sprawy pospolitego ruszenia w Polsce i stanowić będzie poważny nabytek dla literatury naszej prawnopaństwowej.

A. R.

Kazimierz Twardowski. W y o b r a ż e n i a i p o j ę c i a, Lwów, 1898 r.

W ubogiej naszej literaturze filozoficznej oryginalne prace z zakresu logiki należą do najrzadszych. P. Twardowski obrał za przedmiot badania swego nie tyle logikę właściwą, ile psychologię spraw logicznych. Poddając badaniu porównawczemu wyobrażenia i pojęcia, stara się przedewszystkiem wykryć drogą analizy procesy psychologiczne, przy których udziale powstają te produkty umysłowe, a w ten sposób zdobywa zarazem trwałe podstawy dla formalnej ich charakterystyki, jako funkcyi logicznych.

Rozdział pierwszy poświęcony jest uwagom terminologicznym. Zastanowiwszy się nad pochodzeniem polskiego wyrazu w y o b r a ż e n i e (*Vorstellung*) oraz nad nieudaną próbę Jarońskiego wyróżnienia wyobrażeń, jako — w i e d z i i p o j ę c i a (*Anschauungen* i *Begriffe*), proponuje autor, jako termin szerszy, wyraz p r z e d s t a w i e n i a (*Vorstellung*), pod który podciąga dwie gromady: w y o b r a ż e ń i p o j ę ć.

Dalej poddaje autor krytyce rozmaite określenia wyobrażenia. Wyobrażenie, jak wynika z tej krytyki, nie jest ani odtworzeniem wrażenia, ani ujęciem. Można bowiem mieć wyobrażenia, które nie odtwarzają wrażenia. Melodya np., powtórzona w innym kluczu, nie odtwarza tonów, lecz tylko ich stosunki (interwale). Z drugiej strony zaś ujęcia zawierają w sobie sąd o istnieniu i obecności przed-

miotu ujęcia; sądu tego zaś niema w wyobrażeniu. Poprawniejszem jest określenie wyobrażenia, jako syntezy wrażeń (Wundt, Scripture, Struve [1]). Jest wszakże zbyt ciasne. Wrażenia bowiem otrzymujemy tylko od przedmiotów zmysłowych. Wyobrażenia zaś możemy mieć także i o przedmiotach umysłowych; możemy odtwarzać w pamięci dawne sądy swoje, wzruszenia lub inne stany psychiczne. Wyobrażenia te składają się, narówni ze zmysłowemi, z szeregu czynników prostych, dla których nie mamy wszakże nazwy (analogiczne są one wrażeniom w wyobrażeniach zmysłowych). Łączenie czynników w jedną całość stanowi znamienną cechę wyobrażeń. „Zadanie, które w życiu umysłowem spełniają, polega w pierwszym rzędzie na tem, że wprowadzają ład w chaos wrażeń i analogicznych im czynników, tworzących w danej chwili treść naszego umysłu" (str. 38—39). Na tem polega k o n k r e t n o ś ć wyobrażeń, którą określa autor, jako „nierozróżnienie czynników, wchodzących w skład wyobrażenia", „konkretnem więc jest wyobrażenie dlatego, że nie dokonana została na niem analiza, wyróżniająca części". Wyobrażenia, jakkolwiek konkretne i naoczne, nie zawierają w sobie wszystkich cech przedmiotu: kondensują je czyli streszczają, wybierając pewne cechy wyraźne, a pomijając inne, czyli są ogólnikowe. Stosownie do tego, czy cechy, wyraźnie występujące, należą do kilku przedmiotów, czy do jednego, wyobrażenia są o g ó l n e lub j e d n o s t k o w e. Pod względem stosunku swego do przedmiotu wyobrażenia, autor dzieli je na trzy kategorye: 1) w y o b r a ż e n i a s p o s t r z e g a w c z e powstają w chwili spostrzegania przedmiotu; 2) w y o b r a ż e n i e o d t w ó r c z e — gdy go wyobrażamy w pamięci; 3) w y o b r a ż e n i a w y t w ó r c z e — nie mają odpowiednich sobie przedmiotów rzeczywistych (np. Pegaz, Sfinks i t. p.).

Poddając badaniu zakres i granice wyobrażalności, autor zatrzymuje się przeważnie nad tym ostatnim typem wyobrażeń. Badanie to wykazuje, że wyobrażeń wytwórczych nie możemy tworzyć wtedy, gdy cechy, odpowiadające ich przedmiotom, nie dadzą się połączyć w jedną całość; nie możemy np. pomyśleć kuli, któraby była odrazu czerwoną i zieloną. Takie wyobrażenia niedoszłe

[1]) Co do charakteru tej syntezy wszakże nic nas nie poucza psychologia, i wątpi autor, aby kiedykolwiek mogła odpowiedzieć na to pytanie. „Zdaje się bowiem, że powstawanie wyobrażeń należy do tych zjawisk psychicznych, które opierają się wszelkiej analizie, wszelkiemu opisowi". (Str. 24).

stają się p o j ę c i a m i. Składają się one z dwu czynników: w y o b r a ż e n i a p o d s t a w o w e g o, t. j. wyobrażenia, które dla wymienionego powodu nie mogło być przeobrażone w nowe wyobrażenie, oraz s ą d u (lub sądów) w y o b r a ż o n e g o, zawierającego w orzeczeniu cechy, nie dające się połączyć z innemi. Gdy tworzymy np. pojęcie punktu matematycznego, wyobrażamy plamę na papierze, a obok tego sąd, że plama ta nie ma wymiarów. Ten sąd nie może być rzeczywistym, gdyż rozmijałby się z prawdę; możemy go tylko wyobrazić.

Przy użyciu pojęć podczas myślenia zastępujemy je zwykle symbolami lub półsymbolami (wskutek trudności wyobrażenia sobie cech w oderwaniu), t. j. albo wyobrażeniami samych nazw, albo nazw w połączeniu z wyobrażeniami podkładowemi. Bliższa analiza tego procesu prowadzi do wyróżnienia pojęć a n a l i t y c z n y c h od s y n t e t y c z n y c h. Do pierwszych, powstających drogą analizy, należą pojęcia niektórych stosunków oraz cech. Do drugich — sądy, wyobrażone z pojęciem analitycznem w orzeczeniu. Możność łączenia rozmaitych typów pojęć jest prawie bezgraniczna, a określenie zapobiega chwiejności wyrazów odpowiednich. Możliwe jest ono tylko dla pojęć syntetycznych; tam więc, gdzie idzie o ścisłość, staramy się niemi zastąpić analityczne. Pojęcia zarówno, jak wyobrażenia, mogą być jednostkowe (np. dzień, poprzedzający bitwę Maratońską) lub ogólne (trójkąt). Wyobrażenie ogólne różni się od pojęcia ogólnego tem, że obok cech wspólnych zawiera także i cechy osobnicze, złączone w całość z pierwszemi; pojęcia ogólne cech takich nie zawierają.

Wyobrażenia symboliczne utrudniają w znacznym stopniu badanie pojęć, zasłaniając je sobą; w chwili więc powstawania jedynie możliwem jest dokładne zbadanie pojęcia... Udział sądów w tworzeniu się pojęć należy do najnowszych zdobyczy psychologii spraw logicznych. Co do tej kwestyi rozróżnić można trzy poglądy. Jedni (jak Suppe i Erdmann) utożsamiają pojęcie z sądem. Drudzy (Bergman, Jerusalem, Wundt) uważają pojęcia za wynik sądów; trzeci (Riquert, Lipps, Bosanquet, Ribot) widzą w pojęciach sądy *in potentia*. Teorya autora usiłuje pojednać to, co jest prawdziwego w poprzednich poglądach. Stanowi ona raczej ich uzupełnienie, niż zaprzeczenie.

Istotnym punktem książki i jej właściwie oryginalną zdobyczą jest teorya pojęcia, jako niedoszłego wyobrażenia z sądem wyobrażonym. Do niej systematycznie prowadzi cała analiza poprzednia wyobrażeń. Analiza ta wszakże po drodze rzuca wiele świa-

tła na szereg zagadnień ubocznych, a umiejętne zestawienie opinii poprzedników zaznajamia czytelnika ze stanem kwestyi w dobie bieżącej. Pomimo specyalnego charakteru swego książka jest zupełnie przystępna, tak ze względu na jasność wykładu, jak i na charakter przedmiotu, stojącego niejako na progu logiki i psychologii poznania.

Wł. M. Kozłowski.

A. J. Stodółkiewicz. „Świat“. Warszawa, 1899. 8⁰, str. II + 62. Cena 80 kop.

Zagadnienia, dotyczące początku i praw kształtowania się świata widzialnego, należały zawsze do najbardziej poruszających umysły nie tylko myślicieli i badaczy, lecz i wszystkich, zdolnych do zastanawiania się nad zjawiskami otoczenia. Stanowią one zarówno najulubieńszy temat podań i legend najmniej nawet ukształconych ludów, jak mniej lub więcej jawny cel wszelkich badań przyrodniczych i systematów filozoficznych. Nauki przyrodnicze wyrzekają się wprawdzie dociekań, wkraczających w dziedzinę metafizyki, o ile jednak nowe ich zdobycze zdają się uchylać nieco ten czy ów rąbek zasłony, zakrywającej tajemnice bytu, wnet z naciskiem zaznaczają te fakty, a zapominając o swem zadaniu cierpliwego i objektywnego badania nagich faktów, stopniowego kroczenia od faktu do faktu, wyprowadzania z tak zdobytego materyału wniosków logicznych i uogólnień, pozwalają sobie czasami popuścić nieco wodze fantazyi, dopełniając brakujące ogniwa między faktami domysłami, tworząc hypotezy, mogące narazie choć w części zadowolić instynktowną ciekawość umysłu ludzkiego.

Do takich hypotez należała i kosmogoniczna hypoteza Kanta, Herschell'a i Laplace'a, podług której cały nasz układ planetarny miał się wytworzyć z jednej pierwotnej materyi, mgławicy, która stopniowo przyjęła kształt kulisty, a spłaszczając się przy biegunach i rozszerzając przy równiku wskutek ruchu wirowego, oddzielała kolejno pierścienie, tworzące planety, obracające się w dalszym ciągu dokoła pierwotnej kuli, słońca, i oddzielające z kolei na tej samej zasadzie również pierścienie równikowe, zamieniające się w księżyce. Teorya ta przetrwała w nauce blizko lat sto. Odkrycie wstecznego ruchu księżyców Urana i Neptuna oraz nowsze odkrycia, jakie zawdzięczamy analizie spektralnej, fotografii, fotometryi i zbadaniu natury pierścieni Saturna, wykazały braki tej hypotezy i pobudziły do tworzenia nowych, z których obecnie najwię-

ksze uznanie w nauce znajduje hypoteza Fay'a, przyjmująca, iż z wyjątkiem dwu ostatnich planet wszystkie pozostałe wytworzyły się wewnątrz mgławicy pierwotnej, przed ostatecznem wytworzeniem się słońca. Jakkolwiek nowsze hypotezy może głębiej wnikają w istotę badanej sprawy, może bardziej odpowiadają wymaganiom dzisiejszej nauki, nie wyzwoliły się jednak z zasadniczej myśli teoryi Laplace'a i stanowią mniej lub więcej szczęśliwe jej pogłębienie i dopełnienie.

Autor wymienionego w tytule dziełka podaje nową, własną hypotezę wyłonienia się układu planetarnego, mającą, jego zdaniem, (str. II wstępu) lepiej wywiązywać się z zadania od teoryi Laplace'a.

Nie możemy powstrzymać się z góry od uwagi, iż cała wartość teoryi Laplace'a polegała przedewszystkiem na jej niezmiernej prostocie, jednolitości, zrozumiałości, zgodności w najmniejszych nawet swych twierdzeniach z zasadami fizyki i że dawała się stwierdzić doświadczalnie (spłaszczanie się wirujących pierścieni sprężystych doświadczenie Plateau i t. d.). Była to jedna, prosta w zasadzie myśl, uogólniająca prawie wszystkie zjawiska, do których się odnosiła, jeden, słuszny czy niesłuszny, wniosek z przesłanek znanych. Cokolwiekbyśmy sądzili o nowej hypotezie autora wzmiankowanego w tytule dziełka, bez względu na to, czy ona rzeczywiście wyjaśnia, jak twierdzi autor (str. 31), większą liczbę faktów, niż hypoteza Laplace'a, czy nie, — tej zalety, jaką ostatnia się odznaczała, tej prostoty w każdym razie już nie posiada. Aby tę teoryę przyjąć, trzebaby się przedewszystkiem zgodzić na cały szereg innych nowych hypotez wstępnych, na których autor buduje dopiero właściwą swą hypotezę główną, którą następnie dopełnia znów innemi hypotezami własnemi, mającemi wyjaśnić zjawiska ziemskie.

Załatwiwszy się pobieżnie z krytyką hypotez dotychczasowych, autor poświęca pierwszy rożdział swego dziełka objaśnieniu natury i budowy słońca. Słońce ma się składać z sześciu współśrodkowych kul, mniej lub więcej wyraźnie rozgraniczonych, różniących się temperaturą i składem. Temperatura wewnętrznych sfer wynosi miliony stopni, zewnętrznych — 30,000°—50,000° C. (str. 17). Pierwsze trzy kule wewnętrzne składają się z metali, w jądrze słońca — najcięższych, w dalszych sferach — coraz lżejszych; czwarta kula z kolei zawiera gazy cięższe (jakie — niewyjaśniono) i pary metali, piąta sfera — gazy lekkie, włączając wodór, szósta wreszcie składa się ze słupów rozpalonego wodoru i „wszelkich tworów wybuchowych, pochodzących z wewnątrz i ujawniających się w postaci plam słonecznych, języków płomiennych i daleko sięga-

jącego pyłu kosmicznego" (str. 16 i 17). Źródło ciepła słonecznego widzi autor w spadaniu meteorów na słońce, idąc w tem za przedawnioną hypotezą Roberta Mayera, która, zdaniem autora, nie była należycie zrozumianą i niesłusznie została zarzuconą. „Obawa o zwiększenie masy słońca (wskutek ciągłego spadania meteorów) zupełnie upada, jak powiada autor, jeżeli tylko zrozumiemy dobrze, że meteory tworzą się bezustannie z materyi słońca, jako produkty stygnięcia". Autor przypuszcza mianowicie, że słońce wyrzuca bezustannie z siebie meteory, spadające napowrót na słońce, że się więc na słońcu odbywa krążenie meteorów na podobieństwo krążenia wód na ziemi. W ten sposób spadek meteorów zwraca słońcu energię, straconą..... na ich wyrzucenie (str. 19). Tą nową hypotezą miał jednak autor zamiar wyjaśnić, czem słońce pokrywa ubytek energii, straconej przez promieniowanie, o czem w nawale coraz nowych hypotez, do jakich się ucieka, zupełnie zapomina. W jakim więc celu autor przyjmuje całą tę hypotezę, skoro ona niczego nie wyjaśnia, do czego służyć ma to całe wynagradzanie energii, traconej jakoby przez słońce po to jedynie, aby ją módz wynagrodzić? tą drogą może się tylko ubytek energii zwiększyć, ale nigdy zmniejszyć. Energia, promieniująca ze słońca w przestrzeń nieskończoną, musiałaby niezbędnie napowrót z zewnątrz słońca doń wnikać, jeżeli istotnie energia słoneczna prawie się nie zmniejsza, jak sądzi autor. Zresztą czuje to autor sam, dodając uwagę uboczną (str. 22): „część energii słońca ginie bezpowrotnie; słońce rzeczywiście stygnie, chociaż to stygnięcie skutkiem opisanych wyżej godnych podziwu urządzeń zachodzi bardzo wolno". Otóż, jak objaśniliśmy, te „godne podziwu urządzenia" nic a nic nie wpływałyby na zwolnienie procesu ostygania słońca. W tem miejscu autor popełnia drugi błąd naukowy: „gdyby to istotnie miało miejsce (całkowite wynagrodzenie ubytku energii), wówczas słońce, powiada autor, byłoby prawdziwem perpetuum mobile. Tymczasem mamy dowiedzione matematycznie, że perpetuum mobile jest niemożliwe". Otóż „dowiedzionem matematycznie" bynajmniej to nie zostało; przeciwnie, teoretycznie perpetuum mobile jest zupełnie możliwe; dowiedzionem to mogło zostać tylko doświadczalnie, i to tylko dla ograniczonego układu ciał. Cały wszechświat przedstawia przecież najlepszy przykład istotnego perpetuum mobile; przyjąć nawet można, iż taki ruch wieczny przypada w udziale ciałom niebieskim naszego układu planetarnego; wszelkie przeciwne twierdzenia, jak dotąd, opierają się tylko na przypuszczeniach, bynajmniej niedowiedzionych; perpetuum mobile jest niemożliwe tylko o tyle, o ile ruch

napotyka na przeszkody, jak to zawsze bywa na ziemi wskutek tarcia i oporu powietrza.

W dalszym ciągu swej nauki o słońcu autor potrąca o cały szereg nowych przypuszczeń, dotyczących tworzenia się związków chemicznych w słońcu (między innymi związku Ca H_2 ? str 22), rozpraszania się materyi słońca, tworzenia się plam na słońcu (stałych konturów i barw plam słonecznych nie wyjaśnia), oddalania się planet i t. p., dochodząc wreszcie na podstawie tych hypotez do głównej swej myśli, obejmującej obraz tworzenia się układu planetarnego, którą wykłada w rożdziale „Układ słoneczny”. Myśl swą przedstawia autor w sposób następujący.

Słońce było pierwotnie o wiele większe, aniżeli dzisiaj, składało się z jądra, zawierającego roztopione metale, otoczonego atmosferą gazów i obracało się dokoła osi, kończąc każdy obrót w ciągu około 25 lat naszych. Ciągłe wybuchy wyprowadzały pary metali z wewnętrznych warstw słońca do warstw zewnętrznych (twierdzenia tego autor żadnymi argumentami nie popiera); para lżejszych metali sięgała dalej, cięższych — bliżej. Para ta ulegała szybkiemu oziębieniu i zamieniała się na pyłek drobnych ciał. Część tego pyłu powracała do głębszych warstw (dlaczego tylko część? zapewne dla owego wynagrodzenia straty energii słonecznej, poniesionej na wyrzucenie tego pyłu, ale w takim razie tylko część tej straty zostanie wynagrodzoną), część zaś pozostawała w krańcowej atmosferze słońca (str. 25 . Gdy ostatnia z biegiem czasu została znacznie obciążona w pasie równikowym pyłem metali, oderwał się od słońca jeden wielki pierścień gazów, przesycony produktami stygnięcia, który skutkiem bezwładności odsunął się od słońca, pozostawiając między niem a sobą przerwę i obracając się dalej dokoła słońca z prędkością zmniejszoną, gdy samo słońce skutkiem ubytku warstwy, obciążającej równik, przyśpieszyło ruch wirowy. Pomimo tej przerwy wybuchy przenosiły cząstki metali ze słońca do pierścienia, sprowadzając zakłócenia w jego ruchu i powodując wreszcie rozpadnięcie się pierścienia na cztery pierścienie współśrodkowe (czemu na cztery?). Pływające w każdym pierścieniu cząsteczki metali zlepiały się w większe grudki, aż utworzyły po jednym większem ciele i po kilka mniejszych. Tarcie, spowodowane niejednakową prędkością liniową rozmaitych części pierścienia, wywołało ruch wirowy tych ciał w kierunku pierwotnego ruchu całej masy. Większe ciało w każdym pierścieniu wytworzyło planetę, mniejsze ciała — księżyce. (Dlaczego w każdym pierścieniu wytworzyło się tylko jedno tak wielkie ciało i tylko kilka innych, tak znacznie

mniejszych?). Tak powstały cztery planety zewnętrzne z ich księżycami (str. 26). Gazowa masa każdego pierścienia skupiła się dokoła tych ciał metalicznych, których powierzchnia w miarę stygnięcia tworzyła różne związki chemiczne. Ta materya gazowa zresztą w części podlega rozproszeniu, co powoduje stopniowe oddalanie się planet od słońca (!). Kierunek ruchu księżyca dokoła planety zależy od tego, czy cząsteczki pierścienia, z których powstał, miały ruch postępowy szybszy czy powolniejszy od ruchu planety; różnica zaś prędkości różnych cząstek pierścienia wynikła z owych zakłóceń, spowodowanych przez cząsteczki, wrzucane w pierścień przez wybuchy słońca. Tem tłómaczy się wsteczny kierunek ruchu księżyców Urana i Neptuna. (Czemu owe zakłócenia oddziałały na 2 ostatnie pierścienie odwrotnie, niż na wszystkie pozostałe?). W przerwę, która się utworzyła pomiędzy pierwotnym pierścieniem a słońcem, ostatnie wciąż wysyłało cząsteczki metali, które tu jednak nie spotykały oporu ze strony ośrodka i dlatego (?) nie łączyły się w większe masy (str. 29). Z tego powodu w tej przerwie wytworzyła się tylko wielka liczba drobniejszych ciał, planetoid. Po wytworzeniu się planet zewnętrznych i planetoid słońce utraciło dużo ze swej dzielności twórczej (str. 30). Po obciążeniu krańcowych warstw atmosfery tak zmniejszonego słońca pyłem metali nastąpiło oderwanie się kilku pomniejszych pierścieni, w których drogą takiegoż zlepiania się cząstek powstały cztery planety wewnętrzne i ich księżyce. (Również dobrze możnaby twierdzić, iż oderwał się znów jeden tylko pierścień, który, jak pierwszy, rozpadł się na cztery pomniejsze. Wogóle oddzielnych twierdzeń swych autor nie popiera żadnymi argumentami).

Na poparcie całej swej hypotezy autor przytacza różnicę, zachodzącą pomiędzy stosunkiem objętości planet a stosunkiem ich mas. Jest to jedyny argument, popierający oryginalną myśl autora, przedstawiającą planety i księżyce, jako produkty stygnięcia wybuchowych materyi słońca, zarazem jedyna silniejsza strona całej hypotezy, której pozostałe myśli, o ile są lepsze, opierają się przeważnie na hypotezach Laplace'a i Fay'a. Powstanie samego słońca hypoteza autora pomija zupełnie. Na zakończenie tego rozdziału, który staraliśmy się streścić możliwie jak najściślej, z zachowaniem wyrażeń autora, znajdujemy jeszcze najniepotrzebniej poruszoną sprawę życia na planetach, przyczem autor zapuszcza się nawet w tak apodyktyczne twierdzenia, jak np. to, że na Marsie zapewne żyją istoty „rozumne, podobne do człowieka” (str. 33).

Nie zadawalniając się główną swą hypotezą, autor podaje w dziełku jeszcze kilka rożdziałów z nowemi przypuszczeniami i teoryami. Dotyczą one budowy ziemi i księżyca, ich składu, powstawania wulkanów, gór, wysp, stanu jądra ziemi, trzęsienia ziemi, meteorytów, spadających na ziemię i księżyc; wreszcie podaje autor nową teoryę deszczu, gradu i burzy. Teorye te stanowią w części połączenie nowych znów hypotez autora z teoryami, dawniej przyjętemi w nauce, i z przypuszczeniami, wysnutemi, jako wnioski, z zasadniczej hypotezy kosmogonicznej autora, przedstawiając, jak i ta ostatnia, dziwną mieszaninę trafnych uwag z nieuzasadnionemi dostatecznie twierdzeniami. Hypotez tych przeto tu rozbierać nie będziemy w przypuszczeniu, iż powyższe streszczenia kilku części dziełka dają dostateczne pojęcie o biegu myśli autora.

Zaznaczymy tylko w końcu, iż forma wykładu jest wogóle bardzo przystępna, obliczona na szersze sfery czytelników, wyjąwszy może kilka miejsc (np. na stronie 4 i in. użyto wyrażenia „prędkość kątowa" bez bliższego wyjaśnienia tego terminu). Język czysty, jakkolwiek napotykamy wyrażenia takie, jak np. „znajduje się od nas na odległości" (str. 9 i 27), zam. w odległości; „liczba ta jest blizką do jedności" (str. 15), zam. blizka jedności; „gdyby to istotnie miało miejsce" (str. 22), zam. gdyby to było, gdyby się odbywało; „obrót kończył się w czasie mniej więcej około" (str. 26) (pleonazm); „było powiedziane" (str. 31), zam. powiedziano, powiedzieliśmy; „zawsze ląd, jako gęstszy od wody, s t a r a s i ę zapadać coraz niżej" (str. 37), lub np. zdanie, którem autor kończy swą pracę: „Te i tym podobne zagadnienia skłaniają nas do przyjęcia wyższej Potęgi Opatrzności (pleonazm), kierującej sprawami wszechświata".

M. Hn.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

Światowit, rocznik, poświęcony archeologii przeddziejowej i badaniom pierwotnej kultury polskiej i słowiańskiej, wydawany staraniem Erazma Majewskiego, tom II, r. 1900 (58 ilustracyi w tekście i XVI tablic), Warszawa, 1900, 260 str. — Wypisaliśmy przydługi tytuł wydawnictwa, tem krócej możemy wyłożyć program jego, brzmiący w streszczeniu: budzić ducha, przełamać obojętność warstw szerszych, wskazać na znaczenie i ilość skarbów archeolo-

gicznych, kryjących się u nas pod ziemią i na niej; uzupełnić, co o naszych dziejach wiemy, tem, co było przed niemi, a co przecież jest nierozerwalnie z niemi złączone; pouczać i zachęcać jednem słowem. A potrzeba tego bardzo; marnują się i giną u nas zabytki dawnej przeszłości, których potem niczem nie zastąpimy. Nim zabrzmi fatalne „po niewczasie", nim nam zarzucą, jak dzisiejszej Francyi, że zmarnowała najbogatsze pokłady i archiwa kopalne, weźmyż się do dzieła, a za przewodnika i poradnika niechaj nam służy „Światowit". Nie spieramy się o tytuł, skoro jest on tylko symboliczny; konstatujemy z zadowoleniem prawdziwem rozrost wydawnictwa w porównaniu z tomem jego pierwszym, większe bogactwo treści, większą liczbę współpracowników, liczniejsze i piękniejsze ilustracye. Bardzo nas ucieszyło, że redakcya, złożywszy wstyd fałszywy, dla oryentowania czytelników nie zawahała się podawać obszerne streszczenia prac i przemów obcych, np. Czecha L. Niederlego o ludzkości w dobie przeddziejowoj albo Virchowa zagajenie starożytniczego zjazdu lubeckiego: właśnie takich rzeczy naszej publiczności, naszym ziemianom potrzeba najwięcej; one służą do niezbędnego oryentowania się na rozległem polu. Tablice wykonane znakomicie; cena bardza przystępna (2 ruble). Życzymy gorąco najszerszego rozejścia się publikacyi tak nam blizkiej i rodzimej, mimo jej tytułu obcego.

A. Brückner.

Prace filologiczne, wydawane przez J. Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza i A. A. Kryńskiego. Z zapomogi Kasy im. Mianowskiego, Tom V, 1895 — 1899, III i 1033 str., 8°. — Długo czekaliśmy na ukończenie tomu, za to obiecuje nam redakcya na przyszłość raźniejsze tempo. Jedyne to wydawnictwo u nas, uwzględniające w najszerszym zakresie różnorakie dzieje języka polskiego, od najdawniejszych jego zabytków piśmiennych aż do dzisiejszych zjawisk, gwarowych i brukowych. Niestety, znakomity specyalista, interesujący się żywo żargonem pauprów i przekupek, prof. L. Malinowski, pilny współpracownik wydawnictwa, zmarł; dalej zeszczuplało grono pracowników przez ubytek wytrawnego znawcy dawnego języka i piśmiennictwa, prof. J. Przyborowskiego, który strzegł tak gorliwie całości zbiorów Zamoyskich; luk tych nie zapełnią rychło siły nowe. Treść nowego tomu, jak i dawniejszych, zaważy w dziejach piśmiennictwa i języka polskiego. Mamy tu przecież przedruk z unikatu najdawniejszej gry polskiej drukowanej: „Sąd Parysa" (z r. 1542), przeróbkę dramatu humanistycznego, i urywek innego, jeszcze słynniejszego dramatu szkolnego (historyi o synu marnotrawnym elbląskiego Gnapheusza); kilka tekstów drobniejszych, między innemi pieśni pobożnych i świeckich; wyłożono nam początki słownikarstwa polskiego, rękopiśmiennego (z XV) i drukowanego (z pierwszej połowy XVI wieku); początki najdawniejszej powieści polskiej (tłómaczonej) ascetycznej i rycerskiej. W recenzyach uwzględniono wydawnictwa dawnych rzerzy, nowe dzieło o Kochanowskim i t. d. Obok tego podjęła redakcya sprawę o pisowni i jej

reform i udzieliła wiele stronic przyczynkom do dziejów spółczesnych języka i gwar jego, umieściła obszerne słowniki i zbiory wyrazów miejscowych, specyalne ich objaśnienia. A ponieważ recenzent — dawniej „Zoilem” przezywany i bez ceremonii na szubienicę albo między szkorpiony wysyłany — szczypać i kąsać musi, jeśli z roli swej wypaść nie chce, więc obrzućmy redakcyę za jej zapobiegliwość i wytrwałość gradem pocisków: niechaj nam całego zeszytu zbiorem surowego materyału nie zapełnia; niechaj stanowisko swe waruje i polskich utworów Czechom na łup nie wydaje (jak np. pieśń bł. Władysława z Gielniowa); niech zwraca uwagę spółpracowników na to, że prócz pisowni i inne pierwiastki w dawnych zabytkach uwzględniać należy. Lecz dosyć tego, bo mi jeszcze powiedzą „zły to ptak, co swe gniazdo plugawi”, gdyż i ja w „Pracach” stale udział biorę. Więc bez przymówek redaktorowi, dźwigającemu z istnem zaparciem się ciężar od lat tylu — należy się szczere Bóg zapłać: ileż to materyału pierwszorzędnej wagi umieścił on, pracując wśród ciężkich warunków, w owych pięciu tomach „Prac”! Wyłącznie umiejętnego charakteru wydawnictwa — na które już tytuł wskazuje — on nie zmienił; wspierany przez Kasę im. Mianowskiego niechże dalej w żmudnej pracy wytrwa; nie szumna to praca, nie hałaśliwa, zato pożytek jej i wpływ będzie trwały.

A. Brückner.

Syndykaty i spółki rolnicze we Francyi — wydane w Krakowie w 1898 — przez Tadeusza Kudelkę — uszły naszej baczności przy wzmiance o niemieckiem wydaniu tej pracy, zrobionej w listopadowym zeszycie „Ateneum” r. b. Poprawiając mimowolną omyłkę, dodajemy, że polskie wydanie różni się od niemieckiego tylko w szczegółach. *St. P.*

Przesilenie pieniężne — **Szkic ekonomiczny** przez *St. A. Kempnera.* Warszawa, 1900, str. 58.—Gruntowna znajomość nauki ekonomii i stosunków ekonomicznych miejscowych, prawdziwy talent popularyzatorski i dobry język zalecają tę pracę p. Kempnera, jak i inne, wyszłe z pod jego pióra. Opisawszy, co to jest przesilenie ekonomiczne, autor kreśli pobieżnie historyę przesileń ekonomicznych XIX w., zastanawia się nad rozwojem handlu i przemysłu lat ostatnich i bada przyczyny obecnego przesilenia, tak ogólne, jak i miejscowe, nasze warszawskie; zdaniem jego przesilenie to „było wyłącznym skutkiem dysproporcyi pomiędzy warunkami obiegu pieniędzy i organizacyi kredytowej a wydatnym rozwojem przemysłu i handlu”. *St. P.*

Jan Sten. **Jeden miesiąc życia.** — **Hamlet.** — **Przysięgły.** — **Spotkanie.** — **W pełnem słońcu.** — **Pierwszy wiersz.** — **Trzy dusze**, Kraków, Gebethner i S-ka, 12°, str. 187. — O utworach tych młodocianego i nader niewytrawnego pióra niewiele mamy do powiedzenia. Należą one do beletrystyki refleksyjnej, która od czasu „Bez dogmatu” i „Śmierci” weszła w modę i w piśmiennictwie naszem i w społeczeństwie. W swoim czasie, wkrótce po ukazaniu się „Bez dogmatu” nie było ucznia piątej, a nawet czwartej klasy,

któryby nie spisywał swego „pamiętnika”, i każdemu zdawało się, że jest Płoszowskim w swej okrutnej samowiedzy; na wszystkich wieczorkach tańcujących dla młodzieży, zebraniach imieninowych, lekcyach tańca i t. p. zaroiło się od hamleciątek z pseudo-bolesnem złamaniem w duszy, z zatapiającym szpony w jaźń duchową wampirem samokrytycyzmu, modelowanym z tektury, a to wszystko — ku wzbudzeniu podziwu i współczucia w sercach pensyonarskich. Bohaterowie niniejszych nowelek w taki sam sposób kokietują czytelnika. Oto jeden: student — Polak w Paryżu, zamiast się uczyć i pracować, nie ma nic lepszego do roboty, jak zakochać się w narzeczonej kolegi, również studentce, nie, żeby uczuł względem niej jakieś głębsze uczucie lub gwałtowniejszą namiętność, lecz tak, poprostu — naprzekór, bo czuje, że, gdyby ją narzeczony porzucił, i jemu stałaby się najzupełniej obojętną; po kilkakrotnem błąkaniu się przez noc całą po ulicach Paryża, wpatrywaniu się w nurty Sekwany, recytowaniu frazesów prozą i wierszem (a jakże!), kilkakrotnem zanurzaniu się w odmęt cynicznej rozpusty, po milionie znaków zapytania, kropek, wykrzykników i t. d. i t. d.— cały aparat „refleksyi”, niezbędny, jak Apollo i Muzy w odach pseudoklasycznych—dowiedziawszy się, że ślub kolegi przyśpieszony, wykrzykuje: „czy rozumiesz, ty podła, trupia masko!?” („Jeden miesiąc życia”). I tyle!... Oto drugi, poważniejszy wiekiem i urzędem, dyrektor przędzalni w Pabianicach, mąż żonie, ojciec dzieciom i t. p.; pewnego pięknego poranku przychodzi mu myśl do głowy, by włożyć rewolwer do ust i pocisnąć cyngiel – w samą porę przywołują go do obiadu, zaleciał go zapach barszczu z uszkami, i myśli o samobójstwie pierzchnęły bezpowrotnie. I to także „Hamlet” swojego rodzaju. („Hamlet”). Oto trzeci o delikatnem sumieniu i czułych nerwach: jako przysięgły, skazał na śmierć młodego matkobójcę, i odtąd myśl, iż postąpił niesprawiedliwie, ściga go nieodstępnie, powoduje gorączkę, halucynacye i t. d., a wreszcie końcowy okrzyk, po wyjściu z choroby: „Jak będę żył?...” („Przysięgły”). Jest czwarty, zdolny niegdyś literat, pędzący życie w rozpasaniu zmysłów i zgniliźnie moralnej („Spotkanie”), jest piąty... Ale dość tego. Nie będziemy karcili autora ze świętą zgrozą oburzenia: refleksya Hamletów i Płoszowskich, zbyt daleko zachodząc w rdzeń i w mózg społeczeństwa, może się stać pierwiastkiem rozkładowym, niszczycielskim, ale „refleksyjka” p. Stena nikomu zaszkodzić nie zdoła.

H. G.



Stosław Łagune.*)

(Wspomnienie pośmiertne).

Społeczeństwo polskie straciło w Stosławie Łagunie jednego z najznakomitszych swych obywateli. Posiadał on prawo do tej nazwy nie tylko przez wyjątkową erudycyę, która zadziwiała jego kolegów historyków i z którą, według Adolfa Pawińskiego, nikt z nich mierzyć się nie mógł, lecz nadewszystko przez dary ducha i serca, które go nad poziom przeciętny wysoko wynosiły.

---

[1]) Łaguna urodził się w r. 1833 w Sandomierzu. Uniwersytet w Petersburgu ukończył w r. 1855; w r. 1859 został profesorem tegoż uniwersytetu. Lata od roku 1861 do 1863 spędził w Warszawie, gdzie był sędzią trybunału cywilnego; poczem lat kilkanaście przebywał poza krajem. Od r. 1875 stale mieszkał w Warszawie od samego początku (r. 1876) „Ateneum“ aż do śmierci był członkiem redakcyi tego miesięcznika. Do ważniejszysh jego prac należą: „Kilka uwag nad wywodem historycznym niektórych artykułów statutu wiślickiego“, „Hanza nad Dźwiną w XIII w.“, „O prawie granicznem polskiem“, „Dwie elekcye“ i szereg sprawozdań: „Tablica paschalna Lubińska“, „Nowa hypoteza o pochodzeniu szlachty polskiej“, „Pierwsze wieki Kościoła polskiego“, „Miniatura z XVI w.“, „Rodowód Piastów“, „Romuald Hube“ i t. d.

Łaguna był stoikiem wśród naszego współczesnego świata. Nie był on wszakże z tych, których widzimy u Krasińskiego: „Gdzieniegdzie obłąkane stoików cienie i kilka słów Marka Aureliusza wśród powszechnego jęku boleści". Stoicy starożytnego, rzymskiego i greckiego, świata, kiedy wszystko waliło się dokoła, kiedy zabrakło bohaterów wielkich czynów i wyznawców wielkich cnót, myśleli tylko o ocaleniu swojej godności ludzkiej i zostawali wierni do końca swoim zasadom moralnym i swoim wyobrażeniom filozoficznym. W większości zwątpili, ażeby z tego strasznego i powikłanego zamętu systemów i religii, cynizmu i przewrotności, okrucieństwa cezarów i pochlebstwa senatorów, rozwiązłości kobiet i przedajności ich braci, ażeby z tego opłakanego odmętu można było uratować sławę i potęgę wiecznego miasta, przywrócić gasnący urok imieniu rzymskiemu. Ci duchowi patrycyusze starożytności, którzy o wszystkiem zwątpili i żadnych już nie posiadali złudzeń ani w królestwie doczesnem, ani w królestwie wiekuistem, nabywali umiejętności umierania z dumą, godnością i pogardą dla spodlonego otoczenia. Spotykali śmierć lub sami wychodzili na jej spotkanie, wyniośli i obojętni.

Stoik, którego zwłoki garstka inteligencyi warszawskiej odprowadziła 1 maja na cmentarz Powązkowski, różnił się od myślicieli Aten i Rzymu o całą skalę pojęć i przekonań, jakie się stały udziałem człowieka nowoczesnego. Był wszakże stoikiem z ducha i z hartu, ze spokoju, jaki zachowywał wobec powierzchownego i próżnego świata, z teoryi i poglądów moralnych, wyznawanych z nieugiętą logiką, z rozumu i sumienia, które stanowiło dla niego jedyne kryteryum.

Stosław Łaguna był potężną i znakomitą inteligencyą polityczną. Ogarnia wielki żal, kiedy się pomyśli, jak wielki kapitał wiedzy, rozwagi, doświadczenia, przenikliwości i przezorności zabrał z sobą do grobu ten szlachetny człowiek. Ogarnia żal nas wszystkich, którzyśmy go znali, cenili i szanowali, żeśmy nie zabierali tych skarbów więcej na swoją i ogólną korzyść. Łaguna należał do tych szczodrych bogaczów, którzy hojną ręką sypali świetne myśli i mądre spostrzeżenia, którzy, obdarzeni zarówno wielkim rozsądkiem wrodzonym, jak i wiedzą nabytą, potrafili każde, zdawało się, położenie oświetlić z jego strony ważnej i właściwej. W tej cichej i nieznanej postaci, pędzącej życie ustronne i samotne, krył się prawdziwy mędrzec, głęboki czciciel prawdy, który nigdy ust swoich ani swego pióra nie splamił pochlebstwem, człowiek niezachwianej odwagi cywilnej, niepodległego naukowego i moralnego sądu, dobry

towarzysz i najuczynniejszy kolega. To też w chwilach bolesnych i wątpliwych, kiedy umysł znalazł się w niepewności, a serce w obawie — na co życie każdego czującego i myślącego człowieka bywa wystawiane — dobrze się było znaleźć w zawalonym literalnie papierami, książkami, rękopismami i starymi aktami pokoju Łaguny; niewymownie dobrze czułeś się w obcowaniu z tem sumieniem wielkiem i czystem, z tym rozumem rozległym i wytrawnym, który pod względem erudycyi, trafności i bystrości należał do najpierwszych umysłów swojej epoki.

Tam cię otoczyły wszystkie prawdy i wszystkie nauki historyi narodów, tam poznałeś, jak ta umiejętność jest mądrą i wspaniałą, słuchałeś jej wyroków bezstronnych i sprawiedliwych, tam czułeś, że żadna inna nie jednoczy tak ściśle człowieka z jego rodzajem i cywilizacyą, z łańcuchami pokoleń minionych i z mglistemi przeczuciami przyszłości, jak historya.

Byłoby wszakże wielkim błędem wyobrażać sobie Łagunę, jako erudytę, pogrążonego tylko w badaniach przeszłości. Przeciwnie, człowiek współczesny, żyjący górującymi prądami i uczuciami swego czasu, równoważył się w nim z uczonym i dziejopisem. W Łagunie dobro społeczne było pierwszym artykułem jego wiary, pierwszem uczuciem jego serca. Z tego wynika, że nieboszczyk nie był doktrynerem, że mozolne studya nad ubiegłymi wiekami nie wyziębiły w nim wrażeń dnia bieżącego. Był to człowiek o trzeźwej głowie i gorącem jednocześnie sercu.

Ponieważ nazwałem Łagunę znakomitą inteligencyą polityczną, więc moglibyście zapytać, na czem ta inteligencya polegała, jakie były jej rysy główne i cechy znamienne? W swoich rozumowaniach i wywodach politycznych Łaguna dochodził do wniosków ostrożnie, systematycznie, z nadzwyczajną jasnością i kategorycznością sądów. Pierwszą cechą jego inteligencyi był krytycyzm, zawsze czujny, zawsze uzbrojony, zawsze do odparcia fałszu lub ignorancyi gotowy. Ta jego właściwość w połączeniu z nieugaszoną żądzą prawdy sprawiały, że każda karta Łaguny, jak się trafnie wyraził p. Korzon w mowie pogrzebowej, zawierała w sobie objawienie naukowe, lecz jednocześnie, jak to zobaczymy później, stanowiła i wadę inteligencyi, która do tego stopnia skrępowała się swoim krytycyzmem, swoją nadzwyczajną erudycyą i ostrożnością słowa, że nie chciała i nie mogła rozwinąć skrzydeł śmiałego lotu nad przestrzeniami wieków i czasów. Jego rozprawy są to filary z kamienia, które podtrzymywać będą długo wiązania w wielu budowach histo-

rycznych, ale on zajęty, ciosaniem oddzielnych brył granitu i marmuru, nie tylko z umiejętnością, lecz i z najsubtelniejszym artyzmem, czego świetny przykład zostawił nam w „Dwu elekcyach”, tej wytwornej perle literatury historycznej, nie mógł wznosić wielkich pod względem objętości gmachów i pomników. Był zato najdoskonalszym i najsumienniejszym może między monografistami, najgruntowniejszym między politykami.

Jeżeli zważymy, że obok pierwszorzędnego historyka i prawnika był w nim jeszcze człowiek, obeznany wybornie i dokładnie z całą machiną prawodawczą i administracyjną państwa, znający ściśle atrybucye władz i instytucyi, tradycye i zwyczaje, jakie posiadają urzędnicy i dygnitarze, technikę biurową i biurokratyczną, świadomość dróg, jakiemi interes publiczny idzie lub iść powinien, ażeby dotrzeć do celu, ażeby przejść stopnie hierarchii, jeżeli zważymy, że ten krytyczny i tak przygotowany umysł Łaguny umiał dojrzeć każdą sprawę, każde dążenie i projekt w formie, do urzeczywistnienia możliwej lub niemożliwej, to nie pozostanie żadnej wątpliwości, jaki pożytek wynosił słuchacz z jego zawsze trafnych i gruntownych, niejednokrotnie świetnych uwag i wywodów. Zostałby pierwszym profesorem w szkole publicystów, gdyby taka istniała; kto zaś wątpi, jak byłaby pożyteczną?

Pamiętajmy zawsze, że Łaguna był nie tylko adeptem i czcicielem wiedzy, lecz jednocześnie synem i wyznawcą, jeżeli tak wyrazić się wolno, życia rzeczywistego, że to życie rzucało nim na wszystkie strony i nie szczędziło mu najcięższych swoich ciosów, że bywał na wozie i pod wozem, że doznał wszystkich gorzkich nauk swojej epoki, że doświadczył na sobie niesłusznych sądów opinii i surowych wyroków wypadków i że, jak prawdziwy stoik, nie uronił nic wśród burz i cierpień ze swojej godności ludzkiej z niezależności swego umysłu i przekonania swego sumienia. Pozostał czystym i niezachwianym, dumnym i skromnym jednocześnie, wykonawcą i głosicielem obowiązku do ostatniej chwili życia.

Rozmowy z nim były jednocześnie naukami, z których płynęły myśli zarówno zdrowe, jak moralne, zarówno wzniosłe, jak pożyteczne. Mam odwagę napisania, że z ludzi mi znanych nie znałem drugiego tak pod względem politycznym wyrobionego i wykształconego, jak Łaguna.

Z każdego uczucia, z każdego wrażenia, z każdego prądu, z każdego programu eliminował on wszystko, co sztuczne, chwilowe, fałszywe, nienaturalne lub do osiągnięcia niepodobne. Zostawały tylko pierwiastki czyste, trwałe, istotne i to, co w danej chwili do

zrealizowania się nadawało. Łaguna był mistrzem nieporównanym w tej redukcyi. Uzbrojony w swoją dyalektykę, w erudycyę i znakomite doświadczenie, wielkie poszanowanie dla prawdy dziejowej oraz dla uczuć dnia bieżącego, oblewał jednych zimną wodą, przekonywał drugich swoją żelazną argumentacyą, umiał nareszcie i szydzić— choć rzadko tej broni używał— z poziomego pojmowania rzeczy u trzecich. Wychodziło się od niego silniejszym, zasobniejszym w nowe pojęcia i w nowe fakta. W tych rozmowach niepostrzeżenie zrazu dla słuchacza odkrywał nowe światy zjawisk i grupował je w zadziwiająco trafnych i prawidłowych proporcyach. Mówił długo, rozgrzewając się w miarę napływu myśli. Całe bogactwo tego umysłu i wszystkie dary jego obserwacyi wylewały się wtedy i szukały dla siebie upływu, nie znajdując go w produkcyach pióra, ponieważ pisał, jak wiadomo, mało.

Kto tego pragnął, mógł się był nauczyć od Łaguny umiejętności argumentowania trafnego i nadewszystko sumiennego. Czytajcie jego rozprawy i sprawozdania, a przekonacie się, że niema tam ani jednego zdania niepotrzebnego, jednego faktu niesprawdzonego, jednego wrażenia niesprawdzonego. Tak samo postępował Łaguna i w swoich dyskusyach: był wzorem wyjątkowej sumienności i oględności, krytycyzmu i rozwagi. Gmach jego rozumowań wznosił się zawsze bardzo powoli, każda cegła i cegiełka, używana do budowy, była starannie dobieraną, ażeby pasowała do innych; budowniczy przekonywał się o wartości materyału, baczył, czy ten potrafi się oprzeć wpływom czasu i klimatu, czy ściany nie porysują się lub fundamenta nie zachwieją. Przy takich właściwościach umysłu, nic dziwnego, że Łaguna nigdy nie zdążył dokończyć i wykończyć swego rozumowania, że, jak przypuszczają wtajemniczeni, zostało wśród notat i rękopisów wiele fragmentów świetnych, wiele traktatów rozpoczętych, lecz, prawdopodobnie, nie doprowadzonych do końca.

Łaguna zarówno w mowie, jak piśmie, wystrzegał się zawsze dalekich lub mglistych hypotez, kiełzał porywy wyobraźni i wrażliwości, zakładał natychmiast hamulce na swoje i cudze uczucia i namiętności, ilekroć spostrzegł, że te rwą się naprzód lub też bryzgają fałszem i nieświadomością. Uczucie sprawiedliwości górowało w sumieniu tego człowieka — był to niezłamany jej sługa i wyznawca: przez nią, jak mało kto, wzniósł się do pojęcia prawdziwej cywilizacyi, do wysokiego stopnia godności ludzkiej. W czasach namiętnych i zaślepionych, kiedy interesy osobiste lub stronnicze idą przed interesami całości, kiedy wszyscy się ćwiczą lub są ćwiczeni

w instynktach samolubnych, tacy, jak Łaguna, o ileby posiadali odpowiedni wpływ na opinię publiczną, stanowiliby trybunał o nieskalanej bezstronności i słuszności.

Jeżeli więc zważymy teraz razem te cechy, kwalifikacye i uczucia, które stanowiły moralną istotę Łaguny, tę powściągliwość i rozwagę w sądach, tę posuniętą do krańca sumienną metodę rozumowania, to staranne i dziwnie przenikliwe dobieranie argumentów, te hamulce, nakładane na wrażliwość i uniesienia, to unikanie dalekich hypotez: to zrozumiemy jasno, że Łaguna był jednym z tych rzadkich ludzi, którzy umieją zasilać i zapładniać inne inteligencye, regulować opinie i tępić przesądy w drugich, — słowem działać raczej pośrednio, niż bezpośrednio, więcej zapomocą innych, niż przez samego siebie. Te cechy i kwalifikacye czyniły zmarłego wybornym doradcą, wybornem źródłem informacyi historycznych, społecznych i politycznych, które nie zawodziło nigdy, czyniły go lub mogły uczynić przy okolicznościach tym prawdziwym i mądrym mężem rady w najtrudniejszych zagadnieniach, lecz uczynić go nie mogły płodnym i śmiałym pisarzem, historykiem, który miewa widzenia, u którego wizye wyobraźni idą równolegle z badaniami umiejętnemi. Łaguna był typowym człowiekiem rozwagi. „Niewielu jest takich, co mają rozwagę, a zarazem do czynu są zdatni. Rozwaga rozszerza — ale hamuje; czyn ożywia — ale ogranicza" (Goethe). Otóż zmarły historyk nie mógł zostać człowiekiem czynu w ściślejszem znaczeniu wyrazu; najpierw dla tych psychologicznych składników jego temperamentu, któreśmy rozpatrywali i które wszelki jego zapęd bezustannie powstrzymywały i powściągały, powtóre zaś tajemnica leżała, zapewne, jeszcze w głębi duszy tego niepospolitego człowieka, w tej duszy, której dźwięczna struna, brzmiąca radością i hymnem życia, została, zdaje się, dawno już strzaskaną. Łaguna ani nie lubił, ani nie czynił przed nikim wyznań. Jego osobiste uczucia i wspomnienia, marzenia jego młodości i uniesienia jego serca były zamknięte szczelnie przed wszystkimi na siedem pieczęci. Nikt o nich nie wiedział, ponieważ nieboszczyk uchylał się od pytań. Adolf Pawiński wyraził się, pamiętam, że, gdyby koszula Łaguny wiedziała o tem, co on zamierza pisać lub czynić, toby ją spalił bez wahania. Pomimo niechęci wszakże i odrazy, jaką miał dla wszelkich wyznań osobistych i wszelkiego nawet subjektywizmu, pomimo, że objektywizm był jego ideałem, że był to pod wielu względami czysty rozum w pojęciu Kanta,—bliższy spostrzegacz dojrzał tam serce czułe i ciepłe, które umiało płakać łzami uczuć gorących i delikatnych, głęboko

i przenikliwie odczuwać bóle i potrzeby otoczenia, które umiało prawdziwie kochać, lecz wystrzegało się marzeń. Otóż żywotna struna tego serca zostać musiała niegdyś strzaskaną. Odczuwało się już to w goryczy, która, choć tamowana, przesiąkała niektóre poglądy, w tajonych drgnieniach bólu, w tem bezustannem krępowaniu polotu duszy, ilekroć wzbijała się wysoko, w rozmaitych wątpliwościach nareszcie, choć Łaguna nigdy nie wątpił w to, co trwałe i wiekuiste, co żyje i zginąć nie może.

Ale ta pęknięta struna, ta niezagojona rana w duszy sprawiała, że Łaguna był tym siłaczem, który kiedyś naderwał sobie muskuły, tym orłem o skrzydle zwichniętem, który już nigdy nie płynie w przestrzeni śmiałym i zuchwałym lotem. U ludzi złamanych lub nadłamanych następuje atrofia jednych organów, zwężenie i ograniczenie funkcyi drugich. Wtedy tytani stają się połowicznemi istnieniami, dalekowidze — krótkowidzami, kurczą się wyobraźnie, drętwieją uczucia, słabnie napięcie wrażliwości i przyćmiewa się blask myśli. Jeżeli pomimo to pozostanie duch silny i czysty, którego ciosy nie zwaliły i nie poniżyły, chociaż go osłabiły, jeżeli pozostanie hart myśli i energia czynów, zdolność przyswajania sobie nowych wrażeń, wyobrażeń i poznawania powstających bezustannie stosunków i ewolucyjnych, to i wtedy jeszcze takie ograniczone i zwężone istnienie staje się szlachetnem, budującem i pożytecznem. Przykład taki posiadaliśmy w Łagunie.

Człowiek ten wyjątkową był także obdarzony skromnością, jeżeli ostatni wyraz może wogóle oddać trafnie tę powagę charakteru i zupełne opanowanie ambicyi osobistej, to staranne unikanie najmniejszego choćby rozgłosu i ukrywanie swego cennego nazwiska pod rozmaitymi znakami, to usilne niwelowanie swojej indywidualności i poddawanie jej pod ogólne prawa i obowiązki, z pod których nikomu w przekonaniu zmarłego wyłamywać się nie było wolno. I znów pod tym względem był on osobistością wybitną, prawdopodobnie niespotykaną. W naszej epoce mówiło się i mówi bardzo wiele o przywilejach talentu, o szczególnych prawach dla indywiduów silnych lub za silne uchodzących; pod skrzydła tego przywileju chronią się ze swoją rozdętą, jak pęcherz, miłością własną rozmaite mniejsze i małe kreacye i kreatury, poezye i sztuki, głęboko przekonane, że niosą światu nowe prawdy i nowe słowa, nieznaną moc i objawienia tajemne.

Im mniej prawdy i szczerego natchnienia, im mniej człowieczeństwa i poczucia nieśmiertelności, tem mniej umiłowania tra-

dycyi świętych i marzeń podniosłych, tem więcej próżności i pustej dumy, tem więcej wybryków ekscentrycznych i jaskrawych.

Łaguna był nieubłaganym przeciwnikiem wszelkich pozorów błyskotliwych, za którymi ukrywa się próżnia i próżność, wszelkich wyjątków, jakie warują dla siebie chorobą wielkości dotknięci adepci muz.

Przechodziliśmy i przechodzimy jeszcze paroksyzm indywidualizmu. Indywidualiści są przednią strażą rozwoju: dźwigają oni cały ciężar przesądów społecznych i konwencyonalnych, obłudy rodzinnej i towarzyskiej. Od młodości już, od pierwszych przebłysków samowiedzy, rozpoczynają zaciętą walkę z otoczeniem w rodzinie, w towarzystwie, w moralności, w poezyi, myśli i sztuce,—wszędzie. Na nieszczęście pod sztandar indywidualizmu, pod jego przywileje, uzasadnione czy nie uzasadnione, chronią się, jak widzieliśmy, różnorodne istnienia o wielkiej próżności a małem sercu, napół psychopatyczne i napół wykolejone, bez istotnej świadomości przeznaczeń ludzi i narodów. Dusze i wyobraźnie prawdziwie wielkie i niezależne, Sokrates i Plato, Dante i Michał Anioł, Szyller i Mickiewicz, Matejko i Tołstoj, tworząc, działając i nauczając, mówili zawsze więcej o swoich obowiązkach, niż o swoich przywilejach, więcej o poświęceniu, niż o używaniu. To też, ilekroć obcujemy z nimi, jesteśmy lepsi, czystsi i wyżsi może, wychodzimy od nich z otuchą, i pokrzepieniem. Łaguna był zdecydowanym przeciwnikiem tych indywidualistów w karykaturze, którzy stanowią smutne widowisko naszych czasów, którzy je napełniają swoimi swarami i frazesami, którzyby radzi pozować na półbogów, a nie dorastają miary zwykłego, moralnie uświadomionego człowieka; był przeciwnikiem tej hałaśliwej trąby, obwieszczającej sławę fałszerzy słowa publicznego-artystów i aktorów, śpiewaków i śpiewaczek, tych krytyków, co z niewolniczym wyrazem wznoszą oczy na scenę, jak wierni na proroka, co zarażają publiczność swojem poniżającem bałwochwalstwem i wyciskają piętno płaskiego kabotynizmu na życiu artystycznem.

Krytyczny i niezachwiany wyznawca obowiązku i równości obywatelskiej, Łaguna od wszystkich takiej świadomości wymagał i dla wszystkich był jednakowy. Nie lubił i nie używał frazeologii demokratycznej, wyznając zasadę, że prawdziwy demokrata postępowaniem, a nie słowem, przekonania swoje manifestuje. „Dla mnie ten jest demokratą — mówił Łaguna — kto się tak zachowuje, jakby arystokracyi i plutokracyi wcale nie było na świecie.” On istotnie dla wszystkich był równy: nie imponowało mu ani bogactwo, ani sława, ani urodzenie, ani inne różnice, przez ludzi i wśród ludzi

wytworzone. Łaguna potrafił być jednakim w obejściu z możnowładcą i księciem, z biedakiem i prostakiem: nikogo nie traktował z tą sztuczną wyższością lub arrogancyą, tak w naszych czasach pospolitą, i z drugiej strony nikomu bezwzględnie nie schlebiał i nie nadskakiwał. Uczucie nizkiej pokory i uczucie marnej próżności były zupełnie obce temu stoikowi, który niezależność sumienia i samoistność umysłu umiał podnieść do możliwie, wysokiego w stosunkach ludzkich poziomu.

Demokratyzm, to hasło 1789 roku, uległo w ciągu stulecia, któreśmy przeżyli, wielorakim zboczeniom, a nawet zaprzeczeniom. Wtedy z wyobrażenia rozwojowego i humanitarnego stawało się ciasnem i karykaturalnem. Po demokracie przyszedł parweniusz chciwy i nienasycony, klękający przed siłą pieniężną i materyalną, butny i arrogancki ze słabszymi, przebiegły i uniżony z silnymi, nienawidzący przeszłości, która miała i swoje świetne tradycye, nienawidzący szlachectwa, w którem niegdyś dojrzało uczucie honoru i poświęcenia. Parweniusz jest bezwzględnym wytworem walki o byt, wszystkich jej instynktów nizkich i drapieżnych, czcicielem faktów dokonanych, świadomym lub bezwiednym nieprzyjacielem wszystkiego, co dalekie i idealne, co już minęło lub rysuje się dopiero w mgłach przyszłości. Jako taki, nie pojmuje i nie odczuwa uroków i skarbów tradycyi, które się stały dobytkiem całej ludzkości, wszystkich jej warstw i stanów, bez różnicy pochodzenia i urodzenia. Parweniusz, jeżeli instynktów i namiętności swych skrywać nie potrzebuje, zdradza się z zaciekłą nienawiścią do przeszłości, ponieważ nie lubi uznawać czegokolwiek, co nie jest bezpośredniem, co siłę swoją czerpie w jakichś źródłach mu nieznanych, niezapisanych, ani w obrotach giełdowych, ani w bilansach handlowych.

Demokrata, godny tej nazwy, rozumie, że szlachectwo dziś jeszcze jest ważnym pierwiastkiem moralnym, że jest prawdziwem przeciwstawieniem dążącego do nieograniczonego panowania parweniuszostwa, że, „jeśli ktoś jest rzeczywistym szlachcicem — jak trafnie mówi W. Lutosławski w swojej broszurze „O wychowaniu"— w najlepszem tego słowa znaczeniu, widzi w chłopach swych ukochanych młodszych braci, widzi swój obowiązek w pomaganiu im, upatruje hańbę w wyzyskiwaniu ich."

Demokratyzm i parweniuszostwo to dwie antytezy, które w życiu wikłają się często ze sobą, choć z odmiennych źródeł płyną i do wręcz przeciwnych celów zmierzają. Demokratyzm jest pojęciem rozwojowem; parweniuszostwo jest faktem wstecznym; demo-

krata zajmuje stanowisko szerokiej tolerancyi, uwzględnia historyczne czynniki bytu i jest wyobrazicielem przemiany, jako źródła i syntezy zjawisk; parweniusz jest bałwochwalcą faktów dokonanych i służalcem każdej reakcyi. Pochodzenie nie gra tu, oczywiście, najmniejszej roli: prawdziwych demokratów znajdujemy zarówno wśród synów ludu, jak wśród potomków bohaterów wojen krzyżowych, i naodwrót — epoka nasza roi się od parweniuszów, rekrutujących się zarówno w świecie tytułów i tradycyi feudalnych, jak i wśród wczoraj zaledwie wyrosłych z pod ziemi lichwiarzy, zuchwałych zdobywców złota.

Dziś, kreśląc tu wizerunek psychologiczny Łaguny, nie mogę i pod tym względem powstrzymać się od wyrażenia, że była to jedna z rzadkich postaci obdarzonych wielką godnością ludzką, że był to obywatel prawdziwie demokratycznych aspiracyi, nie czyniący ustępstw ani demagogicznym namiętnościom tłumu, ani wyłącznym popędom chciwej oligarchii współczesnej; nie mogę nareszcie nie wyrazić szczerego żalu, że ten człowiek, tak niepodobny do innych, a tak rozległej skali, spędził życie w samotności, nie wydając z siebie i w dziesiątej części tych owoców, nie spełniając tego przeznaczenia, do jakiego było powołane jego hartowne sumienie oraz rozum, wytrawny i daleko w swych przewidywaniach sięgający. Zapewne, moglibyście zapytać, dlaczego ten człowiek tak wielkiej treści, tak rozległej nauki i tak silnego charakteru, takiej miłości społeczeństwa i takiego przywiązania do prawdy, nie oddał tych wszystkich darów swego ducha ogółowi, nie odegrał, mówiąc inaczej, roli, właściwej jego zdolnościom i zaletom?

Odpowiedź wymagałaby rozważenia wielu czynników psychicznych i zewnętrznych, odgadywania wielu tajemnic, które zmarły zabrał z sobą do grobu. Zauważę więc, że Łaguna stanowił zupełny kontrast ze światem otaczającym. Ten człowiek, zamknięty i nigdy nie mówiący o sobie, biorący każdy fakt życia zbiorowego poważnie i bezstronnie, stawiający słuszność ponad inne względy, gotowy zawsze do wzięcia w obronę przeciwnika i wygłoszenia gorzkiej prawdy przyjacielowi, druzgoczący niemiłosiernie swoją wiedzą i swoją dyalektyką wszystkie pozory, niezdolny do zawierania kompromisów z sumieniem, obdarzony naturą, która nie pozwalała zaszczepić sobie kłamstw konwencyonalnych,—był pod wielu względami anachronizmem wśród swojej powierzchownej i nerwowej epoki, pustej i błyskotliwej, w ciągłej pogoni za uciechą i operetkowem wrażeniem z jednej, oraz pogrążonej w bezwzględnej walce o byt—z drugiej strony. Łagu-

na mógł był zostać dobrym duchem jakiejś korporacyi naukowej lub sądowej, mógł około swej katedry gromadzić słuchaczy prawdy i wiedzy, wsłuchujących się w jego wywody, nadzwyczajnie ścisłe i umiejętne, gdzie każdy argument oparty był na fundamencie faktów, skąd improwizowanie i dowolność zostały wygnane bez miłosierdzia, gdzie każde słowo było zważone i każdy sąd z umiejętną trafnością umotywowany. Łaguna obawiał się przesady i, jak starożytni Grecy szukali miary w posągach i poematach, w budowie świątyń i w budowie tragedyi, w kształtach plastycznych i uczuciach moralnych, tej miary wytwornej i harmonijnej, która była ich ideałem i została po nich spuścizną, — tak on szukał prawdy i eliminował ją, jak już widzieliśmy, z pośród namiętności i efektów jaskrawych, z pośród fałszów, nagromadzonych przez ludzi i dzieje. Pod tym względem był on umysłem istotnie klasycznym. Mistrzowski dowód tego złożył już we wzmiankowanych „Dwu elekcyach", przy których czytaniu trudno się oprzeć żalowi, że autor nie napisał choćby jednego tomu z taką plastyką i jasnością, wdziękiem i smakiem.

Gdybyśmy wyobrazić sobie mogli społeczeństwo cnotliwe, czyste i rozumne, oddane pracy i prawdzie, poszukujące rozwiązania zagadek społecznych i historycznych, gdzie namiętności powściągałby rozsądek i gdzie walka z fałszem stanowiłaby jedno z głównych zadań obywatela i myśliciela, to wtedy ujrzelibyśmy, zapewne, Łagunę wśród archontów, wśród umysłowej starszyzny, przewodniczącego obradom i dyskusyom z niezachwianą równowagą, wzbudzającego szacunek wszystkich.

W innej wszelako epoce i w innej atmosferze żył Łaguna. Cywilizacya europejska w drugiej połowie XIX-go stulecia, tak hałaśliwa, niesforna i powikłana, mało mogła dać miejsca tym mężom rozważnym i sprawiedliwym, tym cichym i głębokim wyznawcom prawdy, dla których rozgłos i popularność nie miały żadnego powabu, którzy nigdy nie schlebiali ani wpływowym jednostkom, ani potężnemu tłumowi i pozostali do końca cisi, nieznani i samotni, zawsze prawi w głębi swego sumienia, zawsze niezachwiani w swoich przekonaniach. Takim był Łaguna. Napół stoik, napół ewangelista, żywił on dla świata bez porównania więcej miłości i pobłażania, niż pogardy, lecz w jego płytkie odmęty rzucać się nie umiał.

Jeżeli przypomnimy sobie jeszcze, że pękła w nim zamłodu jakaś struna czuła i głośna, i że stąd lata, w których inni zawierają najwięcej stosunków i zagrzewają się do przyszłej działalności, jemu

płynęły napół bezowocnie, to nam wyjaśni się owa nadzwyczajna jego powściągliwość, owa mała produkcyjność pisarska, owa ostrożność w nauce i polityce, owo unikanie hazardu, owo umiłowanie pewności i mała wiara w prawdopodobieństwo. Tacy ludzie nie zdobywają poklasku na arenie, nie stają się bożyszczami olśnionego na chwilę tłumu; tylko nieliczni wsłuchują się w ich głos ukryty, wydobywający się z dna sumienia szlachetnego i rozważnego. I sądzę, że tak wytłómaczyć wolno zagadkę doczesnej pielgrzymki Stosława Łaguny.

Czasy nasze pełne są poodwracanych stosunków, w których arlekini rej wodzą, podczas kiedy potężne rozsądki i czyste dusze zostają lub giną na uboczu, bez wpływu na wypadki swojej epoki, której umieliby być sumieniem i kierownikiem.

Wypada mi także wspomnieć jeszcze o Łagunie, jako o redaktorze i współredaktorze „Ateneum". Z zarysu jego poglądów i przekonań, jaki tu przedstawiłem, łatwo wnioskować, jakie Łaguna miał pojęcie o obowiązkach pisarza, redaktora i publicysty. Było to pojęcie służby obywatelskiej, przenikniętej szeroką świadomością społeczną, której poddać bezwzględnie należy wszelkie kaprysy i wszelkie widoki osobiste. Z tego stanowiska rozpatrywał Łaguna każdą pracę, każdą powieść, studyum i artykuł.

Uchylając czoła przed wypróbowanemi w dobrej i złej doli przekonaniami Łaguny, przed jego głębokiem kryteryum, wyznając, że mógł był on zostać doskonałym konsultantem każdego pisma, zastrzedz wszakże muszę, że dla indywidualności pisarskiej, dla pojmowania i odczuwania rzeczy śmiałego i bezpośredniego nieustający krytycyzm Łaguny stanowił duży szkopuł. O pisarzu rozstrzyga oryginalność jego poglądów i rozmaitość jego wrażeń, ciepło jego serca i paradoksalność jego umysłu, natchnienie i rozrzewnienie, myśl i uczucie.

Łaguna dążył do zajęcia w każdej sprawie stanowiska objektywnego i bezstronnego, wyniesionego ponad sympatye i antypatye, ponad poczucia i skłonności piszącego, stanowiska, które przerastało nieraz siły śmiertelnika. Dlatego kładł tłumik na strunach autorów, powściągał ton żywszy i silniejszy, hamował wybuch temperamentu. Tymczasem pisarz, krytyk i estetyk zależy w silnym stopniu od swoich wrażeń. Jeżeli zbyt mocno skrępujemy jego sądy i poglądy, jeżeli zetrzemy barwę z jego wyrażeń, to studyum lub artykuł zyskać może na powadze, lecz straci na żywości słowa i myśli, na tem, co chwyta za serce.

Łaguna był nie tylko historykiem i statystą, lecz świetnym

także znawcą i tłómaczem prawa. Żyły w nim najlepsze tradycye palestry. Rozumowania jego posiadały ścisłość i jasność kodeksu napoleońskiego. Tych zalet pragnął i w artykułach; nie znajdując ich, wstawiał i zalecał całe szeregi poprawek, niezawodnie cennych i pożytecznych, które jednak w artykułach krytycznych i estetycznych, jako z innych motywów wypływających, w indywidualnym temperamencie autora zrodzonych, często nie znajdowały zastosowania i obcinały polot wyobrażeń. Każda praca drukowana, według Łaguny, powinna posiadać motywy, na których swoje opinie opiera, zarówno słuszne i dokładne, jak wyrok sądowy; do końca życia był w nim też zawsze sędzia, profesor prawa, i członek trybunału, który wyrokuje po długiem i mozolnem badaniu sprawy. Łaguna posiadał znakomite kwalifikacye na redaktora projektów prawodawczych, które już wymieniłem: pierwszorzędna znajomość prawa i obyczajów społecznych, wielka rozwaga nabyta i wrodzona, rzadkie wykształcenie polityczne w połączeniu ze zrozumieniem mechanizmu państwowego i pojęcie praw, rządzących dziejami i ludźmi. Ponieważ do końca także pozostał człowiekiem, który pilnie wsłuchuje się w szmer życia, więc nie imponowała mu nigdy sama przez się erudycya książkowa, jeśli jej nie towarzyszyła obserwacya praktyczna i poznawanie bytu w bezpośrednich jego objawach. Łaguna, historyk i profesor, prawnik i sędzia, badacz starych akt oraz świadek i aktor dramatów żywych i bolesnych, nie znajdował na posterunku redakcyjnem dostatecznego odpływu dla swojej olbrzymiej erudycyi i swojej wymowy; dlatego współpracowników „Ateneum" i ich prace zasypywał swoją krytyką i uwagami gruntownemi, które jednak przekraczały niejednokrotnie dany zakres lub niwelowały styl.

Uczyniwszy to zastrzeżenie w poczuciu prawdy i uzupełniwszy jednym rysem sylwetkę zmarłego, nie potrzebuję po tem, co już napisałem, dłużej rozwodzić się, jak wielki pożytek przynosiło obcowanie z Łaguną, jako współredaktorem „Ateneum". Całą duszą był oddany temu miesięcznikowi i kochał go, jak się kocha żywą istotę. Jego uwagi krytyczne mogły na razie nie przypadać do smaku temu lub owemu, lecz później każdy musiał odczuć, że nie przestawał napróżno z tą inteligencyą bogatą i uporządkowaną, żyjącą wśród uczuć i myśli wyższego rzędu, tak w zasadach sprawiedliwości umocnioną, że syk zawiści lub nienawiści, fałsz i potwarz tam nie dochodziły; każdy uznać musiał, że zawdzięcza Łagunie bardzo wiele poglądów na naturę państw i społeczeństw, na zasady życia i postępowania, na metodę badania i pisania. Napisał,

jak na te czasy płodności pisarskiej, mało, lecz iluż swojem żywem i mądrem słowem obdzielił, ile powikłań rozjaśnił, ile kwestyi uprościł!

Nie wszystkie serca, niestety, zdolne są do szlachetnego uczucia wdzięczności. Łaguna nigdy i od nikogo nic nie wymagał, nikomu się nie przypominał, na ludzi nie narzekał, losowi nie złorzeczył, — ze spokojem mędrca patrzał na płynący przed nim w zmiennych barwach potok życia. Nic tak nie uczy pobłażliwości, jak nauka dziejów, stawiając przed oczyma szereg stuleci i pokoleń, które z ich uniesieniami, błędami i namiętnościami śpią w zapomnianych grobach; nic tak nie przypomina znikomości, jak ta nauka, przed którą narody, ludy i bohaterowie przeciągają w pogrzebie wiekuistym i nieustannym.

Wiedza i doświadczenie, serce i cierpienie uczyniły też Łagunę niesłychanie na słabości ludzkie wyrozumiałym.

A jednak, powtórzyć muszę, że nie wszyscy są zdolni do uczucia wdzięczności. Na pogrzebie tego historyka, obywatela i człowieka o najczystszem sumieniu i wielkim rozsądku brakowało wielu z tych, którzy przyjść byli obowiązani, którzy powinni byli złożyć hołd uznania i pamięci tej niepospolitej w naszych skromnych warunkach postaci, jakby odlanej z bronzu, o charakterze stałym i czystym, jak prawda ewangeliczna. Nie przyszli. Nie przyszło zwłaszcza wielu z młodych i młodszych, którzy niejedno Łagunie mieli do zawdzięczenia. Czyżbyśmy byli zdolni tylko do zapełnienia salonów i saloników, w wątpliwej często atmosferze uprawiających kult marnego kabotynizmu i szachrajstwa pod postacią sztuki, blagi, pod postacią piękna, lub serwilizmu pod kształtem dobra publicznego?

Nie wiem; lecz wiem, że grupy i koła społeczne, które nie wznoszą się do uznania zasługi, w których uczucia powierzchowne górują nad głębszemi i istotnemi, dla których jaskrawa i pospolita efektacya stanowi największy powab i przynętę,—takie koła czynią wrażenie, że z niemi poważnie liczyć się nie można, i źleby było, gdyby je poczytywać wypadło za kierujące i przodujące ogółowi.

Kończę moralny i umysłowy wizerunek Stosława Łaguny. Pisałem to wspomnienie pod przygnębiającem nad wyraz wrażeniem; śmierć tego człowieka, którego wysoko ceniłem i szanowałem, któremu wiele zawdzięczam i który mi był drogi przez swoje cnoty i uczucia rzadkie i wypróbowane, zostawia uczucie wielkiego żalu i nigdy nieukojonego smutku. Tacy ludzie odpływają na łódce

wieczności do niezmierzonej krainy spokoju, którego tutaj napróżno łakniemy, lecz my wsłuchujemy się w ostatnie echa ich głosu, przypominamy ich myśli, łzy i cierpienia. Winy, względem nich popełnione, lub obowiązki niewykonane rosną do rozmiarów szczególnych.

Jeżeli w tym wizerunku popełniłem błędy, jeżeli jedne rysy są niedokładne, drugie zaś opuszczone, to pochodziło to z serca. Nie pisałem wszakże panegiryka pośmiertnego, ponieważ jestem przeciwnikiem panegiryzmu i wobec żywych, i wobec umarłych.

Łaguna był szczególnie ceniony przez wszystkich przedstawicieli naszej nauki historycznej, Korzona i Smoleńskiego, Jabłonowskiego i Piekosińskiego, Pawińskiego i Chmielowskiego.

Dziejopis kompetentny zabierze niebawem głos o historycznych pracach Łaguny.

Bolesław Lutomski.



Bibliografia.

1. A. Czasopisma. **Architekta**, [miesięcznika, poświęconego archi tekturze, budownictwu i przemysłowi artystycznemu, ukazał się w druku № 1, zawierający szereg artykułów i przyczynków z historyi i teoryi budownictwa; zeszyt ozdabiają piękne illustracye.

= **Biblioteka Warszawska** (kwiecień): Szymon Askenazy „Stan i potrzeby historyografii polskiej w zakresie dziejów nowożytnych i najnowszych — Epoka Saska — Epoka porozbiorowa“, M. E. Nekanda - Trepka „Kronika Londyńska“, Henryk Struve „Charakter narodowy filozofii polskiej“, Wiktor Gomulicki „O północy, obrazek z przeszłości (poezya)“, Wojciech Szukiewicz „Apostoł piękna“, Stefan Popowski „Pogadanka artystyczna“.

= **Kwartalnika Historycznego** zeszyt I (rocznik XIV) zawiera: K. Potkańskiego „Jeszcze o Piaście (z powodu rozprawy prof. Brücknera o Piaście)“, St. Kętrzyńskiego „O rzekomej wyprawie Włodzisława Hermana na Szczecin w r. 1091“, L. Finkla „Memoryał Antoniego hr. Pergena, pierwszego gubernatora Galicyi, o stanie kraju“, „Miscellanea“ J Kallenbacha, A. Prochaski, L. Finkla.

= **Przegląd Filozoficzny** w zeszycie II roku III (1900) drukuje dr. Z. Balickiego „Hedonizm, jako punkt wyjścia etyki“, dr. W. Rubczyńskiego „Studya neopla

tońskie", dr. W. M. Kozłowskiego „Władysław Kozłowski (wspomnienie pośmiertne)".

= **Przegląd Polski** (kwiecień): Dr. Jerzy Mycielski „Van Dyck na wystawie w Antwerpii w r. 1899", Tadeusz Konczyński „Otchłań, dramat w 4-ch aktach", dr. Tadeusz Grabowski „Wiktor Hugo i jego korespondencya", Adolf Strzelecki „Karty z życia Chopina", dr. Józef Flach „Najnowszy utwór Ibsena: „Gdy my umarli obudzimy się", Stanisław Tarnowski „Floryan Ziemiałkowski, wspomnienie pośmiertne".

= **Przegląd Powszechny** (maj): M. B. „Miłościwe lato", ks. Stanisław Kobyłecki „Filozofia wolnych dusz", ks. St. Załęski „Nawrócenie się królewicza Fryderyka Augusta (1700—1720)", prof. Maurycy Straszewski „O filozofii i filozoficznych naukach", ks. Jan Pawelski „Pojęcie literackiej krytyki. Zawiązek kwestyi".

= **Przewodnik Naukowy i Literacki** (kwiecień): Dr. Bronisław Łoziński „Agenor hr. Gołuchowski w pierwszym okresie rządów swoich (1846—1859)", Dyonizy Zaleski „Korespondencya J. B. Zaleskiego", Wojciech Dzieduszycki, „Historya malarstwa na północy i w Hiszpanii", ks. Jan Sygański „Nowy Sącz w epoce Wazów", J. Snitka „Zarys pojęć o narodzie", J. Horoszkiewicz „Pamiętnik o stroju narodowym w Rzeczypospolitej Polskiej", P. Wł. Dropiowski „Hugona Kołłątaja „Porządek fizyczno-moralny", szkic historyczno-krytyczny", dr. Stanisław Kutrzeba „Szos we Lwowie w początkach XV wieku".

= **Rozpraw Akademii Umiejętności Wydziału filologicznego** tom 13, seryi II (ogólnego zbioru tom XXVIII) zawiera, „Zabytek języka polskiego z początku XVI w., z rękopisu biblioteki uniwersytetu w Erlangen" przez L. Malinowskiego, „Jan Chryzostom z Gosławic Pasek w oświetleniu archiwalnem 1667 — 1701" przez J. Czubka, „O pisowni i języku ksiąg ustaw polskich, na podstawie kodeksów Świętosławowego, Działyńskich, Dzikowskiego i Stradomskiego" przez J. Bystronia, „Bajka o Midasowych uszach, studyum z literatury ludowej" przez S. Ciszewskiego, „Apokryfy średniowieczne, część I" przez A. Brücknera.

= **Rozpraw Akademii Umiejętności Wydziału matematyczno-przyrodniczego** opuściły prasę tomy 15 seryi II (ogólnego zbioru tom XXXV) oraz tejże seryi tom 17 (ogólnego zbioru tom XXXVII).

= Dnia 24 marca t. r. odbyło się posiedzenie **Komisyi Fizyograficznej Akademii Umiejętności** w Krakowie, na którem po uczczeniu pamięci zmarłego członka Komisyi, hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego, odczytano sprawozdanie z czynności Komisyi w r. 1899 oraz sprawozdanie Zarządu muzealnego, uchwalono projekt prac i preliminarz budżetu na r. 1900, przedstawiony przez Zarząd Komisyi, wreszcie dokonano wyborów przewodniczącego, skrutatorów, ich pomocników oraz czterech nowych współpracowników Komisyi, 1.

B. Filozofia. **Cieszkowski August.** Ojcze Nasz, tom II: Wezwanie, wyd. pośmiertne, Poznań, 1899.

= **Mercier D.** Biblioteka neo-scholastyczna, historya psychologii nowożytnej, zeszyt I, Warszawa, 1900.

C. Socyologia. **Le Bon Gustaw.** Psychologia tłumu, przekład Zygmunta Poznańskiego („Wiedza i życie“ rok I, tom 10 — 11), Lwów — Warszawa, 1900.

= **Potocki J. K.** O energii społecznej, rzecz z powodu „Logiki Ekonomii Herynga, Warszawa, 1900.

D. Historya. **Bismarck.** Pamiętniki, zebrał Maurycy Busch, tom I: wojna 1870—1871 roku, Warszawa, 1900.

= **Boniecki Adam.** Herbarz polski, część I: Wiadomości historyczno-genealogiczne o rodach szlacheckich, tom I (Aaron — Boniccy), Warszawa, 1899.

= **Bujak Fr.** Geografia na Uniwersytecie Jagiellońskim do połowy XVI wieku, Kraków, 1900.

= **Ch. T.** O dostojnym rodzie Piasta, Lublin—Warszawa, 1900.

= **Dzieje Powszechne Illustrowane,** zeszyt 311—320, Wiedeń, s. a.

= **Konopacki Szymon.** Moja druga młodość, z niewydanych pamiętników (1816—1826) (Biblioteka dzieł wyborowych, tom 130 i nast.)

= **Niegusz M.** Żydzi a ojczyzna, dwa głosy w XVI listach, Lwów, 1900.

= **Piekosiński Fr. dr.** Al. Bekri o Polakach, Kraków, 1900.

= „ „ „ Wiece, sejmiki, sejmy i przywileje ziemskie w Polsce wieków średnich, Kraków, 1900.

= **Potkański Karol.** Daty zjazdów koszyckich, 1373, 1374 i 1379 r. Kraków, 1900.

= **Ptaśnik Jan.** Obrazki z życia żaków krakowskich w XV i XVI w., Kraków, 1900.

= **Szajnocha Karol.** Dwa lata dziejów naszych, 1646, 1648 (dodatek tygodniowy do „Gazety Polskiej“), Warszawa, 1900.

E. Literatura. **Udziela Seweryn.** Świat nadzmysłowy ludu krakowskiego, mieszkającego na prawym brzegu Wisły: Czart, Warszawa, 1900.

F. Beletrystyka. **Ewweli-Bej.** Suryawansa, powieść na tle życia Ormian tureckich (Biblioteka dzieł wyborowych № 132), Warszawa, 1900.

= **Kaczkowski Zygmunt.** Wybór pism, z przedmową Ign. Chrzanowskiego, tom IX: Anuncyata, część I, z portretem autora, Warszawa—Kraków, 1900.

= **Kipling Rudyard.** Księga puszczy, z 11-go wyd. angielskiego przełożył Józef Czekalski, z przedmową Ignacego Matuszewskiego, Warszawa, 1900.

= **Marrené-Morzkowska Walerya.** Błędne koła, powieść, z przedmową Teodora Jeske-Choińskiego (Biblioteka dzieł wyborowych № 128 — 129), Warszawa, 1900.

= **Orkan.** Komornicy, powieść, Lwów—Warszawa, 1900.

= „ Na urwisku, Warszawa—Kraków, 1900.

= **Przybyszewski Stanisław.** Androgyne, Lwów—Warszawa, 1900.

= **Sienkiewicz Henryk.** Pisma, tom XVI. Rodzina Połanieckich, część II (dla prenumeratorów „Tygodnika Illustrowanego“), Warszawa, 1900.

= **Sieroszewski Wacław.** Latorośle. — Pustelnia w górach. — Czukcze, z illustracyami K. Górskiego i J. Pankiewicza, Warszawa—Kraków, 1900. (Biblioteka illustrowana).

= **Sineka Kalk.** Myśli i uczucia, Warszawa, 1900.

= **Słowacki Juliusz.** Pisma, z przedmowa Piotra Chmielowskiego, tom I—IV, Warszawa, 1900.

= **Tetmajer K. Przerwa.** Poezye, IV. Warszawa, 1900.

= „ „ „ Otchłań. fantazya psychologiczna. Warszawa, 1900.

= **Żeromski St.** Ludzie bezdomni, wyd. 2-gie, Warszawa, 1900.

G. Matematyka i przyrodoznawstwo. **Rostafiński Józef.** Słownik polskich imion rodzajów oraz wyższych skupień roślin, poprzedzony historyczną rozprawą o źródłach, Kraków, 1900.

H. Sztuki piękne. **Ruskin John.** Droga do sztuki. przekład St. Koszutskiego, Warszawa, 1900.

I. Różne. **Goldbaum Józef dr.** Jak się ustrzedz chorób żołądka, Warszawa, 1900.

= **Przewodnik** po Paryżu i wystawie Powszechnej 1900 r., Warszawa, 1900.

= **Sprawozdanie** XVIII z czynności Komitetu Zarządzającego Kasy Pomocy dla osób, pracujących na polu naukowem, im. dr. medycyny Józefa Mianowskiego, za rok 1899, Warszawa. 1900.

2. A. Filozofia. **Bergmann J.** Untersuchungen üb. Hauptpunkte der Philosophie, Marburg, 1900.

= **Carus P.** The soul of man an investigation of the facts of physiological and experimental psychology, Chicago. 1900.

= **Flammarion C.** L'inconnu et les problèmes psychiques, Paris, 1900.

= **Krebs R.** Reformgedanken des Grafen Leo Tolstoj, Erfurt, 1900

= **Spiegler J. S.** Die Unsterblichkeit der Seele nach den neuesten naturhistorischen und philosophischen Forschungen. 2 Aufl., Leipzig, 1900.

B. Socyologia. **Cziczerin B.** Filosofia prawa, Moskwa, 1900.

= **Dungern H.** Der Führer der christlich-sozialen Bewegung Englands 1848—1866, Frederik Denison Maurice, Göttingen, 1900.

= **Féolde G.** Accidents du travail et assurances contre les accidents, Paris, 1900.

= **Siergiejewskij N. D.** Russkoje ugołownoje prawo, posobje k lekcjam, czast' obszczaja, izdanje 4, Petersburg, 1900.

C. Historya. **Harnack A.** Geschichte der königl. preussischen Akademie der Wissenschaften zu Berlin. 3 Bde, Berlin, 1900.

= **Milukow P.** Oczerki po istorji russkoj kultury, cz. I, izdanje 4, Petersburg, 1900.

D. Literatura. **Brandt R.** Wypiski iz staropolskoj słowiesnosti so słowarikom, Moskwa, 1900.

= **Forschungen, litterarhistorische**, hrsg. v. Jos. Schick u. M. v. Waldberg, XII Heft: Vossler K. Poetische Theorien in der italienischen Frührenaissance, Berlin, 1900.

= **Steiner R.** Lyrik der Gegenwart, Minden, 1900.

= **Thomas E.** Die letzten 20 Jahre deutscher Litteraturgeschichte 1880—1900, im Abriss dargestellt, Leipzig, 1900.

= **Zielinskij W.** Russkaja kriticzeskaja literatura o proizwiedienjach N. W. Gogola, izd. 2, Moskwa, 1900.

E. Matematyka i przyrodoznawstwo. **Strachow N.** O metodje jestiestwiennych nauk i znaczenji ich w obszczem obrazowanji, izd. 2. Kijów, 1900.

—*h.*—

---

3. Przekłady z polskiego. Nowelę **H. Sienkiewicza** „Na jasnym brzegu“ wydrukowała w przekładzie medyolańska **Gazetta Musicale di Milano.**

Frankfurter Zeitung zamieściła przekład noweli Bolesława Prusa p. t. „Pierścień Horusa“.

Pismo francuskie **Pain** przyniosło tłómaczenie noweli **E. Orzeszkowej** p. t. „Wieczór zimowy“.

W Petersburgu wyszły w przekładzie „Powieści i opowiadania“ **Wacława Sieroszewskiego** oraz „Bartek zwycięzca“ i „Krzyżacy“ **H. Sienkiewicza**.

4. Udział Polaków w innych literaturach. **Revue philosophique** drukuje pracę p. **L. Winiarskiego** p. t. „L'énergie sociale et les mensurations“, której pojedyńcze rozdziały były dawniej pomieszczane w kilku pismach polskich, np. w naszem „Ateneum“.

W 6-tym zeszycie czasopisma **Slovansky Přehled** zamieścił p. **Ferdynand Hoesick** obszerne sprawozdanie z ruchu literackiego u nas w roku 1899 (str. 284—296).

Zygmunt Zaborowski wydrukował w **Revue encyclopédique** artykuł p. n. „Epoka neolityczna w starożytnym Egipcie“.

Bibliografię wydawnictw polskich z zakresu filologii, literatury, historyi i etnografii za rok 1899 napotykamy nader starannie zestawioną przez profesora **Stanisława Ptaszyckiego** w 4-tym zeszycie **Izwiestij** wydziału filologicznego Petersb. Akademii Nauk.

Józef Bielński wydał w Wilnie pracę „Ob otnoszenjach wilenskawo miedicinskawo obszczestwa k publikie w 1805—1831 godach“.

5. O rzeczach polskich. Z zapomogi czeskiej Akademii Umiejętności zaczął wychodzić zeszytami słownik czesko-polski, ułozony przez prof. F. A. Horę.

Prof. N. Cwietajew rozpoczął w lutowym zesz. **Warszawskich Uniwiers. Izwiestij** druk swojej „Historyi Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie“, założonego w r. 1800.

Zeszyt 6-ty miesięcznika **Slovansky Přehled** przyniósł ocenę artykułu p. Br. Grabowskiego p. t. „Jarosław Vrchlický i jego dramat Bar-Kochba“, drukowaneog

w „Ateneum“, jakoteż recenzyę polskiego przekładu „Legendy o św. Prokope- Vrchlickiego.

W zeszycie marcowym **Revue des deux Mondes** znajdujemy obszerne studyum Piotra de Nolhac p. n. „Le mariage de Marie Leszczinska“ (str. 79—119).

Russkaja Starina w zeszycie styczniowym i lutowym zawiera rzecz N. K„ Szildiera p. t. „Impierator Nikołaj I i Polsza w 1825 — 1831 g.“, nader obszerne. streszczenia książki p. Al. Kraushara przez W. W. Timoszczuka p. t. „Burbonyi w izgnanii w Mitawie i w Warszawie“, jako też ciąg dalszy zapisek hr. Bennigsena o wojnie z Napoleonem w r. 1807.

St. Ździarski.



Дозволено Цензурою. Варшава, 1 Мая 1900.

Wydawca: ***Wł. Spasowicz***
Redaktor: ***Ignacy Chrzanowski.***